

tytuł: "Romanowowie: ostatni rozdział"

autor: Robert K. Massie

tytuł oryginału: "The Romanovs: The Final Chapter"

tytuł serii: "Tajemnice historii"

przekład: Monika i Tomasz Lem

tekst wklepał: dunder@kki.net.pl

- Warszawa : Wydawnictwo "Ambler sp. z o.o.", 1997.

- ISBN 83-7169-219-6

- Copyright © 1995 by Robert K. Massie

## SPIS TREŚCI

### CZĘŚĆ PIERWSZA: KOŚCI

1. Dwadzieścia trzy stopnie...str. 2
2. Zatwierdzone przez Moskwę...str. 7
3. Obym nic nie znalazł...str. 3
4. Postać jak z Gogola...str. 23
5. Sekretarz Baker...str. 30
6. Ciekawość śmierci...str. 33
7. Konferencja jekaterynburska...str. 43
8. Doktor Gill...str. 49
9. Doktor Maples kontra doktor Gill...str. 61
10. Jekaterynburg a jego przeszłość...str. 69
11. Śledczy Sołowiow...str. 72
12. Pochówek cara...str. 82

### CZĘŚĆ DRUGA: ANNA ANDERSON

13. Oszuści...str. 86
14. Pretendentka...str. 97
15. Honor rodziny...str. 116
16. Bez podstaw prawnych...str. 127
17. Metoda tak dobra jak ludzie, którzy się nią posługują...str. 137
18. Najbystrzejsze z dzieci...str. 145

CZEŚĆ TRZECIA: OCALENI

19. Romanowowie na emigracji...str. 151

CZEŚĆ CZWARTA: DOM IPATIEWA

20. Siedemdziesiąt osiem dni...str. 168

Podziękowania i bibliografia...str. 173

## CZĘŚĆ PIERWSZA: KOŚCI

### 1. Dwadzieścia trzy stopnie

O północy Jakow Jurowski wszedł po schodach na piętro, aby obudzić rodzinę. W kieszeni miał pistolet z siedmioma kulami w magazynku, pod płaszczem mausera o drewnianej rękojeści i długiej lufie, z magazynkiem zawierającym dziesięć kul. Pukanie do drzwi obudziło doktora Eugeniusza Botkina, który od szesnastu miesięcy przebywał z uwięzionymi Romanowami. Doktor nie spał. Pisał list, który - jak się potem okazało - był ostatnim, jaki napisał do swoich bliskich. - Z powodu sytuacji w mieście należy sprowadzić rodzinę do piwnicy - powiedział cicho Jurowski. - Gdyby na ulicach wybuchła strzelanina, przebywanie w pokojach na piętrze byłoby bardzo niebezpieczne. Botkin zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Biała armia wspierana tysiącem byłych czeskich jeńców wojennych zbliżała się do Jekaterynburga, syberyjskiego miasteczka, w którym od siedemdziesięciu dni przetrzymywano carską rodzinę. Już od kilku dni więźniowie słyszeli w oddali kanonadę artylerii, a nocą coraz częściej rozlegały się strzały z rewolwerów. Ubieranie się trwało czterdzieści minut. Pięćdziesięcioletni Mikołaj, były cesarz, i jego trzynastoletni syn Aleksy, były carewicz i następca tronu, włożyli wojskowe koszule, spodnie, buty i furażerki. Czterdziestosześcioletnia Aleksandra, była cesarzowa, oraz jej córki, dwudziestodwuletnia Olga, dwudziestojednoletnia Tatiana, dziewiętnastoletnia Maria i siedemnastoletnia Anastazja ubrały się w suknie, lecz nie włożyły kapeluszy ani szali. Jurowski zaprowadził wszystkich na dziedziniec. Tuż za nim szedł Mikołaj, niosąc na rękach syna, który nie mógł chodzić o własnych siłach. Sparaliżowany Aleksy, obciążony dziedzicznie hemofilią, był szczupłym, ale dobrze zbudowanym chłopcem, ważącym nieco ponad trzydzieści sześć kilogramów; pomimo to car bez trudu zniósł go po schodach. Mikołaj był co prawda tylko średniego wzrostu, lecz miał silne ramiona i wydatną klatkę piersiową. Jako trzecia szła cesarzowa, wyższa od swojego męża, z trudnością stawiając kroki z powodu ischiasu, który przed laty przykuł ją do łóżka i zmusił do korzystania z fotela na kółkach. Za nią szły córki: dwie z nich trzymały niewielkie poduszki, a najmłodsza Anastazja niosła na rękach swego spaniela, Jemmy'ego. Za córkami szedł doktor Botkin oraz trzy inne osoby więzione wraz z rodziną: Trupp - lokaj Mikołaja, Demidowa - służąca Aleksandry i Charitonow - kucharz. Demidowa także niosła poduszkę, w której, wszyta głęboko w pierze, znajdowała się szkatułka z klejnotami. Demidowa miała strzec jej jak oka w głowie. Jurowski nie dostrzegł niczego, co świadczyłoby o tym, że carska rodzina coś podejrzewa. - Obyło się bez łez, szlochów i pytań - rzekł później. Z dziedzińca zaprowadził wszystkich do niewielkiej

narożnej piwnicy. Pomieszczenie było nieduże [3, 3 na 4 metry); nie było w nim żadnych mebli. Miało tylko jedno zakratowane okno. Jurowski poprosił, aby poczekał, lecz Aleksandra widząc, że pokój jest pusty, powiedziała: - Co to ma znaczyć? Nie ma nawet krzesła. Czy nie możemy usiąść? Jurowski polecił, aby przyniesiono dwa krzesła. Jeden z jego ludzi, wysłany po nie, rzekł do kolegi: - Następca tronu potrzebuje krzesła. . . Widocznie woli zginąć siedząc. Przyniesiono krzesła. Na jednym usiadła Aleksandra, na drugim Mikołaj posadził Aleksego. Córki jedną z poduszek dały matce, drugą podłożyły pod plecy bratu. - Proszę stanąć tutaj, tutaj i tutaj. . . - mówił Jurowski. - O, właśnie tak, w rzędzie - ciągnął, rozstawiając wszystkich pod ścianą. Wyjaśnił, że zamierza rodzinę sfotografować, ponieważ mieszkańcy Moskwy są zaniepokojeni plotkami o ucieczce. Gdy skończył, jedenaścioro więźniów stało w dwóch rzędach: na środku pierwszego stał Mikołaj, obok siedzącego na krześle syna; dalej, tuż przy ścianie, siedziała Aleksandra, za którą stały córki. Pozostali znajdowali się za carem i carewiczem. Jurowski, zadowolony, zawołał swoich ludzi. Jednak pośród jedenastu uzbrojonych mężczyzn nie było człowieka z aparatem fotograficznym na statywie. Pięciu z nich, podobnie jak Jurowski, było Rosjanami, a pozostałych sześciu Łotyszami (nieco wcześniej dwóch z nich odmówiło strzelania do kobiet i Jurowski musiał znaleźć dla nich zastępstwo). Gdy mężczyźni wcisnęli się za nim przez dwuskrzydłowe drzwi, Jurowski stanął przed Mikołajem. Nie wyjmując prawej ręki z kieszeni, z lewej wyjął niewielki skrawek papieru i przeczytał: - W obliczu faktu, że wasi krewni nie zaprzestali ataków na Rosję Radziecką, egzekutywa Uralskiej Rady Robotniczej skazuje was na karę śmierci. Mikołaj spojrzawszy na swoją rodzinę, odwrócił się do Jurowskiego i spytał ze zdziwieniem: - Co. . . co. . . ? Jurowski szybko powtórzył, wyjął z kieszeni broń i zastrzelił cara. W tej samej chwili zaczął strzelać cały oddział. Wcześniej wszystkim udzielono instrukcji, kto kogo ma zastrzelić. Celować należało tak, aby śmierć nastąpiła szybko i żeby obyło się bez znacznej ilości krwi. Z pistoletów strzelało dwunastu mężczyzn, niektórzy przez ramię stojącym w pierwszym rzędzie; toteż wielu z nich zostało częściowo ogłuszonych i doznało poparzeń. Cesarzowa i jej córka Olga chciały się przeżegnać, ale nie dano im na to czasu. Siedząca na krześle Aleksandra zginęła natychmiast, Olga została zabita kulą, która trafiła ją w głowę. Botkin, Trupp i Charitonow zginęli równie szybko. Ale Aleksey, trzy młodsze siostry i Demidowa pozostali przy życiu. Kule zdawały się odbijać od ich klatek piersiowych i jak grad sypały się po pokoju rykoszetami. Ludzie Jurowskiego przerazili się i wpadając w histerię strzelali dalej. Niemal niewidoczne z powodu dymu, Maria i Anastazja przywarły do ściany, osłaniając rękami głowy, dopóki kule nie powaliły ich na ziemię. Aleksey leżąc na podłodze zasłonił się ramieniem, a potem usiłował pochwycić ojca za koszulę. Jeden z oprawców ciężkim butem kopnął carewicza

w głowę. Aleksy jęknął. Jurowski podszedł do niego i oddał dwa strzały z mausera, celując prosto w ucho chłopca. Demidowa przeżyła strzelaninę. Mężczyźni, zamiast ponownie naładować pistolety, przynieśli z sąsiedniego pokoju karabiny i rzucili się na nią z bagnietami. Krzyżąc biegła tam i z powrotem wzdłuż ściany, usiłując osłonić się poduszką z klejnotami. Poduszka wypadła jej z rąk, a ona pochwyciła bagnet, starając się go odepchnąć od klatki piersiowej. Był tępy i przy pierwszej próbie nie przebił jej ciała. Gdy wreszcie upadła, rozwścieczeni mordercy przekłuli jej ciało ponad trzydziestokrotnie. W pokoju, wypełnionym dymem i wonią prochu, zapadła cisza. Krew była niemal wszędzie, jej strumyki zlewały się w kałuże. Jurowski w pośpiechu obracał ciała, aby zmierzyć puls. Ciężarówka czekająca przed frontowymi drzwiami już wkrótce powinna znaleźć się daleko za miastem - zbliżał się lipcowy syberyjski świt. Prześcieradła zdarte z łóżek posłużyły do przeniesienia ciał; miały też zapobiec powstawaniu dalszych plam krwi na podłodze i dziedzińcu. Ciało Mikołaja zanieśiono jako pierwsze. Gdy jedną z córek kładziono na prześcieradło, dziewczyna jęknęła. Cała banda rzuciła się na nią, kłując bagnietami i waląc na oślep kolbami karabinów. Gdy wszystkie ofiary znalazły się już na ciężarówce, przykryte brezentem, ktoś zauważył małego pieska Anastazji z głową zmiażdżoną kolbą karabinu. Jego też wrzucono na ciężarówkę. "Wykonanie zadania", jak później Jurowski nazwał to morderstwo, włącznie z badaniem pulsów i ładowaniem zwłok na ciężarówkę, trwało dwadzieścia minut.

Na dwa dni przed egzekucją Jurowski wraz z Piotrem Jermakowem, miejscowym przywódcą bolszewików, wybrali się do lasu, aby znaleźć odpowiednie miejsce na pochowanie ciał. Około dwudziestu kilometrów na północ od Jekaterynburga, w podmokłej okolicy obfitującej w bagna, torfowiska i opuszczone szyby kopalni, znajdowało się Uroczysko Czterech Braci, nazwane tak z powodu rosnących tam niegdyś czterech sosen. Pośród pni starych sosen i brzoź znajdowały się szyby, jedne głębsze, inne płytsze, z których dawniej wydobywano węgiel i torf. Teraz były opuszczone, a niektóre z nich z czasem wypełniły się wodą i zamieniły w niewielkie jeziora. Największym z nich był szyb Ganina (nazwa pochodziła od nazwiska chłopca, który jako pierwszy znalazł w tym miejscu pokłady węgla). W pobliżu znajdowały się też inne, węższe, choć głębsze szyby. Tutaj właśnie Jurowski postanowił przywieźć ciała. Byli już głęboko w lesie. Ciężarówka podskakiwała na podmokłej, nierównej drodze. Nagle z naprzeciwka nadjechali jacyś mężczyźni, niektórzy konno, inni na chłopskich furmankach. Większość z nich była pijana. Było ich dwudziestu pięciu. Okazało się, że pracują w miejscowej fabryce; niektórzy należeli do Uralskiej Rady Robotniczej, a towarzysz Jermakow zdradził im, iż właśnie tą drogą jechać będzie carska rodzina. Ale mężczyźni spodziewali się,

że ujrzą jej członków żywych; Jermakow obiecał swoim przyjaciołom cztery wielkie księżne i zabicie cara. - Dlaczego nie przywieźleś ich żywych! - krzyczeli. Jurowski uciszył zawiedzionych mężczyzn i nakazał im przenieść ciała na furmanki. Czyniąc to, robotnicy zaczęli rabować kosztowności ofiar. Wówczas Jurowski zagroził im natychmiastową egzekucją. Nie wszystkie ciała zmieściły się na furmankach, niektóre musiały pozostać w skrzyni ładunkowej ciężarówki. Po pewnym czasie makabryczna procesja ruszyła w głąb lasu. W ciemnościach, w gęstwinie sosen i brzoź, nie widać było drogi do Uroczyska Czterech Braci. Jurowski nakazał jeźdźcom, aby odszukali miejsce, w którym należy zboczyć z duktu. Udało im się to dopiero, gdy nastał świt. Wąska droga przemieniła się w ścieżkę. Wkrótce ciężarówka utknęła między drzewami i wszystkie ciała załadowano na furmanki. O szóstej rano pochód dotarł do uroczyska. W szybie Ganina, głębokim na niecałe trzy metry, wody było po kostki. Nieco dalej, w węższym szybie o głębokości dziewięciu metrów, wody było więcej. Jurowski nakazał położyć zwłoki na trawie i rozebrać je. Rozpalono dwa ogniska. Zdzierając suknię z jednej z córek mężczyźni przekonali się, że jej gorset rozerwały kule. Pod spodem ujrzeli gęsto naszyte, mieniące się w promieniach słońca rzędy diamentów - stanowiły "tarczę", która początkowo ochroniła ją przed kulami, co tak bardzo przeraziło oprawców. Widok klejnotów podniecił mężczyzn i Jurowski musiał szybko działać. Odesłał większość z nich, a pozostałym nakazał zedrzeć ubrania z ofiar. Łącznie zebrano osiem kilogramów diamentów (znalezionych głównie w gorsetach trzech wielkich księżnych). Okazało się, że cesarzowa miała na sobie pas z pereł, na który składało się wiele wszytych w płótno naszyjników. Każda z córek miała na szyi amulet z wizerunkiem Rasputina i ułożoną przez niego modlitwą. Klejnoty, amulety i wszystkie wartościowe przedmioty wrzucono do worków, a wszystko inne, włącznie z ubraniami, spalono. Nagie ciała ułożono na trawie. Niemal wszystkie zostały zsepcone.

Podczas rzezi, być może w przypiływie niepoohamowanej furii, a być może celowo, aby zwłoki nie mogły zostać zidentyfikowane, twarze zmiażdżono kolbami karabinów. Jednak z szczęściu zamordowanych kobiet leżących na trawie, cztery były młode i jeszcze przed dwunastoma godzinami pięknetoteż dotykano zwłok. - Dotknąłem cesarzowej, nadal była ciepła - powiedział później jeden z mężczyzn. Inny rzekł: - Mogę teraz umrzeć w pokoju, ponieważ ścisnąłem. . . cesarzowej. - Przedostatnie słowo w tym zdaniu zostało wykreślone. Gdy ciała odarto z ubrań i zebrano wszystkie kosztowności, Jurowski nakazał zepchnąć zwłoki do głębszego szybu. Potem, aby zasypać go ziemią, wrzucił do środka kilka granatów. O dziesiątej rano zakończył pracę i powrócił do Jekaterynburga, aby złożyć raport Uralskiej Radzie Robotniczej.

Osiem dni po morderstwie Jekaterynburg znalazł się w rękach białych, a ich oficerowie niezwłocznie udali się do domu Ipatiewa. Budynek był niemal pusty. Na podłodze leżały rozrzucone szczoteczki do zębów, spinki, grzebień, szczotki do włosów i zniszczone ikony. W szafach wisiały puste wieszaki. Biblia Aleksandry nadal leżała na swoim miejscu, wiele wersetów było podkreślonych, pomiędzy stronami znajdowały się zasuszone kwiaty i liście. Oprócz książek o treści religijnej był tam także egzemplarz "Wojny i pokoju", trzy tomy opowiadań Czechowa, biografia Piotra Wielkiego, wybór dzieł Szekspira oraz Bajki La Fontaine'a. W jednej z sypialni oficerowie znaleźli blat o zaokrąglonych brzegach, na którym carewicz leżąc w łóżku jadał i bawił się. Obok leżał samouczek gry na białajce. W jadalni przy kominku stał fotel na kółkach. W piwnicy panowała złowieszcza atmosfera. Na listwach podłogowych nadal widniały plamy po zakrzepłej krwi. Żółta podłoga, choć umyta i wytarta, zdradzała ślady po kulach i ostrzach bagnatów, ściany także nosiły liczne ślady kul; z tej, pod którą ustawiono rodzinę, w wielu miejscach odpadł tynk. Podjęte natychmiast poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Dopiero w sześć miesięcy później, w styczniu 1919 roku, rozpoczęło się śledztwo. Do zadania tego admirał Aleksander Kołczak, dowódca białych na Syberii, wyznaczył trzydziestosześcioletniego sędziego śledczego Mikołaja Sokołowa. Po wiosennych roztopach Sokołow natychmiast rozpoczął pracę na Uroczysku Czterech Braci. Na leśnym dukcie nadal widać było ślady furmanek i ciężarówki, na ziemi wokół szybów liczne ślady końskich podków. Na powierzchni wody w szybie Ganina i w sąsiednim szybie pływały spalone gałęzie i pnie drzew. Ściany głębszego szybu zdradzały ślady po wybuchach granatów. Były tam też pozostałości po dwóch ogniskach; jedno rozpalono na skraju węższego szybu, drugie na środku leśnej drogi. Sokołow polecił wypompować wodę z węższego szybu i z szybu Ganina, po czym kazał swoim ludziom kopać. W szybie Ganina nie znalazł nic, ale w drugiej sztolni natrafił na wiele przedmiotów. W tej ponurej pracy asystowali mu dwaj guwernerzy carewicza: Pierre Gilliard, nauczyciel francuskiego, oraz Sidney Gibbes, nauczyciel angielskiego. Gdy carską rodzinę uwięziono w domu Ipatiewa obydwoj pozostali w Jekaterynburgu. Pośród przedmiotów zidentyfikowanych i skatalogowanych przez zrozpaczonych guwernerów znajdowała się klamra od pasa noszonego przez cara oraz klamra od wojskowego pasa carewicza, zwęglony szmaragdowy krzyż подарowany przez cesarżową wdowę Marię cesarzowej Aleksandrze; perłowy kolczyk należący do Aleksandry, order ozdobiony szafirami i diamentami ofiarowany cesarzowej przez jej ułanów; metalowe puzderko z miniaturą Aleksandry, własność Mikołaja; trzy małe ikony, z którymi wielkie księżne nigdy się nie rozstawały; futerał na okulary cesarzowej; strzępy sześciu gorsetów; fragmenty czapek wojskowych noszonych przez Mikołaja i jego syna; sprzączki butów

należących do wielkich księżnych oraz sztuczna szczeka doktora Botkina i jego okulary. Znalaziono także kilka nadpalonych kości, częściowo strawionych kwasem, choć nadal widoczne były na nich ślady siekiery; kule rewolwerowe, oraz palec, smukły i wypielegnowany, tak jak palec Aleksandry. Sokołowowi udało się także zebrać pewną ilość gwoździ, cynfolii, miedzianych monet oraz niewielki zamek; przedmioty te zastanowiły go. Gdy pokazano je Gilliardowi, guwerner natychmiast rozpoznał je jako należące do dziwacznej kolekcji carewicza. Wreszcie na samym dniu szybu odnaleziono zmasakrowane, lecz nie spalone, rozkładające się ciało spaniela Anastazji, Jemmy'ego. Ale oprócz palca i zaledwie kilku nadpalonych kawałków kości Sokołow nie odnalazł ani ludzkich ciał, ani innych szczątków. Po przesłuchaniu jednego ze sprawców zbrodni oraz licznych świadków stwierdził, że w domu Ipatiewa zabito jedenaście osób. Wiedział, że ich ciała przewieziono do Uroczyska Czterech Braci. Dowiedział się także, że następnego dnia po morderstwie na drodze do wsi Koptiaki widziano jeszcze dwie ciężarówki z trzema beczkami - dwie z nich zawierały benzynę, trzecia kwas siarkowy. Toteż osiemnastego lipca Sokołow doszedł do wniosku, że w dzień po egzekucji Jurowski zniszczył ciała rąbiąc je siekierami, polewając benzyną i kwasem siarkowym i spopielając na olbrzymich stosach rozpalonych w pobliżu szybów. Popiół i nieliczne kości uznano za szczątki carskiej rodziny, a za ich gróbmiejsce, w którym dokonano spalenia. Mikołaj Sokołow z niezwykłą czcią umieścił nadpalone kości, palec i znalezione przedmioty w specjalnej kasecie. Wiosną 1919 roku, gdy Armia Czerwona znów przejęła Jekaterynburg, Sokołow poprzez Syberię dotarł do wybrzeży Pacyfiku i stamtąd statkiem udał się do Europy, zabierając ze sobą kasetę, która miała stać się tematem wielu sporów. Gdy w 1924 roku opublikował swoje wnioski, niektórzy odnieśli się do nich sceptycznie, twierdząc, że niemożliwe jest, nawet w największym ogniu, całkowite spopielenie zwłok jedenaściorga ludzi. Pomimo to wersja Sokołowa opierała się na prostym, pozornie nie dającym się podważyć stwierdzeniu: nie znaleziono ciał. Przez większą część XX wieku w to właśnie wierzył świat.



## 2. ZATWIERDZONE PRZEZ MOSKWĘ

Zgładzenie Romanowów - ich egzekucja oraz sposób pozbycia się zwłok - od samego początku było aprobowane przez Moskwę. Jeszcze w czerwcu 1918 roku przywódcy bolszewicy nie wiedzieli, co zrobić z carską rodziną. Uralska Rada Robotnicza, sprawująca bezpośrednią władzę nad więźniami w Jekaterynburgu, zdecydowanie opowiadała się za egzekucją. Natomiast "czerwony komisarz" I. ew Trocki opowiadał się za publicznym, transmitowanym przez radio procesem byłego cara w Moskwie, w którym Trocki odegrałby rolę oskarżyciela. Lenin, jak zawsze pragmatyczny, wolał wykorzystać rodzinę jako zakładników w politycznych rozgrywkach z Niemcami. W kwietniu Rosja Radziecka podpisała w Brześciu traktat pokojowy z Niemcami, uzyskując pokój w zamian za przekazanie pod niemiecką okupację jednej trzeciej europejskich terytoriów Rosji oraz całej zachodniej Ukrainy. Decyzja ta, powszechnie uznana za zdradę, wprawiła miliony Rosjan w przerażenie: Przez pewien czas Lenin liczył na to, że cara Mikołaja uda się nakłonić do podpisania lub choćby poparcia traktatu, co mogłoby uspokoić społeczeństwo. Jednak sytuację dodatkowo komplikował fakt, że cesarzowa Aleksandra była niemiecką księżniczką, kuzynką cesarza Wilhelma. Teraz, gdy Rosja uniknęła wojny, nowy niemiecki ambasador w Moskwie, hrabia Wilhelm Mirbach, jasno dał do zrozumienia, że jego rząd niepokoi się o bezpieczeństwo Aleksandry i jej czterech córek. Lenin nie chciał drażnić Niemców - zwłaszcza w takiej chwili. W pierwszych dniach lipca władzy bolszewików zagrażała zarówno wojna domowa, jak i interwencja z zewnątrz. Oprócz Niemców na zachodzie i południu, na północy, w Murmańsku, wylądowali amerykańscy marines i żołnierze brytyjscy. Na wschodniej Ukrainie generałowie Aleksiejew, Kornilow i Denikin utworzyli złożoną z ochotników armię białych. Tymczasem na Syberii czeski legion składający się z czterdziestu pięciu tysięcy byłych jeńców wojennych, którzy niegdyś służyli w armii AustroWęgier, zajął Omsk i posuwał się na zachód w kierunku Jekaterynburga. Gdy bolszewicy zawarli pokój, Trocki zgodził się, by Czesi opuścili Rosję i powrócili poprzez Pacyfik do Europy, aby walczyć o powstanie czeskiego państwa. Czescy żołnierze znajdowali się już na Syberii, w pociągach zmierzających na wschód, gdy niemiecki generał Staff stanowczo sprzeciwił się, nakazał bolszewikom zatrzymanie ich i rozbrojenie. Jednak Czesi stawiali opór, a wsparci przez nastawionych antybolszewicko rosyjskich oficerów i żołnierzy zaczęli brać górę nad bolszewikami. To właśnie zbliżanie się do Jekaterynburga armii Czechów i białych zmusiło Lenina i jego pełnomocnika Jakowa Swierdłowa (Trocki musiał wtedy udać się na front) do zmiany planów wiązanych z carem i jego rodziną, więzionych w domu Ipatiewa. 6 lipca bolszewicy ponieśli kolejną porażkę. W Moskwie dwóch

eserowców, przeciwników traktatu brzeskiego, zamordowało ambasadora Niemiec. Lenin i Swierdłow obawiali się, że do stolicy wkroczą wojska niemieckie. W całym tym zamieszaniu pokazowy proces Mikołaja, namawianie go do podpisania traktatu i wykorzystanie carskiej rodziny do przetargów wydawały się bezsensowne. Sami Romanowowie czuli się niepotrzebni, jakby stanowili dodatkową przeszkodę. Swierdłow sytuację tę opisał swojemu przyjacielowi Filipowi Gołoszokinowi, członkowi Uralskiej Rady Robotniczej, który przez kilka dni gościł u Swierdłowa w Moskwie. 12 lipca Gołoszokin powrócił do Jekaterynburga i przekazał towarzyszom z Uralskiej Rady Robotniczej wiadomość, iż rząd nie "widzi dalszego pożytku" z Romanowów i pozostawia im decyzję co do dalszego losu rodziny. Uralska Rada Robotnicza natychmiast przegłosowała egzekucję wszystkich jej członków. Jurowski, pod którego pieczę znajdował się dom Ipatiewa, otrzymał rozkaz rozstrzelania więźniów i zniszczenia wszelkich dowodów.

Po egzekucji Moskwa niezwykle skrupulatnie cenzurowała informacje dotyczące wydarzeń w Jekaterynburgu. 17 lipca o dziewiątej wieczorem na Kreml dotarł zaszyfrowany telegram od Uralskiej Rady Robotniczej następującej treści: "Przeznaczcie Swierdłowowi, że rodzinę spotkał ten sam los, co jej głowę. W oficjalnych oświadczeniach podamy, że członkowie rodziny zginęli podczas ewakuacji". Swierdłow, spodziewając się takiej wiadomości zatelegrafował w odpowiedzi: Jeszcze dziś [18 lipca] powiadomię o waszej decyzji prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego. Nie wątpię, że zostanie ona zatwierdzona. Wiadomość o egzekucji muszą ogłosić władze centralne. Do tego czasu zabrania się udzielania jakichkolwiek informacji na ten temat". Swierdłow, piastujący stanowisko przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego, poinformował o wszystkim prezydium, które zatwierdziło decyzję Uralskiej Rady Robotniczej. Twierdzeniu, jakoby Moskwa o niczym nie wiedziała, przeczy fakt, który miał miejsce, gdy Swierdłow przybył spóźniony na posiedzenie radzieckich komisarzy ludowych. Wszedł do sali, usiadł za Leninem, pochylił się do przodu i szepnął mu coś do ucha. Lenin, przerywając przemówienie jednego z komisarzy, rzekł: "Towarzysz Swierdłow prosi o głos, ma dla nas ważny komunikat".

- Otrzymaliśmy informację - zaczął Swierdłow spokojnym, rzeczowym tonem - że w Jekaterynburgu, na mocy decyzji Uralskiej Rady Robotniczej, rozstrzelano Mikołaja. Aleksandra Fiodorowna i jej dzieci są w godnych zaufania rękach. Mikołaj próbował uciec, Czesi byli coraz bliżej. Prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego zatwierdziło decyzję Rady. Gdy Swierdłow skończył, w sali zapadła cisza. Po chwili Lenin powiedział: - A teraz

odczytamy projekt, artykuł po artykule. Oficjalny komunikat przekazany przez Swierdłowa "Prawdzie" i "Izwestiom" nie wspominał, że oprócz cara zginęła także jego żona, syn i córki. 20 lipca ukazujące się w Moskwie i Sankt Petersburgu gazety donosiły: "Były car rozstrzelany w Jekaterynburgu! Śmierć Mikołaja Romanowa!" Tego samego dnia Uralska Rada Robotnicza napisała komunikat i poprosiła Moskwę o zgodę na jego opublikowanie: "Ekscar, samowładca Mikołaj Romanow, został rozstrzelany wraz z rodziną. . . ciała zostały spalone". Jednak Kreml zabronił publikacji tego oświadczenia, ponieważ mowa w nim była o śmierci całej rodziny. Dopiero 22 lipca jekaterynburscy wydawcy otrzymali zgodę na wydrukowanie sporządzonego w Moskwie komunikatu. Tego dnia w całym syberyjskim mieście rozplakatowano pierwsze strony gazet:

#### DECYZJA PREZYDIUM KOMITETU OBWODOWEGO PRZY URALSKIEJ RADZIE DELEGATÓW ROBOTNICZYCH I ŻOŁNIERSKICH:

W obliczu zagrożenia Jekaterynburga, czerwonej stolicy Uralu, przez bandy czechosłowackie, aby uniemożliwić ucieczkę ukoronowanego kata przed ludowym trybunałem (zdemaskowano zamiar porwania carskiej rodziny przez Białą Gwardię), prezydium komitetu obwodowego wykonując wolę ludu orzekło, iż były car Mikołaj Romanow winny jest niezliczonych krwawych zbrodni przeciwko ludowi i zostanie rozstrzelany.

Wyrok. . . wykonano w nocy z 16 na 17 lipca. Rodzina Romanowów została przeniesiona z Jekaterynburga w bezpieczne miejsce.

W osiem dni po masakrze, 25 lipca, armie białych i Czechów wkroczyły do Jekaterynburga.

W 1935 roku Lew Trocki opublikował swój "Dziennik na wygnaniu". Były przywódca bolszewików, zmuszony przez Stalina do życia na emigracji, opisał związek łączący Lenina ze Swierdłowem (który zatwierdził jekaterynburską masakrę) oraz z Uralską Radą Robotniczą, która ustaliła datę i sposób przeprowadzenia egzekucji:

"Moja następna wizyta w Moskwie [Trocki przebywał na froncie] miała miejsce po upadku Jekaterynburga. W rozmowie ze Swierdłowem spytałem: - A, właśnie, gdzie jest car? - Już po wszystkim - odparł. - Zastrzelony.

- A jego rodzina?

- Rodzinę zastrzelono razem z nim.

- Wszystkich? - spytałem, najwidoczniej ze zdziwieniem, bo Swierdłow odparł: - Wszystkich. A bo co? Najwyraźniej spodziewał się po mnie jakiejś reakcji, ale ja milczałem. - Kto podjął decyzję? - spytałem wreszcie. - Podjęliśmy ją tutaj. Ilicz [Lenin] uważał, że nie powinniśmy pozostawiać białym żywego symbolu, zwłaszcza w obecnej trudnej sytuacji. Więcej już o nic nie pytałem, uznawszy sprawę za zamkniętą. W rzeczywistości decyzja ta była nie tylko korzystna, ale konieczna. Srogość wyroku sądu doraźnego dowiodła światu, że nadal będziemy walczyć bezlitośnie i nic nas nie powstrzyma. Egzekucja rodziny carskiej konieczna była nie tylko po to, by przerazić wroga, ale także po to, aby wstrząsnąć naszymi szeregami i pokazać, że nie ma już odwrotu, że czeka nas albo zwycięstwo, albo klęska. . . Lenin doskonale zdawał sobie z tego sprawę".

Wiadomość, że Mikołaj został rozstrzelany w wyniku decyzji podjętej przez prowincjonalną Radę Robotniczą, oraz że jego rodzina pozostała przy życiu, szybko obiegła świat. W Moskwie radca ambasady Niemiec, zastępujący zamordowanego ambasadora, oficjalnie potępił egzekucję cara oraz wyraził troskę o los pochodzącej z Niemiec cesarzowej i jej dzieci. Wówczas radziecki rząd zaczął rozpowszechniać kłamliwe oświadczenia, które przez następne osiem lat podawano jako oficjalną wersję wydarzeń. 20 lipca komisarz ludowy Radek poinformował radcę ambasady Niemiec, że pozostali przy życiu członkowie rodziny być może zostaną wypuszczeni na wolność "ze względów humanitarnych". 23 i 24 lipca przełożony Radka, Gieorgij Cziczeryn, komisarz ludowy spraw zagranicznych, zapewnił niemieckiego posła, że Aleksandra i jej dzieci są bezpieczne. W sierpniu i przez większą część września rząd niemiecki wywierał presję na rząd Rosji, czego wynikiem były kolejne zapewnienia o bezpieczeństwie rodziny. 29 sierpnia Radek zaproponował wymianę carskiej rodziny za więźniów znajdujących się w rękach niemieckich; w kilka dni później Cziczeryn ponownie zapewnił, że cesarzowa i jej dzieci są bezpieczne; 10 września Radek nadal prowadził rozmowy o zwolnieniu więźniów; w trzecim tygodniu września Berlin został poinformowany, że władze radzieckie "rozważają przeniesienie carskiej rodziny na Krym". Tymczasem do rządu brytyjskiego dotarły złowieszcze informacje. 31 sierpnia wywiad brytyjski otrzymał raport; przekazany następnie ministerstwu wojny i królowi Jerzemu V, w którym stwierdzano, iż cesarzową Aleksandrę i jej pięcioro dzieci prawdopodobnie zamordowano wraz z carem. Król uwierzył w treść raportu i do swojej kuzynki, Wiktorii Battenberg, siostry Aleksandry, napisał list:

Droga Wiktorio! Pograżony w głębokim smutku wraz z tobą oplakuję tragiczną śmierć twojej siostry i jej dzieci. Ale być może lepiej, że tak właśnie się stało; po śmierci drogiego Mikołaja prawdopodobnie i tak nie chciałyby dłużej żyć, a córki uniknęły losu gorszego niż śmierć z rąk oprawców. Całym sercem pozostaję z tobą.

Pomimo pospiesznych kondolencji króla, ministerstwo spraw zagranicznych postanowiło w tej sprawie prowadzić dalsze śledztwo. Sir Charlesowi Eliotowi, pełnomocnikowi rządu brytyjskiego, polecono udać się do Jekaterynburga, skąd 15 października jego poufny raport, zaadresowany bezpośrednio do ministra spraw zagranicznych Arthura Balfoura, dotarł do Londynu. Wnioski Eliota dawały pewnie nadzieje: "17 lipca w Jekaterynburgu widziano pociąg, w którym zasłonięte były wszystkie okna; odjechał w niewiadomym kierunku. Panuje tu powszechne przekonanie, że znajdowali się w nim pozostali przy życiu członkowie carskiej rodziny. . . i że cesarzowej, jej córek i syna nie zamordowano". Następnie ci, którzy pozostali przy życiu - o ile rzeczywiście istnieli - zniknęli. W cztery lata później, podczas międzynarodowej konferencji w Genewie, pewien zagraniczny dziennikarz spytał Cziczierina, czy prawdą jest, że bolszewicki rząd zabił wszystkie carskie córki, na co Cziczerin odparł: "Los córek jest mi nieznany. W jednej z gazet czytałem, że obecnie przebywają w Ameryce". W 1924 roku wydawało się, że zagadka została rozwiązana; sędzia śledczy Mikołaj Sokołow, mieszkający wówczas w Paryżu, swoje odkrycia i wynikające z nich wnioski opublikował pierwotnie po francusku, a następnie po rosyjsku. Książka ta zapoznała świat z relacją świadka, który na własne oczy widział jedenaście ciał leżących w kałuży krwi w piwnicy domu Ipatiewa. Sokołow zamieścił również fotografię kości i odciętego palca, biżuterii, fiszbinów z gorsetów, sztucznej szczęki oraz innych przedmiotów znalezionych na Uroczysku Czterech Braci. W swej książce zawarł nie tylko wstrząsający opis masakry, lecz także szczegółowy, pozornie wiarygodny opis zniszczenia ciał za pomocą kwasu i ognia: "Ciała zostały rozczłonkowane. . . Zniszczono je kwasem siarkowym, a następnie polano benzyną i spalono na stosach. . . Tłuszcz z ciał wytopił się i zmieszał z ziemią". Dowody, że cała rodzina zginęła, zdawały się przytłaczające. Sokołow borykał się z licznymi trudnościami. Prace w Jekaterynburgu zmuszony był przerwać, gdy w lipcu 1919 roku Armia Czerwona ponownie przejęła kontrolę nad miastem. W podróż koleją transsyberyjską, oprócz kasety z nadpalonymi kośćmi i innymi dowodami rzeczowymi, zabrał także siedem grubych brulionów z zapiskami. Dotarwszy na Zachód, niestrudzenie uzupełniał je relacjami emigrantów, którzy uciekli przed rewolucją i którzy mogli coś wiedzieć o śmierci lub zniknięciu carskiej rodziny. Pomagano mu niechętnie, a wygląd i sposób bycia działały na jego niekorzyść. Był mężczyzną niskiego wzrostu, miał

ciemne, przerzedzone włosy oraz pęknięte szklane oko, które na niezwykle impulsywnej twarzy prezentowało się dość niepokojąco. Gdy mówił, nieustannie kiwał się na boki, zacierał ręce i skubał długie wąsy. Lecz to nie wygląd i tiki nerwowe były powodem złego przyjęcia przez najważniejszego rosyjskiego emigranta: matkę Mikołaja, cesarzowąwdowę Marię Fiodorowną. Maria wspierała wprawdzie prace Sokołowa, kiedy ten przebywał na Syberii, lecz gdy dowiedziała się, że ich autor jest przekonany, iż cała rodzina poniosła śmierć, nie przyjęła go i nie zgodziła się, aby pokazano jej zgromadzone przez niego dowody i kasetę z relikwiami. Aż do śmierci w październiku 1928 roku Maria była przekonana, że jej syn i jego rodzina nadal żyją. Ogarnięty obsesją Sokołow pisał i przeprowadzał dalsze wywiady. Przez pewien czas wspierany był przez księcia Mikołaja Orłowa, który sfinansował przeprowadzkę sędziego wraz z całym archiwum z Paryża, z Hotel du Bon La Fontaine do mieszkania w Fontainebleau. To tutaj właśnie Sokołow zakończył pracę nad swoją książką. W kilka miesięcy po jej wydaniu dostał zawału i zmarł w wieku zaledwie czterdziestu dwóch lat. Doceniono go dopiero po śmierci - przez sześć i pół dekady, aż do roku 1989, jego dzieło stanowiło uznane i nie kwestionowane przez historyków wyjaśnienie sposobu, w jaki zginęła carska rodzina, oraz co stało się ze zwłokami. Publikacja i zaakceptowanie przez świat wersji Sokołowa zmusiły radziecki rząd do zmiany historii o losie cesarzowej i jej dzieci. W roku 1926, po ośmiu latach zaprzeczania, jakoby władze były w posiadaniu jakichkolwiek informacji o ich losie, wiarygodność Moskwy w tej kwestii została podważona przez szczegółowy opis wydarzeń i fotografie w książce Sokołowa. Ponadto czasy się zmieniły: Niemcy nie troszczyły się już o byłą niemiecką księżniczkę; Lenin nie żył, a Stalin jeszcze bardziej niż swój poprzednik cenił sobie zastraszenie bezwzględnością. Toteż doszło do napisania radzieckiego odpowiednika książki Sokołowa zatytułowanego Ostatnie dni caratu. Książka Pawła M. Bykowa, nowego przewodniczącego Uralskiej Rady Robotniczej, w znacznej mierze była plagiatem książki Sokołowa; przyznawano w niej, że Aleksandra, jej syn oraz córki zostali zamordowani wraz z Mikołajem. Teraz i czerwoni, i biali zgodni byli co do tego, że życia pozbawiono całą carską rodzinę. Jednak do opisu pozbywania się ciał Bykow dodał kilka zdań, które tylko na pierwszy rzut oka były nieistotną edytorską poprawką:

Wiele mówiło się o nieodnalezieniu ciał. Tymczasem. . . szczątki po spaleniu zostały daleko wywiezione i zakopane w bagnistej okolicy, w której nie przeprowadzono ekshumacji. Ciała pozostały tam i z pewnością uległy już rozkładowi.

W tych kilku zdaniach Bykow wskazał pięć tropów wiodących ku rozwiązaniu zagadki: istniały szczątki, które pozostały po spaleniu; szczątki te zostały pochowane, "daleko wywiezione", i pochowane "w bagnistej okolicy", "w której nie przeprowadzono ekshumacji". Innymi słowy coś zostało ukryte, ale nie w pobliżu Uroczyska Czterech Braci, gdzie Sokołow prowadził wykopaliska.

Władza bolszewików w Rosji okrzepła i nowy porządek wprowadzony przez rewolucję zdawał się mieć trwały charakter. Sławnym miastom zmieniono nazwy: Sankt Petersburg przemianowano na Leningrad, Carycyn na Stalingrad, Jekaterynburg na Swierdłowski. Ludzie mniej znaczący także zapragnęli, aby uznano ich rewolucyjne bohaterstwo. W 1920 roku Jakow Jurowski przekazał radzieckiemu historykowi Michałowi Pokrowskiemu szczegółową relację ze swych dokonań w Jekaterynburgu w lipcu 1918 roku, "aby przeszły do historii", a w 1927 roku swoje dwa rewolwery, colta i mausera, przekazał Muzeum Rewolucji na Placu Czerwonym. Natomiast Piotr Jermakow, uralski komisarz, który sobie przypisywał "zaszczytny czyn, jakim było dokonanie egzekucji ostatniego cara", swój rewolwer (także mauser) przekazał Swierdłowskiemu Muzeum Rewolucji. Na początku lat trzydziestych, w okolicach Swierdłowska, Jer'yl często występował przed chłopcami na obozowiskach. Rozbudziwszy swój entuzjazm butelką wódki, opisywał ze szczegółami, jak własnoręcznie zgładził cara. - Miałem wówczas dwanaście czy trzynaście lat - przypomina sobie jeden z jego ówczesnych słuchaczy, uczestnik pionierskiego obozu dla traktorzystów z Czelabińska w 1933 roku. Przedstawiono go nam jako bohatera. Dostał kwiaty. Patrzyłem na niego z nieukrywaną zazdrością. Swój wykład zakończył słowami: "osobiście zastrzeliłem cara". Czasami Jermakow nieco zmieniał swoją historię. W 1935 roku dziennikarz Richard Halliburton odwiedził Jermakowa w jego swierdłowskim mieszkaniu, rzekomo umierającego na raka gardła: "Na niskim, prostym rosyjskim łożu. . . w purpurowej bawełnianej pościeli. . . olbrzymi. . . otyły, pięćdziesięcioletni mężczyzna niespokojnie poruszał się, próbując złapać oddech. . . Jego usta były otwarte, w kącikach dostrzegłem krople krwi. . . Spojrzał na mnie przekrwionymi, delirycznymi, czarnymi oczami". Podczas rozmowy trwającej trzy godziny, Jermakow wyznał Halliburtonowi, że to Jurowski zastrzelił Mikołaja. Natomiast jego ofiarą, jak twierdził, była Aleksandra: "Wypaliłem z mojego mausera w kierunku cesarzowej - stała w odległości niecałych dwóch metrów, nie mogłem chybić. Trafiłem ją prosto w usta. W ciągu niespełna dwóch sekund była martwa. Jego opis zniszczenia ciała zdawał się potwierdzać przypuszczenia Sokołowa: "Zbudowaliśmy wielki stos z dwóch warstw bali, tak długich, aby ułożyć na nich ciała; oblaliśmy je benzyną z pięciu cynowych beczek, potem wylaliśmy na nie dwa wiadra

kwasu siarkowego i podpaliliśmy. . . Zostałem tam, by upewnić się, że wszystko zostanie spalone. Aby spalić czaszki, musieliśmy długo podtrzymywać ogień". Na koniec Jermakow powiedział: "Na ziemi nie pozostawiliśmy ani odrobiny popiołu. . . Beczki z popiołami kazałem załadować na wóz i zawieźćw stronę drogi. Popioły wyrzucono wysoko w powietrze; wiatr niośł je poprzez pola i las". Po powrocie do Nowego Jorku Halli burton opublikował wywiad zJermakowem jako jego wyznanie na łożu śmierci. Tymczasem w Swierdłowsku Jermakow powstał ze swej purpurowej pościeli i żył jeszcze siedemnaście lat.

W 1976 roku, w czterdzieści jeden lat po wydaniu książki Halliburtona, dwóch dziennikarzy telewizji BBC postawiło nowe pytania dotyczące zniknięcia Romanowów. W książce The File on the Tsar Anthony Summers i Tom Manęold podali w wątpliwość konkluzję Sokołowa, iż w ciągu dwóch dni, nawet posiadając znaczną ilość benzyny i kwasu siarkowego, oprawcy byli w stanie zniszczyć ponad pół tony ciała i kości" oraz, jak twierdził Jermakow, "rozsiać popioły w powietrzu". Profesor Francis Camps z brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, specjalista w zakresie patologii o trzydziestoletnim doświadczeniu w sądownictwie, wyjaśnił autorom książki, jak trudno jest spalić ludzkie ciało: - Ogień zwęgla ciała - wyjaśnił - i proces ten nie dopuszcza do całkowitego zniszczenia. Podczas kremacji przeprowadzonej w specjalnych gazowych piecach, w których temperatura sięga dwóch tysięcy stopni, ludzkie ciało istotnie ulega spopieleniu, lecz podobnych pieców w syberyjskim lesie z pewnością nie było. Jeżeli zaś chodzi o kwas siarkowy, to doktor Edward Rich, amerykański ekspert z West Point, wyjaśnił autorom, że "oblanie ciał jedenaściorga dorosłych lub niemal dorosłych ludzi może najwyżej zniekształcić skórę i zeszpeciść rysy twarzy, ale poza tym kwas nie dokona większych zniszczeń". Najbardziej rażąca sprzecznością w odkryciu Sokołowa, zarówno zdaniem brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, jak i ekspertów z West Point, był całkowity brak ludzkich zębów. "Zęby są jedyną częścią ludzkiego ciała, która jest praktycznie niezniszczalna" - napisali Summers i Manęold. Jeżeli jedenastu członków rodziny Romanowów rzeczywiście pochowano w szybie, zagadką pozostaje los około trzystu pięćdziesięciu zębów". Ekspert z West Point powiedział im także, że przeprowadził kiedyś eksperyment polegający na pozostawieniu kilkunastu zębów całkowicie zanurzonych w kwasie siarkowym, i to nie na dwa dni, lecz na trzy tygodnie. W strukturze zębów nie nastąpiły żadne zmiany.

Podczas drugiej wojny światowej Swierdłowsk z niewielkiego miasteczka stał się dużym ośrodkiem przemysłowym. Armia niemiecka zajęła Ukrainę i posuwała się w głąb Rosji,



zmuszając Rosjan do przenoszenia całych fabryk i tysięcy robotników za Ural. W Swierdłowsku pod koniec wojny produkowano czołgi i wyrzutnie raketowe zwane katuszami. Po wojnie Związek Radziecki posiadał wiedzę niezbędną do skonstruowania bomby atomowej i wokół Swierdłowska i Czelabińska jak grzyby po deszczu powstały nowe, pilnie strzeżone mniejsze miasta, otoczone licznymi strażnicami i ogrodzone drutem kolczastym. Cały region zamknięto przed cudzoziemcami; za Uralem wyrosło pokolenie ludzi, którzy nigdy nie spotkali obcokrajowca. To właśnie po to, aby dowiedzieć się, jakie tajemnice kryją Swierdłowsk i Czelabińsk, pilot C.I.A. Gary Powers w samolocie szpiegowskim typu U-2 przelatywał nad nimi w roku 1960. Dom Ipatiewa przekształcono w antyreligijne Muzeum Rewolucji. Mieściła się tu siedziba Związku Ateistów, Okręgowe Archiwa Partii oraz rektorat uniwersytetu uralsko-syberyjskiego. Ściany zdobiły portrety bolszewickich przywódców i - jeśli urodzili się na Uralu - w szklanych gablotach wystawione były ich czapki, płaszcze i medale. Plakaty i wykresy głosiły chwałę komunizmu pokazując, o ile więcej traktorów, samolotów, ton stali, garniturów i bielizny produkowano za rządów Stalina niż za cara. Jeden z pokoi na piętrze poświęcony był Romanowom. Znajdowały się tam wybrane fragmenty dziennika Mikołaja, strony z dziennika Aleksego oraz pierwsza strona jekaterynburskiej gazety z nagłówkiem: "Egzekucja Mikołaja, krwawego koronowanego mordercy - rozstrzelano go bez burżuazyjnych formalności, zgodnie z naszym nowym, demokratycznym prawem". Piwniczne pomieszczenie nie zostało włączone do muzeum; mieścił się tam skład i aż po sufit wypełniały je sterty pustych kartonowych pudeł. Zwiedzający dom Ipatiewa, z konieczności obywatele radzieccy, obejrzawszy zdjęcia, plakaty i dzienniki opuszczając muzeum nie okazywali Romanowom szczególnej sympatii; cesarska rodzina przynależała już do historii, potępiona, dzienniki jej członków, umieszczone w szklanych gablotach, przestały być istotne. Ale partia i KGB niczego nie zapomniały. W 1977 roku szef KGB Jurij Andropow przekonał starzejącego się Leonida Breżniewa, że dom Ipatiewa stał się miejscem pielgrzymek działających w podziemiu grup monarchistycznych. Z Kremla natychmiast wysłano rozkaz do pierwszego sekretarza okręgu swierdłowskiego, którym był urodzony na Syberii Borys Jelcyn. Jelcynowi nakazano w ciągu trzech dni zburzyć dom Ipatiewa. 27 lipca 1977 roku, pod osłoną nocy, przed dom zajechał olbrzymi dźwig z bombą burzącą i kilka buldożerów. O świcie z domu pozostały jedynie cegły i kamienie, które wywieziono na podmiejskie wysypisko śmieci. Później, choć rozkaz wydali Breżniew i Andropow, całą winą za jego wykonanie obarczono Jelcyna. W swojej autobiografii wydanej po angielsku pod tytułem *Against the Grain* przyjął na siebie część odpowiedzialności za to, co się stało: - Jestem przekonany, że prędzej czy później będziemy się wstydić tego barbarzyństwa".

### 3. Obym nic nie znalazł

Nigdy nie przypuszczałem, że odnajdę szczątki Romanowów, właściwie nigdy nie zamierzałem zajmować się tą sprawą. To wszystko stało się jakoś samo". Wypowiadając te słowa Aleksander Awdonin mówił prawdę, choć nie była to cała prawda. Gdy przed pięćdziesięciu laty wyruszył na wyprawę, która doprowadziła do wielkiego historycznego odkrycia, rzeczywiście nie wiedział, jakie będą tego skutki. Ale odkrycie dziewięciu szkieletów w płytkim grobie w odległości siedmiu kilometrów od Uroczyska Czterech Braci nie dokonało się samo. Było to celowe przedsięwzięcie, trwające wiele lat, które pomimo niezliczonych przeciwności zakończyło się sukcesem. Była to praca zespołowa, lecz zespół był niewielki, a Aleksander Awdonin był jego szefem i siłą napędową. Sześćdziesięcioczworoletni Awdonin jest silnym, siwiejącym mężczyzną przeciętnego wzrostu; ma niebieskie oczy i grube okulary w metalowej oprawie. Jego opalenizna i silna budowa ciała nie powinny dziwić: jest geologiem (obecnie na emeryturze) i większą część życia spędził na świeżym powietrzu, wędrując przez łąki i lasy otaczające jego rodzinne miasto. Urodził się i wychował w Jekaterynburgu, później przemianowanym na Swierdłowsk. Już w szkole zainteresowały go nauki przyrodnicze - geologia i biologia - oraz historia i folklor górzystych krain na wschód od Uralu. W historii tej jest wiele ciemnych kart: podobno na ciałach ludzi zamordowanych przez CzeKa wyrosły całe lasy. Istnieją liczne legendy o Romanowach: opowieści o egzekucji i Sokołowie, o ponownym pojawieniu się pretendentów do tronu. Jako chłopiec Awdonin widział spacerującego po mieście Jermakowa. Zaciekawiony, młody Awdonin udał się do domu Ipatiewa, zwiedził też inne muzea i przeczytał wszystkie dostępne książki o Romanowach. - Gdy słyszałem coś na ten temat, zapamiętywałem to, właściwie bez żadnego celu, na własny użytek. Ale w miarę gromadzenia informacji, dokumentów i dowodów rzeczowych zacząłem zmieniać punkt widzenia. Nasza radziecka historia poddana była wielu ograniczeniom i była tak nudna, że zacząłem myśleć o wymazaniu białych plam z historii naszego regionu; nie po to, aby ogłosić moje odkrycia, lecz z myślą o przyszłych pokoleniach. Ponieważ temat był zakazany, większość informacji zdobytych przez Awdonina pochodziła z relacji ustnych. Rozmawiał z bratanicą jednego ze strażników w domu Ipatiewa, z żoną członka Uralskiej Rady Robotniczej, która przegłosowała rozstrzelanie Romanowów, z synem jednego z mężczyzn, którzy wykonali egzekucję, oraz z dziennikarzem "Uralskiego Robotnika", który jako nastolatek uczestniczył w śledztwie Sokołowa. W 1919 roku mężczyzna ten, Giennadij Lisin, znalazł się w grupie dwudziestu nastolatków zabranych przez Sokołowa do Uroczyska Czterech Braci, aby szpalerem przeczesywali las i zbierali z ziemi wszystkie przedmioty. W pobliżu szybu Ganina

znaleźli guzik, skrawek chusty i kawałek materiału. Najważniejsze dla Sokołowa było to, że poza tym nie znaleźli nic; to właśnie dlatego śledczy poszukiwania ograniczył do najbliższego otoczenia szybu Ganina i sąsiedniego szybu. W 1919 roku Lisin miał piętnaście lat; w 1964 roku, jako sześćdziesięcioletni mężczyzna, zaprowadził Awdonina na Uroczysko Czterech Braci i opowiedział o Sokołowie i poszukiwaniach. Żaden z nich nie znał książki Sokołowa, ponieważ w Związku Radzieckim była ona zakazana. Natomiast Awdonin czytał książkę Bykowa, który twierdził, że szczątki nie zostały całkowicie spalone i że zakopano je w pewnej odległości od Uroczyska Czterech Braci "w bagnistej okolicy". Z biegiem czasu zainteresowania Aleksandra Awdonina stały się w Swierdłowsku powszechnie znane, a to nie ułatwiało mu pracy. - W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych niełatwo było się czegoś dowiedzieć - mówi Awdonin oceniając, przeszłość z perspektywy połowy lat dziewięćdziesiątych. - Poza tym nie było magnetofonów, istniał tylko ustny przekaz. A ludzie bali się mówić. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, Awdonin znalazł wpływowego sojusznika; Gelij Riabow był w Moskwie ważną postacią, znanym reżyserem filmowym i autorem powieści detektywistycznych. Jeden z jego filmów, znany dziesięcioodcinkowy serial "Narodziny Rewolucji, opowiadał o radzieckiej milicji zajmującej się "zwykłymi" przestępstwami, nie związanymi z polityką (tymi ostatnimi zajmowało się KGB). W 1976 roku Riabow przyjechał do Swierdłowska na pokaz swego filmu. Przekonawszy milicję, aby wpuszczono go do środka "z czystej ciekawości", zwiedził dom Ipatiewa, wówczas już niedostępny dla zwiedzających (i zburzony w następnym roku); zwiedził także piwnicę. - Gdy stamtąd wyszedłem - wspomina Riabow - postanowiłem zająć się tą historią. Czuję, że spoczywa na mnie moralny obowiązek, aby opisać wszystko, co stało się z tymi ludźmi. Riabow musiał od czegoś zacząć. Spytał miejscowego szefa milicji, czy któryś z mieszkańców miasta mógłby mu udzielić informacji o Romanowach. Jeżeli w ogóle jest ktoś taki, to tylko Awdonin - usłyszał. W rok później zostali sobie przedstawieni. Początkowo Awdonin odmówił (twierdzi teraz, że "po prostu był ostrożny"). Powiedział Riabowowi, że znalezienie czegokolwiek jest niemożliwe, a wszelkie poszukiwania byłyby stratą czasu, ponieważ w miejscu, gdzie rozegrała się ta tragedia, wybudowano już domy i fabrykę. Z czasem Awdonin, który do obcych zawsze odnosi się uprzejmie, lecz z rezerwą, zaczął mięknąć: - Riabow jest niezwykle inteligentnym i interesującym człowiekiem. Polubiłem go. Na temat tego, co skłaniało ich do poszukiwań, odbyli wiele rozmów. - Były to wyłącznie szczytne cele - wspomina Awdonin. - Chcieliśmy to zrobić, aby odtworzyć jedną z kart naszej historii. W zasadzie sprawą szczątków cara powinien być zająć się rząd. Ale rząd właśnie polecił zburzyć dom Ipatiewa i pomyśleliśmy, że prawdopodobnie szczątki także mogłyby zostać zniszczone. Nie wiedzieliśmy, gdzie się

znajdują, ale doszliśmy do wniosku, że jeżeli ich nie znajdziemy, mogą ulec zniszczeniu. Zdecydowaliśmy, że powinniśmy ich szukać. Należało jeszcze przedyskutować jedną sprawę: - To bardzo niebezpieczne - Awdonin mówił Riabowowi. - Gdyby ktoś dowiedział się o poszukiwaniach, a wiadomość ta dotarłaby do KGB, mogłoby się to dla mnie źle skończyć. Mam żonę i dwoje dzieci. Ale Riabow powiedział, że pracuje dla Szołochowa, ministra spraw wewnętrznych, a skoro tak - czegoż Awdonin miałby się obawiać? "Zawsze będę cię krył", zapewnił. Toteż odparłem: "Jeżeli tak, to zaczynajmy. Dostarczysz mi materiały z archiwów, a ja rozpocznę poszukiwania". Riabow powrócił do Moskwy i powiedział Szołochowowi, że aby kontynuować pracę nad scenariuszem o radzieckiej milicji, potrzebuje dostępu do tajnych archiwów, w których zgromadzono książki, pamiętniki i dokumenty. Szołochow wydał mu odpowiednią przepustkę. - A potem - uśmiecha się Riabow - otrzymałem wszystko, czego potrzebowałem. Jedną z książek, którą Riabow przywiózł do Swierdłowska, była praca Sokołowa. Awdonin zaprowadził Riabowa na Uroczysko Czterech Braci i pokazał mu sztolnie, które wywarły na filmowcu ogromne wrażenie. Wspólnie znaleźli jeszcze kilka przedmiotów: guziki, monetę, złote nici, szkło i kulę, które Awdonin przekazał Riabowowi. - Do Riabowa odnosiliśmy się z wielkim szacunkiem; był człowiekiem starszym, wykształconym, a do tego pisarzem - opowiada Awdonin.

Riabow i Awdonin na przemian czytali relacje Sokołowa i Bykowa. Bykow napisał, że szczątki istniały i zostały z uroczyska wywiezione. Ale dokąd? Dziwnym trafem wskazówkę znaleziono w książce Mikołaja Sokołowa, pomimo iż twierdził on stanowczo, że żadnych szczątków nie było. Zamieszczono w niej zdjęcie zrobione w trakcie śledztwa w 1919 roku, przedstawiające kładkę, czy też mostek, ze świeżo ściętych drewnianych bali i podkładów kolejowych ułożonych na podmokłej drodze prowadzącej do wsi Koptiaki. Na zdjęciu widać Sokołowa stojącego obok tego "mostu". Jego istnienie wyjaśnia faktem, iż 18 lipca nocą, w dwa dni po egzekucji, z Jekaterynburga wyjechała pewna ciężarówka, która o czwartej trzydziści nad ranem (było to już 19 lipca) utknęła w błocie. Dróżnik, mieszkający w niewielkim domku przy przejeździe kolejowym, twierdził, że mężczyźni jadący ciężarówką prosili go o podkłady kolejowe. Podłożywszy je pod koła odjechali. O dziewiątej rano ciężarówka stała już w jekaterynberskim garażu. Czytając książkę Sokołowa Awdonin i Riabow doszli do wniosku, że sędzia pominął pewien istotny szczegół: - Z lasu, z miejsca gdzie zakopała się ciężarówka, do garażu było pół godziny drogi - wnioskował Awdonin. - Skoro ciężarówka utknęła, wystarczyło ją wypchnąć z błota. Nie jest to takie trudne, żołnierze poradziliby sobie z tym w pół godziny. Więc dlaczego stała tam tak długo? Musiano tam coś

robić. Ale co robiono przez prawie pięć godzin? Choć widoczny na zdjęciu Sokołow stał bezpośrednio na drewnianych balach, nigdy nie zadał sobie tego pytania. Dlatego też Awdonin i Riabow zdecydowali, że powinni odszukać na drodze do wsi Koptiaki miejsce, w którym leżą podkłady kolejowe. Jednak Riabow musiał wrócić do Moskwy, toteż Awdonin rozpoczął poszukiwania wraz z przyjacielem i kolegą po fachu, Michałem Kaczurowem. - Zaczęliśmy szukać kładki - opowiada Awdonin. - Na drodze do wsi Koptiaki znaleźliśmy cztery miejsca, które w lipcu 1918 roku mogły być podmokłe. Ale przecież mieliśmy już rok 1978; nie znaleźliśmy żadnych podkładów kolejowych. Od czasu gdy Sokołow zrobił zdjęcie, minęło ponad pięćdziesiąt lat. Jeździły tędy samochody, na drogę wywożono ziemię; podkłady kolejowe i droga z czasem zniknęły, wszystko porosło trawą. A potem, pewnego dnia, natrafiliśmy na parów. Kaczurow wspiął się na wysokie drzewo i z jego wierzchołka zawołał: - Sasza, widzę starą drogę i dwie dolinki. Tam mogły zostać pochowane ciała! - Z naostrzonej, stalowej rury skonstruowaliśmy prosty przyrząd do pobierania próbek, przypominający korkociąg. Chodząc wzdłuż starej drogi, w jej najniższych partiach co kilka metrów wbijaliśmy go w ziemię. Gdy pod nami nie było nic ciekawego, wchodził w ziemię niemal na całą długość. Gdy natrafiał na kamień, przesuwiał go nieco na bok.

W pobliżu Łączki Prosiaczków, tam gdzie Kaczurow dostrzegł dolinki, Awdonin zaczął wkręcać swój korkociąg w mniejszych odstępach. - Na głębokości czterdziestu centymetrów natrafiliśmy na coś miękkiego, co przypominało drewno. Wierciliśmy wokół tego miejsca i odkryliśmy prostokątną płaszczyznę o wymiarach dwa na trzy metry, pod którą było drewno. Wtedy właśnie napisaliśmy do Riabowa, że znaleźliśmy to miejsce. Tymczasem Gelij Riabow dokonał innego doniosłego odkrycia. Z pomocą przyjaciela Awdonina dotarł do najstarszego syna Jakowa Jurowskiego, który dowodził egzekucją carskiej rodziny. W 1978 roku Aleksander Jurowski, emerytowany wiceadmirał marynarki radzieckiej, mieszkał w Leningradzie. Gdy Riabow udał się na spotkanie z nim, Jurowski zrobił rzecz niezwykłą: ofiarował filmowcowi kopię raportu, którą jego ojciec przekazał rządowi radzieckiemu po egzekucji Romanowów i pozbyciu się ciał. Oryginał raportu spoczywał w tajnych moskiewskich archiwach imienia Rewolucji Październikowej; jego kopię otrzymał radziecki historyk Michał Pokrowski, lecz zakazano mu publikacji najmniejszych nawet Fragmentów. Powodem, dla którego Aleksander Jurowski oddał Riabowowi ręcznie spisana kopię tego dokumentu, była chęć odpokutowania za "najstraszniejszy czyn w życiu ojca". Raport Jurowskiego pozwolił wypełnić luki i skorygować pomyłki popełnione przez Sokołowa i Bykowa. Oto streszczenie raportu trzymanego w ukryciu

przez sześćdziesiąt lat, który na przełomie 1978 i 1979 roku znalazł się w rękach Riabowa i Awdonina:

Rankiem 17 lipca 1918 roku, po zabiciu Romanowów i wrzuceniu ich ciał do sztolni w Uroczysku Czterech Braci, Jurowski powrócił do Jekaterynburga, aby sporządzić raport. Ku swojemu przerażeniu przekonał się, że w mieście aż huczało od plotek na temat miejsca ukrycia zwłok carskiej rodziny - ludzie Jermakowa najwidoczniej nie dochowali tajemnicy. Zwłoki należało niezwłocznie przenieść w bezpieczne miejsce, biali byli coraz bliżej. Aby nie korzystać z pomocy Jermakowa, Jurowski zwrócił się do przedstawicieli miejscowych władz. Powiedziano mu, że przy drodze do Moskwy, w odległości trzydziestu dwóch kilometrów od miasta, znajdują się bardzo głębokie szyby. Jurowski pojechał je obejrzeć. Po drodze zepsuł mu się samochód i musiał iść piechotą, ale w końcu odnalazł trzy głębokie sztolnie wypełnione wodą. Postanowił przewieźć tam ciała, obciążyć je kamieniami i wrzucić do wody. A jeżeli pozostałoby mu dość czasu - spalić i oblać kwasem siarkowym, aby uczynić je nierozpoznawalnymi. Gdy wrócił do Jekaterynburga - początkowo szedł piechotą, potem zarekwirował konia od jakiegoś biednego chłopca - była już prawie ósma rano. Zgromadził wszystko, co mogłoby okazać się potrzebne: benzynę i kwas siarkowy. 18 lipca o półdo pierwszej wyruszył wraz ze swoimi ludźmi. Dotarwszy do Uroczyska Czterech Braci, nakazał oświetlić szyb pochodniami. Jeden z jego ludzi zszedł na dół i w niemal zupełnych ciemnościach, w wodzie po pas, brodził między ciałami. Spuszczono sznur. Kolejno przewiązywano nim zwłoki i wyciągano na powierzchnię. Jurowski początkowo skłonny był zakopać ciała tuż przy szybie i nawet nakazał wykopać w tym celu dół, lecz wkrótce uświadomił sobie, że taki grób będzie rzucał się w oczy. Tymczasem zbliżał się zmierzch. O ósmej wieczorem ciała załadowano i wozy ruszyły w kierunku głębokich szybów. Wkrótce jednak niektóre wozy załamały się pod ciężarem ciał i Jurowski zatrzymał "procesję", aby wrócić do miasta i sprowadzić ciężarówkę. Przeładowano na nią ciała i ruszono w dalszą drogę. Ciężarówka podskakiwała i ślizgała się na podmokłych drogach, wielokrotnie utykając w wypełnionych błotem kałużach. "Okolo półdo piątej rano, 19 lipca - pisał Jurowski - samochód utknął na dobre. Ponieważ nie udało nam się dotrzeć do głębokich szybów, ciała mogliśmy tylko albo pochować, albo spalić. Zamierzaliśmy spalić Aleksego i Aleksandrę Fiodorowną, ale zamiast niej przez pomyłkę spaliliśmy damę dworu [Demidową] i Aleksego. Zakopaliśmy ich szczątki w tym samym miejscu, gdzie je spaliliśmy, przykryliśmy wszystko gliną, po czym rozpaliliśmy w tym miejscu kolejny stos; aby zatrzeć wszelkie ślady, rozrzućliśmy dookoła popiół i żarzące się węgle. Dla pozostałych wykopaliśmy wspólny grób. Okolo siódmej rano

dół, głęboki na dwa, długi i szeroki na dwa i pół metra, był gotów. Wrzuciliśmy do niego ciała i polaliśmy je obficie kwasem siarkowym, zarówno po to, aby uniemożliwić identyfikację, jak i po to, aby zapobiec woni towarzyszącej rozkładowi. Następnie przykryliśmy je gałęziami i posypaliśmy wapnem; położyliśmy na nich podkłady kolejowe i kilkakrotnie przejechaliśmy samochodem, aby po dole nie pozostał nawet ślad. Tajemnica została dochowana - biali nie odnaleźli miejsca pochówku".

Na końcu raportu Jurowski podał dokładną lokalizację grobu: "Wieś Koptiaki, siedem i pół kilometra na północny zachód od Jekaterynburga. Tory kolejowe prowadzące do fabryki w Tórnyu Isecku przebiegają obok wsi Koptiaki w odległości 3, 7 kilometra. Ciała zostały pochowane w odległości około dwustu metrów za przejazdem kolejowym, jadąc w kierunku iseckiej fabryki".

To właśnie w tym miejscu Awdonin i Kaczurow nawiercając starą drogę natrafili na drewniane bale.

Pomimo przekonania, że znaleźli właściwe miejsce, Awdonin i Riabow zawiesili poszukiwania szczątków aż do wiosny następnego roku. Powrócili tam dopiero pod koniec maja 1979 roku: Awdonin, wraz z żoną Haliną, Riabow z żoną Małgorzatą. Za pomocą przyrządu skonstruowanego przez Awdonina pobrali próbki z głębokości półtora metra. Ze wszystkich otworów wydobyto aluwialną ilastą glebę, kamienie oraz szereg warstw ciemnobrazowej, zielonkawej gliny. W dwóch otworach kolejność była inna: warstwy były ze sobą przemieszane, a na dnie znajdowała się błotnista, oślizgła, czarna, oleista glina, o odrażającym zapachu ("czarna jak sadza", przypomina sobie Riabow). Próbki te zabrali do domu, aby zbadać ich pH; okazało się, że ziemia z tych otworów odznacza się wysoką kwasowością. Jurowski pisał, że ciała zostały oblane kwasem siarkowym, a Awdonin zdawał sobie sprawę, że kwas może pozostać w ziemi (zwłaszcza w glinie, która tworzy nieprzepuszczalną warstwę) nawet dłużej niż przez sześćdziesiąt lat. Był przekonany, że odnaleźli grób. Byli niecierpliwi. Nazajutrz rano, 30 maja, zaczęli kopać. Było ich sześcioro: Riabow, Awdonin, ich żony, Wasyliw (geolog, przyjaciel Awdonina) oraz Pysocki, przyjaciel Riabowa z czasów służby wojskowej. Kaczurow nie mógł wziąć udziału w wykopaliskach, a wkrótce potem utonął podczas przeprawy przez jedną z północnosyberyjskich rzek. Przez cały czas Awdonin zabiegał o to, aby poszukiwania odbywały się w ścisłej tajemnicy. Przed przystąpieniem do prac wykopaliskowych nie zapoznał Riabowa ze swoimi przyjaciółmi i

znajomymi. Riabow nigdy nie poznał Kaczurowa, a Wasiliewa zobaczył dopiero podczas pierwszego dnia prac wykopaliskowych. - Postępowałem tak, ponieważ bałem się właściwie wszystkiego - mówi Awdonin. - To było niebezpieczne przedsięwzięcie i baliśmy się wszyscy. W maju, w okolicach Jekaterynburga słońce wschodzi około piątej rano. Tamtego dnia cała grupa, z łopatami, zjawiała się w lesie o szóstej. Poszukiwacze byli zupełnie sami, jedynie od czasu do czasu w lesie rozlegały się nawoływania grzybiarzy. Gdy Awdonin i jego towarzysze zaczęli kopać, niemal od razu natrafili na podkłady kolejowe, pod którymi ujrzeli ludzkie kości. W pewnym miejscu, na powierzchni jednego metra kwadratowego, leżały aż trzy czaszki. Wszystkie wyglądały przerażająco. - Muszę przyznać, że ekshumację przeprowadziliśmy w sposób barbarzyński - wspomina Riabow. - To było straszne. Ale nie mieliśmy czasu, nie posiadaliśmy odpowiednich narzędzi i powodował nami strach. . . strach, że zostaniemy zauważeni. A kiedy znaleźliśmy czaszki, przerażaliśmy się jeszcze bardziej! - Potrząsając głową Riabow powtarza: - To było przerażające! Przerażające! Awdonin także się bał: - Całe życie szukałem tych szczątków, ale wówczas gdy zaczęliśmy wyciągać z ziemi podkłady kolejowe, pomyślałem: obym nic nie znalazł. Pomimo to pracowali dalej. - Wzięliśmy trzy czaszki - mówi Awdonin. - Przypuszczaliśmy, że należy je zbadać, choć wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze jak. Następnie zasypaliśmy grób, przykrywając wszystko darnią. Musieliśmy się spieszyć; zaczęliśmy kopać o szóstej, a gdy skończyliśmy, była dziewiąta czy dziesiąta. Członkowie grupy wrócili do miasteczka w szoku. Wieczorem jedna z osób poszła do cerkwi i poprosiła o odprawienie nabożeństwa za carską rodzinę i prowadzących wykopaliska. - Nie ufaliśmy popowi, więc imiona członków carskiej rodziny - Mikołaja, Aleksandry, Aleksego, Olgi, Tatiany, Marii i Anastazji - umieściliśmy na znacznie dłuższej liście, licząc na to, że zostaną uznane za imiona naszych ciotek, wujów i kuzynów. Jednak Awdonina msza nie uspokoiła; przez dwa miesiące pogrążony był w depresji.

W ciągu następnych kilku dni czaszki umyto w wodzie i dokładnie zbadano. Miały szaroczarny kolor, a niektóre ich fragmenty nosiły ślady trawienia kwasem siarkowym. Wszystkim trzem brakowało niektórych fragmentów kości twarzy. W lewej kości skroniowej jednej z czaszek był duży, okrągły otwór, prawdopodobnie po kuli. W lewej części dolnej szczęki innej czaszki znajdował się mostek ze złotych zębów. Riabow, wiedząc, że Mikołaj II miał zepsute zęby, doszedł do wniosku, że czaszka ta musiała należeć do cara. (Później okazało się, że to czaszka służącej, Anny Demidowej. ) Sądził, że druga czaszka jest czaszką Aleksego, a ostatnia jednej z córek: Olgi, Tatiany, Marii lub Anastazji. Zastanawiając się, co zrobić z czaszkami, badacze postanowili się nimi podzielić; Awdonin zatrzymał czaszkę, która rzekomo



należała do cara. Riabow twierdzi, że pamięta towarzyszącą temu rozmowę: - Awdonin powiedział, że skoro jest mieszkańcem Jekaterynburga, a na dodatek to on zorganizował tę ekspedycję, przysługuje mu prawo do czaszki cara. Pozostałe czaszki Riabow zawiózł do Moskwy w nadziei, że dzięki znajomościom w ministerstwie spraw wewnętrznych uda mu się przeprowadzić w tajemnicy odpowiednie badania. Lecz nikt nie zechciał mu pomóc. Przez rok czaszki znajdowały się w jego moskiewskim mieszkaniu i gdy przekonał się, że żaden naukowiec czy laboratorium nie zechcą mu udzielić pomocy, przywiózł je z powrotem do Jekaterynburga. Natomiast czaszka, którą zabrał Awdonin, przez trzy lata spoczywała ukryta pod jego łóżkiem. Latem 1980 roku Awdonin i Riabow, sfrustrowani i nadal przerażeni konsekwencjami swego odkrycia, postanowili ponownie pochować czaszki w grobie. Umieścili je wraz z miedzianą ikoną w drewnianej skrzynce. Gdy znów odkopywali grób, natrafili na jeszcze jedną czaszkę. Przyjrżeli się jej pobieżnie; w szczęce znajdowały się sztuczne zęby z białego metalu; Riabow doszedł do wniosku, że to czaszka Demidowej, której sztuczna szczęka mogła być wykonana z taniej stali. (Później okazało się, że czaszka należała do cesarzowej, a "biały metal" był w rzeczywistości platyną. ) Przed zakopaniem skrzynki z czaszkami Awdonin i Riabow odbyli długą rozmowę o tym, co powinni zrobić z tym odkryciem. Z nikim nie mogli się nim podzielić; nie był to okres w radzieckiej historii, który sprzyjał nowymzwłaszcza sensacyjnym - doniesieniom o Romanowach. Przed trzema laty zburzono dom Ipatiewa. - Złożyliśmy przysięgę, że nigdy nie będziemy o tym mówili, chyba że sytuacja w naszym kraju ulegnie zmianie - mówi Awdonin. - A jeżeli nic się nie zmieni, naszą tajemnicę przekazemy następnemu pokoleniu. Ponieważ Riabow nie miał dzieci, wszystko należało przekazać moim spadkobiercom. Dlatego też zdecydowaliśmy, że historia ta zostanie przekazana następnej generacji poprzez mego syna.

W 1982 roku zmarł Leonid Breżniew, a zaraz po tym jego dwaj następcy: Jurij Andropow i Konstantin Czernienko. W 1985 roku przywódcą Związku Radzieckiego został Michaił Gorbaczow, który stopniowo zaczął wprowadzać "głasność i pierestrojkę". Na początku 1989 roku Gelij Riabow, wierząc, że nadszedł już czas, aby ujawnić historyczne fakty związane z Romanowami, usiłował skontaktować się z Gorbaczowem, chcąc "poprosić go o pomoc na szczeblu rządowym, aby sprawą zajęto się we właściwy sposób". Riabow nie otrzymał odpowiedzi od Gorbaczowa, ale nastąpił przeciek do prasy i fragmenty tej historii dotarły do naczelnego redaktora liberalnego pisma "Moskowskije Nowosti". Redaktor skontaktował się z Riabowem i 10 kwietnia 1989 roku w gazecie pojawił się zadziwiający wywiad. Następnego dnia wszystkie zachodnie gazety donosiły, że przed dziesięciu laty radziecki filmowiec Gelij

Riabow na podmokłych terenach w pobliżu Swierdłowska odnalazł szczątki carskiej rodziny. Riabow jest niskim, szczupłym mężczyzną o pociągłej opalanej twarzy, ma piwne oczy, siwe włosy i wąsy. Jest człowiekiem nerwowym; gdy ktoś inny zabiera głos, przeważnie bębni palcami po stole. W przeciwieństwie do Awdonina często odwraca wzrok, mówi cicho i nigdy nie przerywa innym. Swój występ w telewizji zaczął od stwierdzenia: - Jestem typowym proletariuszem. Mój ojciec był komisarzem w Armii Czerwonej, jego ręce zostały splamione krwią podczas wojny domowej. Matka była prostą chłopką. Ja sam jestem teraz człowiekiem wierzącym i uważam się za monarchistę. W wywiadzie powiedział, że wydobył z ziemi trzy czaszki. Pokazał ich fotografie oraz zdjęcia przedstawiające rozkopany grób, po czym dodał, że odnalezienie go zajęło mu trzy lata. - W 1918 roku wiele wysiłku włożono w to, aby ciała nie mogły zostać znalezione i zidentyfikowane - ciągnął - ponieważ nawet wówczas egzekucję uznano by za wątpliwą moralnie. Pomimo to stwierdził, że jest przekonany o autentyczności swojego odkrycia. - Ponieważ nawet mnie - mówi Riabow - nietrudno było zidentyfikować szczątki. Pomimo Gorbaczowa i "głasności" Riabow uważał, że nie nadszedł jeszcze czas, aby dzielić się odkryciem z innymi i zdradzać miejsce, w którym pochowano ciała. Jestem gotów pokazać znalezione przeze mnie szczątki, oraz sam grób, komisji złożonej z ekspertów - powiedział w wywiadzie dla "Moskowskich Nowosti". - Jednak pod warunkiem, że następnie zostaną one pochowane zgodnie z chrześcijańskim obrządkiem. Wywiad wywołał zamieszanie na skalę międzynarodową. Niektórzy wierzyli Riabowowi, inni potępili go, nie dając wiary jego opowieściom. Ale najdziwniejsze było to, że ani w żadnym z wywiadów, ani w nieco później napisanym długim artykule dla pisma "Rodina", Riabow nie wspomniał o Aleksandrze Awdoninie.

- Byłem przerażony - mówi Awdonin wspominając chwilę, gdy dotarła do niego wieść, że Riabow złamał dane słowo. - To prawda, że w 1989 roku wiele się w naszym kraju zmieniło. Riabow jest pisarzem i trudno mu ograniczyć się do pisania artykułów o sprawach nieistotnych. Przed udzieleniem wywiadu odwiedziłem go. Nie krył, że o tym pisze, i dał mi do przeczytania swój tekst. Spodobał mi się; powiedziałem mu, że jest dobry. Ale dodałem też, że nie powinien go publikować, że jeszcze nie przyszła na to pora, że należy poczekać na dalszy rozwój sytuacji politycznej. Czy Riabow spytał Awdonina o zgodę, gdy postanowił przerwać milczenie? - Nie - mówi Awdonin. - A w swoim wywiadzie nawet nie wspomina o tym, że w odkryciu uczestniczyły inne osoby. Do dziś nie rozumiem, dlaczego tak postąpił. Natomiast Riabow twierdzi, że Awdonin prosił o niewymienianie jego nazwiska, ponieważ jego żona wykładała wówczas język angielski w wyższej szkole milicyjnej w Jekaterynburgu. - Mogło to być dla

niego niebezpieczne - tłumaczy Riabow. - Nie chciał rozgłosu. Uważał, że na ujawnienie prawdy nie przyszedł jeszcze czas. Toteż Riabow wziął na siebie całe ryzyko, jednocześnie przypisując sobie wszystkie zasługi. Tylko w jednym przypadku Riabow zastosował się do rady Awdonina. W artykule zamieszczonym w "Rodinie", w trzy miesiące po wywiadzie dla Moskowskich Nowosti", znalazła się wprawdzie dokładna informacja o lokalizacji grobu, jednak, zgodnie z sugestią Awdonina, Riabow opisał miejsce oddalone o ponad pół kilometra od prawdziwego miejsca "pochówku". Gdy tylko pismo dotarło do Swierdłowska, w lesie pojawiły się ciężkie maszyny, zaczęto kopać i z "fałszywego grobu" wywieziono całą ziemię. - To robota KGB - twierdzi Awdonin. Awdonin i Riabow nie rozmawiają już ze sobą. Riabow, wykorzystując swoją sławę "odkrywcy grobu", napisał list do królowej Anglii Elżbiety II, krewnej Romanowów, prosząc o wstawiennictwo, aby zostali oni pochowani po chrześcijańsku. Nie otrzymał odpowiedzi. W 1991 roku, gdy nowy przywódca Rosji Borys Jelcyn nakazał naukowcom przeprowadzenie ekshumacji, Awdonin spotkał się z Riabowem po raz ostatni i powiedział: - Przyjeźdź. Dokonamy ekshumacji. Riabow odmówił. - być może dręczyły go wyrzuty sumienia - mówi Awdonin. Riabow nie wypowiada żadnych krytycznych uwag pod adresem Awdonina. Przeciwnie, twierdzi, że "w tym odkryciu nie można przecenić roli Aleksandra Mikołajewicza Awdonina. Nikt nie ma co do tego wątpliwości. Odegrał wielką rolę. To on odnalazł szczątki".

I niech tak już pozostanie. Z tym, że w mleczej ciemności syberyjskiej letniej nocy Awdonin zdradza się ze swoimi prawdziwymi uczuciami: - To była zdrada; tylko tak można podsumować historię z Riabowem.

#### 4. Postać jak z Gogola

Jesienią 1989 roku rozpad radzieckiego imperium był już w toku. 9 listopada zburzono mur berliński; w kilka tygodni później Vaclav Havel został prezydentem Czechosłowacji, a w niecały rok później na prezydenta Polski wybrano Lecha Wałęsę. W ciągu dwóch lat rządy komunistyczne we wszystkich państwach Europy Wschodniej upadły lub zostały obalone. 12 czerwca 1991 roku odbyły się pierwsze w tysiącletniej historii Rosji wolne wybory przywódcy państwa. Prezydentem został pochodzący ze Swierdłowska Borys Jelcyn. 10 lipca, podczas uroczystego objęcia prezydentury, Jelcyn całkowicie odrzucił symbolikę komunistyczną. Zamiast olbrzymiego portretu Lenina za mównicą rozwieszono biało-niebiesko-czerwoną flagę z czasów cara Piotra Wielkiego. Patriarcha cerkwi prawosławnej pobłogosławił Jelcyna znakiem krzyża i rzekł: "Z woli Boga i rosyjskiego ludu powierzam ci najwyższy urząd w Rosji". Na ceremonii tej obecny był także Michaił Gorbaczow, kurczowo trzymający się stanowiska prezydenta Związku Radzieckiego i sekretarza generalnego partii. W miesiąc później Gorbaczow pozostał na swoim stanowisku właśnie dzięki Jelcynowi, który stłumił zamach stanu dokonany przez armię i KGB. Ale już w grudniu 1991 roku zniknął ze sceny politycznej, a Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego został rozwiązany. Ukraina, Białoruś, Kazachstan, państwa nadbałtyckie i inne były republiki radzieckie ogłosiły niepodległość i siedemdziesięcioczeroletni okres komunizmu w Rosji definitywnie się zakończył. W ciągu tych kilku lat zmiany następowały w całym Związku Radzieckim, także w Swierdłowsku. W 1990 roku z rady miejskiej usunięto komunistów. Wkrótce potem miejsce, w którym stał dom Ipatiewa, przekazano Cerkwi Prawosławnej. Rozważano wzniesienie tam świątyni. Grupa monarchistów ("Związek na rzecz wskrzeszenia Rosji") ustawiła w tym miejscu krzyż, wkrótce usunięty przez komunistów. W końcu ustawiono tam dwumetrowy metalowy krzyż z wizerunkiem cara, cesarzowej i carewicza. Jednak komuniści nie utracili wszystkich wpływów w mieście zwanym niegdyś "stolicą czerwonego Uralu". Miastu przywrócono wprawdzie nazwę Jekaterynburg, ale okręgowi pozostawiono nazwę Swierdłowsk. Główna arteria nadal nosi nazwę "Alei Lenina", a na największym skrzyżowaniu pozostał pomnik Jakowa Swierdłowa.

Gdy nowy prezydent objął swój urząd, władze Jekaterynburga natychmiast wyraziły chęć pomocy Aleksandrowi Awdoninowi. Edward Rossel, przedstawiciel miejscowych władz, otrzymał od Jelcyna zgodę na ekshumację szczątków rodziny Romanowów. Do doktor Ludmiły Koriakowej, dziekana wydziału archeologii uniwersytetu uralskiego, udała się delegacja

urzędników wysokiego szczebla, aby poprosić ją o pomoc przy badaniu "pewnego grobu z czasów Związku Radzieckiego". Delegaci odmówili udzielenia bardziej szczegółowych informacji, ale Koriakowa domyśliła się, o co chodzi. Początkowo nie przystała na tę propozycję, ponieważ, jak powiedziała reporterowi londyńskiego "Sunday Timesa", "nie było dość czasu na przygotowania; nie mieliśmy narzędzi, instrumentów, w ogóle niczego, co potrzebne jest do prac wykopaliskowych". Pomimo to, pod naciskiem przełożonych na uniwersytecie, zgodziła się. 11 lipca 1991 roku, w dzień po uroczystym objęciu przez Borysa Jelcyna urzędu prezydenta, z Jekaterynburga wyruszył konwój wojskowych ciężarówek. - Na ciężarówkach, zupełnie jak w Arce Noego - mówi doktor Koriakowa - mieliśmy "wszystkiego po dwa": było tam dwóch pułkowników z policji, dwóch detektywów z aparatami fotograficznymi i sprzętem wideo, dwóch ekspertów w zakresie medycyny sądowej, dwóch epidemiologów, dwóch policjantów z karabinami maszynowymi oraz prokurator i jego sekretarz. I, oczywiście, Aleksander Awdonin. W pół godziny później konwój zatrzymał się na niewielkiej polanie; niegdyś przebiegała tędy droga do wsi Koptiaki, oddalona o około sto osiemdziesiąt metrów od linii kolejowej Jekaterynburg-Perm. Na miejscu okazało się, że teren jest już strzeżony. Wokół grobu wzniesiono wysoki płot, nad którym, z powodu ulewnych deszczy, rozpięto namiot. Jego wnętrze rozświetlały silne reflektory. Prokurator wygłosił przemówienie o "spoczywającej na wszystkich ogromnej odpowiedzialności". Detektywi włączyli kamery, które przez wiele godzin miały filmować wykopaliska, wszyscy wzięli łopaty i zaczęli kopać. Dół miał zaledwie nieco ponad metr głębokości; głębiej znajdowały się nie dające się rozkruszyć łopatą skały. Badacze szybko odnaleźli skrzynkę z trzema czaszkami, którą Awdonin i Riabow zakopali przed jedenastu laty. Była prawie nie uszkodzona. Poszerzając otwór natrafili na inne czaszki, żebra, kości nóg, ramion i fragmenty kręgosłupów. Szkielety leżały w nieładzie, jeden na drugim, jakby ciała zostały pośpiesznie wrzucone do grobu. Niektóre kości były szare, niektóre brązowe, jeszcze inne miały zielonkawy odcień. Fakt, że nie uległy rozkładowi, przypisano glinie, w której wykopany był grób, a która odizolowała kości od niszczącego działania powietrza. Szkielet znaleziony na dnie był najbardziej zniszczony. Był to skutek działania kwasu siarkowego; odnaleziono skorupy dużych ceramicznych naczyń, w których prawdopodobnie znajdował się kwas. Gdy naczynia umieszczono na dnie dołu i rozbito strzałami z karabinów, kwas rozlał się na glinianym podłożu, rozpuszczając ciała i uszkodzając kości. W grobie nie znaleziono choćby strzępków ubrań, co było zgodne z wersją zarówno Sokołowa, jak i Jurowskiego, którzy twierdzili, że wszystkie ubrania spalono przed wrzuceniem ciał do szybu na Uroczysku Czterech Braci. Z grobu wydobyto czternaście kul. Niektóre tkwiły w ciałach, inne znalazły się tam w wyniku

strzałów oddanych do pojemników z kwasem. Jeszcze straszniejsze były wyniki oględzin szkieletów. Doktor Koriakowa stwierdziła, iż niektóre ofiary zostały zastrzelone, gdy leżały na ziemi ("w skroniach widać rany po kulach"), inne zakłuto bagnetami; twarze miażdżono kolbami karabinów, miażdżono szczęki ("kości twarzy zostały zniekształcone"), łamano im kości i miażdżono je, "jakby przejechała po nich ciężarówka". W swojej karierze zawodowej doktor Koriakowa brała udział w wykopaliskach z wielu prehistorycznych osad w zachodniej Syberii. - Ale - zwierzyła się reporterowi "Sunday Timesa" - jeszcze nigdy nie widziałam tak zmasakrowanych i zbezczeszczonych szkieletów. Nie mogłam się z tego otrząsnąć. Grób krył w sobie jeszcze jedną tajemnicę; po trzech dniach kopania i wstępnym złożeniu kości okazało się, że było w nim tylko dziewięć szkieletów: cztery należały do mężczyzn, pięć do kobiet. Dwóch osób brakowało. W domu Ipatiewa pierwotnie przebywali rodzice, pięcioro dzieci, lekarz oraz służba (trzy osoby). Choć zagadka ta nie została rozwiązana, 17 lipca Rossel, przedstawiciel miejscowych władz, przekazał prasie oświadczenie o odkryciu szczątków, "które najprawdopodobniej należą do cara Mikołaja II, jego rodziny i służby". Kwestię, czyje szczątki znaleziono, mieli rozstrzygnąć rosyjscy i zagraniczni eksperci. Dwa tygodnie później do doktora Władysława Płaksina, szefa instytutu medycyny sądowej przy ministerstwie zdrowia, zwrócono się z prośbą o zbadanie kości. Do zadania tego Płaksin wyznaczył jednego ze swoich najlepszych ludzi, antropologa Sergiusza Abramowa, który natychmiast udał się do Jekaterynburga. Był to okres politycznego kryzysu w Rosji, wojsko i KGB właśnie usiłowały obalić Gorbaczowa. - Gdy wyjeżdżaliśmy z miasta, do Moskwy wjeżdżały czołgi - wspomina Abramow. Po przyjeździe do Jekaterynburga okazało się, że ekshumowane szczątki zostały rozdzielone i ułożone na podłodze milicyjnej strzelnicy. Przez następne trzy miesiące Abramow identyfikował i składał ponad siedemset kości i ich fragmentów. Wielu kości brakowało, toteż Abramow wysłał do grobu jeszcze jeden zespół, który miał przesiać i przepłukać muł i błoto. Odnaleziono wtedy dwieście pięćdziesiąt kości i ich fragmentów, które Abramow dołączył do dziewięciu składanych przez siebie szkieletów. Najpierw ponumerował je: ciało nr 1, ciało nr 2, i tak dalej. Potem za pomocą kamer, komputerów, fotografii przedstawiających carską rodzinę i służbę, oraz najnowszych technik obliczeniowych zamierzał upewnić się, czy rzeczywiście odnalazł carską rodzinę. Następnie chciał stwierdzić, które szkielety odnaleziono, a których brakowało. - Nie mieliśmy pieniędzy i dlatego przeprowadzenie badań DNA nie wchodziło w rachubę - mówił Abramow latem 1994 roku, oddając się refleksjom na temat niezwykle trudnego okresu w jego życiu. - Tożsamość ofiar postanowiliśmy stwierdzić innymi metodami. Za pomocą kamery wideo utrwaliliśmy obraz czaszek z przodu i z profilu. Następnie, posługując się specjalnym programem komputerowym, porównaliśmy kształt czaszek z

fotografiami i obliczyliśmy prawdopodobieństwo, do jakiego stopnia dana czaszka przedstawia osobę uwidocznioną na zdjęciu. Potem, aby porównać szkielety wydobyte z grobu z innymi, sfilmowaliśmy kontrolną grupę składającą się ze stu pięćdziesięciu innych czaszek. Niestety, sprzęt, jakim wówczas dysponowaliśmy, był kiepski, a program porównujący sklepienia czaszek działał bardzo powoli, co zmusiło nas do ograniczenia grupy kontrolnej do sześćdziesięciu czaszek. - Przed nami nikt na świecie nie używał tego systemu - twierdzi Abramow. - To my go stworzyliśmy. My! Na moim wydziale, w sąsiednim pokoju pracuje genialny matematyk. Przenieśli go do mnie z instytutu badań kosmicznych. Powiedziałem mu czego potrzebuję, a on odparł, że to się da zrobić. I zrobił to! Jego metoda pozwoliła nam obliczyć prawdopodobieństwo, że ta grupa szkieletów nie jest unikatowa, że mogłaby zostać odtworzona. W obliczeniach posłużyliśmy się kombinatoryką. Wzięliśmy pod uwagę cztery parametry: płeć, wiek, rasę i wzrost. Gdybyśmy mieli do czynienia z jednym człowiekiem, niczego byśmy nie udowodnili. Gdyby było ich dwóch, prawdopodobieństwo byłoby nieco większe. Przy trzech mielibyśmy jeszcze większą pewność. . . i tak dalej. A tutaj mieliśmy do czynienia z dziewięcioma. Każdemu z nich przypisujemy cztery parametry, po czym dodajemy je matematycznie do wspólnego statystycznego kotła. W ten sposób kombinacja daje pewny wynik. Jakie jest prawdopodobieństwo, że dziewięć takich a takich szkieletów znalazło się w tym samym grobie, lecz w innych okolicznościach? A potem dołączamy do tego inne dowody, informacje, które zgromadziliśmy dzięki nakładaniu obrazów - twarz szeroka, twarz wąska, wydatna broda, mała broda. Gdy dodamy do siebie wszystkie te informacje, okazuje się, że prawdopodobieństwo natrafienia na inną grupę szkieletów z tą samą kombinacją parametrów wynosi  $3 \times 10^{-12}$ , czyli trzy do dziesięciu bilionów. Na ziemi nigdy nie żyło tylu ludzi. Ponadto kiedy po raz pierwszy dokonaliśmy obliczeń do dyspozycji, mieliśmy jedynie informacje pochodzące z siedmiu szkieletów, ponieważ nie mieliśmy ani fotografii kucharza Charitonowa, ani lokaja Truppa. Uwzględniając jeszcze tych dwóch, prawdopodobieństwo pomyłki wyniesie  $10^{-17}$ , albo  $10^{-23}$ . Są to wielkości niemal równe zeru. Wiemy ponad wszelką wątpliwość, że znalezione kości należą do Romanowów. Ale którzy Romanowowie znajdowali się w grobie? W piwnicy przebywało jedenastu więźniów; w grobie znajdowało się tylko dziewięć ciał. Abramow tłumaczy, jak rozwikłać tę zagadkę: podczas nakładania obrazów bardzo ważne jest porównanie czaszek z jak największą ilością fotografii danej osoby. Za pomocą kamery i komputera należy znaleźć kąt, pod którym zrobiono zdjęcie. Demonstruje: - Tak. . . i tak, z przodu. . . i z profilu, ze wszystkich stron i tak dalej. Im więcej obrazów nałożymy na siebie, tym pewniejszy uzyskamy

wynik. Abramow i jego zespół zaczęli od Mikołaja, ponieważ, jak mówi z goryczą, "jacyś idioci stwierdzili, że czaszka nr 1 nie należy do Demidowej, lecz do cara". Mówiąc o idiotach Abramow nie miał na myśli ani Riabowa, ani Awdonina, chodziło mu o innych rosyjskich naukowców, którzy skrytykowali jego metodę twierdząc, że jest błędna, a jej wyniki nie są wiążące. - To tacy ludzie, którzy nie oceniają wiedzy, lecz zajmowane stanowisko. Tłumacząc im, na czym polegała nasza metoda, wiedziałem, że to syzyfowa praca. Ale ponieważ zaatakowali nas, musieliśmy się bronić. - Aby odeprzeć zarzuty tych idiotów - ciągnie Abramow - zaczęliśmy od porównania dwóch zdjęć Mikołaja, jednego z przodu a drugiego z profilu, z czaszką nr 1 należącą do Demidowej. Zgodnie z oczekiwaniami nie było żadnego podobieństwa. Następnie porównaliśmy fotografię Mikołaja z innymi czaszkami. Czaszkę nr 8 ustawiliśmy pod trzema różnymi kątami, wszystkie próby dały wynik negatywny. Czaszkę nr 9 ustawiliśmy pod dwoma różnymi kątami, nie znaleźliśmy podobieństwa. Czaszka nr 3: trzy pozycje, żadnego podobieństwa. Czaszka nr 5: pięć pozycji, wynik negatywny. Czaszka nr 6: cztery pozycje, wszystkie dały wynik negatywny. Na samym końcu porównaliśmy fotografię z czaszką nr 4, ustawiając ją pod ośmioma różnymi kątami i we wszystkich ośmiu przypadkach obrazy nałożyły się na siebie. Mieliśmy pewność, że czaszka nr 4 należała do Mikołaja II. Abramow przystąpił do badania i porównywania pozostałych ośmiu czaszek. Czaszka nr 2 należąca do Botkina nie zajęła mu dużo czasu, ponieważ nie było w niej zębów. - Pozostali mieli zęby w górnej szczęce - tłumaczy Abramow - a wiedzieliśmy, że Botkin miał protezę. Wiedzieliśmy, do kogo należy ta czaszka i nie musieliśmy dalej szukać. Pozostałe siedem czaszek zbadano za pomocą nakładania obrazów. - Czaszki porównaliśmy ze wszystkimi dostępnymi fotografiami - mówi Abramow. - Za pomocą komputera umieściliśmy każdą z nich wewnątrz głowy osoby przedstawionej na fotografii. Za pierwszym razem mieliśmy siedemdziesiąt sześć czy siedemdziesiąt siedem możliwości. Szukaliśmy różnic wynikających z wieku, deformacji czaszki, z niedokładnego naniesienia znaków na wypukłościach; sprawdzaliśmy, czy pokrywają się wewnętrzne wymiary czaszek, a nawet wyrazy twarzy i stopień pochylenia głowy. Wzięliśmy także pod uwagę grubość tkanki pokrywającej czaszkę. Zbadaliśmy, w którym miejscu głowy powinna wypadać czaszka, sprawdziliśmy czy na brodzie nie brakowało tkanki, czy nos nie wypadł w złym miejscu, czy brwi układały się tak jak trzeba. Proszę spojrzeć, nakładamy tutaj czaszkę nr 4 należącą do Mikołaja II na fotografię Charitonowa. Widać tu pewne podobieństwo, ale w tym miejscu czaszka zanadto wystaje. Ta nie mogła należeć do Charitonowa. W każdym przypadku, gdy nie mogliśmy wytłumaczyć, skąd biorą się różnice, stwierdzaliśmy kategorycznie, że czaszka nie należy do osoby przedstawionej na fotografii. Do odrzucenia wystarczyła jedna nie wyjaśniona rozbieżność.



Abramow wiele wysiłku włożył w identyfikację szczątków trzech wielkich księżnych, które były w podobnym wieku i które trudno rozróżnić na podstawie cech charakterystycznych z powodu częściowej deformacji czaszek. Porównał wszystkie posiadane przez siebie fotografie tych kobiet z czaszkami nr 3, 5 i 6. Czaszkę nr 3 i 6 porównał z trzema fotografiami przedstawiającymi wielką księżną Tatianę. Wynik okazał się negatywny. Lecz porównanie fotografii z czaszką nr 5 dało wynik pozytywny, i w ten sposób zidentyfikował czaszkę nr 5 jako należącą do Tatiany. Abramow posiadał cztery zdjęcia wielkiej księżnej Anastazji. Porównał je z czaszką nr 3 - wynik był negatywny. Również porównanie z czaszką nr 5 nie przyniosło rezultatu. Ale gdy fotografię Anastazji porównał z czaszką nr 6, dostrzegł wyraźne podobieństwo. - Tutaj, widzi pan? Czaszka Olgi jest szersza, a Anastazji węższa. Tutaj nie pozostaje dość miejsca na tkanę. A oto fotografia Anastazji i czaszka nr 5 Tatiany. Widzi pan? Nie pasuje. Ale oto Anastazja i nr 6, widzi pan, że idealnie nakładają się na siebie. Stąd wniosek, że czaszka nr 6 jest czaszką Anastazji. Zdaniem Abramowa w grobie brakowało trzeciej córki, Marii. - Czaszka Marii ma najwyższe sklepienie (na czubku głowy jest zaokrąglona). Jej zdjęcia nie pasują ani do czaszki Olgi (nr 3), ani Anastazji (nr 6). Twarz Anastazji jest pociągła, Marii szeroka. Nie pasują do nr 5, czyli do Tatiany. Żadna z czaszek nie nakłada się na fotografię Marii, co oznacza, że jej szczątków nie znaleźliśmy - nie było ich w grobie.

Proces identyfikacji kości był trudny sam w sobie, lecz dla Abramowa i jego moskiewskich współpracowników stał się nieporównanie trudniejszy z powodu biurokratycznej wojny trwającej ponad dwa lata. Nawet teraz, gdy praca została zakończona i osiągnął sukces, rozmowa na ten temat wyprowadza go z równowagi. Abramow zazwyczaj jest człowiekiem spokojnym; znad okularów spogląda ciekawymi świata oczami, jedną ręką drapiąc siwą, krótko przyciętą brodę, w drugiej trzymając papierosa. Ale tym razem, siedząc w swoim biurze, za którego oknami rozpościera się widok na rzekę i Kreml, mówi urywanymi zdaniami, niekiedy potrzęsając głową i śmiejąc się nerwowo, czasami uderzając pięścią w blat biurka. - Mógłbym powiedzieć, że było to interesujące i ciekawe doświadczenie - zaczął - ale było czymś więcej. Było przerażające. Sprawa carskiej rodziny była najgorszym doświadczeniem mojego życia. Od samego początku władze Jekaterynburga postępowały tak, jakby szczątki Romanowów należały tylko do nich. Abramowowi wyjaśniono, że władze są ich "właścicielem", a w sprawie morderstwa carskiej rodziny postępować się będzie tak, jakby była to sprawa leżąca wyłącznie w gestii lokalnych władz. Dokumentacja fotograficzna w każdym miejscu na świecie stanowi nieodłączny element sekcji zwłok. Pomimo to przez wiele miesięcy Wołkow, zastępca sędziego

śledczego z prokuratury okręgu swierdłowskiego, odmawiał Abramowowi prawa wykonywania jakichkolwiek zdjęć. Jestem w posiadaniu pism zakazujących robienia zdjęć - mówi Abramow, którego rozmowa na ten temat nadal wyprowadza z równowagi. W innych pismach mówi się nawet, że w każdej chwili mogę zostać odsunięty od prac badawczych! Po przyjeździe do Jekaterynburga Abramow przekonał się, że ekshumację ciał przeprowadzono niewłaściwie. - Powiedziano mi, że doktor Koriakowa, kierująca pracami archeologicznymi, trzykrotnie rezygnowała ze swojej funkcji, aby zaprotestować przeciwko stosowaniu barbarzyńskich metod. Abramow natychmiast zauważył, że brakowało wielu kości. Jego pierwsze żądanie wystosowane do lokalnych władz, aby ponownie przeszukać grób, spotkało się z odmową. W końcu udało mu się pokonać biurokrację i zebrał jeszcze dwieście pięćdziesiąt kości i ich fragmentów. Następnie poprosił o zgodę na przewiezienie szczątków do Moskwy, gdzie zamierzał poddać je badaniom, ale władze Jekaterynburga nie wyraziły na to zgody. Abramow odwołał się do rosyjskiego parlamentu, lecz również otrzymał odpowiedź odmowną. Był to czas, gdy żaden z członków rządu rosyjskiej federacji nie chciał zadzierać z władzami okręgu swierdłowskiego. Oznaczało to, że Abramow swoje badania musiał przeprowadzić w Jekaterynburgu, a na to nie miał żadnych funduszy. Budżet urzędu, w którym był zatrudniony, ustalono z rocznym wyprzedzeniem, nie przewidziano w nim badań, które pochłonęłyby tak znaczne sumy. Toteż choć jesienią 1991 roku Abramow wielokrotnie musiał podróżować do Jekaterynburga i zatrzymywać się w hotelach, wszystkie wydatki (łącznie z wyżywieniem) częściowo pokrywał z własnej kieszeni. Awdonin - którego Abramow nazywa "dobrym człowiekiem" - obiecał pomoc poprzez swoją fundację "Obrietienie", ale wkrótce okazało się, że fundacja Awdonina również nie ma pieniędzy. Miejscowi specjaliści w zakresie medycyny sądowej nie mieli czasu, aby w godzinach pracy asystować Abramowowi. - Zajmowali się morderstwami popełnianymi obecnie, mieli pełne ręce roboty - mówi. Niektórzy z nich zgodzili się pracować w soboty i niedziele, ale chcieli, żeby im płacono, a na to Abramow nie mógł sobie pozwolić. W grudniu powiedział śledczemu Wołkowowi, że z powodów finansowych musi przerwać prowadzone przez siebie prace. Wołkow zaproponował, aby Abramow, naukowiec i rządowy ekspert w zakresie medycyny sądowej, znalazł sponsora. I Abramow zaczął szukać. Skontaktował się z prywatną stacją telewizyjną "RUŚ" z Władilnira, która zgodziła się pokryć część wydatków w zamian za prawo do filmowania szczątków. Inny sponsor, instytucja charytatywna "FUNDUSZ na rzecz potęgi Rosji", zgodziła się finansowo wspomóc badania w zamian za wymienianie jej jako sponsora. Abramow był z tego zadowolony; dzięki nim wiosną 1992 roku trzykrotnie podróżował do Jekaterynburga, udało mu się nawet sprowadzić kilku techników z Moskwy. Współpraca z telewizją okazała się

bezcenna, nie tylko dlatego, że dzięki niej Abramow uzyskał odpowiednie fundusze, ale także dlatego, iż w jego dyspozycji znalazły się kamery. - W Jekaterynburgu nie mieliśmy ani jednej kamery, a do naszej metody nakładania obrazów była ona niezbędna. Później twierdzono, że ta metoda identyfikacji czaszek jest niemożliwa, ponieważ Abramow nie udokumentował ich rekonstrukcji za pomocą fotografii. - To prawda - przyznaje Abramow - że nie posiadam żadnych zdjęć z prac, które prowadziłem jesienią 1991 roku. Ale wynika to wyłącznie z faktu, że zakazano mi ich wykonywania. Dopiero w maju 1992 roku podczas współpracy z telewizją zrobiliśmy zdjęcia. Ale - twarz Abramowa wykrzywia wyraz obrzydzenia - gdy już nakręcili fuul, zlekceważyli nas. Usiłowali go sprzedać. A wówczas - tutaj Abramow wyrzuca ramiona w powietrze niczym postać Z Gogola, zagubiona w labiryncie biurokratycznych podstępów, fałszu i nikczemności - władze Jekaterynburga oświadczyły, że wszelkie filmy przedstawiające szcZątki mUszą pozostać w Jekaterynburgu. Ponadto zażądały, aby w mieście pozostała również cała dokumentacja. A potem ci sami ludzie zaczęli mnie krytykować: "Abramow podstępnie sprowadził telewizję, która, pomimo zakazu władz, nakręciła film, a potem go sprzedała". Latem 1992 roku, nadal kursując pomiędzy Moskwą a Jekaterynburgiem i próbując dokończyć badania, zetknął się z człowiekiem, który zdawał się być zesłanym z niebios aniołem; był nim baron Edward von FalzFein, osiemdziesięcioletni rosyjski emigrant mieszkający w Liechtensteinie. FalzFein słyszał o Abramowie i jego metodzie nakładania obrazów, toteż podczas pobytu w Moskwie odwiedził jego biuro. - Gdy przekonał się, że moi ludzie pracowali za darmo - mówi Abramow - że nie mieliśmy dość dyskietek, brakowało nam tego czy tamtego, bez słowa sięgnął do kieszeni, odliczył dziesięć studolarowych banknotów i dał mi je. Natychmiast powiedziałem o tym moim przełożonym. Zaświeciły się im oczy. . . Biolodzy potrzebowali surowicy, wszystkim czegoś brakowało. Ale ja powiedziałem: nie, te pieniądze są tylko na badania związane z carską rodziną. Zacząłem od tego, że zapłaciłem ludziom, którzy dla mnie pracowali. Mój wspaniały matematyk, który przyszedł do nas z instytutu badań kosmicznych, przez ponad rok pracował dla mnie bez wynagrodzenia. To jemu jako pierwszemu zapłaciłem honorarium z pieniędzy barona FalzFeina.

Gdy nadeszło lato 1992 roku, Sergiusz Abramow i jego współpracownicy byli już przekonani, że odnaleźli Mikołaja, Aleksandrę, Olgę, Tatianę, Anastazję, doktora Botkina, Demidową, Charitonowa i Truppa. Aleksander Błochin, zastępca wicegubernatora okręgu swierdłowskiego, udzielił im poparcia; na konferencji prasowej dnia 22 czerwca ogłosił, iż "za pomocą technik komputerowych polegających na porównywaniu dawnych fotografii przedstawiających cara i

cesarzową udało się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że odnalezione kości są szczątkami carskiej rodziny". W grobie nie odnaleziono szczątków carewicza; rosyjscy eksperci zgodzili się z Abramowem, że zbadany przez niego dziewiąty szkielet należy do najmłodszej córki cara, wielkiej księżnej Anastazji. Wszyscy wierzyli, że córką, której szczątków nie udało się odnaleźć, jest Maria.

## 5. Sekretarz Baker

W lutym 1992 roku, w ostatnim roku urzędowania, sekretarz stanu USA James A. Baker składał wizyty w krajach dawnego Związku Radzieckiego. Podczas jego trzyletniej pracy dla prezydenta Busha Związek Radziecki rozpadł się na wiele niezależnych państw zainteresowanych przyciągnięciem amerykańskiego kapitału i nowoczesnych technologii. Toteż Bakera bardzo ciepło przyjmowano w Mołdawii, Armenii, Azerbejdżanie, Turkiestanie, Tadżykistanie, Uzbekistanie i oczywiście w samej Rosji. 14 lutego jego białoniebieski samolot Air Force 707 wylądował w Jekaterynburgu. Był to ostatni przystanek przed Moskwą i w zasadzie sam Jekaterynburg nie był celem wizyty. Baker udawał się do tajnego ośrodka badań jądrowych "Czelabińsk-80", oddalonego o sto sześćdziesiąt kilometrów na południe. Sam przyjazd Bakera stanowił miarę drogi przebytej przez dwa supermocarstwa. Przez dziesiątki lat istnienie "Czelabińska-80" utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Miasto było pilnie strzeżone, otaczało je wysokie ogrodzenie z kolczastego drutu, a w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego osiedla. Celem wizyty było pokazanie Amerykanom jak naukowcy, którzy dotychczas wytwarzali broń nuklearną, zmienili cykl produkcyjny i wytwarzają w fabrykach sztuczne diamenty; miał to być przykład, do jakiego stopnia Rosja swoje zakłady wojskowe potrafi przestawić na cywilną produkcję. Dlatego też Baker, jego zespół i grupa amerykańskich dziennikarzy udali się do "Czelabińska-80", gdzie sekretarz wygłosił do naukowców przemówienie. A potem Amerykanie powrócili do Jekaterynburga. Następnego dnia rano wypadało "wolne przedpołudnie", nie przewidziano żadnych oficjalnych spotkań ani uroczystości. Prezydent Jelcyn, z którym sekretarz miał się spotkać w Moskwie, powracał do stolicy dopiero po południu i nie chciał, aby Baker znalazł się tam przed nim. Tymczasem Margaret Tutwiler, rzecznik prasowy Bakera, cieszyła się na myśl o wolnym przedpołudniu w Jekaterynburgu, ponieważ już od wielu lat interesowała się Romanowami i wiele czytała na ten temat. Wiedziała, że dom Ipatiewa został zburzony, ale miała nadzieję, że zobaczy miejsce, w którym stał. Przed przybyciem do miasta wspomniała o tym Bakerowi. Poprzedniego dnia wieczorem, po powrocie z Czelabińska, Baker został zaproszony na kolację przez szefa miejscowych władz, Edwarda Rossela. Lubiący polowania Baker podziwiał strzelbę Rossela, wielką głowę łosia wiszącą na ścianie i przysłuchiwał się, jak Rossel opisuje wielki potencjał uralskiego regionu czekającego na amerykańskich inwestorów. Potem, wywiązując się z obietnicy danej Margaret Tutwiler, spytał czy mógłby obejrzeć miejsce, w którym stał niegdyś dom Ipatiewa. Oczywiście, odparł Rossel; skoro interesuje się pan historią Romanowów, może zechce pan także zobaczyć ich szczątki? Baker spytał, czy może mu towarzyszyć jeszcze jedna

osoba. Rano Baker i Tutwiler, w towarzystwie Rossela, udali się na miejsce. - Ziemia pokryta była śniegiem, pod betonowym krzyżem leżały czerwone i białe goździki, ludzie "przychodzili i zapalali świece - wspomina dwa lata później Tutwiler. Baker podszedł do krzyża, pochylił się i dotknął go dłonią w rękawiczce. Potem razem z Tutwiler i Rosselem udał się do dwupiętrowej kostnicy, w której znajdowały się kości. Rossel przedstawił Bakerowi obecnego tam Awdonina. Następnie gościom zademonstrowano komputerową technikę nakładania obrazu i pokazano szkielety, które udało się odtworzyć. W pewnej chwili Baker wziął do ręki jedną z kości Mikołaja II. Niezwykły nastrój tej chwili zapadł mu w pamięć. Na początku 1994 roku, w swoim waszyngtońskim biurze, tak opisuje tę niezwykłą chwilę: - W pomieszczeniu panował przedziwny nastrój. Kiedy my - administracja Busha - przejmowaliśmy władzę, naszym głównym zagrożeniem nadal była możliwość zaatakowania Stanów Zjednoczonych przez Związek Radziecki w wojnie nuklearnej. Pamiętam, że jeszcze w maju i czerwcu 1989 roku odnosiliśmy się do Rosjan z dużą rezerwą. A zaledwie w trzy lata później, amerykańskiemu sekretarzowi stanu, który właśnie powrócił z jednego z "zamkniętych miast", w których przeprowadza się badania jądrowe, pokazuje się szczątki cara. To dobrze świadczy o tym, jak zmieniły się stosunki między mocarstwami. Tutwiler przypomina sobie inny szczegół z tego niezwykłego dnia. Gdy przebywała z Bakerem w kostnicy, powiedziano jej, że pośród szkieletów rozłożonych na stołach nie ma carewicza i jednej z córek. - Czy chodzi o Anastazję? - spytała Tutwiler, a ktoś - Tutwiler nie wie, który z Rosjan - powiedział stanowczo: - Anastazja jest w tym pomieszczeniu! Jeszcze w kostnicy Rossel poprosił Bakera o przysługę. Wyjaśnił, że wprawdzie naukowcy z Jekaterynburga są przekonani, że kości są szczątkami Romanowów, ale aby ich odkrycie zostało zaakceptowane na zachodzie, niezbędne jest potwierdzenie wyników badań przez zachodnich ekspertów. - Czy zna pan kogoś, kto mógłby nam pomóc? - spytał Rossel. Baker odparł, że po powrocie do Waszyngtonu "zobaczy, co da się zrobić", a towarzyszący mu amerykańscy dziennikarze zanotowali jego słowa i następnego dnia zacytowano je w wielu gazetach. Baker dotrzymał słowa. Podczas pobytu w Moskwie polecił amerykańskiej ambasadzie skontaktować się z władzami Jekaterynburga. Powróciwszy do Waszyngtonu, zobowiązał swojego zastępcę do spraw Europy, "aby sprawdził, czy moglibyśmy im jakoś pomóc". Tutwiler także się tym zajmowała i w korespondencji często wspominała, że "sekretarz jest bardzo zainteresowany tą sprawą". O udział w badaniach poproszono dwa najważniejsze rządowe laboratoria medycyny sądowej, w których prowadzone są badania z zakresu patologii: Instytut Patologii Sił Zbrojnych (AFIP) w Medycznym Centrum Wojskowym Waltera Reeda oraz FBI. AFIP posiadał ogromne doświadczenie w zakresie identyfikowania kości, które leżały w ziemi przez wiele lat. Próbkę kości i zębów

amerykańskich żołnierzy poległych w Wietnamie, których nie udało się zidentyfikować zwykłymi antropologicznymi, dentystycznymi i radiologicznymi metodami, wysyłano do AFIP w celu przeprowadzenia badań DNA. Natomiast laboratorium FBI jest najwyższą instancją dla federalnej, stanowej i lokalnej policji w przypadkach dotyczących identyfikacji kryminalistów, ofiar i osób zaginionych. Za zgodą sekretarza obrony i dyrektora FBI obydwie laboratoria zgodziły się udzielić pomocy. Stworzono specjalny zespół pod kierownictwem doktora Richarda Froede, byłego szefa Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej. Doktor Froede jest specjalistą w zakresie patologii sądowej, czyli zajmuje się badaniem zwłok. Jego asystentem został doktor Biu Rodriguez, ekspert w zakresie antropologii sądowej, którego głównym obiektem badań są kości. Trzecim członkiem zespołu był doktor Alan Robiuiard z FBI; jego specjalnością, podobnie jak doktora Abramowa z Moskwy, jest rekonstrukcja twarzy za pomocą grafiki komputerowej. W sumie zespół składał się z ośmiu amerykańskich specjalistów, opłacanych bezpośrednio przez rząd. Aby przyczynić się do dobrych stosunków z Rosją, rząd przejmował na siebie wszelkie koszty. (A ponieważ pensje członków stanowiły część federalnego budżetu, w zasadzie jedynym dodatkowym wydatkiem było opłacenie podróży.) Członkowie zespołu wielokrotnie spotykali się w Waszyngtonie i kompletowali sprzęt. Sprowadzono zdjęcia na szklanych płytach przedstawiające cara i cesarżową w celu dokonania porównań radiograficznych, przenośne aparaty rentgenowskie, specjalne laserowe skanery i sprzęt komputerowy o wysokiej rozdzielczości przystosowany do zasilania prądem o innym niż w USA napięciu. Wszystkie przygotowania odbywały się w pewnym pośpiechu, ponieważ Rosjanie wielokrotnie podkreślali, że prace powinny rozpocząć się już w maju. Zespół był gotów na czas: sprzęt został spakowany, naukowcy mieli paszporty, rosyjskie wize i bilety lotnicze, zostali zaszczepieni przeciwko tyfusowi i dyfterytowi. I wówczas nagle, na dwa dni przed planowanym wyjazdem, wyprawę odwołano. Z amerykańskiej ambasady w Moskwie przyszła wiadomość, że władze Jekaterynburga wolą inny amerykański zespół, pod kierownictwem doktora Wiuiama Maplesa z wydziału antropologii sądowej uniwersytetu na Florydzie. Członkowie zespołu AFIPFBI byli zaskoczeni i rozczarowani - niektórzy z nich aż po dziś dzień są rozżaleni. - Nie powiem złego słowa o Biuu Maplesie, ponieważ jest świetnym specjalistą - powiedział jeden z niedoszłych szefów zespołu. - Ale była to oferta złożona Rosjanom przez sekretarza stanu, a my byliśmy członkami zespołu rządowego. Z punktu widzenia śledztwa przypuszczam, że byłibyśmy najlepszymi specjalistami w Ameryce, zwłaszcza w przypadku analizy DNA, ponieważ Maples nie mógł przeprowadzić takich badań i ostatecznie i tak zostały one przeprowadzone w Anglii. Posiadamy jedno z nielicznych laboratoriów na świecie, w których można przeprowadzać badania DNA mitochondriamego.

Posiadamy olbrzymie laboratorium patologii wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt, to samo dotyczy z resztą laboratoriów FBI. Jako zespół amerykańskich specjalistów pracujących na zlecenie rządu mogliśmy rzeczywiście reprezentować Stany Zjednoczone. A po tej historii nikt nam nawet nie zechciał nam podziękować, czy choćby wyrazić ubolewania. Przez długi czas był to tutaj drażliwy temat.



## 6. Ciekawość śmierci

Gainesville, campus uniwersytetu florydzkiego, ma powierzchnię kilkunastu kilometrów kwadratowych, którą w znacznej części zajmuje bujna roślinność środkowej Florydy. Poprzecinane ulicami miasteczko studenckie jest tak olbrzymie, że aby przedostać się z jednej sali wykładowej do drugiej, studenci niekiedy zmuszeni są do korzystania z autobusów. Na jednej z dużych i niemal pustych działek rośnie rząd wysokich bambusów. Z głównej drogi wiedzie tamtędy wyboista polna dróżka; biegnąc wzdłuż grządek z warzywami prowadzi do wysokiego płotu zwieńczonego drutem kolczastym. Po drugiej stronie, ukryty między bambusami, znajduje się pozbawiony okien, jasnozielony budynek o metalowych ścianach z licznymi kominami wentylacyjnymi na dachu. Jest to laboratorium identyfikacji zwłok imienia C. A. Pounda, instytucja stworzona i kierowana przez doktora Williama Maplesa. Budynek nie jest duży. Za drzwiami znajduje się sekretariat, tuż za nim biuro doktora Maplesa. W budynku mieści się także sala konferencyjna, łazienka oraz laboratorium zaprojektowane osobiście przez doktora za pomocą komputera Macintosh. Bez jego zgody nikt nie ma prawa wstępu do laboratorium. Drzwi zamykane są specjalnym zamkiem, w którym sprężynujące zastawki umieszczono w trzech różnych płaszczyznach - ani uniwersytecka policja, ani uniwersytecki ślusarz nie posiadają do niego kluczy. Do budynku nie można wdrzeć się przez dach, ponieważ jest on zabezpieczony niezwykle skutecznym alarmem. Jednak w niemal pięcioletniej historii laboratorium Pounda alarm jeszcze nigdy nie był potrzebny. Niewielu ludzi chciałoby znaleźć się w laboratorium. Na stołach na badania czekają ludzkie czaszki, szkielety i ich fragmenty. Na półkach pod ścianami stoją (pieczołowicie opisane) tekturowe pojemniki z ludzkimi kośćmi. Znajdują się tu liczne komputery, aparaty rentgenowskie, urządzenia do przetwarzania obrazu oraz sprzęt wideo. Jest tu także specjalny stół z wiertarką słupową, niewielkie kowadło, śrubokręty, klucze i piły o diamentowych ostrzach; są też liczne lodówki i zamrażarki. Wzdłuż ściany stoją trzy wielkie stalowe kadzie przykryte chroniącymi przed odorem osłonami z przezroczystego plastiku, połączonymi z kominami wentylacyjnymi na dachu. W kadziach tych doktor Maples i jego asystenci "macerują ludzkie szczątki". - Macerują? - To eufemizm; gotujemy je, aby oddzielić ciało od kości. Doktor Maples jest antropologiem sądowym, głównym obiektem jego badań są kości. Gdy przekazuje mu się je wraz z ciałem, przed przystąpieniem do pracy musi je z niego wydobyć. Ciało umieszcza w jednej z kadzi, wypełnia wrzącą wodą i gotuje tak długo, aż pozostanie sam szkielet. Większość tych prac wykonują studenci, którzy zmieniają się przy kadziach co jedną lub dwie godziny. - Aby tkanka we właściwy sposób oddzieliła się od kości, trzeba stale czuwać nad procesem

gotowania - wyjaśnia Maples. - Ważne jest, by kości nie zmiękły od zbyt długiego przebywania w wodzie oraz aby woda nie wygotowała się, co mogłoby grozić ich przypaleniem. Plastikowe osłony chronią przed przyskającą wodą - boimy się hepatitis B, AIDS i pałeczek gruźlicy; chronią one także, przynajmniej częściowo, przed odorem. Tak, to bardzo przykre zajęcie, ale w całej mojej karierze miałem tylko jednego czy dwóch studentów, którzy nie mogli tu pracować. Biuro Maplesa znajdujące się tuż obok jest miejscem niemal wesołym. Wprawdzie na trzech wysokich gablotach stoi osiemnaście ludzkich czaszek, ale gabloty pomalowano na kolor pomarańczowy. Na biurku znajdują się stosy dokumentów, korespondencji, fotografii i zdjęć rentgenowskich. Sam Maples jest niezwykle schludnym mężczyzną. Ma niewielką łysinę, nosi okulary w drucianej oprawie; ubrany jest w niebieski sweter i szare flanelowe spodnie. Cichym, spokojnym głosem opowiada o swoim dzieciństwie, ważąc każde słowo - tak samo postępuje prowadząc badania naukowe. Niemal zawsze wie, jaki wykona następny ruch, potrafi też uzasadnić, dlaczego postąpi w taki a nie inny sposób. - Przez całe życie zawsze ciekawiła mnie śmierć - mówi. W college'u uniwersytetu teksaskiego, gdzie studiował język angielski i antropologię, zarabiał na studia jeżdżąc karawanem należącym do domu pogrzebowego. Dzień w dzień z szybkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę pędził tam, gdzie wydarzały się wypadki, aby nie ubiegła go konkurencja. Widział "straszne rzeczy", ale jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia nauczył się jeść (hamburgery z serem i chili) w pomieszczeniu, w którym przed kilkoma minutami przeprowadzano autopsję. W wieku dwudziestu czterech lat wraz z żoną wyjechał do Kenii i przez cztery lata w celach badawczych chwycił do klatek pawiany. Gdy jeden z nich ugryzł go w ramię uszkadzając tętnicę, Maples sam otarł się o śmierć. W 1968 roku, obroniwszy pracę doktorską, przyjechał do Gainesville i został profesorem nadzwyczajnym na wydziale antropologii. Po sześciu latach czynnego nauczania przeniósł się do Muzeum Przyrodniczego na Florydzie. - Obiektem mojego zainteresowania jest ludzki szkielet, zmiany, jakie zachodzą w nim w ciągu życia, zmiany "pokoleniowe" oraz różnice pomiędzy szkieletami ludzi z różnych części świata - mówi doktor Maples. Badając kości Maples potrafi ustalić płeć, wiek, wzrost i wagę człowieka, do którego należał szkielet. Jego wiedza stanowi nieocenioną pomoc i czyni z niego eksperta rozchwytywanego przez lokalną i stanową policję. Począwszy od 1972 roku wielokrotnie Ustalał tożsamość ofiar, sposób, w jaki zginęły oraz charakterystykę domniemanych sprawców zbrodni. Rocznie bada od dwustu do trzystu szkieletów. Zajmował się między innymi przypadkiem Teda Bundy, wielokrotnego mordercy, który - zanim został schwytyany, skazany i stracony - na swoim sumieniu miał co najmniej trzydzieści sześć młodych kobiet. Dwa razy do roku odwiedza centrale laboratorium identyfikacji w Honolulu, aby pomagać w

szczególnie trudnych przypadkach ustalania tożsamości szczątków żołnierzy poległych w Wietnamie. Za godzinę konsultacji doktor Maples otrzymuje zazwyczaj dwieście dolarów; dostaje też oczywiście pensję wypłacaną przez uniwersytet na Florydzie. Dochody te nie są w stanie w pełni pokryć kosztów prowadzenia laboratorium, toteż Maples zwrócił się o pomoc do sponsorów. Laboratorium C. A. Pounda ufundował mieszkaniec Gainesville, siedemdziesięcioletni Cicero Addison Pound Jr. który w młodości służył w lotnictwie i brał udział w poszukiwaniu Amelii Earhart.

Pound dorobił się na handlu nieruchomościami i częściowo sfinansował budowę laboratorium Maplesa. Innym sponsorem był emerytowany prawnik William Goza; założona przez niego Fundacja Wentwortha wspiera te projekty uniwersyteckie, w których bierze udział doktor Maples. Dzięki finansowemu wsparciu Gozy Maples był w stanie przeprowadzić wiele badań. Dotyczy to zwłaszcza zagadek historycznych, gdzie głównym motywem prac jest satysfakcja z dotarcia do prawdy. (Oczywiście, rozwiązywanie podobnych zagadek jest także sprawą prestiżu. Prokuratorowi łatwiej jest prowadzić sprawę, gdy może spytać biegłego: "Czy jest pan tym słynnym doktorem Maplesem, który. . .") Maples brał udział w trzech śledztwach o "charakterze historycznym". W 1984 roku udowodnił, że zmumifikowane szczątki rzekomo należące do Francisca Pizarra, hiszpańskiego konkwistadora zamordowanego w Limie w 1541 roku, przechowywane przez ponad czterysta lat we wspaniałym sarkofagu z brązu i marmuru w limskiej katedrze, w rzeczywistości należały do innego człowieka. Udowodnił ponadto, że szczątkami Pizarra były kości znalezione pod podłogą katedralnej krypty. W 1988 roku Maples przeprowadził badanie szkieletu Johna Merricka, dziewiętnastowiecznego człowieka olbrzyma, którego sławę w naszych czasach wskrzesił Broadway i Hollywood. (Przed pojawieniem się Maplesa gwiazdor muzyki pop Michael Jackson usiłował kupić szkielet Merricka, oferując londyńskiemu Muzeum Królewskiego Kolegium Medycznego milion dolarów.) Zadanie Maplesa polegało na stwierdzeniu, w jakim stopniu niezwykle wzrost Merricka spowodowany był rakiem tkanek, a w jakim zmianami w strukturze kości. W 1991 roku dokonał ekshumacji szkieletu rzekomo otrutego prezydenta Stanów Zjednoczonych Zacharego Taylora i udowodnił, że prezydent najprawdopodobniej umarł na zapalenie jelit. A potem, w 1992 roku doktor Maples zajął się sprawą szczątków Romanowów.

William Maples zainteresował się losami carskiej rodziny jeszcze w dzieciństwie. W Dallas, w latach czterdziestych, przeczytał książkę Richarda Hauiburtona "Seven League Boots", w której znajdowało się "wyznanie na łożu śmierci" oprawcy Jermakowa. Wiele lat później przeczytał

"Mikołaja i Aleksandrę". W lutym 1992 roku, gdy przyjechał do Nowego Orleanu na coroczne spotkanie Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej, przeczytał w gazecie, że sekretarza stanu Bakera poproszono o skierowanie amerykańskich ekspertów do identyfikacji szczątków wydobytych z grobu na Syberii. Maples spytał doktora Richarda Froede, szefa Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej, czy Baker zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Froede odparł, że nie. - Toteż postanowiłem jeszcze w trakcie konferencji stworzyć znakomity zespół. Składał się on ze specjalistów medycyny sądowej różnych specjalności: patologa, doktora Michaela Badena, dentysty, doktora Loweu Levine, specjalisty w zakresie medycyny sądowej z Gainesviue, doktora Wiuiama Hamiltona oraz Catryn Oakes z nowojorskiej policji, która specjalizuje się w badaniu włosów i włókien. Ja miałem wystąpić w podwójnej roli antropologa i kierownika zespołu. Po powrocie do Gainesviue Maples napisał szkic listu do przebywającego w Jekaterynburgu Aleksandra Awdonina i zwrócił się do Johna Lombardi, prezydenta uniwersytetu na Florydzie, z prośbą o jego podpisanie. Był to swego rodzaju list uwierzytelniający, w którym opisywano kompetencje i doświadczenie członków zespołu Maplesa; informowano w nim także, że koszty podróży zostaną pokryte z fundacji Biura Gozy. Poza tym Lombardi wspominał o zamiarze zorganizowania w Ameryce konferencji naukowej. "Wielu członków pańskiego zespołu powinno na nią przybyć - pisał do Awdonina. Fundusze zgromadzone przez doktora Maplesa. . . zostaną przeznaczone na pokrycie kosztów podróży pańskich współpracowników".

Nadszedł kwiecień, a Maples nadal nie otrzymał odpowiedzi z Rosji. Potem dotarła do niego wiadomość, że Awdonin czeka na jego telefon. Natychmiast zadzwonił, a następnego dnia do Gainesviue dotarło przesłane faksem zaproszenie podpisane przez Awdonina oraz Aleksandra Błochina, zastępcę gubernatora okręgu swierdłowskiego. Florydzki zespół zaproszono na kilkunastodniowy pobyt w połowie lipca oraz na międzynarodową konferencję, na której miały zostać przedstawione wyniki badań. Maples, zapytany co sądzi o tym, że doktor Froede i doktor Rodriguez z zespołu AFIPFBI nadal mają do niego żal z powodu odwołania wyjazdu do Rosji, mówi: - O tym, że sekretarz stanu Baker zwrócił się z prośbą o pomoc do Dicka Froede, dowiedzieliśmy się znacznie później. Jestem przekonany, że gdy rozmawiałem z Dickiem w Nowym Orleanie, Baker jeszcze się z nim nie skontaktował; było to przecież przed jego powrotem z Rosji. Poza tym spytałem Dicka, a on odparł, że nie. Maples przyznaje, że współzawodnictwo między naukowcami istnieje tak w Rosji, jak w Ameryce. - Nie jestem człowiekiem, który zawsze chce być pierwszy - mówi - ale skoro nikt inny nie zamierzał się tym zająć - a był to temat, który interesował mnie od lat - chętnie podjąłem się. Jego zdaniem

wyjazd zespołu AFIPFBI nie powiódł się z powodu braku funduszy oraz rezygnacji jednego z jego członków, znakomitego antropologa doktora Douglasa Ubelakera ze Smithsonian Institution. Maples uważa, że Rosjanie, porównawszy kompetencje obydwu grup, wybrali jego zespół. Doktor Maples rzeczywiście stworzył znakomity zespół ekspertów medycyny sądowej; antropolog, doktor Michael Baden, był głównym lekarzem sądowym Nowego Jorku i przewodniczył specjalnej komisji kongresu utworzonej w celu ustalenia okoliczności zamachów na Johna F. Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga. Doktor Loweu Levine, piastujący wysokie stanowisko w nowojorskiej policji, również uczestniczył w śledztwach w sprawie Kennedy'ego i Kinga. Na polecenie Departamentu Stanu udał się do Argentyny, gdzie dokonał identyfikacji zwłok wielu ludzi, którzy "zniknęli" w czasach wojskowej dyktatury. W kilka lat później, w Brazylii, Levine na podstawie zębów i badań czaszki zidentyfikował szczątki "doktora" Josefa Mengele, zbrodniarza wojennego, który w Oświęcimiu przeprowadzał na więźniach okrutne eksperymenty. W zespole znalazła się także Cathryn Oakes z wydziału kryminamego nowojorskiej policji, która specjalizuje się w badaniu włosów i włókien. 25 lipca 1992 roku Maples wraz z zespołem przybył do Jekaterynburga i zatrzymał się w hotelu "Październik", w którym dawniej mieszkać mogli wyłącznie wysocy funkcjonariusze partyjni. Za hotel trzeba było płacić w dolarach, a miejscowe władze udostępniły jedynie samochód z kierowcą. Następnego dnia rano naukowcy pojechali do kostnicy, w której znajdowały się szczątki Romanowów. Spotkali się tam między innymi z dyrektorem kostnicy Mikołajem Niewolinem, Aleksandrem Awdoninem, i mówiącą po angielsku jego żoną Haliną. Niewolin powiedział im: - Możecie zejść na dół i robić, co tylko uważacie za słuszne. Budynek, zdaniem Maplesa, przypominał amerykańskie kostnice w Ameryce. Sale; w których przeprowadzano autopsje i przetrzymywano ciała, znajdowały się na parterze, a biura na pierwszym piętrze. Były też inne podobieństwa. - Przede wszystkim odór - mówi Maples. Woń typowa dla kostnicy. Na piętrze, na końcu długiego korytarza, znajdowała się żelazna krata; za nią była poczekalnia i drzwi do sali, w której przetrzymywano kości. Pokój był zielony, miał sześć na pięć metrów. W rogu znajdowały się dwa zasłonięte okna. Na środku, na dużym stole, stał komputer i mikroskop. Wzdłuż ścian na metalowych stołach ułożono szczątki tak, aby odtworzyć szkielety, choć kości, żebra miednice i czaszki nie zostały ze sobą połączone. Maples był przerażony widząc, że niektóre kości ramion i nóg zostały przepiłowane. Utrudniało to dokładne ustalenie wzrostu ofiar. Stoły nie były przykryte, toteż każdy mógł wziąć do ręki kość, tak jak przed pięcioma miesiącami uczynił to sekretarz stanu Baker. Brakowało też klimatyzacji, a że był już lipiec, Maples i jego współpracownicy musieli zdjąć marynarki. Maples otworzył torbę i wyjął jeden z aparatów fotograficznych. "Niet" - powiedział jeden z

Rosjan. Nie możecie robić żadnych zdjęć. Maples ze spokojem schował aparat, a Baden, Levine i Oakes przez trzy godziny badali szczątki. Ustalenie, do kogo należały szkielety, nie sprawiło Maplesowi większych trudności. - To jest Demidowa - mówił - a to Botkin. Ten szkielet należy do jednej z córek, prawdopodobnie Olgi. A to druga córka, prawdopodobnie Tatiana. A to trzecia, prawdopodobnie Maria. To Mikołaj, a to Aleksandra. Te dwa szkielety mężczyzn należą do służących. Wczesnym popołudniem Maples i jego zespół spakowali swoje rzeczy i po drodze wstąpili do biura Niewolina. - Skończyliśmy i już jedziemy - powiedział Maples. - Idziecie państwo na obiad? - spytał Niewolin. - Nie - odparł Maples. Zrobiliśmy co tylko było można i wracamy do domu. Niewolin był wstrząśnięty. - Nie możecie odjechać - zaprotestował. - Musimy dokumentować naszą pracę - wyjaśnił Maples. A skoro nam nie pozwolono, nie mamy tu nic więcej do roboty. Jeszcze nigdy nie prowadziłem badań bez możliwości dokumentowania prac. Jeżeli nie otrzymam zgody na robienie zdjęć, wyjeżdżamy. Wnioski, które mogłem wyciągnąć, już wyciągnąłem. Mówił głosem spokojnym, ale widać było, że jest bardzo zły. ("Byłeś wściekły i cały się trząśłeś" - powiedziała mu potem Halina Awdonin. ) Niewolin potrzebował czasu, aby uzyskać zgodę przełożonych. - Idźcie na obiad; ja tymczasem postaram się to przedyskutować - powiedział. Zespół wrócił do hotelu na obiad, po czym udał się do kostnicy. Niewolin przywitał ich słowami: - Możecie fotografować, ile tylko chcecie. ( To oczywiście - mówił później Maples - że zadzwonił do Błochina, który powiedział: "Niech robią co chcą". Więc zostaliśmy do końca tygodnia, robiąc dokumentację wszystkiego, ale do najważniejszych wniosków doszliśmy już po pierwszych dwóch czy trzech godzinach. Wiedzieliśmy, że mamy do czynienia ze szczątkami carskiej rodziny i wiedzieliśmy, kto był kim. )

Dziewięć szkieletów znajdujących się w kostnicy opisano tylko za pomocą liczb, a Maples, który wówczas nie znał wniosków doktora Abramowa, postanowił trzymać się tego systemu. Pięć szkieletów należało do kobiet, cztery do mężczyzn. Wszyscy mężczyźni byli dorośli, nie było wśród nich chłopca w okresie dojrzewania. Z pięciu kobiet trzy były młode, choć stosunkowo niedawno osiągnęły pełną dojrzałość. Wszystkie kości twarzowe zostały poważnie uszkodzone. W zębach czaszek kobiet widoczne były wypełnienia. Jeden z mężczyzn miał protezę. Najmniej kłopotów przysparzała identyfikacja ciała nr 7, należącego do kobiety w średnim wieku, której żebra były częściowo zmiażdżone, prawdopodobnie przez pchnięcia zadane bagnetami. Doktor Levine natychmiast zwrócił uwagę na dwie wspaniałe korony w dolnej szczęce wykonane z platyny, korony porcelanowe i złote wypełnienia. Taką stomatologię praktykowano pod koniec dziewiętnastego wieku tylko w Stanach

Zjednoczonych, a potem w Niemczech, w ojczyźnie Aleksandry. Na tej podstawie Levine i Maples orzekli, że czaszka i szkielet to szczątki cesarzowej Aleksandry. Identyfikacja Mikołaja II także nie była trudna. Szkielet z podpisem "ciało nr 4" należał do krępego mężczyzny w średnim wieku. Kości biodrowe wykazywały zmiany świadczące o wieloletnim uprawianiu jeździectwa, któremu oddawało się z upodobaniem wielu carów. Czaszka miała szeroką, wysoką łuskę czołową i wydatne łuki brwiowe oraz szeroką i płaską kość górnej szczęki, co było charakterystyczną cechą twarzy Mikołaja. Zęby w bardzo złym stanie, w dolnej szczęce widoczne ubytki spowodowane paradentozą, w pozostałych zębach nie było wypełnień. Czaszka pozbawiona była kości jarzmowych. Gdy Maples trzymał w dłoni czaszkę Mikołaja II, przydarzyło się coś dziwnego : - Podawaliśmy ją sobie nawzajem, gdy nagle usłyszeliśmy w środku jakiegoś stłumione kołatanie. Przykładając latarkę do podstawy czaszki i zaglądając przez otwór łączący czaszkę z kręgosłupem, dostrzegliśmy w środku przedmiot wielkości niedużej gruszki. Był to wysuszony mózg cara Mikołaja II. Amerykański zespół nie miał trudności z identyfikacją pozostałych szkieletów. Na podstawie badań miednicy stwierdzono, że ciało nr 1 należy do dorosłej kobiety. W lewej części dolnej szczęki znajdował się niezbyt dobrze wykonany złoty mostek. Na tej podstawie ustalono, że szkielet należał do służącej Demidowej. Ciało nr 2 to szkielet dorosłego, wysokiego mężczyzny o płaskim, wysokim czole. Szczątki te jako jedyne miały nie uszkodzoną część tułowia, zlepioną tłuszczowoskiem, białoszarą substancją przypominającą wosk, która powstaje po śmierci w wyniku połączenia tkanki tłuszczowej z wodą. Rosjanom udało się wydobyć z niej dwie kule, jedną z okolicy miednicy, drugą z kręgosłupa. W lewej części łuski czołowej czaszki znajdował się otwór po kuli. W zuchwie tkwiło kilka zębów, w górnej szczęce nie było żadnego. Fakt, iż proteza doktora Botkina przed ponad siedemdziesięciu laty została odnaleziona przez Sokołowa na Uroczysku Czterech Braci, pomógł Maplesowi i Levine'owi zidentyfikować szczątki jako należące do doktora. Ciało nr 8 zidentyfikowano jako szczątki Charitonowa, czterdziestoosmioletniego kucharza, a ciało nr 9 jako szczątki Truppa, sześćdziesięcioletniego lokaja. Szkielet Charitonowa został najbardziej rozczłonkowany. Wrzucono go do szybu jako pierwszy i prawdopodobnie został niemal całkowicie zanurzony w kwasie. Szkielet Truppa spoczywał bezpośrednio pod szczątkami cara. W wyniku rozkładu niektóre ich kości połączyły się. Dziś Maples uważa, że bez badań DNA nie uda się stwierdzić, które ich fragmenty należą do cara, a które do jego lokaja. Pozostałe trzy szkielety, ciała nr 3, 5 i 6, należały do młodych kobiet, których czaszki charakteryzowały się wydatną potylicą, podobnie jak ciało nr 7 (cesarzowa Aleksandra). Zjawisko to występuje zaledwie u pięciu, sześciu procent populacji, co pozwala z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić pokrewieństwo pomiędzy trzema młodymi kobietami

a ich matką (ciałem nr 7). Ponadto w szczękach kobiet znaleziono liczne wypełnienia wykonane podobną techniką, co wskazywałoby na to, że ich zębami opiekował się tensam dentysta. Najstarsza z młodych kobiet (ciało nr 3) zginęła w wieku około dwudziestu lat. Choć brakowało kości jarzmowych oraz żuchwy, kształt czaszki, odznaczającej się niezwykle wydatnym czołem, przypominał głowę wielkiej księżnej Olgi. Ta kobieta była już w pełni dojrzała; Olga w dniu śmierci miała dwadzieścia dwa lata i osiem miesięcy. Kości nóg (udowe, strzałkowe, piszczelowe) zostały wprawdzie przepiłowane, ale porównując ich długość z długością kości przedramion Maples oszacował jej wzrost na sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Doktor Levine odkrył w pełni wykształcone korzenie zębów mądrości, co stanowiło dalsze potwierdzenie opinii Maplesa, że była już osobą dorosłą. Na rany po kulach wskazywał otwór w żuchwie; kula najprawdopodobniej wyszła przez otwór w przedniej części czaszki. - Taka trajektoria - wyjaśnia Maples - występuje, gdy lufę pistoletu przystawia się ofierze bezpośrednio do szyi i strzela w górę, lub gdy strzela się do - leżącego człowieka. Następną z córek, której szczątki opisano jako ciało nr 5, była, zdaniem Maplesa, "kobietą niespełna dwudziestoletnią". - Doktor Levine i ja zgodziliśmy się, że z pięciu kobiet, których szkielety mieliśmy przed oczami, ona była najmłodsza. Wniosek ten wyciągnięto na podstawie badania korzeni zębów mądrości, jeszcze nie w pełni wykształconych. - Poza tym kość krzyżowa także nie była jeszcze w pełni rozwinięta, a kości kończyn wskazywały, że dopiero niedawno zakończył się ich rozwój. Jej kręgosłup nie był jeszcze do końca uformowany, choć był to kręgosłup kobiety co najmniej osiemnastoletniej. Wzrost oszacowaliśmy na sto siedemdziesiąt jeden centymetrów. Pomimo braku niektórych środkowych kości twarzy Maples orzekł, że szkielet ten należał do wielkiej księżnej Marii, która pięć tygodni przed śmiercią ukończyła dziewiętnaście lat. Trzecią młodą kobietę (ciało nr 6) zabito strzałem w tył głowy; kula przebiła czaszkę z tyłu po lewej i wyszła przez prawą skroń. Kobieta była dojrzała, a badanie szkieletu i zębów pod względem wieku umieszczało ją pomiędzy ciałem nr 3 a ciałem nr 5. Korzenie zębów trzonowych nie były w pełni wykształcone, a to charakteryzuje kobiety w przedziale wiekowym od dziewiętnastu do dwudziestu jeden lat (lecz nie siedemnastolatki). Jej kość krzyżowa i miednica były w pełni ukształtowane, co wskazywałoby na co najmniej osiemnaście lat; obojczyki wskazywały na co najmniej dwadzieścia. W dniu egzekucji wielka księżna miała dwadzieścia dwa lata i dwa miesiące. Dlatego też Maples ciało nr 3 przypisał Oldze, nr 5 Marii, a nr 6 Tatianie. Był głęboko przekonany, że żaden z trzech szkieletów nie był dostatecznie młody, aby należeć do Anastazji, która przeżyła siedemnaście lat i jeden miesiąc. Innym argumentem był jej wzrost. Liczne fotografie Anastazji stojącej obok sióstr wykonane na rok przed egzekucją wskazywały, że była niższa niż Olga, znacznie niższa niż Tatiana i



Maria. We wrześniu 1917 roku, dziesięć miesięcy przed zamordowaniem carskiej rodziny, cesarzowa Aleksandra zapisała w dzienniku: "Anastazja jest bardzo tęga, tak jak kiedyś Maria, duża, szeroka w talii, o małych stopach. Mam nadzieję, że jeszcze urośnie". Czy to możliwe, aby Anastazja na rok przed śmiercią urosła jeszcze sześćdziesiąt centymetrów? Możliwe, twierdzi Maples, ale niezwykle mało prawdopodobne. Kolejnym argumentem przemawiającym za takim wnioskiem był rozwój zębów mądrości w czaszkach trzech odnalezionych szkieletów córek. Badający je doktor Levine potwierdza wnioski, do których doszedł Maples. - On zbadał szczątki z punktu widzenia antropologii, ja z punktu widzenia stomatologii; wiek ofiar ustaliliśmy niezależnie od siebie - mówi doktor Levine. - Kiedy porównaliśmy nasze wyniki okazało się, że doszliśmy do tych samych wniosków. Poza tym, co dla Maplesa stanowiło najważniejszy dowód, rozwój kręgosłupa jest znakomitym wyznacznikiem wieku. Jego zdaniem żaden z kręgosłupów nie posiadał cech charakterystycznych dla siedemnastoletniej kobiety. Później, już w swoim laboratorium, Maples tłumaczy, że gdy ludzie rosną, ich kości wydłużają się na końcach. Powstaje tam miękka warstwa przypominająca chrząstkę, która stopniowo twardnieje, zanika i przekształca się w kość; kości stają się dłuższe, a człowiek wyższy. Natomiast kręgi rosną wówczas, gdy na ich górnych i dolnych krawędziach tworzą się i twardnieją chrząstki. - U osoby starszej (lub w niektórych fragmentach kręgosłupa młodszego człowieka) zwrócone ku sobie powierzchnie trzonów kręgów są zrosnięte płytkami chrzęstnymi zwanymi krążkami międzykręgowymi; ale gdy wiele z kręgów jest częściowo zrosniętych, nie do końca uformowanych, stanowi to wskazówkę, że mamy do czynienia z kimś młodym. Śmierć naturalnie zatrzymuje proces przekształcania chrząstek w kości i w kościach szkieletowych młodych ludzi chrząstki zamieniają się w żółtawą, lepką substancję, która kruszy się i łuszczy. W swoim laboratorium Maples ma wiele szkieletów ludzi w wieku dojrzewania i pokazuje je, aby wyjaśnić, co ma na myśli. - Krążki międzykręgowe tej osoby jeszcze rozwijały się i dlatego są złuszczone. . . Tutaj pierścień włóknisty krążka jest już niemal zrosnięty z kręgiem, a w tym miejscu jest jeszcze nie uformowany. . . Natomiast w tym miejscu prawie całkowicie się złuszczył. . . Tutaj jest cały, z tej strony widać tylko jedną ryse, ale z boków widać szczelinę. Maples prowadząc w Jekaterynburgu badania wykorzystał swoją wiedzę i doświadczenie: - Kobiety z tej samej grupy wiekowej dorastają szybciej niż mężczyźni. - Siedemnastoletnia kobieta powinna mieć kręgi nie w pełni uformowane, takie jak te. Tymczasem żaden ze szkieletów znalezionych w Jekaterynburgu nie miał kręgów nie zrosniętych z krążkami międzykręgowymi. Coś takiego po prostu nie może mieć miejsca u siedemnastolatki, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Od tamtej pory jeden z moich studentów napisał na ten temat pracę magisterską; żadna ze zbadanych kobiet w wieku

siedemnastu lat nie miała w pełni uformowanych kręgów. Maples zdaje sobie sprawę, że pomiędzy wynikami jego badań a wynikami doktora Abramowa istnieje sprzeczność. - Uważam, że nie odnalezioną córką jest Anastazja, natomiast on twierdzi, że nie ma najmłodszej, Marii - mówi. - Nie zamierzam zmienić zdania. On też nie. Dlaczego doktor Maples jest pewien, że doktor Abramow się myli? Mówi o tym bez ogródek; uważa, że metoda rekonstrukcji czaszek obrana przez Abramowa, polegająca na sklejeniu ich fragmentów, jest zła. Pracę tę - twierdziwykonano niefachowo i niestarannie, przez co wszelkie próby porównywania kształtu czaszek z fotografiami są z góry skazane na niepowodzenie. Rekonstrukcja czaszki z jej fragmentów jest możliwa, lecz należy to robić niezwykle ostrożnie. - W swojej pracy często posługuję się tą metodą - mówi - i właśnie dlatego wiem, że nawet gdy posiada się wszystkie fragmenty kości, niewielkie ich przemieszczenie podczas klejenia może doprowadzić do kilkumilimetrowych różnic. A potem, gdy usiłujemy przykleić kolejny fragment, nic do siebie nie pasuje, powstaje szpara zbyt duża lub zbyt mała, aby przykleić następny kawałek. Pozostałych fragmentów również nie można przykleić właściwie, ponieważ wcześniej popełniło się błąd. W przypadku Romanowów brakuje całych fragmentów twarzy (u córek są to kości jarzmowe). Rozmawiając z Abramowem Maples w pewnej chwili zapytał: Jak postępował pan, gdy brakowało niektórych wskaźników antropologicznych?

A Abramow odparł:

- Przymierzaliśmy fragmenty "na oko". Takie postępowanie, zdaniem Maplesa, jest nie do przyjęcia. - Rosjanie ciężko pracowali starając się zrekonstruować ciało nr 6 - mówi - klejem wypełniając liczne szczeliny. Ponieważ nie dysponowali wszystkimi fragmentami kości, niewiele z nich styka się bezpośrednio ze sobą. Była to z pewnością bardzo ciężka praca, ale nie mogę ufać jej wynikom. Gdy zobaczyłem co zrobili, tym bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że szkieletu Anastazji nie odnaleziono. Równie krytycznie doktor Maples wypowiada się o metodzie Abramowa polegającej na nakładaniu obrazu. - Sam używam podobnej metody - mówi - ale robimy to inaczej. Przed jedną z kamer ustawiamy fotografię, czaszkę filmujemy z drugiej i nakładamy obraz na jednym monitorze. Pozwala to na zmianę kąta, z którego filmowana jest czaszka, i odległości od kamery, ale nigdy nie wpływa na zmianę proporcji pomiędzy twarzą na fotografii a czaszką. Taka metoda uniemożliwia jakąkolwiek manipulację danymi. Poza tym robię to tylko za pomocą kamer. Gdy wykorzystuje się do tego komputer, po przetworzeniu danych nagle może okazać się, że wszystko do wszystkiego pasuje. Prawdę mówiąc metoda Abramowa właśnie opiera się na tym, że wszystko zaczyna się od czaszki, którą dygitalizuje się w trzech wymiarach za pomocą zaledwie kilku punktów.

Następnie obraca się już nie czaszką, lecz jej komputerowym odzwierciedleniem, tak długo, aż będzie pasowała do fotografii. Przed przyjazdem do Jekaterynburga Maples nosił się z zamiarem przywiezienia sprzętu do elektronicznego miksowania obrazów. - Ale ponieważ czaszki uległy poważnym uszkodzeniom, postanowiłem nie korzystać z tej metody nawet w celu ustalenia, czy rzeczywiście mamy do czynienia z carską rodziną, nie mówiąc już o rozróżnieniu trzech sióstr wyjaśnia Maples. - A potem dowiedziałem się, że Abramow identyfikację sióstr oparł na sklepanych przez siebie fragmentach czaszek. Gdy okazało się, że wyniki jego badań są sprzeczne zarówno z wynikami badań szkieletów przeprowadzonych przeze mnie, jak i z badaniem uzębienia, dokonany przez Loweua, nie mogłem zaakceptować tezy, jakoby jedną z odnalezionych sióstr była Anastazja. Z drugiej strony Maples w pełni zgadza się z Abramowem, że odnalezione szczątki należą do Romanowów. Dziewięć szkieletów pod względem płci, wieku, wzrostu i budowy odpowiada dziewięciu osobom więzionym w domu Ipatiewa. - Gdyby ktoś usiłował odtworzyć podobną grupę osób o tych samych charakterystycznych cechach, należałoby najpierw przeprowadzić długie badania, a potem uśmiercić dziewięć osób pod względem budowy odpowiadających szkieletom odnalezionym w grobie. Maples uważa to za tak nieprawdopodobne, że w zasadzie niemożliwe. A co stało się z dwoma brakującymi ciałami? Doświadczenie Maplesa podpowiada mu, że zabito wszystkich jedenaścioro więźniów. Biorąc pod uwagę okrucieństwo oprawców, wydaje się mało prawdopodobne, aby komukolwiek udało się uniknąć śmierci w piwnicy domu Ipatiewa. Dalszych wskazówek można szukać w relacji Jurowskiego, którą Maples uważa za wiarygodną. Jurowski opisuje spalenie dwóch ciał: ciała carewicza oraz kobiety, którą Jurowski najpierw uznał za Aleksandrę - później doszedł do wniosku, że to Demidowa. Zdaniem Maplesa ciało to należało do Anastazji. Ale jak to możliwe, aby Jurowski pomylił ciało siedemnastoletniej dziewczyny z ciałem dorosłej kobiety - czy byłaby nią czterdziestosześcioletnia carowa, czy też czterdziestoletnia pokojowa? Zdaniem Maplesa odpowiedzi na to pytanie należy szukać w zmianach, jakie zachodzą w ludzkim ciele podczas rozkładu. Carską rodzinę zabito w połowie lipca, kiedy średnia temperatura w dzień wynosi dwadzieścia jeden stopni. Twarze zostały zmasakrowane kolbami karabinów. Nasączone krwią włosy zaschły i utworzyły czarną, zlepioną masę. Gdy nagie ciała ofiar rozłożono na ziemi, ich płęć nie pozostawiała żadnych wątpliwości, ale poza tym nie można ich było rozróżnić. Maples niekiedy ma do czynienia z ciałami młodych dziewcząt, które w zaledwie kilka dni po śmierci trudno odróżnić od ciał kobiet w średnim wieku. Na tym proces rozkładu się nie kończy. Gdy ciała leżą na wolnym powietrzu, muchy składają jaja w oczach, nosie i - w przypadku tych ofiar - w ranach zadanych bagnetami. W ciągu dwóch dni w tak wysokiej temperaturze z jaj

wykluwają się larwy. . . Nie trzeba nic więcej dodawać, aby zrozumieć, dlaczego Maples jest przekonany, że Jurowski nie wiedział, czyje ciało zostało spalone.

W kwietniu 1993 roku doktor William Hamilton, lekarz sądowy z Gainesville, towarzyszył Maplesowi podczas drugiej podróży do Jekaterynburga. Później poprosiłem go, aby - na podstawie swojego doświadczenia - wyjaśnił, jakie myśli towarzyszą oprawcy, który zabija swoje ofiary strzałami z pistoletu, zakłuwa bagnetem i kolbą karabinu miążdży ich twarze. - Myślę, że w przypadku takich zabójstw wygląda to podobnie - odpowiada Hamilton. - Oprawca depersonalizuje ofiarę, widzi w niej nie człowieka, lecz symbol tego, z czym walczy. Zabija reżim, cara, pozbywa się złej przeszłości i tworzy nowy porządek. Wielokrotni mordercy postępują podobnie. Zazwyczaj odczłowieczają swoje ofiary, po czym popełniają zbrodnie tak okrutne, że zwykli ludzie nawet nie potrafiliby sobie czegoś podobnego wyobrazić. Podejrzewam, że po tym jak zapadła decyzja o zabiciu więźniów, w okolicznościach, jakie miały miejsce w domu Ipatiewa, oprawcy starali się wykonać swoją powinność jak najsumiennie. Ludzie, gdy strzela się do nich z karabinów, nie umierają tak, jakby człowiek sobie tego życzył. Wciąż żyją, jęczą, wstrząsają nimi konwulsje. Toteż gdy w karabinach i strzelbach zabraknie kul, należy posłużyć się innymi metodami. A pod ręką były bagnety i kolby karabinów. Dlatego jestem pewien, że tej masakry nikt nie przeżył.

## 7. Konferencja jekaterynburska

Po trzech dniach badań szczątków Romanowów Maples i jego zespół nie powrócili od razu do USA, ponieważ władze okręgu swierdłowskiego organizowały konferencję: "Ostatnia karta historii carskiej rodziny: Wyniki badań jekaterynburskiej tragedii". Na konferencję przybyło około stu osób, wygłoszono dwadzieścia odczytów (głównie przez naukowców z byłego Związku Radzieckiego i różnych regionów Rosji). Konferencję otworzył Edward Rossel, szef okręgu swierdłowskiego. Następnie Aleksander Awdonin opowiedział o tym, jak wspólnie z Gelijem Riabowem odnalazł szczątki, a profesor Krtikow z Moskwy potępił ich za to, iż podczas ekshumacji "pogwałcili elementarne zasady archeologii". Mikołaj Niewolin przedstawił wyniki badań kości wydobytych z grobu. Profesor Popow z Sankt Petersburga opisał uszkodzenia kości spowodowane strzałami z karabinów. Doktor Swietłana Gurtowaja, podwładna doktora Płaksina, opisała włosy łonowe z ciał nr 5 i 7 oraz "obiekty przypominające włosy" z ciała nr 4. Wszystkie one "okazały się niezwykle kruche, pod dotykiem zamieniały się w pył". Doktor Abramow wyjaśnił metodę identyfikacji członków rodziny, przy której wykorzystuje się komputerowe nakładanie obrazu. Doktor Filipczuk z Kijowa wytłumaczył, w jaki sposób na podstawie badania czaszki, rozmiarów kości i miednicy ustalił wiek, płeć i wzrost ofiar.

Wiktor Zwiagin z Moskwy wyraził przekonanie, że ciało nr 1 (w którym Abramow i Maples dopatrzili się służącej Demidowej) należy do mężczyzny; Filipczuk sprostował słowa Zwiagina mówiąc: - Według naszej wiedzy szkielet ten należał do rosłej kobiety. . . Nie ma żadnych wątpliwości, że miednica tego szkieletu dowodzi, że była to kobieta.

Doktor Paweł Iwanow z moskiewskiego Instytutu Biologii Molekularnej mówił o dalszych informacjach, które można by uzyskać przeprowadzając badania DNA, być może w Anglii. Nie wszyscy mówcy byli naukowcami. Jeden z nich zajął się mundurami noszonymi przez Mikołaja II (które miały odzwierciedlać osobowości cara). Natomiast monarchista z Moskiewskiego Stowarzyszenia Rosyjskiej Arystokracji przedstawił się jako reprezentant, jej Cesarskiej Mości wielkiej księżnej Marii Władymirowny i cesarzowej wdowy wielkiej księżnej Leonidy Georgiewny". Głos zabrał także milioner z Liechtensteinu, baron FalzFein. Mówił wyłącznie o sobie, o majątku ziemskim, w którym się urodził ("Askania Nowa" była największą posiadłością ziemską w Rosji") oraz o swoim oddaniu rosyjskiej kulturze i historii. Przemówienie przedstawiciela amerykańskiego zespołu nie było przewidziane, ale na końcu

konferencji poproszono Maplesa o przedstawienie wyników badań. Bezpośrednio po serii odczytów zadano mu pytanie: Jaki pański zdaniem jest poziom rosyjskiej archeologii i medycyny sądowej, skoro w ciągu trzech dni udało się panu zrobić to, co naszym ludziom zajęło okrągły rok? Maples udzielił dyplomatycznej odpowiedzi: - Proszę nie zapominać, że rosyjscy naukowcy wiele czasu poświęcili na rekonstrukcję szkieletów oraz fragmentów kości i czaszek. Po wykonaniu tej żmudnej pracy mnie i moim współpracownikom wystarczył jeden rzut oka. Choć Amerykanie nie znali rosyjskiego, byli zdumieni brakiem jakiegokolwiek koordynacji i współpracy pomiędzy rosyjskimi naukowcami. Wyglądało na to, że każdy z nich specjalizował się w badaniu innej części ciała i stosował przy tym inną metodę. Ekspert z Saratowa specjalizował się wyłącznie w ludzkich nadgarstkach i wyczytywał z nich całą wiedzę o szkielecie, włącznie z wiekiem. Michael Baden twierdzi, że najlepszą metodą na określenie wieku szkieletu jest przeprowadzenie badań nie tylko czaszki, ale także zębów, kręgosłupa i miednicy. - Ale - wzrusza ramionami Baden - gdy czyjaś wiedza antropologiczna ogranicza się do nadgarstka, wszystko robi się nadgarstkiem. . . Niektórzy Rosjanie pilnie strzegli wyników swoich badań. Maples i członkowie jego zespołu byli przyzwyczajeni do zachodnich konferencji naukowych, których podstawowym celem jest dzielenie się wynikami badań. Maples tłumaczył później, że przed konferencją zachodni naukowcy często przygotowują streszczenia swoich odczytów, które celowo nie są wyczerpujące, ponieważ nie zakończyli jeszcze badań. Ale na samej konferencji prezentowana praca naukowa musi zawierać wyniki badań, ich analizę oraz wnioski. Pod tym względem najbardziej zafascynowała go pani Gurtowaja, serolog z Moskwy, której praca naukowa dotyczyła ustalenia grupy krwi na podstawie badania włosów. Na konferencji powiedziała, że pobrała z grobu próbki kości i włosów i dokonała rozróżnienia pomiędzy grupą krwi A, B i 0, lecz ani słowem nie wspominała o wynikach tych badań. Maples, siedzący obok władającego angielskim rosyjskiego historyka sztuki, zwrócił się do swojego sąsiada: - Proszę ją zapytać, czy udało jej się ustalić grupę krwi poszczególnych ofiar. Rosjanin powtórzył pytanie, dodając, że zadał je siedzący obok niego Amerykanin. - Rosjanka powiedziała "da" i umilkła - wspomina Maples. - Powiedziałem: "Proszę spytać, czy wyniki uzyskała badając włosy, czy kości". "I to, i to" odparła. Powiedziałem: "Czy wyniki były takie same w przypadku włosów i kości". Rosjanin powtórzył pytanie, a ona odpowiedziała "da". Więc powiedziałem: "Proszę spytać o wynik badania grupy krwi, a ona odparła: "O, każdy z nas ma swoje małe sekrety". Te słowa przypomniały Maplesowi pewne powiedzenie: - "W Rosji wszystko jest tajne, ale nie ma żadnych tajemnic". Prawdę mówiąc w ciągu niecałych pięciu minut ktoś poinformował mnie, jaki otrzymała wynik: A+. Cathryn Oakes, członek zespołu Maplesa, specjalistka badająca

włosy i włókna, jeszcze gorzej wspomina rozmowę z Rosjanką. Oakes przyjechała z Ameryki, ponieważ powiedziano jej, że w grobie znaleziono ludzkie włosy. Gdy tylko przybyła do Jekaterynburga, spytała: - Czy mogę zobaczyć włosy? - Włosy są w Moskwie - odpowiedziano jej. Ale, ciągnął jej informator, do Jekaterynburga już za kilka dni przybędzie ekspert Gurtowaja, która przywiezie je ze sobą. Gdy Gurtowaja przyjechała, Oakes przedstawiła się i spytała: - Czy mogę zobaczyć włosy? - Naturalnie - odparła Gurtowaja. Ale nie przekazała jej żadnych włosów. Przy następnym spotkaniu wyjaśniła Oakes, że "włosy były do niczego". Do dziś Oakes nie wie, komu wierzyć: - Rzeczywiście wyglądało na to, że nie przywiozła ze sobą włosów. Możliwe też, że miała je i po prostu nie chciała mi ich pokazać. Tak czy owak niczego mi nie pokazano, nie przeprowadziłam żadnych badań. Przy kolejnych wyjazdach do Rosji i Jekaterynburga Cathryn Oakes odmówiła udziału w pracach zespołu doktora Maplesa. Kiedy Maples przybył na konferencję, nie zdawał sobie sprawy, że rosyjski zwyczaj polegający na niechętnym dzieleniu się wiedzą doprowadzi do zatajenia informacji o obecności Amerykanów na konferencji - Plaksin i Abramow również o tym nie wiedzieli. - Nic o nas nie wiedzieli, dopóki nie weszliśmy do sali zadowolonych.

- Byli zaszokowani - zgadza się Loveu Lewine.

- Pomiedzy Moskwą i Jekaterynburgiem odbywało się nieustanne przeciąganie liny - wyjaśnia Maples. - Moskiewscy eksperci chcieli, żeby szczątki wysłano do Moskwy, natomiast ludzie z Jekaterynburga woleli, aby wszystko zostało tutaj. W pewnym momencie Jekaterynburg zrozumiał, że przegrał. By szczątki pozostały na miejscu, należałoby stworzyć własny zespół. Ale w Jekaterynburgu nie było specjalistów w zakresie medycyny sądowej tego kalibru. Właśnie dlatego miejscowe władze zwróciły się z prośbą do sekretarza stanu Bakera, czego wynikiem był nasz przyjazd i to my - nie zdając sobie z tego sprawy - staliśmy się jekaterynberskim zespołem. W takiej właśnie atmosferze nieporozumień i tylko częściowo skrywanej wrogości William Maples (który wierzył, że nie odnaleziono wielkiej księżnej Anastazji) po raz pierwszy spotkał się z Sergiuszem Abramowem (przekonanym, że nie odnaleziono Marii). - Zaproszenie profesora Maplesa na jekaterynberską konferencję wystosowały wyłącznie władze miasta - mówił później Abramow. - Dowiedzieliśmy się o tym przez przypadek. To było dziwne; jemu pozwolono fotografować kości, choć my - eksperci rosyjscy - nie mogliśmy tego robić. Nie mam nic przeciwko doktorowi Maplesowi, bardzo go szanuję. Ale jego rola w całej tej historii wydała nam się zastanawiająca. Jeżeli prowadzi badania niezależnie od nas, to do czego my jesteśmy potrzebni? A jeżeli pracujemy razem, to dlaczego ukrywa się przed nami jego obecność? Nigdy wspólnie nie przebywaliśmy w

pomieszczeniu, w którym znajdowały się szkielety. Gdy na konferencji Maples oświadczył, że nie odnaleziono szkieletu Anastazji, Abramow podszedł do niego i poradził mu, żeby po powrocie do Ameryki nie rozgłaszał tej opinii. - Postąpiłem tak, aby go ochronić - wyjaśnia Abramow. - On badał kości przez trzy dni, my spędziliśmy nad nimi ponad rok. Dlatego też ze względu na niego nie chciałem, aby okazało się, że my mieliśmy rację, a on się mylił. Abramow naturalnie nie zdawał sobie sprawy, że na najbliższej konferencji prasowej Maples zamierzał ogłosić, że córką, której szczątków nie znaleziono w grobie, jest właśnie Anastazja. W rok później, w lipcu 1993 roku, Maples powrócił do Jekaterynburga, aby wystąpić w naukowym programie "Nova", realizowanym przez sieć telewizyjną PBS. W drodze powrotnej zatrzymał się w Moskwie i po raz pierwszy zatelefonował do Abramowa. - Doktor Maples był bardzo zmęczony - opowiada. - Wstał o czwartej rano, aby zdążyć na samolot z Jekaterynburga do Moskwy. Towarzyszyła mu ekipa telewizyjna, która sfilmowała, jak podajemy sobie ręce i odnosimy się do siebie po przyjacielsku. Maples wyjaśnił Abramowowi, na czym polega jego metoda mierzenia kości, na podstawie której stwierdził, że żadna z młodych kobiet nie mogła mieć siedemnastu lat. - Wtedy okazało się, że nie mierzyliśmy tych samych kości. My mierzyliśmy kość biodrową i udową; on mierzył kości przedramion, kości łokciowe i kość promieniową, które są o wiele mniej dokładnym wyznacznikiem wzrostu. Ale przecież, powiedział Maples, przepiłowaliście kość biodrową na pół", na co odparłem: "Nic podobnego. To zrobił ktoś inny, nawet nie wiemy kto. Ale zmierzaliśmy długość kości biodrowej, zanim została przecięta. Poza tym badania będą przeprowadzać także inni naukowcy". Podczas rozmowy Abramow wspominał o problemie dotyczącym kości przedramion, z którego Maples zdawał już sobie sprawę: - Kości należące do jednego szkieletu bez trudu mogły zostać zamienione z innymi. Ekshumacji nie przeprowadzono w sposób sumienny i staranny. A gdy już znalazły się na stołach w kostnicy, każdy mógł wziąć je do ręki i przez pomyłkę położyć w innym miejscu. Był tam profesor Popow - bez nas. Był tam profesor Zwiagin - bez nas. A teraz był tam profesor Maples również bez nas. Pod koniec spotkania Maples, starając się zachowywać pojeźnawczo, powiedział, że choć jego wyniki były inne, gdyby Abramowowi udało się bezsprzecznie udowodnić, że jeden ze szkieletów należy do Anastazji, "będę cieszyć się razem z panem". W odpowiedzi Abramow spytał, czy Maples słyszał o innym, znanym zachodnim naukowcu, który posługując się techniką nakładania obrazów byłby w stanie rozwiązać ten problem. Maples podał mu nazwisko profesora Richarda Helmera z Instytutu Medycyny Sądowej w Bonn, szefa zespołu kranioologów przy Międzynarodowym Stowarzyszeniu Lekarzy Sądowych. Abramow, który słyszał o znakomitej zawodowej reputacji Helmera i znał jego monografie, natychmiast zaprosił go do Moskwy. Fundusze, których



dostarczyła pewna komercyjna firma, pozwoliły pokryć wszelkie koszty i na początku września 1993 roku Helmer spędził pięć dni w Moskwie zaznajamiając się z metodą i wynikami Abramowa. Powiedział Abramowowi, że zna wszystkie tego typu istniejące programy i że jego program do nakładania obrazów jest najlepszy. Ponadto stwierdził, że wierzy w wyniki badań Abramowa oraz zgadza się z nim, iż jeden ze szkieletów należy do Anastazji. Po konferencji Abramow nadal proponował rozwiązanie problemu po przez zaproszenie do Jekaterynburga zarówno Helmera, jak i Maplesa. Zamierzał także zaprosić doktora Filipczuka z Kijowa. Ponieważ jednak nie udało się stworzyć takiego zespołu, obstaje przy uzyskanych przez siebie wynikach badań, podpierając się autorytetem profesora Helmera (oraz faktem, iż został on polecony przez doktora Maplesa). - Prawda wygląda tak, że za pomocą obecnie istniejących metod i na podstawie posiadanego przez nas materiału ostateczne rozstrzygnięcie, czy w grobie nie było Marii, czy Anastazji nie jest możliwe. Słowa te wypowiada Mikołaj Niewolin, dyrektor Zakładu Medycyny Sądowej okręgu swierdłowskiego, odpowiedzialny za jekaterynberską kostnicę, w której od czterech lat spoczywają szczątki. Dyrektor mieszka w wielopiętrowym bloku, niemal tuż obok kostnicy; ponieważ spóźniliśmy się na spotkanie z nim, Awdonin wszedł do środka, aby go odszukać, a my usiedliśmy pod szumiącymi topolami i przyglądaliśmy się dzieciom bawiącym się w świetle zachodzącego słońca. Wkrótce pojawił się Niewolin, dobrze zbudowany czterdziestoletni mężczyzna o spokojnym usposobieniu. Miał na sobie czarnopomarańczową amerykańską koszulkę z krótkim rękawem, którą podarował mu Loweu Levine. Jest antropologiem sądowym; do jego rutynowych zadań należy badanie przyczyn śmierci i samych zbrodni, popełnianych obecnie na Syberii. Ale te szczególne szczątki są mu dobrze znane. Pracował u boku Abramowa, a potem u boku Maplesa, zaznajamiając się z metodami badawczymi, którymi się posługiwali. Jego zdaniem obydwaj się mylą. - Maples twierdzi, że jest w stanie oszacować wiek ofiar z taką dokładnością, aby wykluczyć, że którakolwiek z ofiar była siedemnastoletnią kobietą - mówi Niewolin. - Owszem, można obliczyć pewną średnią. Ale profesjonalista wie, że z kości nie można wyczytać dokładnie ani wzrostu, ani wieku dorastającego człowieka. Zęby są bardziej miarodajne. Dentyści specjalizujący się w tych sprawach twierdzą, że są w stanie określić wiek ofiary z dokładnością do dwóch i pół roku. I to wydaje mi się rozsądne, w to jestem w stanie uwierzyć. W swoim krytycyzmie Niewolin ani nie atakuje, ani nie przyjmuje postawy obronnej. Zdaje sobie sprawę, że zarówno reputacja zawodowa Maplesa, jak i Abramowa przewyższa jego własną. Ale obstaje przy swoim zdaniu. Nie wierzy, aby Maples był w stanie dokładnie określić wiek na podstawie górnych i dolnych krawędzi kręgów. - Nie twierdzą, że zjawisko, o którym mówi doktor Maples, nie występuje; tak dzieje się zawsze. Ale proces ten nie jest

przypisany konkretnemu wiekowi, na przykład szesnastu lub siedemnastu lat. Medycynie o czymś takim nie wiadomo. Istnieją pewne przedziały czasowe - na przykład od czternastego do dziewiętnastego roku życia - kiedy występuje proces wzrostu. Myślę, że doktora Maplesa w błąd wprowadził fakt, że kości te leżały w ziemi przez ponad siedemdziesiąt lat. Ich powierzchnia została nieco zniszczona, przez co różnią się one od kości ofiar, które giną teraz, z którymi on - i myzwykle mamy do czynienia w laboratoriach. - Ponadto muszę stwierdzić, że określenie wieku na podstawie badania kręgosłupa nigdy nie było uważane za metodę wiarygodną, ani u nas, ani za granicą. Najlepsze wyniki uzyskuje się badając zęby, szwy czaszkowe oraz posługując się najbardziej wiarygodną "metodą Hansona", polegającą na badaniu struktury nasady kości długich. Są to najprostsze metody, które z największą dokładnością pozwalają oszacować wiek. Metoda ta nie ma nic wspólnego z kręgami. Amerykanie, Europejczycy, Rosjanie - wszyscy są tacy sami. A jeżeli ktoś będzie usiłował rozróżnić szczątki na podstawie wzrostu - to także się nie powiedzie. I tej trudności nie można usprawiedliwiać faktem, że kości zostały przepiłowane. . . Nawet gdyby były całe, dokładne określenie wzrostu byłoby niemożliwe. Więc gdy ktoś na podstawie wzrostu twierdzi, że to jest ta ofiara a to tamta, to uważam, że - delikatnie mówiąc - mija się z prawdą. Niewolin wypowiada się także o nakładaniu obrazów Abramowa: . Tego sposób jest nieco lepszy - mówi - ponieważ tutaj posługujemy się metodą eliminacji. Bierzemy jedną z ostatnich fotografii danej osoby, zrobioną tuż przed śmiercią, i nakładamy ją na obraz czaszki na ekranie. Jeżeli wizerunek czaszki odpowiada kształtom twarzy, możemy stwierdzić, że czaszka ta mogła należeć do osoby uwidocznionej na zdjęciu. Metoda ta działa lepiej w drugą stronę. Gdy czaszka nie pasuje do zdjęcia twarzy, możemy stwierdzić, że nie należy ona do osoby na zdjęciu. Tak więc wszystkie czaszki porównuje się ze wszystkimi fotografiami. Konkretna czaszka do niektórych z nich nie będzie pasowała, być może będzie pasowała tylko do jednej. Ale nie można uznać tej metody za rozstrzygającą, zwłaszcza w takim przypadku jak ten. Po pierwsze, metoda ta nie jest szczególnie wiarygodna, a po drugie w tym przypadku niemal wszystkie kości twarzy zostały zmiażdżone oraz uszkodzone przez kule.

Swoje osobiste wnioski Niewolin wypowiada z wymuszonym uśmiechem: - Rosyjscy naukowcy wierzą w jedno, amerykańscy w drugie. Ja uważam, że prawda wygląda jeszcze inaczej. Moim zdaniem obecnie spór o Marię i Anastazję nie może zostać ostatecznie rozstrzygnięty. Kobiety te były w podobnym wieku i nie różniły się wzrostem na tyle, aby eksperci - czy to rosyjscy, czy zagraniczni - mogli ustalić ich tożsamość. Jego zdaniem ostatecznie rozwiązanie można osiągnąć tylko tradycyjnymi metodami: poprzez odszukanie

archiwów lekarza carskiej rodziny i porównanie zębów, mostków, koron, wypełnień, złamanych kości oraz podobnych uszkodzeń pozostawiających trwałe ślady, oraz, jeżeli okaże się to możliwe, zdjęć rentgenowskich. Podobnie jak Loweu Levine, Niewolin jest przekonany, że dane te nie zaginęły i znajdują się gdzieś w archiwach. - Takie dokumenty nie giną, ale w naszym kraju tyle się wydarzyło, że tylko Pan Bóg wie, gdzie może się znajdować ta dokumentacja. Wierzę, że zostanie odnaleziona. A gdy już to nastąpi, znajdziemy odpowiedzi na wszystkie pytania. Dowiemy się, kto jest kim.

## 8. Doktor Gill

Siedemnasty referat na jekaterynburskiej konferencji w lipcu 1992 roku wygłosił doktor Paweł Iwanow. Obiektem zainteresowań Iwanowa, wesołego, ciemnowłosego, czterdziestoletniego biologa molekularnego z Moskiewskiego Instytutu Biologii Molekularnej im. Engelhardta (wchodzącego w skład Rosyjskiej Akademii Nauk) było badanie DNA. Iwanow powiedział, że pod koniec 1991 roku Władysław Płaksin, szef Instytutu Medycyny Sądowej, zwrócił się do niego z prośbą o zbadanie możliwości wykorzystania nowej metody badawczej do identyfikacji kości odnalezionych przez Aleksandra Awdonina i Gelię Riabowa. Iwanow zdawał sobie sprawę, że nie można tego zrobić w Moskwie. Nikt w Rosji "nie posiadał wystarczającego doświadczenia w badaniu kości tą metodą" - wyjaśnił na konferencji, poza tym w Rosji brakowało też odpowiedniej aparatury badawczej. Pomimo to, przebywając w grudniu 1991 roku w Londynie, odwiedził ośrodek kryminalistyki w Aldermaston, w Berkshire, należący do ministerstwa spraw wewnętrznych i rozpoczął negocjacje w sprawie utworzenia wspólnego zespołu, który składałby się z angielskich i rosyjskich specjalistów. Na początku lipca 1992 roku, już w dwa tygodnie po konferencji, rosyjskie ministerstwo zdrowia i brytyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych zawarły porozumienie. Wspólne badania prowadzone będą w Aldermaston; weźmie w nich udział doktor Peter Gill, dyrektor Centrum Badań Molekularnych z Ośrodka Medycyny Sądowej (FSS) ministerstwa spraw wewnętrznych, sir Alec Jeffreys z uniwersytetu Leicester (twórca metody, która za pomocą DNA pozwala ustalić tożsamość) oraz doktor Erika Hagelberg z uniwersytetu Cambridge (genetyk molekularny specjalizujący się w analizie fragmentów kości). Rosyjskim naukowcem w tym zespole miał być sam Iwanow. Wszystkie wydatki z wyjątkiem kosztów podróży miał pokryć brytyjski Ośrodek Medycyny Sądowej, a koszty podróży (ograniczające się właściwie do przelotu do Anglii i z powrotem) będą opłacone przez władze okręgu swierdłowskiego, które przychylnie ustosunkowały się do tego projektu. Iwanow wyjaśnił na konferencji, że testy przeprowadzone w Anglii pozwolą stwierdzić, czy pomiędzy dziewięcioma ekshumowanymi szkieletami występuje pokrewieństwo. Ponadto, o ile ze szczątków uda się pozyskać pozbawione zanieczyszczeń próbki DNA, i jeżeli żyjący potomkowie carskiej rodziny wyrażą zgodę na pobranie od nich próbek krwi, możliwe stanie się ostateczne rozstrzygnięcie, czy w grobie rzeczywiście spoczywały szczątki cara Mikołaja II i jego rodziny.

Fakt, że szczątki przekazywano do Anglii, ponieważ przeprowadzenie badań DNA w kraju nie było możliwe, był dla rosyjskich naukowców upokarzający. - Mieliliśmy już kiedyś naukowców zajmujących się genetyką molekularną, stosujących podobne metody - mówi Mikołaj Niewolin z wymuszonym uśmiechem. - Na przykład Wawilow zaczął używać tej metody; ale potem Stalin kazał rozstrzelać cały jego zespół i od tamtej pory pozostajemy w tyle. Gdy w 1953 roku umarł Stalin, Paweł Iwanow miał dwa lata. W dwadzieścia lat później, w erze Breżniewa, zrobił doktorat na wydziale biologii molekularnej uniwersytetu moskiewskiego ("najlepszego w Rosji, poważanego w Europie"). Zaczął od pracy w Instytucie Biologii Molekularnej w międzynarodowym zespole zajmującym się "odczytaniem" ludzkiego genomu. W 1987 roku jego zespół wynalazł metodę ustalania tożsamości na podstawie DNA, podobną (lecz nie tą samą) z wynalezioną przez Aleca Jeffreysa. Iwanow, nadal zajmując się badaniami podstawowymi, postanowił rozwinąć tę metodę, a jego pracami zainteresowały się Laboratoria Kryminalistyki i KGB. - Instytucje te interesowały się praktycznym zastosowaniem wyników moich prac i zaproponowały mi utworzenie laboratorium medycyny sądowej, w którym przeprowadzano by badania DNA - wyjaśnia. - Zgodziłem się, ponieważ bardzo mnie to interesowało, a biorąc pod uwagę wysoką przestępczość w Moskwie pomyślałem, że okażę się pomocny. Nie pracowałem dla KGB, nigdy nie byłem komunistą, natomiast zdawałem sobie sprawę z ogromnych możliwości zwalczania przestępczości, jakie daje ta metoda. Od tamtej pory mam dwie posady. W Instytucie Biologii Molekularnej nadal zajmuję się badaniami podstawowymi, jestem także doradcą do spraw DNA szefa Instytutu Medycyny Sądowej, doktora Płaksina. Później, gdy pojawiła się sprawa Romanowów, prokurator generalny Rosji mianował mnie głównym śledczym do spraw badań DNA. Iwanow miał dwoje dzieci i aby zarobić na życie, pracował w dwóch instytucjach. Jego żona, biolog, pełniła funkcję profesora nadzwyczajnego, zarabiała niewiele; pomagał też swojej matce, emerytowanej ekonomistce, otrzymującej bardzo skromną emeryturę. Pomimo wielu obowiązków uważał się za człowieka szczęśliwego. Podróżował znacznie częściej niż zdarza się to większości rosyjskich naukowców, brał udział w konferencjach nawet w Australii i Dubaju. Pracował w laboratorium DNA należącym do FBI w Waszyngtonie i odbywał częste podróże po Stanach Zjednoczonych. Dzięki badaniom dna szczątków Romanowów w połowie lat dziewięćdziesiątych stał się najbardziej znanym rosyjskim biologiem molekularnym. Latem 1994 swoim volvo pojechał z Moskwy do Bonn nad Dunajem w południowych Niemczech, aby zobaczyć DNA pobrane ze szczątków niedawno zmarłego rosyjskiego emigranta, który podawał się za carewicza Aleksego. Podczas wieczoru spędzonego w niemieckiej restauracji długo opowiadał o sprawie Romanowów: - Gdy Płaksin spytał mnie o zdanie, to ja zdecydowałem, że powinniśmy badania

przeprowadzić w Anglii. Zarówno AFIP, jak i laboratorium FBI w Waszyngtonie są znakomite, ale ja wybrałem Petera Gilla, ponieważ znałem go osobiście, a brytyjski Ośrodek Medycyny Sądowej jest najlepiej przystosowany do przeprowadzenia tego rodzaju śledztwa - badania DNA mitochondrialnego. Poza tym brałem już pod uwagę zwrócenie się o pomoc do księcia Filipa. Wiedziałem, że będzie skłonny nam pomóc, jeśli badania zostaną przeprowadzone w Anglii. Należało znaleźć sponsorów. W przypadku naukowców rosyjskich zawsze najważniejszą sprawą są fundusze. Nie ma barier politycznych, ale są finansowe i nie wszystko jest możliwe. 15 września 1992 roku Paweł Iwanow znalazł się na pokładzie odrzutowca lecącego z Moskwy do Londynu. W bagażu podręcznym, zapakowane próżniowo w folię polietylenową, znajdowały się próbki kości udowych pobrane z dziewięciu szkieletów z jekaterynberskiej kostnicy. Na lotnisku Heathrow Iwanow spotkał się z Nigelem McCrery, producentem z telewizji BBC, który brał udział w negocjacjach związanych ze sprowadzeniem kości do Anglii.

McCrery uważał, że "przewożenie carskiej rodziny w bagażniku volva jest niestosowne i wynajął karawan marki Bentley. Tak to właśnie, z wielką pompą, szczątki Romanowów, Iwanow i McCrery zajechali przed dom Petera Gilla. Dom położony był w lasach, w pobliżu Aldermaston, gdzie trzej panowie zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie. Następnego dnia rano Gill i Iwanow przetransportowali szczątki do pilnie strzeżonego, ogrodzonego wysokim drutem kolczastym Instytutu Badań Jądrowych brytyjskiego ministerstwa obrony. Wewnątrz ogromnego kompleksu, w jednym z niewielkich budynków na obrzeżu, mieści się Ośrodek Medycyny Sądowej. W ciągu kolejnych dziesięciu miesięcy Giu i Iwanow wraz z całym zespołem zamierzali podjąć próbę porównania DNA pobranego z jekaterynberskich szczątków między sobą oraz z próbkami DNA pobranymi od żyjących krewnych carskiej rodziny.

Gdyby Centrale Laboratorium Kryminalistyki FBI sprywatyzowano, a jego pracownikom polecono "utrzymać konkurencyjność przy jednoczesnej trosce o klienta", oraz odmówiono finansowania z budżetu dopuszczając wypracowanie niewielkich zysków z opłat pobieranych za wykonywane usługi Udostępnione wszystkim zainteresowanym, przypominałoby ono swój brytyjski odpowiednik, Ośrodek Medycyny Sądowej (FSS) ministerstwa spraw wewnętrznych, w którym ostatnio przeprowadzono takie właśnie zmiany. Począwszy od lat trzydziestych przez pięćdziesiąt lat laboratoriu FSS służyło swoją pomocą wszystkim komendom policji na terenie Walii i Anglii. Eksperci z FSS przeprowadzali drobiazgowo badanie dowodów w przypadku morderstw, gwałtów, podpaień, włamań, stosowania narkotyków, otruc i fałszerstw.

Przybywali na miejsce zbrodni, badali ciała, odciski palców, broń, kule, plamy, poziom alkoholu we krwi, próbki odręcznego pisma i czcionki maszyn do pisania. Z Usług tych korzystała prokuratura Królewska, na której zlecenie eksperci FSS występowali w sądzie w charakterze biegłych. Obywatele Anglii płacili za Usługi płacąc podatki. W kwietniu 1991 roku FSS został owładnięty duchem Thatcherizmu, a zatrudnionych w nim sześćset naukowców i techników, pracujących w sześciu rozrzuconych po kraju laboratoriach, z dnia na dzień stało się wolnymi strzelcami, których zatrudnić mógł każdy. FSS przekształcono w firmę, która za swoje Usługi pobierała opłaty i miała przynosić zyski. Drzwi zostały otwarte dla wszystkich, oficjalnie nazywało się to "poszerzaniem bazy klientów". Z Usług zaczęli korzystać obrońcy, rządy innych państw, pracownicy firm ubezpieczeniowych, regionalne ośrodki opieki zdrowotnej i osoby prywatne. Dyrektor FSS generał Janet Thompson przyznaje, że "transformacja była gwałtowna". Na ogół naukowcom "świat biznesu wydaje się zbyt okrutny". W latach 1991-1992 liczba spraw zleconych przez policję spadła o osiemnaście procent, co spowodowało deficyt w wysokości 1,1 mln funtów, ale już następnego roku sytuacja uległa poprawie. Policja przekonała się do nowego systemu, płaciła za badania wykonywane na jej zlecenie i ośrodek wypracował zysk równy deficytowi z poprzedniego okresu. Jednak najbardziej spektakularnym wydarzeniem latem tamtego roku był fakt, że FSS i nazwisko jednego z najlepszych zatrudnionych w nim biologów molekularnych, doktora Petera Gilla, znalazły się w czołówkach gazet i to nie tylko w Anglii, ale na całym świecie. Doktor Gill, szef sekcji biologicznej FSS, jest szczupłym czterdziestoletnim mężczyzną średniego wzrostu, ma bladą twarz, nieco rozczochrane włosy i brązowe wąsy; nosi okulary o grubych szklach, zza których spoglądają bystre oczy. Na konferencjach pojawia się w ciemnogrnatowym garniturze, ale w laboratorium zazwyczaj ma na sobie zniszczony sweter, sfatygowane sztruksowe spodnie i stare buty. Gill urodził się w Essex, najpierw studiował zoologię na uniwersytecie w Bristolu, zrobił doktorat z genetyki na uniwersytecie liverpolskim, po czym przez pięć lat prowadził badania genetyczne na uniwersytecie Nottinham. W 1982 roku rozpoczął pracę w FSS w Aldermaston, której celem było zastosowanie konwencjonalnego badania grup krwi na potrzeby prokuratury. W 1985 roku, pomimo wielu przeciwników, rozpoczął badania nad wykorzystaniem DNA w medycynie sądowej. Zdając sobie sprawę ze znaczenia prac Aleca Jeffreysa przez pewien czas pracował w jego laboratorium i jeszcze w tym samym roku wspólnie z nim opublikował pracę naukową na temat DNA w medycynie sądowej. Metody opisane w tej pracy FSS wykorzystuje się obecnie na całym świecie. Gill jest autorem ponad siedemdziesięciu prac naukowych. Choć jest człowiekiem nieśmiałym i w rozmowie z obcymi zachowuje pewną powściągliwość; w jednej

sprawie wypowiada się zdecydowanie: jego laboratorium jest najlepszym tego typu ośrodkiem na świecie. nie - Utrzymaliśmy się w światowej czołówce - mówi. Dlatego też, jego zdaniem, było rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że Paweł Iwanow zdecydował się przywieźć szczątki do Aldermaston. - Iwanow już dawno pytał mnie, czy bylibyśmy zainteresowani w przeprowadzeniu tych badań - mówi Gill. Kiedy mnie o to poprosił, musiałem udać się do ministerstwa spraw wewnętrznych. Tam wzięto pod uwagę wszystkie polityczne aspekty tej sprawy i w końcu udzielono nam zgody. Politycznych aspektów było wiele, na różnych płaszczyznach. Najbardziej oczywistym problemem były stosunki panujące pomiędzy rządem Johna Majora a prezydentem Borysem Jelcynem. Obydwaj politycy byli zainteresowani urzeczywistnieniem przedsięwzięcia, które od dawna już planowano: wizyty królowej w Rosji. Rosji od 1908 roku, kiedy to król Edward VII wraz z królową Aleksandrą przyплыли jachtem do Tallina (wówczas Rewola), aby złożyć wizytę carowi Mikołajowi II i cesarzowej Aleksandrze, nie odwiedził żaden monarcha Angielski.

Michał Gorbaczow i Borys Jelcyn wystosowali do królowej zaproszenie, a zarówno jej królewskiej mości, jak i brytyjskiemu ministerstwu spraw zagranicznych zależało na tej wizycie. Ale istniały sprawy, które należało najpierw załatwić. Rodzina carska i angielska rodzina królewska były ze sobą spokrewnione. Król Jerzy V, dziadek Elżbiety II, był kuzynem Mikołaja II. Pomiedzy kuzynami istniało tak duże podobieństwo, że na ślubie Jerzego często mylono Mikołaja z panem młodym. Król Jerzy był także kuzynem carowej Aleksandry. Wiosną 1917 roku po abdykacji cara, kiedy to Aleksander Kiereński wraz z Rządem Tymczasowym usiłował zapewnić carskiej rodzinie bezpieczeństwo wysyłając jej członków za granicę, król Jerzy V początkowo zgodził się na propozycję przewiezienia swoich rosyjskich kuzynów w bezpieczne miejsce. Później jednak obawiając się, że niepopularność byłego cara w Anglii mogłaby zszargać reputację monarchii brytyjskiej - zmienił zdanie i nie zgodził się na ich przyjazd. Tym samym przypieczętował los Mikołaja, jego żony i pięciorga dzieci. Gdy droga do Anglii została zamknięta, Kiereński umieścił rodzinę na Syberii mając nadzieję, że nie dotrą tam bolszewicy. W siedem miesięcy po upadku jego rządu, carska rodzina nadal tam przebywała i dostała się w ręce Lenina. Katastrofa ta była powodem wzajemnego obwiniania się. Członkowie carskiej rodziny, którym udało się uciec, arystokraci, którzy wyemigrowali, oraz biali na obczyźnie, w gorzkich słowach oskarżali króla Jerzego, jego rodzinę i następców tronu. Przez ponad siedemdziesiąt lat wielu Rosjan żywiło do Anglii urazę i odnosiło się do niej z wielką nieufnością. Brytyjska rodzina królewska jest świadoma tej wrogości. Na przestrzeni lat starano się pomniejszyć rolę króla w tragedii Romanowów, a oficjalnym biografom króla



Jerzego V doradzano, aby pominęli wydarzenia i incydenty, które mogą zostać uznane za niegodne. W 1992 roku przewiezienie szczątków Romanowów do Anglii i zbadanie ich mogło przyczynić się do uspokojenia tych nastrojów. Wedle rzecznika prasowego FSS, którego zadaniem jest udzielanie odpowiedzi na wszelkie pytania nie związane bezpośrednio z badaniami (na te ostatnie odpowiada doktor Gill), decyzja o sprowadzeniu szczątków do Aldermaston została podjęta przez Janet Thompson, dyrektora FSS, czyli na względnie niskim szczeblu. - Naturalnie, biorąc pod uwagę rangę tej sprawy - powiedział rzecznik - została ona przedstawiona ministrowi spraw wewnętrznych, który mógł zgłosić swoje veto. Rzecznik nie wiedział, czy Kenneth Dark przedyskutował ten projekt z ministrem spraw zagranicznych i premierem i czy prowadzono w tej sprawie konsultacje z członkami rodziny królewskiej. Jednak gdyby sprawa nie została wcześniej uzgodniona, doktor Thompson i Kenneth Dark brali na siebie ogromną "historyczną i dyplomatyczną" odpowiedzialność, znacznie przekraczającą ich kompetencje. W jednej sprawie Thompson - z pewnością za zgodą Darka - podjęła samodzielną decyzję, polegającą na niezastosowaniu się do wydanego przez panią Thatcher zarządzenia, aby FSS pobierało za swoje usługi opłaty, pomimo iż na badania szczątków Romanowów wydano znaczne sumy. - Zbadaliśmy całą dziewiątkę - powiedział Peter Gill. - To sporo kosztowało. - Tak, to było bardzo drogie - zgodził się z nim rzecznik jednocześnie dodając, że nie jest w stanie podać żadnych liczb. Sumę tę jednak można określić w przybliżeniu. W rok później FSS prowadziło negocjacje na temat przeprowadzenia badań DNA pewnej kobiety. Badania miały zostać przeprowadzone w oparciu o próbki tkanki i krwi, z których DNA można pozyskać znacznie łatwiej niż z kości spoczywających przez długi czas w ziemi. Za wykonanie tej pracy FSS zażądało zaliczki w wysokości pięciu tysięcy funtów oraz specjalnego bankowego depozytu tej samej wysokości. Ostatecznie wszystkie pieniądze zostały przeznaczone na badania. Identyfikacja szczątków Romanowów wymagała przeprowadzenia badań DNA w celu porównania fragmentów kości z dziewięciu szkieletów z próbkami krwi pobranymi od co najmniej trzech żyjących krewnych. Szacunkowe koszty (przyjmując wysokość wydatków poniesionych na znacznie prostsze badania) wynoszą w wypadku przeprowadzenia dwunastu takich badań sześćdziesiąt tysięcy funtów (ponad sto tysięcy dolarów). Doktor Mansukhani z Centrum Medycznego przy uniwersytecie nowojorskim, biolog molekularny rutynowo przeprowadzający badania DNA, twierdzi, że powyższa suma wydaje się wielce prawdopodobna. W ministerstwie spraw wewnętrznych i FSS wydatki te zaksięgowano jako "badania podstawowe".

Ciało dorosłego człowieka składa się z 80x10 komórek i choć różnią się one między sobą, wszystkie posiadają jedną wspólną cechę: każda zawiera całą genetyczną informację, niezbędną do stworzenia kompletnej i неповtarzalnej istoty ludzkiej. Ta wiedza przekazywana jest w chromosomach; u zdrowego człowieka w jądrze każdej komórki jest ich 46: 23 od matki, 23 od ojca. Chromosomy utworzone są z molekuł DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy), w których chemicznej strukturze przechowywana jest informacja genetyczna. Molekuły DNA zbudowane są z czterech substancji chemicznych (zasad), a kolejność ich występowania zawiera ilość informacji wystarczającą do stworzenia i sprawowania kontroli nad powstaniem człowieka. Dla uproszczenia biologowie molekularni zasady te nazwali od ich początkowych liter A, G, C, i T (adenina, guanina, cytozyna, tymina). Zasady występują w parach; A wiąże się z T, G łączy się z C. W 1953 roku James Watson i Francis Crick odkryli molekularną strukturę DNA. Ich model budowy przestrzennej DNA to ciasno skręcone wstęgi, z których każda przypomina drabinę skręconą w spiralę, gdzie zasady A, C, G i T tworzą szczeble, a boki, do których są one przytwierdzone, utworzone są naprzemiennie z molekuł cukru i fosforanu. Watson i Crick nazwali swoje odkrycie podwójną helisą. Niepowtarzalność budowy każdego człowieka bierze się z różnicy w kombinacjach tych czterech zasad w DNA. Na przykład w pewnym miejscu u kogoś będą występowały A, C, G, T, C, C, T, a u innej osoby w tym samym miejscu znajdą się A, T, T, C, A, G, C. Bez względu na kolejność tych "cegiełek", każda komórka ludzkiego ciała zawiera ten sam ciąg kwasów nukleinowych, w których zawarta jest ta sama informacja. Jednak aby uniknąć błędów wynikających z nadmiaru informacji, natura wykorzystuje tylko te informacje, które niezbędne są do funkcjonowania danej komórki.

Każda komórka wraz z 46 chromosomami zawiera około 3,3 miliarda "cegiełek" DNA połączonych w gen. złożone z podwójnych spiral. Gdyby po zwiększyć tę strukturę tak, aby na każdy centymetr przypadało pięć liter (A, G, T, C, 'T), do zapisania sekwencji jednego chromosomu potrzebna byłaby kartka papieru o długości dwustu sześćdziesięciu kilometrów. Około 99,9 procent z 3,3 miliarda "cegiełek" w każdej z komórek powtarza się u wszystkich ludzi; dzięki temu wszyscy ludzie odznaczają się podobnymi cechami charakterystycznymi: mają dwoje oczu, dwoje uszu, jeden nos, dziesięć palców u nóg, krew, ślinę, kwasy żołądkowe itd. Jednak w przypadku pozostałej 0,1 procent, czyli 3,3 miliona "cegiełek", ich kolejność jest inna. I właśnie fakt, że u poszczególnych ludzi różnice występują na poziomie molekuł, pozwala naukowcom stwierdzić, od którego człowieka pochodzi dana próbka kości, tkanki, krwi, nasienia lub śliny. Na początku lat osiemdziesiątych doktor Alec Jeffreys pracując na uniwersytecie w Leicester dostrzegł ogromne możliwości ukryte w DNA, które można

wykOrzyStaĆ do UStalania tOŻSamOŚCi. POSługując się izotopami i błoną fiunową stworzył obraZ nici DNA pobranych z ludzkich kości. Efekt jego pracy przypomina nieco kod kreskowy, jakim oznaczone są towary sprzedawane w Supermarketach. Ten wzór - zwany przez Jeffreysa "odciskami palców DNA" pozwala na porównanie DNA poSzczególnych osób. Ponieważ u dzieci połowa "cegiełek DNA" pochodzi od matki a połowa od ojca, Za pomocą tej metody można ustalić (bądź wykluczyć) pOkrewieństwo. W 1983 roku pewnemu chłopcu odmówiono prawa do osiedlenia się w Wielkiej Brytanii, ponieważ podano w wątpliwoŚć jego oŚwiadczenie, iż jest Synem obywatelki Thany uprawnionej do zamieszkania w Anglii. Nowa metoda badania DNA pozwoliła stwierdzić, że chłopiec rzeczywiście był jej synem; (prawdopodobieństwo, aby kolejność nukleotydów przypadkowo była taka, Sama, wynosi jeden do dziesięciu milionów). Jeszcze do niedawna, Od CzaSU gdy w dziewiętnastym wieku odkryto, że linie papilarne u każdego człowieka są inne, nie było lepszej metody ustalania tOŻSamOŚCi. Jednak w ciągu niecałej dekady badania DNA stały się najważniejszą techniką, jak wSpółczesna medycyna sądowa. Metodę porÓwnań wykOrzyStUje się dziś w Sprawach o UStalenie ojcostwa niemal rutynowo. Mordercy identyfikowani są za pomocą próbek krwi, włosów, tkanek, Śliny (również zaschniętej). Próbki DNA pobrane z kości i z ZębÓw pOZwalają rOZwiązaĆ zagadki dotyczące osób zaginionych oraz ciał, których innymi metodami nie udało się zidentyfikować. DNA jest nie bywale trwałe; próbki pObierano już z mumii egipskiej sprzed trzech tysięcy lat, z mamuta sprzed siedmiu tysięcy lat, z zaschniętej śliny na znaczku pocztowym. I gdy postępuje się z nim w odpowiedni sposób, rezultat jest pewny. Żaden prokurator, adwokat, historyk, ksiądz, wyznawca jakiegokolwiek ideologii, słowem nikt nie jest w stanie podważyć tego, co jest istotą informacji zawartej w DNA: tego, że każdy człowiek jest niepowtarzalny. Dowody, jakich dostarcza DNA, są (jak powiedział pewien amerykański prokurator okręgowy) "niczym wskazujący kogoś palec Boży, czemu towarzyszą słowa to o ciebie chodzi!".

Ponieważ szczątki Romanowów zostały w znacznym stopniu zniszczone, Gill i Iwanow stali przed zadaniem znacznie trudniejszym niż w przypadku badania innych próbek DNA. Zaczęli od zdarcia w sterymnych warunkach kilkumilimetrowej zanieczyszczonej warstwy kości za pomocą elektrycznych szlifierek. Następnie kości zamrożono w płynnym azocie, poddano pulweryzacji i rozpuszczono w różnych roztworach, poczym odwirowano w celu uzyskania mikroskopijnej ilości DNA. Pobrane próbki okazały się tak zanieczyszczone, że Gill i Iwanow zdecydowali się na wykorzystanie jeszcze nowszej metody zwanej PCR (łańcuchowa reakcja polimerazy), w której pewne, wybrane fragmenty nici DNA, są chemicznie powielane tak

długo, aż w próbówce powstanie dostateczna ilość materiału DNA. Pobrawszy próbki DNA z jąder komórek zespół z Aldermaston określił wiek każdego ze szkieletów. Gen w męskim chromosomie X (u kobiet występują dwa chromosomy X) jest o sześć "cegiełek" dłuższy niż podobny gen w chromosomie Y (u mężczyzn występuje jeden chromosom X i jeden Y). Posługując się metodą PCR, naukowcy są w stanie uzyskać dostateczną ilość materiału, aby stwierdzić, czy występuje różnica sześciu cegiełek. W wyniku tych badań potwierdzono to, do czego Abramow i Maples doszli drogą antropologiczną: w grobie znajdowały się szkielety czterech mężczyzn i pięciu kobiet. Następnie, posługując się podobnymi metodami, Gill i Iwanow zbadali próbki pod kątem pokrewieństwa. Zjawisko zwane w skrócie STR (short tandem repeat) polega na powtarzaniu się sekwencji par nukleotydów w pewnych fragmentach chromosomu (na przykład T, A, T, T). U członków danej rodziny powtarzające się sekwencje stanowią pewną stałą; inna sekwencja lub inna liczba powtórzeń wskazuje na brak pokrewieństwa. Jeżeli szkielety należały do członków carskiej rodziny, wyniki w zasadzie były z góry wiadome. - W przypadku szkieletów od numeru 3 do 7 stwierdziliśmy pokrewieństwo - mówi Gill. - Przy czym szkielety 4 i 7 należały do rodziców dzieci 3, 5 i 6. Pokrewieństwo pozostałych czterech osób zostało wykluczone. Ponadto Gill w swoim raporcie stwierdził: Jeżeli szczątki należą do Romanowów [ . . . ], z badań wynika, że brakuje jednej z córek oraz carewicza Aleksego. Inne testy pozwoliły ustalić ojcostwo. STR DNA z ciała numer 4 odpowiadało ciałom numer 3, 5 i 6, co potwierdziło, że mężczyzną znalezionym w grobie był car Mikołaj, wraz z nim znajdowały się tam także jego trzy córki. Jedynie takie wnioski Gill i Iwanow byli w stanie wyciągnąć z próbek DNA pobranych z kości. Ich badania potwierdziły, że w grobie znajdowały się cztery szkielety mężczyzn i pięć szkieletów kobiet; stwierdzili, że znajdowała się tam rodzina: ojciec, matka i ich trzy córki. Lecz aby zidentyfikować te osoby - aby nadać im imiona - należało pójść innym śladem. Na szczęście DNA występuje w komórkach także w innej postaci - w mitochondriach, czyli poza jądrem. Ta postać DNA dziedziczona jest niezależnie od DNA występującego w jądrach; i choć ta pierwsza postać w połowie dziedziczona jest po matce a w połowie po ojcu, DNA mitochondrialne dziedziczy się wyłącznie po matce. Matki przekazują je swoim córkom z pokolenia na pokolenie, w stanie nie zmienionym. - Ten sam kod genetyczny znajdziemy u matki, babki, prababki i tak dalej - mówi Gill. W każdym ogniwie tego łańcucha synowie posiadają DNA mitochondrialne otrzymane od swych matek, lecz nie mogą go przekazać swoim dzieciom. Dzięki temu badając DNA pobrane z mitochondriów można ustalić tożsamość dowolnej kobiety w łańcuchu, na który składają się kolejne pokolenia matek i córek; możliwe jest także ustalenie tożsamości ich synów. Ale łańcuch urywa się na pierwszym mężczyźnie. Gill i Iwanow pobrali DNA mitochondrialne z

dziwięciu szkieletów przy wiezionych z Rosji; następnie próbki te "wzmocniono" posługując się metodą PCR. Ku radości naukowców, jak powiedział doktor Gill, "ilość materiału, jaką uzyskaliśmy, była niemal równa tej, jaką otrzymujemy ze świeżych próbek krwi". Skupiając się na dwóch niciach DNA i "odczytując" od 634 do 782 "liter" naukowcy otrzymali "charakterystyki DNA" wszystkich dziwięciu szkieletów. Następnie należało pobrać próbki od współcześnie żyjących krewnych, toteż rozpoczęto ich poszukiwania. Pracownicy FSS i ministerstwa spraw wewnętrznych zaczęli szukać w bibliotekach i studiować drzewa genealogiczne. Sporządzono listę osób, których krew z naukowego punktu widzenia nadawałaby się do badań. W przypadku cesarzowej Aleksandry sprawa nie była trudna. Jej starsza siostra, Wiktorja, księżna Battenberg, miała córkę Alicję, która została księżną Grecji. Księżna Alicja urodziła cztery córki i syna. W 1993 roku żyła tylko jedna z córek, księżna hanowerska Zofia, natomiast synem był Filip, książę Edynburga i mąż królowej Anglii, Elżbiety II. Książę Filip, syn siostrzenicy cesarzowej Aleksandry, był idealnym dawcą krwi; jej próbkę poddano badaniu i porównano z DNA mitochondrialnym z fragmentów kości cesarzowej. Tak więc doktor Janet Thompson, dyrektor FSS napisała do pałacu Buckingham pytając, czy książę byłby skłonny udzielić pomocy. Filip zgodził się i próbkę z jego krwią wkrótce dostarczono do Aldermaston. Badanie przeprowadzono na tych fragmentach DNA, gdzie pomiędzy nie spokrewnionymi ludźmi zachodzą największe różnice. W listopadzie Gill i Iwanow ogłosili, że wyniki badań były zgodne: sekwencja nukleotydów DNA w przypadku matki, trzech młodych kobiet i księcia Filipa była taka sama. Teraz Gill i Iwanow byli już pewni, że badane przez nich szczątki należą do Aleksandry Fiodorowny i trzech z jej czterech córek. Trudniejsze było zidentyfikowanie cara Mikołaja II. Prowadzone na całym świecie poszukiwania materiału, z którego można by pozyskać DNA w celu porównania go z DNA uzyskanym z kości udowej ciała nr 4, trwały długo i w wielu przypadkach budziły kontrowersje. Pierwszych prób podjął się Paweł Iwanow. Dowiedział się, że wielki książę Jerzy, młodszy brat Mikołaja II, który w wieku dwudziestu ośmiu lat w 1889 roku zmarł na gruźlicę, jest pochowany w mauzoleum Romanowów przy Soborze Pietropawłowskim w Sankt Petersburgu. Porównanie DNA obydwu braci byłoby zupełnie wystarczające. opuszczając Anglię, Iwanow skontaktował się z Anatolem Sobczakiem, burmistrzem Sankt Petersburga, i Włodzimierzem Sołowiowem, który został śledczym w sprawie Romanowów. - Protestowali, że byłoby to zbyt drogie - wspomina Iwanow. - Powiedzieli, że grobowce wykonano z włoskiego marmuru, że trzeba by je rozbić, kto za to zapłaci, itd. Przez osiem miesięcy Iwanow ponawiał naciski i w pewnym momencie wyglądało na to, że koszty ekshumacji wielkiego księcia Jerzego pokryje przyjaciel Sobczaka, Mścisław Rostropowicz, światowej

sławy wiolonczelista i dyrygent. Jednak zanim do tego doszło, Rostropowicz wspomniał Iwanowowi, że wybiera się do Japonii. Wówczas Iwanow (wciąż przebywający w Anglii) przypomniał sobie, że w 1892 Mikołaj II jako carewicz odwiedził Japonię. W Otsu następca tronu Rosji został niespodziewanie zaatakowany przez uzbrojonego w miecz Japończyka. Napastnik celował w głowę, lecz ostrze tylko zraniło carewicza w czoło i choć trysnęła krew, rana nie była głęboka; przewiązano ją chusteczką. Przez sto lat w jednym z muzeów w Otsu, w niewielkiej szkatułce, przechowywano chusteczkę nasączoną krwią. W przypadku badań porównawczych DNA, których celem jest ustalenie tożsamości, nic nie daje lepszych rezultatów niż zgodność wyników uzyskanych na podstawie badania kości nieznanego pochodzenia oraz krwi osoby o znanej tożsamości. Iwanow chciał pojechać do Japonii, ale jak zwykle "nie było pieniędzy". - Dlaczego mamy za to płacić? - powiedzieli Anglicy, a Rosjanie powiedzieli: Nie mamy pieniędzy. W końcu za podróż Iwanowa zapłacił Rostropowicz. - Były to pieniądze, za które mieliśmy dokonać ekshumacji Jerzego - mówi Iwanow. - Zamiast zajmować się tym, pojechałem do Japonii. Japończycy nie mieli nic przeciwko zbadaniu chusteczki, ale na wszelki wypadek Rostropowicz skontaktował się ze swoim dobrym znajomym, cesarzem Japonii, a ten zwrócił się do odpowiednich władz. Gdy Iwanow przybył do Japonii, zezwolono mu na zabranie skrawka chusteczki o długości 7,5 cm i szerokości 0,31 cm. Niestety, gdy przewieziono go do laboratorium Gilla w Anglii, natrafiono na pewien problem. - Chusteczka przeszła przez zbyt wiele rąk - mówi Iwanow. - Została na niej pewna ilość komórek z palców. Było na niej dużo zaschniętej krwi, ale kto wie, ile z niej należało do Mikołaja? Było też dużo pyłu i brudu, toteż żadne badania przeprowadzone na jej podstawie nie byłyby wiarygodne. Istniało zbyt wiele potencjalnych źródeł zanieczyszczeń.

Poniósłszy porażkę w przypadku ekshumacji Jerzego i w Japonii Iwanow wpadł na inny pomysł. W 1916 roku młodsza siostra Mikołaja II, wielka księżna Olga, wyszła za mąż za pułkownika Mikołaja Kmikowskiego, człowieka z ludu. Miała z Kmikowskim dwóch synów: Tichona, urodzonego w 1917 roku i Gurija, który przyszedł na świat w 1919 roku. W 1948 roku Olga wraz z rodziną przeprowadziła się do Kanady, gdzie Kmikowski kupił farmę i zajął się hodowlą bydła i świń. Gurij Kmikowski już nie żył, ale gdy w 1992 roku Gill i Iwanow rozpoczęli badania, Tichon, wówczas siedemdziesięcioletni emeryt, mieszkał w Toronto. Był jedynym żyjącym siostrzeńcem cara Mikołaja II; przeprowadzenie porównawczych badań DNA z jego udziałem dałoby najlepsze wyniki. Niestety, pan Kmikowski odmówił współpracy. Gdy Iwanow zwrócił się do niego listownie, tłumacząc cel prowadzonych przez siebie badań i prosząc o próbkę krwi, nie otrzymał odpowiedzi. Usiłował skontaktować się z nim poprzez

biskupa Bazylego Rodzianko z Prawosławnego Kościoła w Ameryce, a w końcu poprzez metropolitę Witalija, głowę Cerkwi Prawosławnej na Obczyźnie. W końcu Kmikowski skontaktował się z Iwanowem. - Powiedział mi, że cała historia ze szczątkami to jedna wielka bzdura wspomina Iwanow. - Mówił: jak może pan, jako Rosjanin, pracować w Anglii, która tak okrutnie obeszała się z carem i rosyjską monarchią? Z przyczyn politycznych nigdy nie dam panu próbki mojej krwi, włosów ani w ogóle niczego. Iwanow był rozczarowany, ale nie poddał się. - Wówczas przeprowadzenie takiego badania było niezwykle istotne mówi. - Kmikowski był najbliższym krewnym. Za własne pieniądze wydzwaniałem do niego próbując przekonać go (i jego żonę), jednocześnie zapewniając, że nie jestem agentem KGB. A wówczas oni powiedzieli: "W takim razie jedynym celem prowadzonego przez pana śledztwa jest udowodnienie, że Tichon Mikołajewicz nie jest wysoko urodzony". Więc postanowiliśmy za pominięciem o Tichonie, a gdy opublikowaliśmy wyniki naszych badań, jacyś ludzie napisali, że nie są one dokładne, ponieważ nie wykorzystaliśmy krwi Tichona Kmikowskiego. Ale tymczasem znaleźliśmy dwóch innych krewnych, którzy zgodzili się na pobranie krwi i mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy do badań. Aby wytypować tych krewnych, specjaliści z Aldermaston znów zajęli się studiowaniem drzewa genealogicznego. Ponieważ łańcuch DNA mitochondrialnego powtarza się w nieskończoność u wszystkich matek i córek, naukowcy zajęli się kobietami najbliższymi spokrewnionymi z carem Mikołajem II. Zaczęli od matki, cesarzowej-wdowy Marii, i doszukali się nieprzerwanej pięciopokoleniowej linii kobiet, przy czym ostatnia z nich, żyjąca współcześnie, zgodziła się pomóc. Siostra cara wielka księżna Ksenia miała jedną córkę, księżną Irenę. Irena wyszła za mąż za księcia Feliksa Jusupowa, który wsławił się tym, że zabił Rasputina. Irena i Feliks mieli córkę, która także miała na imię Irena; gdy dorosła, wyszła za mąż za hrabiego Mikołaja Szeremietiewa, z którym miała córkę Ksenię. Wyszędłszy za mąż młoda hrabianka Ksenia Szeremietiew przyjęła nazwisko męża Sfiris. Pani Sfiris jest obecnie kobietą pięćdziesięcioletnią; ma mieszkania w Atenach i Paryżu i to właśnie w Atenach otrzymała od FSS list z prośbą o pomoc. Jest wylewną, dobroduszną kobietą i natychmiast się zgodziła. Zgodnie z przekazanymi jej instrukcjami ukłuła się w palec, pewną ilość krwi wycisnęła na papierową chusteczkę, a kiedy krew zaschła, włożyła chusteczkę do koperty i zaniósła do brytyjskiej ambasady. Stamtąd pocztą dyplomatyczną przesłano ją do Aldermaston. Drugiego dawcę materiału genetycznego, na podstawie którego zamierzano zidentyfikować Mikołaja II, znaleziono na samym końcu niemal nieskończenie długiej gałęzi drzewa genealogicznego europejskich rodów królewskich. Choć pokrewieństwo przebiegało aż przez sześć pokoleń, było równie wiarygodne jak w przypadku pani Sfiris. James George Alexander Bannerman Carnegie, trzeci książę hrabstwa Fifeshire, hrabia Macduff, lord

Carnegie, jest sześćdziesięciosześcioletnim szkockim szlachcicem i farmerem, potomkiem kobiety, która była przodkiem Mikołaja II. Kobieta tą była Ludwika HesseCassel, niemiecka księżniczka, która wyszła za duńskiego króla Christiana IX. Jedną z jej córek była Maria Fiodorowna, cesarzowa Rosji, matka Mikołaja II. Natomiast jej starsza córka, Aleksandra, poślubiła księcia Walii, późniejszego króla Edwarda VII. Ludwika, córka królowej Aleksandry, wyszła za mąż za pierwszego księcia Fifeshire. W 1929 roku Maud, córka Ludwiki, urodziła syna Jamesa, który w 1959 roku odziedziczył ten tytuł. Księżę zgodził się przekazać próbkę swojej krwi do badań pod warunkiem, że zostanie to utrzymane w tajemnicy. Jednak w przypadku badań tej rangi utrzymanie dyskrecji okazało się praktycznie niemożliwe i wkrótce jego nazwisko zostało ujawnione przez prasę. Zgodnie z oczekiwaniami Gilla i Iwanowa DNA mitochondrialne Kseni Sfiris było tożsame z DNA księcia hrabstwa Fifeshire, ale gdy 782 "litery DNA" Greczynki i Szkota porównano z tym samym fragmentem DNA mitochondrialnego pobranego od domniemanego cara, dopatrzone zostały rozbieżności. Różnica ograniczała się do jednej "litery". W miejscu oznaczonym liczbą 16169 u Kseni Sfiris i księcia Fifeshire występowała litera T, natomiast u Mikołaja było tam C. Pozostałe 781 liter było identyczne. Gill i Iwanow powtórnie pobrali DNA mitochondrialne z kości przypuszczalnie należącej do cara, zwiększyli ilość materiału badawczego metodą PCR poprzez klonowanie i przekształcili go w bakterię coli. Gdy nowe próbki klonów poddano badaniom, w siedmiu przypadkach w miejscu oznaczonym liczbą 16169 występowało T, tak jak w przypadku pani Sfiris i księcia Fifeshire. Ale w przypadku 28 klonów nadal występowała w tym miejscu litera C. Naukowcy z Aldermaston doszli do wniosku, że u cara Mikołaja II występowały dwie postaci DNA mitochondrialnego, z których jedna dokładnie odpowiadała DNA jego krewnych, a druga w jednym miejscu była inna. To rzadkie zjawisko nosi nazwę heteroplazmii. Niezgodność zaniepokoiła naukowców z Aldermaston. W swojej pracy naukowej stwierdzają: "Jesteśmy zdania. . . że w DNA mitochondrialnym pobranym od cara występowała genetyczna heteroplazmia. Fakt ten komplikuje interpretację wyników badań, ponieważ wiarygodność dowodów uzależnia od tego, czy a priori przyjmujemy założenie, iż w przypadku cara miała miejsce mutacja. Prawdopodobieństwo pojedynczej mutacji oszacowaliśmy na jeden do trzystu w jednym pokoleniu, ale nie wzięliśmy pod uwagę, jak często zjawisko to występuje (zważywszy że większość przypadków pozostaje nie wykryta)". Gill zdawał sobie sprawę, że niezgodność jednej litery pozwalała podawać w wątpliwość wiarygodność wyników jego badań. Wierzył, że doszło do mutacji, choć przyznawał, że jej prawdopodobieństwo w danym pokoleniu jest niewielkie. - Uważa się, że do mutacji [w rodzinie] może dojść mniej więcej raz na trzysta pokoleń - powiedział. Dodał jednak, że dotyczy to heteroplazmii, którą odkrył, a nie



mutacji, która jego zdaniem prawdopodobnie - czego jednak nie mógł udowodnić - jest przyczyną heteroplazmii. - Heteroplazmia różni się od mutacji DNA zachodzącej w jądrach komórek; oznacza, że u tej samej osoby istnieją dwa rodzaje DNA mitochondrialnego. A my wykazaliśmy, że w przypadku cara występują dwa rodzaje DNA mitochondrialnego, różniące się tylko jedną literą. Drugi rodzaj jest identyczny z tym, jaki znaleźliśmy u krewnych. Stanowi to potwierdzenie, że rzeczywiście doszło do mutacji. Proszę nie zapominać, że wykonujemy takie badania jako jedni z pierwszych. Rzeczywisty zasięg tego zjawiska nie jest znany; podejrzewamy, że występuje znacznie częściej, niż pierwotnie przypuszczano. W lipcu 1993 roku, po dziesięciu miesiącach badań, Gill i Iwanow byli gotowi, aby ogłosić światu wyniki. FSS zorganizowało konferencję prasową i 10 lipca nowoczesny gmach ministerstwa spraw wewnętrznych wypełnił się dziennikarzami, fotografami i ekipami telewizyjnymi. Konferencji przewodniczyła doktor Janet Thompson, dyrektor generalny FSS. Domyślając się, że wkrótce zostanie spytana o to, kto pokryje koszt przeprowadzonych badań, na wstępie wyraziła nadzieję, że "FSS, po potwierdzeniu wiarygodności nowych metod badawczych, wkrótce wykorzysta je w sprawach kryminalnych, z czego korzyści odniesie cały wymiar sprawiedliwości". Gill wyjaśnił sposób, w jaki jego zespół prowadził badania. Opisał, na jakiej podstawie stwierdzono płeć, pokrewieństwo występujące pomiędzy pięcioma ofiarami, jak krew księcia Filipa pozwoliła z całkowitą pewnością zidentyfikować Aleksandrę Fiodorowną i jej córki, oraz jak zjawisko heteroplazmii w carskim DNA skomplikowało badania i uniemożliwiło wydanie kategorycznego oświadczenia co do Mikołaja. Pomimo to zespół z Aldermaston ogłosił, że gdy zbierze się dowody DNA i doda do nich dowody antropologiczne i historyczne zgromadzone przez innych naukowców, prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z rodziną Romanowów, wynosi 98, 5 procent. Gill dodał, że wynik ten oparty jest na najbardziej ostrożnej interpretacji dowodów. Nieco mniej rygorystyczna interpretacja pozwala zwiększyć prawdopodobieństwo do 99 procent.

Jesteśmy bardzo blisko rozwiązania tej zagadki, jednej z największych w dwudziestym wieku, jednej z największych zagadek mojej ojczyzny Rosji. Powiedział na zakończenie Iwanow. Po konferencji prasowej nagłówki gazet głosiły: "Rozwiązanie zagadki szczątków Romanowów" ("Financial Times"), "Testy DNA pozwalają zidentyfikować szkielet cara" ("The Times"), "Identyfikacja kości cara Mikołaja" ("The Washington Post)". Agencja TAS powiadomiła Rosję, że "brytyjscy naukowcy" są "niemal całkowicie przekonani", iż ludzkie szczątki odnalezione na Syberii należą do cara Mikołaja II i jego rodziny. W siedem miesięcy później, w lutym 1994 roku, Peter Gill, Paweł Iwanow i pozostali naukowcy opisali swoje odkrycie w

naukowym piśmie "Nature Genetics". Wyniki ich badań nigdy nie zostały podane w wątpliwość; nie skrytykował ich też żaden naukowiec zawodowo zajmujący się badaniem DNA.

## 9. Doktor Maples kontra doktor Gill

William Maples, zbadawszy szczątki Romanowów i ogłosiwszy wyniki badań na konferencji prasowej w Jekaterynburgu w lipcu 1992 roku, nie zamierzał na tym poprzestać. Stwierdził, że konieczne są dalsze badania archeologiczne, stworzenie bogatszej dokumentacji fotograficznej oraz przeprowadzenie badań DNA. Najwidoczniej przynajmniej niektórymi z tych badań zamierzał zająć się osobiście. W kwietniu 1993 roku wraz z żoną oraz doktorem Williamem Hamiltonem powrócili na Syberię (dwa bilety lotnicze zostały ufundowane przez program telewizyjny "Nie rozwiązane zagadki"). W Jekaterynburgu Maples powtórnie sfotografował wszystkie szkielety, dokładniej niż było to możliwe podczas poprzedniej wyprawy. Z każdej czaszki wy dobył po jednym zębie (z wyjątkiem czaszki doktora Botkina, w której zębów było niewiele, i czaszki Charitonowa, w której brakowało żuchwy). Z kości Botkina i Charitonowa Maples pobrał próbki. Jego zdaniem zęby bardziej nadawały się do przeprowadzenia badań DNA niż fragmenty kości udowych zawiezione do Anglii przez Pawła Iwanowa. Oprócz zębów Maples otrzymał z Jekaterynburga również rozporządzenie swierdłowskiego prokuratora okręgowego zezwalające na wywiezienie szczątków, przeprowadzenie za granicą badań DNA i nakaz przekazania ich wyników władzom swierdłowskim. To ciekawe, że nikt nie pofatygował się, aby powiadomić o tym fakcie doktora Władysława Płaksina, szefa Instytutu Medycyny Sądowej, i Pawła Iwanowa, który od siedmiu miesięcy wraz z Peterem Gillem pracował w Aldermaston. Po powrocie na Florydę Maples przez sześć tygodni przechowywał zęby w swoim laboratorium, po czym przekazał je Levine'owi. Levine w czerwcu 1993 roku dostarczył je doktor MaryDaire Kinę w Kalifornii, wykładającej w Berkeley na wydziale epidemiologii w School of Public Health i wydziale genetyki i biologii molekularnej. Doktor Maples twierdzi, że ona jest "światowej sławy genetykiem i ekspertem medycyny sądowej, jednym z najznakomitszych specjalistów w swojej dziedzinie". Doktor Kinę jest autorką raportu dla Państwowej Akademii Nauk opisującego wykorzystanie DNA w medycynie sądowej do ustalania tożsamości. Wraz z zespołem ONZ pracowała w Argentynie pomagając przy identyfikacji porwanych dzieci. Pracowała również w Salwadorze przy identyfikacji szczątków ofiar masowego morderstwa dokonanego w wiosce Mozote. Doktor Maples, Levine i Baden znali ją dobrze, ponieważ wraz z nimi badała sprowadzone z Wietnamu szczątki amerykańskich żołnierzy. W 1993 roku miała, zdaniem doktora Maplesa, znacznie większe doświadczenia z DNA mitochondrialnym niż brytyjski Ośrodek Medycyny Sądowej, a jej bazy danych zawierały znacznie więcej informacji do badań porównawczych. Według Maplesa znajduje się w nich DNA mitochondrialne pobrane od

tysiąca osób, podczas gdy zespół Petera Gilla z Aldermaston pobrał DNA mitochondrialne od około trzystu osób. - W tej dziedzinie - mówi - nikt nie może się równać z doktor Kinę. Jego zdanie podzielają Michael Baden i Loweu Levine. Maples i członkowie jego zespołu nie mieli najlepszego zdania o Peterze Gilla, a o Pawle Iwanowie usłyszeli po raz pierwszy ujrawszy go na konferencji w Jekaterynburgu w 1992 roku. Nie znając rosyjskiego, nie byli pewni, co mówił na temat przewiezienia szczątków do Anglii w celu ich zbadania. Pomimo to, Iwanow odnosił się do nich przyjaźnie i starał się być pomocny. Ich powrót do Moskwy tego lata był przykry: przez całą drogę w samolocie Aeroflotu tam i z powrotem biegał pies, a na krajowym lotnisku w Moskwie ludzie popychali ich i coś wykrzykiwali. Na szczęście pojawił się władający angielskim doktor Iwanow i zaprowadził Amerykanów w bezpieczne miejsce. Następnego dnia, ubrany w koszulkę z napisem "Akademia FBI", oprowadzał ich po Placu Czerwonym. Wyjaśnił nad czym pracuje, opowiedział o współpracy z Gillem oraz o przygotowaniach do przeprowadzenia badań DNA. Amerykanie usiłowali nakłonić go do zmiany planów. - Zaproponowaliśmy mu możliwość pracy w amerykańskim laboratorium - mówi Baden. - Ale on wolał Anglię, bo mógł się tam dostać szybciej i opłacono mu pobyt. - Najważniejsze dla niego było to - twierdzi Levine - że osobiście miał zawieźć szczątki do Anglii i mógł tam pozostać. William Maples spotkał Petera Gilla po raz pierwszy, a Pawła Iwanowa po raz drugi, w lipcu 1993 roku, wkrótce po ogłoszeniu przez Gilla na konferencji prasowej, że udało mu się zidentyfikować kości Romanowów. Był w Anglii przejazdem, wracał właśnie do Ameryki z trzeciej podróży do Jekaterynburga, gdzie występował w programie "Nova" badając i opisując szczątki. Z Londynu pojechał z żoną do Aldermaston, gdzie wraz z Gillem i Iwanowem zjedli lunch. Rozmowa była dość grzeczna i pomimo wzajemnych animozji przebiegała spokojnie. Maples był zły, ponieważ Gill oświadczył, iż prawdopodobieństwo, że szczątki należą do Romanowów, wynosi 98,5 procent. Miało to miejsce właśnie wtedy, gdy doktor Maples przybył do Rosji, aby zostać sfilmowanym przez "Novą". Iwanow był oburzony, że Maples za zgodą władz okręgu swierdłowskiego rozpoczął drugą serię badań DNA w laboratorium doktor Kinę w Kalifornii, nie informując go o tym fakcie, podczas gdy badania prowadzone przez niego i Gilla nie były jeszcze zakończone. Podczas lunchu nie mówiło się o heteroplazmii, którą Gill odkrył u cara Mikołaja II, ani o możliwości jej powstania w wyniku mutacji. Naukowcy przez chwilę rozmawiali o odkryciu zespołu Aldermaston: DNA mitochondrialne występujące u trzech młodych kobiet było identyczne z tym, jakie znaleziono u jednej z pozostałych kobiet, co bezsprzecznie dowodziło, że była to matka i córki. Aż do tego spotkania Peter Gill niewiele widział o Williamie Maplesie. W ciągu następnego sześciu miesięcy sytuacja ta uległa radykalnej zmianie. Maples zaatakował Gilla niezwykle ostro:

krytyka dotyczyła odkryć Gilla, stosowanych przez niego procedur administracyjnych, a nawet jego kompetencji jako naukowca.

Doktor Maples uważał, że to Jekaterynburg a nie Moskwa posiada prawo do szczątków Romanowów i zasugerował, iż w świetle rosyjskiego prawa badania prowadzone w Aldermaston są nielegalne. Tymczasem Paweł Iwanow zawożąc szczątki Romanowów do Anglii czynił to na polecenie szefa Instytutu Medycyny Sądowej, Władysława Płaksina. Poza tym na jekaterynberskiej konferencji w lipcu 1992 roku, gdy Iwanow wyjaśnił cel swojej misji w Anglii, żaden z obecnych tam Rosjan (włącznie z przedstawicielami władz Jekaterynburga) nie wyraził sprzeciwu. - Nie mam pojęcia, kto udzielił Iwanowowi zgody - dziwi się Maples czy zgoda była oficjalna, czy nieoficjalna. Jakoś udało mu się otrzymać te próbki, ale wątpię, aby miał zgodę na wywiezienie ich do Anglii w celu przeprowadzenia badań. W Moskwie były jakieś próbki kości, na podstawie których ustalono grupy krwi, przeprowadzono badania serologiczne i prawdopodobnie tych samych próbek użyto do badań DNA. Jednak czy Jekaterynburg wyraził zgodę na wywiezienie ich z kraju - po prostu nie wiem. Doktor Levine zgadza się z doktorem Maplesem, że to Jekaterynburg a nie Moskwa jest prawnym właścicielem kości i w związku z tym ma wyłączne prawo dysponowania nimi. - Moim zdaniem na władzach okręgu, w którym odnaleziono szczątki, spoczywa obowiązek ich identyfikacji i wystawienia świadectwa zgonu - mówi. - W swierdłowskim okręgu mamy do czynienia z dziewięcioma zabójstwami, i tyle. Toteż wszelkie informacje i wyniki badań winny być przekazywane miejscowym władzom. Levine kieruje pod adresem Gilla jeszcze jeden zarzut. Twierdzi, że gdyby nawet się mylił co do legalności testów przeprowadzonych w Aldermaston, zwołanie konferencji prasowej w celu ogłoszenia wyników badań było "niewłaściwe". - Jego raport powinien być trafić do tego, kto zlecił badania - twierdzi Levine. Jeżeli zleceniodawcą był Płaksin, raport powinien być trafić do Moskwy, do ministerstwa zdrowia, i tam można by ogłosić jego treść. Gdy mnie zleca się przeprowadzenie badań, ich wyniki trafiają do zleceniodawcy. Nie otrzymuje ich "The New York Times", "The Washington Post", "Time" ani CNN. To zleceniodawca ogłasza wyniki. Tak właśnie postąpiliśmy w przypadku doktora Mengele. Przekazaliśmy raport Brazylijczykowi, a oni zorganizowali wspólną konferencję prasową. Jak Gill mógł opublikować raport, w którym twierdzi: "przeprowadziłem badania DNA i jestem w 98,5 procent przekonany, że to jest car"? Przecież to śmieszne. Należało wysłać raport do Moskwy, gdzie dołączono by go do innych dowodów. A gdy go publikował, powinien był stwierdzić: "przeprowadziłem badania DNA, oto moje wyniki". Tymczasem on chciał przypisać sobie wszystkie zasługi.

Poważniejsze zarzuty dotyczyły kompetencji zespołu Gilla. Po pierwsze, Maples twierdził, że Gill i Iwanow badali niewłaściwe kości. - Iwanow przywiózł do Anglii próbki kości długich - twierdził Maples. Ponieważ osobiście byłem w jekaterynburskiej kostnicy, wiem, że mogły one znajdować się na niewłaściwych stołach. Dlatego właśnie w swoich badaniach posłużyłem się zębami wyjętymi bezpośrednio z czaszek. W przypadku czaszek pomyłka jest niemożliwa, wydobyte przeze mnie zęby pochodzą z zębodołów Mikołaja, Aleksandry, trzech córek i lokaja. W dolnej szczęce czaszki Botkina znajdowało się tylko kilka zębów, więc w jego przypadku ograniczyłem się do pobrania próbki z kości długiej. Najcięższe zarzuty Maplesa pod adresem Petera Gilla i Pawła Iwanowa dotyczyły heteroplazmii wykrytej w DNA mitochondrialnym cara Mikołaja II oraz stwierdzenia, że prawdopodobieństwo, iż zidentyfikowane przez nich kości należą do Romanowów, wynosi 98,5 procent. Atak ten pojawił się w listopadzie 1993 roku, kiedy to William Maples sporządził złożone pod przysięgą oświadczenie, które zamierzał wykorzystać w procesie sądowym w stanie Wirginia. Napisał w nim:

Znane mi są badania DNA mitochondrialnego pobranego ze szczątków Romanowów z Jekaterynburga przeprowadzone w Aldermaston w Wielkiej Brytani. . . Ponieważ zespół Aldermaston w swoich pracach opierał się na różnych fragmentach ludzkiego szkieletu, w przeciwieństwie do mnie jego członkowie nie mogą być pewni, że otrzymali próbki szczątków wszystkich szkieletów z Jekaterynburga. . . . Na konferencji prasowej [zorganizowanej przez ministerstwo spraw wewnętrznych i doktora Gilla] poinformowano, iż laboratorium w Aldermaston napotkało poważne trudności przy próbie identyfikacji szczątków cara Mikołaja II.

. . . Zjawisko zinterpretowane przez zespół z Aldermaston jako heteroplazmia najprawdopodobniej wywołane jest zanieczyszczeniem próbek.

. . . We wszystkich oświadczeniach opublikowanych przez Aldermaston pojawia się stwierdzenie, że z powodu różnych wyników badań DNA mitochondrialnego (heteroplazmii) nie udało się prawidłowo odczytać DNA cara. To właśnie dlatego oświadczenia Aldermaston nie zawierają stwierdzenia, że ponad wszelką wątpliwość udało się zidentyfikować szczątki Mikołaja II.

W dwa miesiące później, w rozmowie ze mną, Maples o Gillu i Iwanowie wypowiedział się jeszcze ostrzej: - Twierdzili, że to heteroplazmia, ale moim zdaniem błędny wynik był po

prostu efektem zanieczyszczenia próbki DNA; nazywa się to "shadow banding" i zdarza dość często. Nikt nie próbuje twierdzić, że to heteroplazmia. Dlatego przypuszczam, że litera alfabetu nukleotydów, którą Gill uznał za niewłaściwą, wcale taka nie była. - To znaczy że, Gill popełnił błąd? - Właśnie. Baden i Levine podzielają zdanie Maplesa.

- Przedstawianie wyników z prawdopodobieństwem wynoszącym 98,5 procent jest śmieszne - mówi Baden. - W przypadku DNA jest to albo sto procent, albo zero. - Liczba dziewięćdziesiąt osiem i pięć dziesiątych jest bez sensu - zgadza się Levine. - W Ameryce na sali sądowej coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

Jeżeliby wziąć ten wynik za dobrą monetę, oznaczałoby to, że trzech z dwustu starszych panów, których w najbliższym czasie spotkamy, mogłoby być carem.

Peter Gill był zaskoczony atakiem Maplesa. Gdy przeczytał oświadczenie złożone przez niego pod przysięgą, nie rozumiał, dlaczego szanowany antropolog sądowy odważył się na krytykę w dziedzinie tak odległej od jego specjalności. Do wyników badań innych specjalistów naukowcy zwykle odnoszą się z szacunkiem, toteż nie rozumiał, jak Maples może go potępiać wyłącznie na podstawie informacji prasowych; gdy w listopadzie 1993 roku Maples podpisywał swoje oświadczenie, do publikacji naukowej Gilla w "Nature Genetics" pozostawały jeszcze trzy miesiące. Pomimo to, jeszcze przed jej opublikowaniem, natychmiast odniósł się do dwóch zarzutów Amerykanina: że zjawisko heteroplazmii w DNA mitochondrialnym cara Mikołaja wywołane było zanieczyszczeniami, oraz że prawdopodobieństwo 98,5 procent przypisane odkryciom zespołu Aldermaston było niewystarczające, "nienaukowe" i "śmieszne". - Zanieczyszczenie naszej próbki jest wysoce nieprawdopodobne - doktor Gill ostrożnie dobiera słowa nie chcąc, aby poniosły go emocje. - Zbadaliśmy dwa rodzaje DNA, pozyskane z mitochondriów i z jąder. Tak, udało nam się pobrać DNA z jąder komórek; są to prawdopodobnie najstarsze próbki, z których kiedykolwiek pozyskano DNA. Potem sprawdziliśmy DNA z jąder metodą STR, aby potwierdzić ojcostwo cara. Było to bardzo trudne, znacznie trudniejsze niż praca z DNA mitochondrialnym. Ale wykazanie, że mamy do czynienia z rodziną, było rozstrzygające, należało udowodnić, że DNA ojca występuje także u córek. Jest to pierwsze na tak wielką skalę prowadzone śledztwo o charakterze historycznym, w którym posłużono się zarówno metodą STR, jak i badaniem DNA pozyskanego z mitochondriów. Wszystko to zostało dokładnie opisane w pracy opublikowanej w "Nature Genetics". Nie, na konferencji prasowej nie wspominaliśmy o badaniu na STR. Nie przypuszczam, aby ludzie wiedzieli, że przeprowadziliśmy taki test. Odnosi się to bezpośrednio

do oskarżenia Maplesa o zanieczyszczenie próbek, ponieważ, jak wyjaśnia Gill: - Badane przez nas DNA jądrowe pochodziło z tych samych fragmentów kości co DNA mitochondrialne. Gdyby rzeczywiście nasze próbki były zanieczyszczone, widzielibyśmy to zarówno w DNA jądrowym, jak i mitochondrialnym. Niczego takiego nie zaobserwowaliśmy. - Doktor robi pauzę i z nikłym uśmiechem na twarzy dodaje: - Myślę, że to dość skutecznie obala teorię o zanieczyszczeniu. Ponadto zespół Aldermaston sprawdzał wyniki badań za pomocą licznych testów. Jene - Wszystkie doświadczenia powtarzaliśmy kilkakrotnie, otrzymując identyczne rezultaty dla dwóch różnych kości. Poza tym, aby uchronić się przed zanieczyszczeniem próbek w laboratorium, o co oskarżał ich Maples, Gill i Iwanow wysłali próbki kości pobrane ze wszystkich dziewięciu szkieletów do doktor Hagelberg w Cambridge. Doktor toriiim Erika Hagelberg wykorzystuje łańcuchową reakcję polimerazy do badania DNA kości pochodzących z czasów starożytnych. Metodą tą posłużyła się na przykład w celu pozyskania go z kości znajdującej się w solonej wieprzowinie wydobytej z okrętu wojennego "Mary Rose" Henryka VIII, który zatonął w 1545 roku. Wiele lat po zidentyfikowaniu przez Lowela Levine'a i innych specjalistów szczątków Józefa Mengele tradycyjnymi metodami medycyny sądowej, Niemiecki sąd zwrócił się do Aleca Jeffreysa z prośbą o potwierdzenie wyników badań za pomocą testów DNA; jego asystentką była wówczas doktor Hagelberg. A teraz, w 1993 roku, niezależnie od zespołu Aldermaston, w swoim laboratorium pozyskała DNA i metodą PCR powieliła je dla wszystkich dziewięciu próbek. Wyniki jej badań były zgodne z wynikami zespołu Aldermaston. Doktor Gill także jest przekonany o słuszności przypisywania wynikom prawdopodobieństwa wynoszącego 98,5 procent. - Mielśmy dolną i górną granicę - wyjaśnia. - Dolna granica oparta jest na czymś, co nazywamy stosunkiem prawdopodobieństwa. Jest to prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z carem i jego rodziną podzielone przez prawdopodobieństwo, iż jest to nieznana rodzina. Gdy obliczyliśmy tę dolną granicę prawdopodobieństwa zakładając, że doszło do mutacji, otrzymaliśmy stosunek prawdopodobieństwa wynoszący 70 do 1. Oznacza to, że jest 70 razy bardziej prawdopodobne, że jest to car i jego rodzina niż jakaś nieznana nam rodzina. Stosunek 70 do 1 odpowiada prawdopodobieństwu 98,5 procent. [Dzieląc 70 przez 71 otrzymujemy 0,98591 Z drugiej strony, gdy obliczymy prawdopodobieństwo przy założeniu, że mutacja nie miała miejsca - co możemy zrobić, ponieważ wykryliśmy sekwencję, w której DNA mitochondrialne cara było identyczne z DNA jego krewnych - wówczas prawdopodobieństwo wyraża się w tysiącach, czyli wynosi przynajmniej 99,9 procent. Byliśmy ostrożni, posłużyliśmy się dolną granicą, i dlatego podaliśmy 98,5 procent. - Prawdopodobieństwo identyfikacji może znacznie przekraczać 98,5 procent, gdy zsumuje się wszystkie istniejące dowody - ciągnie doktor Gill. -



W przypadku kobiet jesteśmy pewni w stu procentach. Mamy matkę trzech córek, mamy ojca tych samych trzech córek. Matka jest krewną księcia Filipa. Oprócz DNA mamy też dowody antropologiczne. Zanim otrzymaliśmy wyniki badań DNA, doktor Helmer [i doktor Abramow] ocenili prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z carską rodziną na 10 do 1. To prawdopodobieństwo można pomnożyć przez prawdopodobieństwo wynikające z badań DNA. Więc jeżeli z DNA otrzymujemy prawdopodobieństwo 70 do 1, a z badań antropologicznych 10 do 1, mnożąc je otrzymujemy wynik 700 do 1: prawdopodobieństwo, że odnalezione szczątki należą do cara, jest jak siedemset do jednego. Na koniec doktor Gill stwierdza, że prawdopodobieństwo 98,5 procent jest najbardziej ostrożnym szacunkiem.

W lutym 1994 roku Petera Gilla i jego laboratorium przeniesiono do nowego, większego gmachu w Birmingham. Wówczas zdawał już sobie sprawę, że doktor Maples współpracuje z doktor MaryDaire Kinę, która przeprowadza badania DNA na podstawie zębów i próbek kości przywiezionych przez Maplesa z Jekaterynburga. Co myśli o Maplesie? - Na ten temat nie mam nic do powiedzenia - mówi. - O ile wiem, nie przeprowadza badań DNA. Co Gill wie o MaryDaire Kinę i co myśli o przeprowadzanych przez nią dalszych badaniach szczątków Romanowów? - A czemu nie miałyby tego robić? Kiedyś nawet się z nią spotkałem. W tej dziedzinie ma całkiem niezłą reputację. W zasadzie naukowcy nie mają nic przeciwko temu, aby inni powtarzali ich badania, tak na wszelki wypadek. Więc jeżeli ktoś pragnie przyjrzeć się wynikom naszych badań, nie sprzeciwiamy się. Wymaga to sporo wysiłku, zwłaszcza jeżeli chce się przeprowadzać badania STR. Ich wykonanie w innym laboratorium byłoby bardzo trudne, ponieważ niewiele z nich posiada takie doświadczenia. Takich laboratoriów jest jeszcze może jedno, czy dwa. Proszę nie zapominać, że doktor Hagelberg, niezależnie od nas, już powtórzyła te badania w swoim laboratorium i potwierdziła ich wyniki. Więc laboratorium MaryDaire Kinę będzie nam trzecim, które to zrobi..

Paweł Iwanow, współpracownik Gilla i jedyny Rosjanin w zespole Aldermaston, żywi do Maplesa głęboką urazę. Jest oburzony zarówno na niego, jak i na władze Jekaterynburga, które, zdaniem Iwanowa, były współsprawcą nielegalnego - a przynajmniej niewłaściwego - wywiezienia przez Maplesa zębów Romanowów z Rosji. - On nigdy nie został oficjalnie zaproszony przez rosyjski rząd - mówi Iwanow. - Zaprosiły go władze lokalne. Mamy tu do czynienia z niebywałą zawiścią, to nie jest przyjemna historia. Oto cała Rosja. Proszę nie zapominać - Iwanow jest coraz bardziej zdenerwowany - że chodzi o śledztwo prowadzone z urzędu. To jest sprawa kryminalna, morderstwo popełniono na terenie znajdującym się pod

jurysdykcją prawa rosyjskiego. A tu ni z tego, ni z owego pojawia się Maples, lokalne władze na swój własny użytek tworzą nowe prawa, pobierają próbki kości i zęby, i przekazują to wszystko Maplesowi, który wsadza je do kieszeni i wywozi za granicę. Jestem rosyjskim naukowcem i aby zawieźć próbki kości do Anglii, muszę mieć oficjalną zgodę prokuratora generalnego. Ale w przypadku Maplesa jest inaczej. Płaksin o niczym nie wie, nikt nic nie wie. To była przykra historia. I dla mnie, i dla Rosji. Zanim pojechałem do Anglii, Anglicy powiedzieli: "Zgoda, zapłacimy za pobyt doktora Iwanowa. Zapłacimy za wszystkie badania". A koszty te były bardzo wysokie. Jedynym warunkiem, jaki postawili doktorowi Płaksinowi, naszemu głównemu koordynatorowi, był brak współzawodnictwa, to znaczy aby nikt nie mógł przeprowadzać równoległych badań, dopóki nie ogłosimy wyników. Płaksin zgodził się i powiedział: "Dobrze, doktor Iwanow będzie naszym oficjalnym przedstawicielem. Uda się do Anglii i dopóki wyniki badań nie będą gotowe, nie będziemy nic badać". A potem Anglicy swoimi kanałami dowiedzieli się, że Maples wywiózł próbki z Rosji, aby zbadać je w laboratorium MaryDaire Kinę. Brytyjczycy nie wiedzieli, co to ma oznaczać (i nie bardzo ich obchodziło, kto przekazał te próbki Maplesowi). Zadzwoiłem do Płaksina i spytałem: Dlaczego tak postąpiliście? Jestem w okropnej sytuacji. Brytyjskie władze zwróciły się do mnie i oświadczyły: "Wiemy, że pewne próbki zostały wysłane do Ameryki - dlaczego?" A ja musiałem im odpowiedzieć zgodnie z prawdą: "Nic nie wiem o tej sprawie". Z Anglii do Płaksina wysłano oficjalne pismo, co postawiło go w bardzo niezręcznej sytuacji; musiał stwierdzić: "Nie wiem, jak do tego doszło. Odkryło się to bez mojej wiedzy. Brytyjczykom wydawało się to bardzo dziwne, ponieważ Płaksin jest szefem instytutu medycyny sądowej przy rosyjskim ministerstwie zdrowia. A wszystko dlatego, że jesteśmy w Rosji. Ale Anglicy nie są Rosjanami i nie rozumieją tego. Pomyślałem, że może od Maplesa dowiem się, co się dzieje, więc zadzwoniłem, żeby go o to spytać. Powiedział: "Przykro mi, ale proszono mnie, abym nie wypowiadał się w tej sprawie, dopóki MaryDaire Kinę nie zakończy swoich badań". Do MaryDaire Kinę napisałem dwa listy prosząc o wyniki badań, chciałem je przedyskutować. Nie otrzymałem odpowiedzi. Później, jesienią 1993 roku, będąc w Arizonie, ponownie zatelefonowałem do Maplesa i poprosiłem go o spotkanie z MaryDaire Kinę. Nie otrzymałem odpowiedzi, więc nie mogłem się z nią zobaczyć, ale Maples powiedział mi: "Wie pan, to właściwie nic ciekawego. Przeprowadziła badania, jej wyniki pokrywają się z pańskimi". Pomyślałem wówczas, że to bardzo dziwna uwaga w ustach naukowca. Skoro my posłużyliśmy się jedną metodą, a ona inną, i otrzymaliśmy takie same wyniki, to przecież bardzo interesujące. Iwanow jest zły na Maplesa, za twierdzenie, jakoby heteroplazmia wykryta w DNA mitochondrialnym cara była wynikiem zanieczyszczenia próbki w laboratorium. - To dziwne,

że mówi coś takiego, ponieważ nie jest specjalistą w tej dziedzinie i nie zna się na tym. Nasz artykuł w "Nature Genetics" był recenzowany przez specjalistów. Przed zabieraniem się do krytyki naszych badań należało go najpierw przeczytać. Iwanow ma żal do Maplesa, ponieważ jego atak nastąpił wkrótce po wspólnym lunchu w Aldermaston: - Przyjechał do nas, rozmawialiśmy przyjaźnie, wyjaśniliśmy mu nasze metody badawcze. A potem on wydał oświadczenie, jakobyśmy zanieczyścili próbki. Niczego nie zrozumiał. To zupełnie tak, gdybym powiedział: "Maples się pomylił, ponieważ w swojej dziedzinie jest dyletantem". Czy zdaniem Iwanowa taki rodzaj współzawodnictwa pomiędzy naukowcami jest normalny w przypadku, gdy chodzi o sprawę niezwykle prestiżową, taką jak ta? - Nie do tego stopnia - mówi. - Naturalnie, każdy chciałby być pierwszy, ale nie aż tak. Maples to zły przykład, choć nie mogę mówić o doktor Kinę. Nigdy nie udało mi się z nią skontaktować. Najdziwniejszą rzeczą w historii o doktorze Maplesie, MaryDaire Kinę i zębach, które przewieziono do Kalifornii w celu przeprowadzenia badań jest to, że ich wyniki nigdy nie ujrzały światła dziennego. W listopadzie 1993 Maples, podpisując oświadczenie złożone pod przysięgą poinformował sąd w Wirginii, że badania DNA mitochondrialnego trwają już pięć miesięcy oraz że doktor Kinę (w przeciwieństwie do Gilla i Iwanowa) nie dopatrzyła się w DNA mitochondrialnym cara zjawiska heteroplazmii, a co za tym idzie "nie musiała oddawać się spekulacjom na temat zjawisk genetycznych [takich jak mutacja] celem uzyskania pewności przy ustalaniu pokrewieństwa". Maples oświadczył ponadto, że doktor Kinę właśnie pracuje nad oficjalnym raportem, który jednak przed udostępnieniem szerokiej publiczności zostanie przekazany władzom okręgu swierdłowskiego. W grudniu 1993 roku doktor Levine stwierdził, że Kinę "opublikuje raport już za miesiąc". W styczniu 1994 roku Maples oświadczył, że raport będzie gotowy "za miesiąc lub dwa". W lutym spodziewał się zorganizować konferencje prasowe w Berkeley w najbliższych dniach. W połowie kwietnia Levine stwierdził: "tak, mamy taką nadzieję". Pod koniec miesiąca Maples ujawnił, że doktor Kinę nie przeprowadzała badań DNA osobiście; zostały przeprowadzone w jej laboratorium przez doktora Charlesa Ginthera, jednego z jej współpracowników. Maplesowi powiedziano, że Ginther sporządził wprawdzie pisemne sprawozdanie, lecz napisał je językiem niezwykle hermetycznym, zrozumiałym jedynie dla ekspertów. Doktor Kinę nie była z niego w pełni zadowolona, toteż zamierzała je w wolnej chwili zredagować tak, aby stało się zrozumiałe dla laików: dla władz swierdłowskich i szerokiej opinii publicznej. Wówczas Maples był już "bardzo niezadowolony z pracy doktor Kinę", zwłaszcza że zaproszono go do Moskwy w celu przedstawienia wyników badań. - Wysłałem do niej faks - mówi - prosząc o natychmiastowe przekazanie raportu; nieopublikowanie wyników mogło podważyć naszą wiarygodność. iań Doktor Maples nie

otrzymał odpowiedzi. W czerwcu 1994 roku, w rok po przekazaniu doktor Kinę zębów i próbek kości, raport nadal nie został opublikowany. W końcu zatelefonowała do niego twierdząc, że wszystko jest już przygotowane i może razem z nim pojechać do Moskwy, aby przed komisją rządową złożyć oficjalne sprawozdanie. Wówczas jednak zaproszenie Maplesa dawno już przestało być aktualne. W czerwcu 1994 roku, choć Maples nigdy nie ujrzał raportu Kinę, wydał zadziwiające oświadczenie: - Doktor Kinę i doktor Gill natrafili na podobny problem przy próbie ustalenia mitochondrialnego DNA cara Mikołaja. Zdaniem Maplesa doktor Kinę nie zdołała jeszcze ustalić, czy problem ten jest spowodowany "zanieczyszczeniami, czy u cara występowała anomalia genetyczna (heteroplazmia), czy też zachodzi zjawisko mutacji".

Heteroplazmia lub mutacja były właśnie tym, co Peter Gill i Paweł Iwanow zasugerowali w swoim raporcie sporządzonym jedenaście miesięcy wcześniej, na którym William Maples i jego amerykańscy współpracownicy nie pozostawili suchej nitki.

## 10. Jekaterynburg a jego przeszłość

Piotr Wielki, potężny i niecierpliwy władca i wizjoner, założył dwa wyróżniające się miasta współczesnej Rosji. Jednym z nich był Sankt Petersburg, nazwany tak na cześć patrona, dzięki któremu Rosja uzyskała dostęp do morza. Drugim - Jekaterynburg, nazwany na cześć jego żony Jekateryny (Katarzyny), która stała się następczynią Piotra Wielkiego i pierwszą carycą Rosji. To uralskie miasto, położone w odległości zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na wschód od granicy pomiędzy Europą a Azją, zbudowano ze względu na występujące w tym regionie nieprzebrane bogactwo minerałów. Pierwszą rudą wydobywaną z ziemi było żelazo; w XVIII wieku cztery piąte żelaza produkowanego w Rosji przypadało na ten okręg. Później z ziemi wydobywano także węgiel, złoto, srebro i inne metale, i to w takich ilościach, że miasto stało się bogate, sławne i dumne. W latach dziewięćdziesiątych miasto, w którym mieszka milion czterysta tysięcy mieszkańców, jest jednym z najważniejszych ośrodków przemysłowych współczesnej Rosji. Olbrzymie fabryki radzieckiego przemysłu obronnego powoli przestawiają się na cywilną produkcję. Miasto otacza pierścień wielkich zakładów chemicznych, hut oraz fabryk przemysłu ciężkiego. Mieszkańcy Jekaterynburga nadal są dumni ze swojego miasta. W czerwcu 1991 roku 91 procent mieszkańców oddało swoje głosy na pochodzącego z tych stron Borysa Jelcyna. Podczas sierpniowego puczu w 1991 roku właśnie Swierdłowsk wybrano na siedzibę rosyjskiego rządu na wypadek, gdyby prezydent musiał opuścić Moskwę, a 4 września 1991 roku miastu przywrócono dawną nazwę Jekaterynburg. Niestety, wszystko co dobre - bogactwo, sława, duma mieszkańców zostało przyćmione przez pewne smutne wydarzenie: latem 1991 roku dokonano ekshumacji Romanowów. A gdy świat dowiedział się o wszystkim, miasto musiało pogodzić się z faktem, iż w świecie słynąć będzie nie z bogactw mineralnych i przemysłu, lecz z tego, co wydarzyło się tutaj 16 i 17 lipca 1918 roku.

Mieszkańcy Jekaterynburga różnie zareagowali na wydarzenie, które miało stać się najbardziej znaczącym w historii miasta. - Oczywiście, znaliśmy tę historię, ale po co ją rozgłaszać? - stwierdził ostatni w tym mieście przywódca partii komunistycznej. - Czyż nie ma ciekawszych tematów? Inni wykazywali zainteresowanie i jednocześnie niełatwo było im pogodzić się z faktami. - Wychowano mnie w nienawiści do monarchii, nauczono, że egzekucja Mikołaja II była zemstą ludu za lata ucisku - wspomina główny architekt miasta. - Ale zemsta na dzieciach? . . . Tego nigdy nie zrozumiem. Dwudziestosiedmioletni mężczyzna pracujący przy składaniu komputerów przyprowadził czteroletniego synka na miejsce, w którym niegdyś stał dom Ipatiewa. - Nie miałem pojęcia, co się tutaj wydarzyło - powiedział. - Dopiero kilka lat

temu poznałem prawdę. Teraz przychodzę tu z synem i opowiadam mu o naszej historii. To dobrze, że wreszcie dowiadujemy się prawdy. Zamordowanie cara było dla naszego kraju wielką tragedią, powinniśmy poznać wszystkie szczegóły. - Nie wolno nam o tym zapomnieć - dodaje hutnik. - Nie możemy pozwolić, aby powtórzył się podobny akt barbarzyństwa. Ostatnio odwiedzanie wysokiego białego krzyża wzniesionego w miejscu wyburzonego domu Ipatiewa stało się zwyczajem nowożeńców. Młode pary klękają, zostawiają kwiaty i robią pamiątkowe zdjęcia. - Chcemy, aby na naszym ślubnym zdjęciu był krzyż - mówi pan młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna pracujący w kopalni złota. - Mamy nadzieję, że w kraju będzie lepiej, ale przyszliśmy tu także dlatego, że przez to poczujemy się bardziej Rosjanami. Inni zwiedzający, przeważnie ludzie starzy i schorowani, przychodzą tu w nadziei, że stanie się cud i ozdowieją. - Słyszałam, że to święte miejsce - twierdzi Lilia Subbotina, pięćdziesięciodwuletnia emerytowana nauczycielka, która pomimo terapii nadal cierpi na nadciśnienie. - Podobno chorzy, którzy odwiedzili to miejsce, zostali całkowicie uwolnieni od dręczących ich dolegliwości. Mam nadzieję, że spotka to i mnie.

Ludzie wierzący w podobne historie podchodzą do krzyża, składają przed nim kwiaty i dotykają go z wielką czcią. - Gdy dotknie się krzyża, czuje się przyływ dodatniej energii - tłumaczy pięćdziesięciodziewięcioletni pielgrzym z Władywostoku, który przebył prawie pięć tysięcy kilometrów w nadziei, że poprawi się stan jego coraz słabszych nóg. - Po trzech dniach w tym świętym miejscu znów mam siłę, aby chodzić. Bóg pobłogosławił ten krzyż, ponieważ tutaj zamordowano naszego cara. Rosyjska Cerkiew Prawosławna, której reputacja poważnie ucierpiała z powodu wchodzenia przez siedemdziesiąt pięć lat w kompromisy ze świeckim państwem, nadal nie wie, jak ustosunkować się do egzekucji Romanowów. Jeżeli członkowie rodziny zginęli jako męczennicy, należałoby ich kanonizować (Cerkiew Prawosławna na Obczyźnie kanonizowała ich w 1981 roku. ) Natomiast jeżeli Mikołaj i jego rodzina nie zasłużyli sobie na miano świętych i są jedynie ofiarami zabójstwa na tle politycznym, także i w tym wypadku cerkiew powinna podjąć jakieś kroki i odnieść się do spOsObU, w jaki zostali zgładzeni. (Cerkiew Prawosławna nie uznała wprawdzie zabójstwa cara Aleksandra II w 1881 roku w Sankt Petersburgu za akt męczeństwa, lecz w miejscu zamachu, aby uczcić pamięć cara, wybudowano sobór.) Jeszcze przed ekshumacją szczątków miejscowy biskup tam, gdzie niegdyś stał dom Ipatiewa, zamierzał wznieść bazylikę. - Oto miejsce, w którym zaczęło się cierpienie rosyjskiego ludu - powiedział arcybiskup Melchisedek. Jego zdaniem bazylika, nazwana "soborem przelanej krwi", stanie się "symbolem pokuty całego społeczeństwa, odkupienia po wielu latach bezprawia i represji, które przeżyliśmy w okresie bolszewizmu". W

1990 roku ogłoszono konkurs na projekt architektoniczny soboru. W październiku 1992 roku wygrał go syberyjski architekt Konstantin Jefremow. Jefremow zaprojektował wysoką świątynię z kamienia i szkła, z dzwonnica łączącą tradycyjny dla Rosji styl z nowoczesnością, oraz, w pobliżu, hotel dla mieszkańców, pielgrzymów i turystów. Niestety archidiecezja, Cerkiew Prawosławna, Cerkiew Prawosławna na Obczyźnie oraz władze Jekaterynburga nie dysponowały odpowiednimi środkami. Toteż w 1995 roku, w dwa lata po rozstrzygnięciu konkursu, świątynia istnieje jedynie na papierze. Tymczasem pieniądze, choć w innym sensie, zaczęły przyciągać uwagę mieszkańców Jekaterynburga. Po ekshumacji szczątków wśród okolicznej ludności zrodziła się nadzieja na szybki zarobek. - Uważamy, że te szczątki będą bardzo cenne - twierdził przedstawiciel miejscowej policji. - Dzięki nim miasto nareszcie będzie miało jakąś wartość dla turystów. Posługując się dziwną, choć wcale nierzadką mieszaniną poglądów komunistycznych z kapitalistycznymi, pewien student twierdzi, iż "dziś dumni jesteśmy z tego, że cara zabito właśnie w naszym mieście. Mamy nadzieję, że ta tragedia przyniesie nam wiele dobrego". Żalosa próba handlu szczątkami carskiej rodziny miała już miejsce podczas konferencji prasowej w 1992 roku. Jej organizatorzy usiłowali pobierać od zagranicznych dziennikarzy po tysiąc dolarów "opłaty akredytacyjnej". Dziennikarze odmówili, więc i tak wpuszczono ich na konferencję. Następnie od każdego, kto chciał sfotografować czy choćby zobaczyć szczątki, domagano się dziesięciu tysięcy dolarów. Niektórzy przystali na tę propozycję (choć ostatecznie zapłacili znacznie mniej). Za tym "handlowym przedsięwzięciem" stała radziecko-szwajcarska firma Interural, której władze Jekaterynburga powierzyły pieczę nad prawami do filmowania i fotografowania szczątków. Motywy działania firmy, jak twierdził jej przedstawiciel w wywiadzie dla "Sunday Timesa", były niezwykle szczytne. - Robimy to z miłości i dobroci serca - wyjaśniał Włodzimierz Agentow, dyrektor Interuralu, dodając, że zyski zostaną przeznaczone na budowę świątyni w miejscu, gdzie niegdyś stał dom Ipatiewa. Od pewnej amerykańskiej gazety otrzymaliśmy propozycję wykupienia praw do wszystkiego, co wiąże się ze szczątkami, w zamian za udział w zyskach. Jak pan myśli, ile to może być warte? W takie i podobne nadzieje mieszkańców Jekaterynburga sprawiają, że szczątków nie można wywieźć z miasta. Względy historyczne przemawiają za umieszczeniem ich w grobowcu przy Soborze Pietropawłowskim w Petersburgu, czyli w miejscu spoczynku wszystkich carów z dynastii Romanowów. Tym czasem jeszcze na początku 1995 roku władze Jekaterynburga nadal żywiły nadzieję, że szczątki pozostaną w mieście. Podobne wypowiedzi martwią i drażnią tagrze niektórych Rosjan. - Dziś, podobnie jak przed ich śmiercią, Jekaterynburg nie chce "oddać" Romanowów - mówi Edward Radziński, rosyjski dramaturg i autor Ostatniego cara. Ludzie w Jekaterynburgu mają koszmarną wizję włączenia grobu

Romanowów do kompleksu turystycznego. To straszne, odrażające. Romanowowie, zabici przez mieszkańców Jekaterynburga, pozostaną w tej ziemi, aby jej mieszkańcy mogli czerpać zyski.



## 11. Śledczy Sołowiow

Walka pomiędzy Moskwą a Jekaterynburgiem o władzę nad szczątkami Romanowów zaczęła się tuż po ekshumacji. A właściwie jeszcze w 1989 roku, gdy Gelij Riabow ujawnił odkrycie, którego dokonał wraz z Aleksandrem Awdoninem; już wówczas władze Jekaterynburga uważały, że szczątki są własnością miasta. Ekshumację przeprowadzoną w 1991 roku zarządził Edward Rossel, szef okręgu swierdłowskiego, oraz jego zastępca Aleksander Błochin. Prace wykopaliskowe nadzorował zastępca śledczego Wołkow ze swierdłowskiej prokuratury. Gdy szczątki wyłożono na stołach, Wołkow podjął się próby ich identyfikacji. To właśnie on zakazał Sergiuszowi Abramowowi, moskiewskiemu ekspertowi w zakresie medycyny sądowej, robienia zdjęć szkieletów, a gdy go nie usłuchano, zażądał, aby wszystkie fotografie, notatki i cała dokumentacja pozostały w Jekaterynburgu. To Rossel poprosił sekretarza stanu Bakera o przysłanie zespołu amerykańskich naukowców. Przez cały czas rosyjski rząd nie zgadzał się z twierdzeniem, jakoby zabójstwo cara i odnalezienie jego szczątków było sprawą miejscowych władz. Jednocześnie jednak z powodu sytuacji politycznej pozycja rządu była słaba. Prezydent Jelcyn przetrwał jeden zamach stanu twardogłowych komunistów, a potem drugi, na którego czele stanął jego zastępca, wiceprezydent i przewodniczący Dumy. Podczas tej walki jedyną rządową instytucją (na niezbyt wysokim szczeblu) zajmującą się śledztwem w sprawie Romanowów było biuro szefa instytutu medycyny sądowej przy ministerstwie zdrowia. Ponadto władze Jekaterynburga były przekonane, że podjęte przez nie kroki poprze (choć nieoficjalnie) syn tej ziemi, prezydent Jelcyn. Myśl tę publicznie wyraził Błochin, zastępca szefa okręgu swierdłowskiego, na konferencji prasowej w lipcu 1992 roku; była to odpowiedź na pytanie Włodzimierza Sołowiowa z prokuratury generalnej Rosji, który przybył na konferencję jako obserwator. Sołowiow spytał: - Obecnie swierdłowska administracja przywłaszczyła sobie szczątki carskiej rodziny. Tymczasem odkrycie to jest własnością Rosji. Czy rosyjski rząd zajął stanowisko w sprawie ich pochówku? Błochin odparł spokojnie, że miejscowe władze nie podzielają poglądu, jakoby ich postępowanie można by określić mianem "przywłaszczenia", choć okręg swierdłowski nie zwrócił się oficjalnie w tej sprawie do rosyjskiego rządu. Jestem jednak przekonany - odpowiedział Sołowiowowi - iż zdaje pan sobie sprawę, że przed przystąpieniem do ekshumacji skontaktowaliśmy się telefonicznie z prezydentem Borysem Mikołajewiczem [Jelcynem] i powiadomiliśmy go o wszystkim. Sołowiow został zlekceważony, lecz nie pokonany. Nadal uważał, że absurdem jest, aby władze niewielkiego miasta decydowały i czerpały zyski z tak znaczącego wydarzenia w historii Rosji. Poza tym z odrazą obserwował towarzyszące konferencji próby handlowania szczątkami. W

sierpniu 1993 monopol Jekaterynburga został przełamany i kontrolę nad śledztwem w sprawie Romanowów przejęła prokuratura generalna Rosji. Do sprawy tej powołano też rządową komisję z siedzibą w Moskwie.

Miała ona otrzymywać wszelkie informacje od prokuratora generalnego dotyczące identyfikacji kości, oceniać wartość dowodów i przekazywać wnioski rządowi. Gdyby jej członkowie nie mieli żadnych wątpliwości, że odnalezione szczątki należą do Romanowów, do nich należała decyzja o czasie i miejscu pochówku. Komisja nie pracowała stale, jej członkowie spotykali się rzadko, a zebrania zwoływano jedynie wówczas, gdy pojawiały się nowe dowody lub okoliczności. Niewielu członków pojawiało się na spotkaniach, na przykład Edward Rossel nie był obecny na żadnym z nich. Weniamin Aleksiejew przychodził niezwykle rzadko. Dlatego też jedynym przedstawicielem Jekaterynburga był Aleksander Awdonin, który przyjeżdżał na zebrania na własny koszt. Do cieszącego się w Rosji wielkim szacunkiem osiemdziesięcioletniego biskupa Bazylego Rodzianko (który przez dwadzieścia pięć lat prowadził religijne audycje radiowe nadawane z Londynu i Waszyngtonu) zwrócił się z oficjalnym zaproszeniem Anatol Sobczak, po czym przestał odpowiadać na jego listy.

Włodzimierz Sołowiow, choć nie był członkiem komisji, stał się jedną z jej kluczowych postaci. Był przedstawicielem prokuratora generalnego i jego zadanie polegało na przekazywaniu komisji dowodów. Nadzorował pracę naukowców, historyków i archiwistów, wyszukiwał potrzebną dokumentację, wydawał zgodę na przeprowadzanie badań i gromadził ich wyniki. Aby odpowiadać na pytania lub przekazywać naukowcom prośby o dodatkowe informacje, uczestniczył niemal we wszystkich posiedzeniach komisji. Otrzymał szerokie uprawnienia. Gdy latem 1994 roku Aleksander Awdonin w moim imieniu spytał, czy mogę zobaczyć szczątki w Jekaterynburgu, pierwsza odpowiedź zniejscowych władz brzmiała "nie". Wkrótce jednak z Moskwy przyszedł faks, w którym Sołowiow nakazywał, aby "pokazano mi wszystko".

Włodzimierz Mikołajewicz Sołowiow jest krępy, łysiejącym mężczyzną o wydatnej klatce piersiowej. Ma piwne oczy, ciemną, równo przystrzyżoną brodę, przypominającą brodę Mikołaja II. Niskim głosem opowiada, że gdy udał się do pałacu w Carskim Siole w pobliżu Petersburga (co wynikało z jego obowiązków), aby zbadać mundury, hełmy, suknie i kapelusze noszone przez członków carskiej rodziny, okazało się, że wszystkie ubrania cara powinny na niego pasować. Z czystej ciekawości przymierzył jeden z wypłowiałych mundurów Mikołaja.

Pasował jak ulał. Powszedni strój Sołowiowa również przypomina mundur; Sołowiow nosi prostą brązową koszulę o wojskowym kroju z epoletami, choć bez stopnia wojskowego. Włodzimierz Sołowiow urodził się w 1950 roku w rodzinie prawnika, na Przedkaukaziu, w pobliżu takich kurortów jak Piatigorsk i Kisłowodzk, które nazywa "zakątkami Lermontowa". W wieku osiemnastu lat ukończył szkołę średnią, przez rok miał się różnych prac, dwa lata spędził w wojsku, po czym rozpoczął studia prawnicze na uniwersytecie w Moskwie. Po studiach, w 1976 roku, wysłano go do miasteczka Taldom oddalonego od Moskwy o sto kilometrów, gdzie pracował w miejscowej prokuraturze jako śledczy. Jego głównym obowiązkiem było prowadzenie śledztw w sprawie morderstw, których, jak wspomina, "było wówczas niestety bardzo dużo. . . Chłopi palący ciała w piecach swoich chat, takie sprawy. . .". Po dwóch latach przeniesiono go do prokuratury okręgu moskiewskiego, gdzie pracował w wydziale nadzorującym pracę milicji, a potem z ramienia prokuratury zajmował się przestępstwami i wypadkami w środkach transportu: katastrofami samolotów, katastrofami kolejowymi oraz "licznymi morderstwami, zarówno w pociągach, jak i tymi popełnianymi w pobliżu torów kolejowych". Następnie Sołowiow powrócił na uniwersytet moskiewski jako szef laboratorium wydziału kryminologii i prowadził zajęcia ze studentami. W 1990 roku rozpoczął pracę w prokuraturze generalnej Rosji jako specjalista w zakresie kryminologii. Także i tutaj zajmował się głównie morderstwami. Przez całą swoją karierę Sołowiow nie miał nic wspólnego z KGB. - Biuro prokuratora generalnego nie zajmuje się sprawami politycznymi. - Każda z tych organizacji zajmuje się czymś innym. Sołowiowa zawsze interesowały historia i archeologia. Gdy Gelij Riabow ogłosił, że odnalazł na Syberii szczątki Romanowów, Sołowiow wprawdzie nie chciał dać temu wiary, ale sprawa ta bardzo go zainteresowała. Po ekshumacji zwrócono się do niego z prośbą o udzielenie pomocy Wołkowowi, zastępcy śledczego okręgu swierdłowskiego. (Zwrócono się z tym do niego, ponieważ miał dostęp do głównych archiwów rządowych, niegdyś zwanych Archiwami Rewolucji Październikowej, a od niedawna Państwowymi Archiwami Federacji Rosyjskiej. W archiwach tych Sołowiowowi udało się odnaleźć wiele pożytecznych materiałów: czterotomową pracę Sokołowa, fotografie Charitonowa i Truppa, materiały o Jurowskim i wielkim księciu Jerzym Aleksandrowiczu, młodszym bracie cara Mikołaja II. Podczas pracy nad tymi materiałami jeszcze bardziej zainteresował się historią carskiej rodziny. W sierpniu 1993 jego przełożeni zlecieli mu przeprowadzenie z ramienia rosyjskiego rządu śledztwa w sprawie Romanowów.

Sołowiow natychmiast rozpoczął pracę, określając śledztwo w sprawie morderstwa Romanowów i identyfikację szczątków jako sprawę kryminalną. Dawało mu to większą władzę. Mógł powoływać świadków, żaden Rosjanin nie mógł odmówić odpowiedzi na pytania, a zeznania składano pod przysięgą. Ponadto przekształcenie śledztwa w sprawę kryminalną znacznie poszerzało zasięg śledztwa. Oprócz ustalenia faktów związanych z morderstwem które należało odpowiedzieć na pytanie dotyczące odpowiedzialności: skoro odnaleziono już ofiary, kim byli ich mordercy? , - Rozpatrywanie tego przypadku miało także na celu stwierdzenie, czy wJekaterynburgu popełniono morderstwo, czy też mieliśmy tu do czynienia z wykonaniem wyroku śmierci wydanym przez prawomocny rząd - wyjaśnia. Gdy ktoś popełni zbrodnię i skazuje się go na karę śmierci, kaci wykonujący wyrok nie popełniają zbrodni. Muszę więc stwierdzić, czy egzekutywa Uralskiej Rady Robotniczej w 1918roku miała prawo skazać cara i jego rodzinę na karę śmierci.

Sołowiow musiał też odpowiedzieć na inne pytania: Kim był Jurowski? Kim był Stalin? Kim był Lenin? Czy z prawnego punktu widzenia, osoby te miały związek z wykonaniem wyroku? Byli to kryminaliści, czy ludzie godni szacunku? Zdawał sobie sprawę, że takie pytania przekształcają kryminalne śledztwo w sprawę delikatną, dotyczącą spraw politycznych i historycznych. - To prawda - mówi - że moje zadanie nie ogranicza się jedynie do identyfikacji czaszek. Już to samo w sobie jest niełatwe, ale kryje się tutaj znacznie poważniejszy problem, niczym gigantyczna góra lodowa pod powierzchnią wody. Sołowiow zgadza się z opinią, że sprawę należy przede wszystkim rozpatrywać w kontekście historycznym i politycznym. - Tak, ale moi przełożeni, dzięki Bogu, jeszcze o tym nie wiedzą - mówi. Prowadzę śledztwo i na razie nikt mi w tym nie przeszkadza. Prawdę mówiąc prokuratura generalna nie okazuje w tej sprawie szczególnego zainteresowania. Moi szefowie mają inne, pilniejsze sprawy na głowie. Pod jednym względem przegoniliśmy Amerykę: w Rosji popełnia się więcej przestępstw niż w USA.

Sołowiow śledztwo rozpoczął tak, jak uczyniłby to na jego miejscu każdy inny śledczy: od zbadania broni, którą posłużono się podczas morderstwa. Przechowywane w muzeach pistolety, z których oddano strzały, przekazał ekspertom od balistyki, aby stwierdzili, czy wystrzelone z nich kule posiadają cechy charakterystyczne zbliżone do cech kul znalezionych w grobie. Niestety, kule wydobyte z grobu były zardzewiałe, co uniemożliwiło porównanie. Ponadto z pistoletów strzelano wielokrotnie, przez wiele lat, co przyczyniło się do zatarcia "indywidualnych cech" luf. Pomimo to Sołowiow stwierdza: - Wprawdzie nie udało nam się

udowodnić, że strzały oddano z tych pistoletów, nie dopatryliśmy się żadnych sprzeczności: jesteście pewni, że strzały mogły zostać z nich oddane. Następnie Sołowiow usiłował przedstawić komisji ostateczne potwierdzenie tożsamości szkieletów. Choć osobiście wierzył w werdykt wydany przez naukowców rosyjskich, angielskich, niemieckich i amerykańskich, którzy zgodnie twierdzili, że szczątki należą do Romanowów, niektórzy członkowie Cerkwi Prawosławnej (zarówno rosyjskiej jak i Cerkwi na Obczyźnie) mieli poważne wątpliwości. Przedstawiciele cerkwi niepokoiła heteroplazmia wykryta w DNA Mikołaja II przez Gilla i Iwanowa. Później do Sołowiowa i komisji dotarły nieoficjalne informacje, jakoby doktor Kinę i doktor Ginther z Berkeley, przeprowadziwszy badania DNA na podstawie zębów, potwierdzili wyniki Gilla i Iwanowa, oraz zjawisko heteroplazmii. Po tej informacji Cerkiew Prawosławna, zmierzająca do kanonizacji carskiej rodziny, nalegała na przeprowadzenie dalszych badań jednocześnie grożąc, że wycofa swojego przedstawiciela z komisji rządowej. Komisja Ltstąpiła, a Sołowiow przychylił się do propozycji Pawła Iwanowa, aby w celu przeprowadzenia porównawczego testu DNA dokonać ekshumacji młodszego brata Mikołaja II, wielkiego księcia Jerzego, pochowanego w Petersburgu w Soborze Pietropawłowskim. Ekshumacji Jerzego, pomimo trudności z podniesieniem marmurowej płyty, dokonano między szóstym a trzydziestym lipca 1994 roku. Gdy otwarto trumnę, okazało się, że szczątki znajdowały się w dobrym stanie. Najlepiej zachowało się ubranie; trumna nieco przesiąkła wodą (Petersburg zbudowano na bagnach, które w ten właśnie sposób dają znać o swojej obecności. ) Naukowcy pobrali próbki z czaszki i kości nóg. Początkowo Sołowiow zamierzał przeprowadzić badania w Anglii, jednak gdy wiadomość ta przedostała się do prasy, "było wiele krzyku, złorzeczenia oraz oskarżeń, że Gill sfalszował wyniki badań. Wynikiem takiego stanu rzeczy były przeciągające się negocjacje z Instytutem Patologii Amerykańskich Sił Zbrojnych, który w końcu przystał na przeprowadzenie badań bez pobierania opłat. - Tak więc teraz przynajmniej możemy powiedzieć, że badania przeprowadzone zostaną zupełnie niezależnie od nas - twierdzi Sołowiow. choć będzie w nich uczestniczył doktor Iwanow, jako nasz przedstawiciel. Paweł Iwanow przybył do nowego gmachu Instytutu Patologii Amerykańskich Sił Zbrojnych w Rockville w stanie Maryland piątego czerwca 1995 roku, przywożąc próbkę pobraną z kości udowej wielkiego księcia Jerzego. Celem jego misji było upewnienie się, że ciało numer 4 rzeczywiście należy do Mikołaja II. - W laboratorium Petera Gilla przed dwoma laty udało nam się to stwierdzić z prawdopodobieństwem wynoszącym 98,5 procent - wyjaśnia Iwanow. - Obecnie, w nowym laboratorium, posługując się nowymi metodami badawczymi, zwiększamy to prawdopodobieństwo do 99, 5 lub nawet 99, 7 procent. Aby ułatwić rządowi rosyjskiemu podjęcie decyzji, postaramy się jak najbardziej zbliżyć do stu procent. Iwanow przywiózł z

Moskwy także inne przedmioty, które mogły okazać się cenne. Jednym z nich była zakrwawiona chustka z Japonii, z której w laboratorium Gilla nie udało się pozyskać DNA. Ponieważ laboratoria AFIP wyposażone były w najnowocześniejsze urządzenia filtrujące powietrze, minimalizujące potencjalne zanieczyszczenia próbek, Iwanow zamierzał spróbować jeszcze raz. Drugim był włos Mikołaja II z czasów, gdy car był trzyletnim chłopcem. Włos przechowywano w petersburskim pałacu; dowiedziawszy się o nim Sołowiow przekazał go Iwanowowi. - W obciętych włosach jest bardzo niewiele DNA - mówi Iwanow - a włos pozbawiony był mieszka. Ale w AFIP posiadają sprzęt umożliwiający "powielenie" nawet mikroskopijnej ilości DNA. Zrobimy, co tylko możliwe. Badania DNA krwi Mikołaja, jego brata i włosa miały zostać ukończone jesienią 1995 roku.

Komisję i śledczego zastanawiał także brak w grobie dwóch dziecięcych ciał. Awdonin, który był obecny na wszystkich posiedzeniach, stale powtarzał: Jeżeli znajdziemy te dwa ciała, wszystko stanie się jasne, historia zostanie zamknięta. Sołowiow był podobnego zdania: - Jeżeli nie znajdziemy ciał, to w sercach naukowców i nas wszystkich pozostanie cień zwątpienia. Zadanie polegające na odnalezieniu ciał było niezmiernie skomplikowane, ponieważ wiosną 1993 roku, czyli jeszcze zanim moskiewska prokuratura przejęła kontrolę nad śledztwem, profesor W. W. Aleksiejew z Uralskiego Instytutu Historii i Archeologii przekopał pługami i traktorami ziemię wokół grobu. Aleksiejew, zawzięty wróg Awdonina, miał nadzieję odnaleźć brakujące szczątki i zaprezentować swoje odkrycia na konferencji w Jekaterynburgu w lipcu 1993 roku. Niczego nie znalazł, ale gdy zaprzestał poszukiwań, ziemię wokół grobu przecinały głębokie bruzdy. Doktor William Maples, który tamtego lata przybył do Jekaterynburga, gdy zobaczył co zrobił Aleksiejew, był wściekły. Zamierzał sprowadzić do Jekaterynburga niezwykle czułą maszynę wielkości kosiarki do trawy; urządzenie to wysyła w głąb ziemi fale dźwiękowe i odbiera ich echo wykrywając wszelkie odstępstwa od normy w wierzchnich warstwach gleby. Maples widział, jak za pomocą podobnych urządzeń odnajdywano w Ameryce leżące w ziemi ciała i miał nadzieję, że tym sposobem uda się odnaleźć brakujące dzieci Romanowów. Kiedy zobaczył, co zrobił Aleksiejew, zasępił się: - Teraz nie ma już żadnej nadziei, wszystko zostało zniszczone. Sołowiow przyznaje, że nadzieja na odnalezienie dwóch pozostałych ciał jest nikła. - Uplęnoło zbyt duży CzasU - mówi - ziemia została wzruszona, kopano rowy pod kable. Pomimo to wierzy, że niewielka szansa nadal istnieje. - Jurowski twierdzi, że dwa ciała spalono - mówi. - Sokołow odnalazł miejsca, w których palono ogniska, odnalazł kości i zakrzepły tłuszcz. Sokołow przypuszczał, że w miejscu tym spalono wszystkie ciała. Napisał także, że wówczas nie istniały metody pozwalające stwierdzić, czy

były to ludzkie, czy zwierzęce kości. Obecnie metody takie istnieją. Obyśmy tylko mogli te kości odnaleźć. Riabow, podobnie jak Sołowiow, wierzy JUrowskiemU, który napisał, że szczątki dwóch ciał spalono na stosie. Być może dałoby się je odnaleźć, lecz poszukiwania takie, zdaniem Riabowa, kosztowałyby od pięciu do dwudziestu milionów dOlarów. Sołowiow obawia się, Że nawet gdyby udało się odnaleźć kości, ponieważ leżały tuż pod powierzchnią ziemi, byłyby w znacznie gorszym stanie niŻ szczątki odnalezione w grobie wykopanym w nieprzepuszczającej powietrza glinie. BrakUjące szczątki być może istniały, ale mogły nie przetrwać do naszym Ch czasów. Przy próbie zlokalizowania miejsca pochówku dwóch brakujących ciał, albo przynajmniej ustalenia co się z nimi stało, nieOcenioną pOmocą dla Sołowiowa byłby dostęp do pewnych przedmiotów - czego dotychczas mu odmawiano. Chodzi tU mianowicie o zawartość kasety, którą w przededniu przejścia Syberii przez Armię CzerwOną w 1920 roku Mikołaj Sokołow wywiózł z Jekaterynburga na Zachód. Uciekając przed zwycięskimi bolszewikami, Sokołow przemierzył całą Syberię nie rozstając się z kasetą, której zawartość nazywał "świętymi narodowymi relikwiami". Z Władywostoku wraz z żoną, w towarzystwie białogwardzisty, pułkownika Cyryła Naryszkin, i jego żony, popłynął do Europy na pokładzie francuskiego statku "Andre le Bon". Podczas podróży liczącej ponad dwanaście tysięcy kilometrów kasetę ukryta była pod koją żony pułkownika. Sokołow i Naryszkin znali się długo. Przed pierwszą wojną światową Sokołow był sędzią w położonym na zachód od MOskwy miasteczku Penza. Zaprzyjaźnił się tam z generałem Sergiuszem Rozanowem, dowódcą pułku, i często wspólnie polOwali w pOsiadłości Rozanowa. Gdy wybuchła wojna domowa, Rozanowa mianowano dowódcą sztabu admirała Kołczaka. Po przejściu Jekaterynburga przez Białych Rozanow i jego przyszły zięć Naryszkin byli pierwszymi białymi Oficerami, którzy Udali się do domu Ipatiewa, pokonali otaczającą go palisadę i wkroczyli do opuszczonego pałacu. W kilka miesięcy później Mikołaj Sokołow, przedarłszy się przez front, dotarł do kwatery głównej Kołczaka. Dzięki rekomendacji Rozanowa zlecono mu przeprowadzenie śledztwa w celu ustalenia okoliczności związanych ze zniknięciem Romanowów. Gdy statek "Andre le Bon" przybył do Wenecji, Sokołow i Naryszkin udali się na Riwierę Francuską, aby przekazać kasetę kuzynowi Mikołaja II, wielkiemu księciu Mikołajowi Mikołajewiczowi, byłemu głównemu dowódcy Armii Imperium Rosyjskiego, którego większość rosyjskiej emigracji uważała za odpowiedniego kandydata na następcę tronu. Ku przerażeniu Sokołowa wielki książę, nie chcąc urazić cesarzowej Marii, która nadal nie wierzyła w śmierć syna i jego rodziny, odmówił przyjęcia kasety. Wobec tego Sokołow i Rozanow udali się do Anglii, aby przekazać ją królowi Jerzemu V, kuzynowi cara Mikołaja. Król także odmówił i ostatecznie Sokołow powierzył kasetę na przechowanie

Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na Obczyźnie. Przez wiele lat znajdowała się ona w posiadaniu cerkwi i aż do ekshumacji jekaterynburskich szczątków wierzono, że zawiera jedyne ocalałe relikwie zaginionej carskiej rodziny. Metropolita i biskupi Cerkwi na Obczyźnie, podejrzliwi wobec rosyjskiego rządu i Cerkwi Prawosławnej (której patriarchę i duchowieństwo oskarżają o przynależność do KGB), odmawiają wydania kasety komukolwiek w celach badawczych. Nawet miejsce jej przechowywania objęte jest tajemnicą, choć powszechnie wiadomo, że znajduje się w Brukseli, w cerkwi wzniesionej ku pamięci zmarłego męczeńską śmiercią cara Mikołaja i jego rodziny. Zawartość kasety została opisana przez świadków, ale cerkiew odmawia jakichkolwiek komentarzy na ten temat. Niemożność zbadania kasety rodzi wiele wątpliwości z uwagi na opis jej i zawartości. Osiemdziesięcioletni książę Aleksy Szerbatow, prezydent Związku Rosyjskiej Arystokracji w Ameryce, latem 1994 roku przebywał w Brukseli; dzięki znajomości z wysokimi dostojnikami cerkiewnymi uzyskał informację, że w kasecie znajdują się pozostałości po stosie, na którym spłonęły ciała: "małe fragmenty kości, ziemia przesiąknięta krwią, dwie małe buteleczki z zakrzepłymi pozostałościami po tkance tłuszczowej i wiele kul". Książę Szerbatow nie chciał zdradzić nazwiska osoby, która przekazała mu tę informację, dodał tylko: "Tak, gwarantuję, tak, z całą pewnością. Były to szczątki dwóch ciał". W kwietniu 1995 roku Cerkiew na Obczyźnie nadal nie wyrażała zgody na udostępnienie kasety, przez co ani Sołowiow, ani żaden naukowiec nie mają prawa zbadać jej zawartości, żeby stwierdzić, co stało się z dwojgiem najmłodszych dzieci. Sołowiow może tylko czekać. - Gdy któregoś dnia pojawi się ta kaseca - mówi - otrzymamy odpowiedzi na wiele pytań. Jeżeli znajdują się tam całe kości, wówczas naukowiec taki jak Maples będzie w stanie stwierdzić, czy należały do młodej kobiety, czy do czternastoletniego chłopca. Badanie DNA mogłoby potwierdzić pokrewieństwo z matką i córkami, których szczątki już odnaleziono. DNA nie powie nam, którą z córek odnaleźliśmy, ale będziemy mieli pewność, że jest to czwarta córka. Nie wiedzielibyśmy, która jest która, lecz mielibyśmy pewność, że znaleziono wszystkie cztery.

Zarówno na zachodzie, jak i w Rosji wyniki poszukiwań Awdonina i Riabowa oraz rezultaty śledztwa Sołowiowa poddawane były ostrej krytyce. Cechą charakteryzującą rosyjską emigrację jest nienawiść do doktryn oraz przedstawicieli administracji komunistycznego państwa. Wrogość nie ogranicza się do ideologii. Wielu krewnych emigrantów zamordowano w czystkach, odebrano im ziemię i domy. Przez siedemdziesiąt pięć lat radzieccy historycy kłamali o przeszłości, a politycy, gazety, radio i telewizja fałszowały teraźniejszość. Toteż podejrzenia, jakich nabrała emigracja, niełatwo rozwiązać. Gdy w 1989 roku Gelij Riabow ogłosił



świata, że odnalazł szczątki carskiej rodziny, rewelację tę rosyjska emigracja przyjęła niezwykle sceptycznie. Jedno z emigracyjnych stowarzyszeń, Rosyjska Komisja Ekspertów na Obczyźnie, postanowiła śledzić wszystko, co mówiło się i robiło w Rosji w związku ze szczątkami. Jej przewodniczącym został inżynier z Connecticut, Piotr Kołtypin, wiceprzewodniczącym książe Aleksy Szerbatow, a sekretarzem były oficer CIA Eugeniusz Magerowski. Zdaniem członków komisji rewelacje Riabowa były jedną wielką bzdurą, a odkrycie szczątków - sprytną sztuczką KGB. Aleksander Awdonin po raz pierwszy spotkał Kołtypina i Szerbatowa w marcu 1992 roku w Petersburgu, podczas pogrzebu wielkiego księcia Włodzimierza, pretendenta do rosyjskiego tronu. Wówczas już rola, jaką Awdonin odegrał w odkryciu jekaterynberskiego grobu, była powszechnie znana w środowisku emigracyjnym. Po pochówku ludzie zaczęli zadawać mu pytania, więc Awdonin zaproponował, że będzie się zwracał do wszystkich. Jego godzinne przemówienie zostało w zasadzie dobrze przyjęte. Następnie pytania zaczęli zadawać Kołtypin i Szerbatow. - Wiedziałem, że nie wierzą w ani jedno moje słowo - wspomina Awdonin. - Zadawali prowokacyjne pytania, które miały stworzyć wrażenie, że śledztwo w sprawie zglądzenia cara zostało już przeprowadzone przez Sokołowa i niepotrzebne są żadne dalsze wyjaśnienia. Ich zdaniem ciała spalono, a głowy odcięto i gdzieś wywieziono. Byli przekonani, że wszystko co mówię, zostało ukartowane przez KGB. Gdy Awdonin powiedział, że rosyjscy i ukraińscy naukowcy przeprowadzają badania szczątków, Kołtypin i Szerbatow oświadczyli, że i tak nikt im nie uwierzy. Gdy dodał, że w badaniach wezmą udział także naukowcy amerykańscy, roześmieli mu się w twarz: - Ach, więc sprzedał się pan Amerykanom! - W takim razie - odparł Awdonin - to w y wybijcie kompetentny zespół naukowców i przyslijcie ich do nas. - Nic z tego - odparł Kołtypin - i tak nas oszukacie. - W takim razie - Awdonin wzruszył ramionami - nigdy wam nie udowodnimy, że to prawda. - Jest jeden sposób - rzekł Kołtypin. DNA. Ale wy w Rosji nie umiecie przeprowadzać takich badań. Awdonin spytał kto, w takim razie, potrafiłby to zrobić. - anglicy - odparł Kołtypin. bo Następne spotkanie Awdonina z emigracyjną komisją ekspertów odbyło się w lutym 1993 roku w Nyack, w stanie Nowy Jork. Awdonin wraz z żoną przyleciał do Bostonu na zaproszenie Williama Maplesa, dzięki czemu mógł wygłosić odczyt o wynikach badań szczątków Romanowów na corocznym zjeździe Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej. Drugie przemówienie Awdonin wygłosił w Nyack, a potem udał się do biblioteki, aby prowadzić prywatne rozmowy. Czekali tam Kołtypin i Szerbatow, do których nieco później przyłączył się Magerowski. Podobnie jak w Petersburgu, emigranci zaatakowali Awdonina. - Może jestem starym takimowakim "białym" - mówił Magerowski - ale po prostu panu nie wierzę. - Nie lubię Awdonina - stwierdził później Szerbatow. On kłamał. Jest prawdziwym,

starym komunistą. Atak z zagranicy został sformalizowany 25 grudnia 1993 roku, gdy Jurij Jarow, zastępca premiera Rosji oraz przewodniczący rządowej komisji badającej sprawę Romanowów otrzymali od Rosyjskiej Komisji Ekspertów oficjalne pismo. Emigracyjna komisja ostrzegała Jarowa przed wykorzystywaniem jakichkolwiek informacji dostarczanych przez "partię komunistyczną, KGB i prokuraturę [tzn. Sołowiowa)". Jej zdaniem "w zyciorysie Riabowa niektóre fakty budzą poważne wątpliwości. . . Na przykład współpraca z KGB. . . Oraz przyjaźń z A. N. Awdoninem". Komisja ekspertów odrzuciła relację Jurowskiego że twierdząc, że "jak powszechnie wiadomo, ostatniego cara przewieziono do Moskwy". Dlatego też - kontynuowała swój wywód komisja - czaszka Mikołaja II odnaleziona w jekaterynburgskim grobie przez Riabowa musiała tam zostać podrzucana "na czyjeś polecenie". Na koniec komisja oświadczała: że "Przypuszczamy, że pozostałe szczątki zostały umieszczone w grobie w 1979 roku, aby umożliwić rzekome ich odnalezienie w lipcu 1991 roku". no, Włodzimierz Sołowiow, przeczytawszy oświadczenie emigracyjnej komisji, zdecydowanie odpierał zarzuty postawione Riabowowi i Awdoninowi. - Dużo mówi się, zwłaszcza za granicą, o tym, że w odnalezionym grobie nie było carskiej rodziny, że wszystko zostało ukartowane przez KGB albo im jeszcze wcześniej przez CzeKa - twierdzi Sołowiow. Mówi się także, że e Riabow jest byłym agentem KCTB. Ale teraz mamy już dostęp do archiwów KGB; po sprawdzeniu ich mogę ponad wszelką wątpliwość oświadczyć, że Awdonin i Riabow są niewinni. Nie istnieją żadne materiały sprzed 1989 roku dotyczące któregośkolwiek z nich. Dopiero gdy "Moskowskije Nowosti" i "Ro dina" opublikowały wywiad z Riabowem, poddano ich inwigilacji. Poza tym KGB usiłowało ustalić miejsce, w którym znajduje się grób, w archiwach istnieje gruba teczka opisująca te nieudane próby. Dlatego też plotki, jakoby odnalezienie grobu zostało zaaranżowane przez KGB, są prosto śmieszne. Daję panu słowo honoru, znając tamte czasy i okoliczności, że gdyby lokalizacja grobu była znana czy to KGB, czy partii, istniałby on jedynie tak długo, ile czasu potrzeba na zebranie kompanii żołnierzy z łopatami i przewiezienie ich na miejsce. Odpierając ataki emigrantów, Sołowiow stara się zrozumieć ich punkt widzenia. - Ludzie tworzą pewne stereotypy - mówi - a im są starsi, tym trudniej je zmienić. Przez wiele lat emigracja nie miała żadnego powodu, żeby wierzyć temu, co się u nas mówiło. Ale wiele się zmieniło i śledztwo, które przeprowadziliśmy oraz wnioski, jakie wyciągnęliśmy, w każdej innej sprawie byłyby najzupełniej wystarczające. Nie byłoby żadnych wątpliwości, czy to w sądzie, czy ze strony kogokolwiek. Ale w tej sprawie musimy zrobić pięć czy sześć razy więcej niż to, co zrobiono do tej pory, po to, aby nie pozostały żadne wątpliwości. Oni [Kołtypin, Szerbatow, Magerowski] nie wierzą w ani jedno nasze słowo. Ich zdaniem jestem łajdakiem, Riabow i Awdonin też, łajdakami są wszyscy. Prawdę zna jedynie Kołtypin. Mógłby tu

przyjechać i wszystko zobaczyć na własne oczy. Ale nie zrobił tego. Sołowiow mówi także o braku jakichkolwiek prób ze strony emigracyjnej komisji zmierzających do przeprowadzania niezależnego śledztwa: - Gdy udaję się do archiwum, widzę listę dokumentów oraz nazwiska osób, które je wypożyczają. Widnieją tam podpisy Awdonina, Riabowa i kilku innych osób. Z tymi ludźmi mam o czym dyskutować, ponieważ z pierwszej ręki poznali wszystkie dostępne materiały i mogę usłyszeć od nich coś istotnego. Natomiast inni nic nie chcą widzieć, niczego nie pragną się dowiedzieć. Zdaniem Sołowiowa emigranci zaatakowali go, ponieważ nadal wierzą w wyniki śledztwa przeprowadzonego przed siedemdziesięciu pięciu laty przez Sokołowa. - Często pisze się - mówi Sołowiow - że nie zaznajomiłem się z zapiskami Sokołowa i nie korzystam z nich prowadząc śledztwo. To nieprawda. Rzecz w tym, że Sokołow popełnił błąd, ale błąd taki mógł się przytrafić każdemu śledczemu, który znalazłby się na jego miejscu. Błędem było założenie, że wszystkie ciała spłonęły w ogniu. Wówczas dowody zdawały się potwierdzać tę teorię. Obecnie posiadamy więcej dowodów. Jednak, moim zdaniem, był to jedyny błąd, jakiego dopuścił się Sokołow. Jedno z ostrzeżeń KOłtypina jest zasadne: nie wszystkie rosyjskie archiwa zostały w pełni otwarte. Sołowiow przyznaje, że miał dostęp do wszystkiego "z wyjątkiem archiwów prezydenckich", czyli archiwów biura politycznego. Oczywiście to ograniczenie wzbudziło wśród rosyjskiej emigracji podejrzenia, że pewne fakty nadal są ukrywane. Osobą, która mogła w tym przypadku okazać się pomocna, był Edward Radziński, członek komisji rządowej, który równocześnie, "na własną rękę", pisał biografię Stalina. - To prawda, że Sołowiow nie ma dostępu do archiwum prezydenckiego - potwierdza Radziński - ale ja go mam. Z kancelarii prezydenta otrzymałem zgodę na zaznajomienie się z materiałami dotyczącymi Stalina. Gdy powołano mnie na członka komisji, poprosiłem, aby moje uprawnienia rozszerzono także na Romanowów. Teraz posiadam specjalną przepustkę, dzięki której mogę porzyczać materiały dotyczące carskiej rodziny. Wszyscy zgadzają się, że w tej sytuacji to ja powinienem zajmować się tą sprawą. Radziński, opierając się na doświadczeniu uważa, że dokumenty o Romanowach nie zostały celowo ukryte, lecz zaginęły. Archiwum prezydenckie działa nadal; znajdują się tam tajne dokumenty dyplomatyczne nie tylko Związku Radzieckiego, ale także obecnego państwa rosyjskiego. - Kiedy zacząłem tam pracować - wspomina Radziński - zdałem sobie dopiero sprawę, że oni nie są w stanie oddzielić tajnych dokumentów bieżących od tych, które mają wartość historyczną. Powiedzieli mi: "pokażemy, gdzie znajdują się archiwa z okresu, który pana interesuje; nie możemy pozwolić, aby widział pan wszystko". Poza tym panuje tam nieopisany bałagan, sortowanie dokumentów rozpoczęto stosunkowo niedawno. Niektóre teczki są opisane błędnie,

inne w ogóle nie zostały opisane. W mojej książce zamieściłem materiały, o których istnieniu sami nie wiedzieli. Potem pytali mnie: "gdzie pan to wszystko znalazł?"

Radziński znalazł nowy dokument, potwierdzający cynizm Lenina w związku z fałszywymi oświadczeniami o rzekomym ocaleniu cesarzowej i jej córek. Był to pamiętnik Adolfa Ioffe, radzieckiego dyplomaty, który w czasie, gdy zgładzono carską rodzinę, przebywał w Berlinie. Zaciekawiony oficjalną wersją wydarzeń, w której podano, że zginął tylko Mikołaj, Ioffe zwrócił się do Feliksa Dzierżyńskiego, dowódcy CzeKa. Dzierżyński przyznał, że zabito całą rodzinę dodając, że Lenin kategorycznie zakazał przekazywania tej informacji Ioffemu. - Lepiej, żeby Ioffe nic nie widział - powiedział Lenin. Łatwiej będzie mu kłamać. Dokument ten nie zdziwił Sołowiowa. - Dam panu inny przykład sposobu myślenia Lenina - mówi. W 1912 czy 1913 roku doszło do zamachu na jednego z mniej znaczących członków hiszpańskiej rodziny królewskiej. Lenin o zamachu wyraził się pogardliwie: "Nie możemy kierować terrorem przeciwko konkretnym osobom. Jeżeli już eliminować, należy eliminować całą dynastię, a nie pojedynczych ludzi. W 1918 roku faktycznie, iż od razu nie ogłoszono, że zabito wszystkich, nie poddano ocenie moralnej. Według oficjalnego oświadczenia zgładzono tylko Mikołaja. Były ku temu powody. Przypuśćmy, że ogłoszono by, że zgładzono wszystkich. W kręgach monarchistycznych natychmiast zrodziłby się problem następcy Mikołaja, a Lenin nie chciał, aby wokół następcy wykrystalizowała się opozycja. Toteż pozwolił na spekulacje kogo zabito, a kto pozostał przy życiu, oraz gdzie przebywają ci, którzy przeżyli. Podczas wojny domowej przywódcy białych o poglądach monarchistycznych nie wiedzieli, wokół kogo powinni się skupić. Tym sposobem Lenin działał na dwóch frontach. Zgładził wszystkich członków carskiej rodziny oraz innych Romanowów, ale jednocześnie pozwalał mieć nadzieję, że członkowie najbliższej rodziny cara żyją. Później, gdy władza sowiecka okrzepła i nie groziło już niebezpieczeństwo monarchistycznej czy jakiegokolwiek innej kontrrewolucji, komuniści nie mieli nic przeciwko poinformowaniu o tym, co naprawdę zrobili, a nawet chętni się faktem, że zamordowano dzieci. Sprawy te wykraczają poza uprawnienia rządowej komisji zajmującej się szczątkami Romanowów i ich pochówkiem. Ale pozostają one tematem śledztwa prowadzonego przez prokuraturę generalną Rosji: - Gdy zamknę śledztwo, niezwłocznie ogłoszę jego wyniki - oświadcza Włodzimierz Sołowiow.

## 12. Pochówek cara

Ostatni pogrzeb cara miał miejsce w 1894 roku, kiedy Aleksander III, ojciec Mikołaja II, został pochowany w petersburskim Soborze Pietropawłowskim. W sto lat później rządowa komisja przygotowywała ostateczne oświadczenie w sprawie pogrzebu Mikołaja II. Następnie patriarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i Rada Ministrów oraz prezydent Federacji Rosyjskiej mieli podjąć decyzje: kościół miał postanowić jak, a rząd gdzie i kiedy, pochować ostatniego cara Rosji i jego rodzinę. - Czekamy, aż naukowcy zakończą swoją pracę - mówi Edward Radziński. - Gdy zidentyfikują kości, Cerkiew Prawosławna zdecyduje, czy będzie to zwykłe nabożeństwo żałobne, czy też pogrzeb połączony z kanonizacją cara. Cerkiew na Obczyźnie kanonizowała już cara, więc nasz kościół stoi przed poważnym problemem. Aleksander Awdonin, którego niewielkie biuro pełne jest portretów Mikołaja II, usiłuje wyjaśnić dylemat, przed którym stoi cerkiew: - Proszę nie zapominać, że w przeciwieństwie do Cerkwi na Obczyźnie nasza cerkiew znajduje się w kraju, w którym wszystkie te wydarzenia miały miejsce - mówi. - Wielu ludzi uważa, że winę za dopuszczenie do rewolucji ponosi Mikołaj II, a co za tym idzie sam w pewnym stopniu przyczynił się do swojej śmierci. Czyż można go kanonizować, przyjmując taki punkt widzenia? Jak zareagują na to ludzie? Przecież nie wolno nam zapominać, że nie są zachwyceni Mikołajem. Jego wizerunek niszczone przez siedemdziesiąt lat. Prawda jest taka, że był złym władcą. Był życzliwym człowiekiem, dobrym dla rodziny, ale to nie może usprawiedliwić złego rządzenia krajem. Natomiast odrębną kwestią jest los tych, którzy zginęli wraz z nim. Oni z pewnością nie ponoszą żadnej winy, byli męczennikami. Metropolita Juwenalij, przedstawiciel cerkwi w komisji rządowej, zajmował się głównie sprawą kanonizacji. Zdaniem Awdonina "osobiście badał wszystko, co wiązało się ze szczątkami, ale - w tym miejscu zmienia się wyraz jego twarzy - cerkiew dowiedziała się o szczątkach już przed czterema laty. W tym czasie nikt z moskiewskiego patriarchatu nie pofatygował się choćby po to, aby im się przyjrzeć. Ani jeden pop, czy choćby diakon!" Awdonin miał rację wypowiadając się o mieszanym uczuciu żywionym przez współczesnych Rosjan do Mikołaja II, ale mylił się w sprawie kanonizacji. - Męczeństwo nie ma nic wspólnego z działaniami danej osoby przed śmiercią - wyjaśnia ojciec Włodzimierz Szyszkow z Cerkwi Prawosławnej na Obczyźnie. - Dotyczy jedynie tego dlaczego i w jaki sposób pozbawiono ją życia. W wypadku Mikołaja II nie jest istotne, jakim był władcą i jakie były jego osiągnięcia i porażki. Car był męczennikiem - został zamordowany tylko dlatego, że stał na czele państwa. Ojciec Szyszkow nie potępia moskiewskiej cerkwi za zwleknięcie z podjęciem decyzji. - Prawda wygląda tak - mówi - że gdy nasza Cerkiew na Obczyźnie

postanowiła w 1981 roku kanonizować Mikołaja, wiele osób było temu przeciwnych, także duchowni. I przeciwko kanonizacji wysuwali takie same argumenty, jakie padają obecnie.

Po identyfikacji szczątków rosyjski rząd miał podjąć decyzję o miejscu pochówku. Oficjalnie mówiło się o dwóch miastach: o Jekaterynburgu, w którym zamordowano carską rodzinę i gdzie odnaleziono szczątki, oraz o Sankt Petersburgu, gdzie przez trzysta lat chowano carów i caryce dynastii Romanowów. Pod uwagę brane są względy historyczne i religijne, jednak ostateczna decyzja będzie miała podtekst polityczny. Znaczną przewagę ma tutaj Anatol Sobczak, wiceprzewodniczący komisji i bliski współpracownik Borysa Jelcyna. Ale Jekaterynburg, choć przestało się w nim mówić o hotelach dla turystów i kompleksach restauracyjnych, nadal jest pełen nadziei. Biskup Bazyli Rodzianko, który wybrał się z Waszyngtonu do Jekaterynburga, aby obejrzeć szczątki, nalega, aby Romanowów pochowano w mieście, w którym spoczywają już od siedemdziesięciu trzech lat. Jego zdaniem decyzja w tej sprawie została podjęta przez Boga: - Kości nie wolno oddzielać od pozostałych szczątków, które, choć w innej postaci, nadal trwają w ziemi. Przewożenie ich do Sankt Petersburga oznacza ich okaleczenie. Byłoby to świętokradztwem. Biskup potępia plan pochowania Romanowów w Soborze Pietropawłowskim, który, jego zdaniem, "jest miejscem najzupełniej świeckim; nie ma nic wspólnego z cerkwią ani religią. Pochowanie ich tam stanowiłoby jedynie polityczną rehabilitację. Zupełnie jakby państwo mówiło: zabiliśmy ich, ale teraz ich rehabilitujemy, równocześnie o popełnienie tej zbrodni oskarżając Lenina i innych komunistów. Gdyby rodzinę kanonizowano, ciągnie biskup, nabożeństwo nie ograniczyłoby się do zwykłego nabożeństwa żałobnego panichidy. Szczątków nie umieszczono by w trumnach czy grobowcach, lecz stałyby się one relikwiami o to, i trafiłyby na ołtarze wielu kościołów. W każdej cerkwi znajduje się relikwia, bez której nie można by odprawiać mszy. Ale gdyby nie doszło do kanonizacji, "należy ich pochować w Jekaterynburgu, tak aby spoczywali razem".

Żadnemu z żyjących Romanowów nie zaproponowano pracy w komisji zajmującej się pochówkiem ich krewnych. Romanowowie przekazali swoje zdanie prezydentowi Jelcynowi, przewodniczącemu komisji Jarowowi, patriarsze oraz śledczemu Sołowiowowi. Lecz zdania w rodzinie były podzielone, a przedstawiciele dwóch całkowicie odmiennych punktów widzenia żywią do siebie głębokie urazy. Mieszkająca w Madrycie wielka księżna Maria Władymirowna, pretendentka do tronu (jej następcą miałby zostać jej czternastoletni syn Jerzy) zaproponowała podzielenie szczątków na trzy grupy: car Mikołaj i cesarzowa Aleksandra zostaliby pochowani w Soborze Pietropawłowskim w Sankt Petersburgu; trzy córki pochowano by wraz z wielkimi

księżętami, obecnie spoczywającymi w grobowcu przy soborze; doktor i troje służących spoczęliby w Jekaterynburgu. Propozycja ta zbulwersowała kuzynów Marii, oraz licznych książąt i księżniczki, wśród których główną postacią był mieszkający w Szwajcarii książę Mikołaj Romanow, przewodniczący Stowarzyszenia Rodziny Romanowów. Ich zdaniem wszystkie szczątki należy pochować razem, w Jekaterynburgu. - Zbrodnią byłoby ich rozdzielanie - oświadczył książę Rościsław Romanow, londyński bankier, syn siostrzeńca Mikołaja II. - Razem zginęli i tak też powinni zostać pochowani. Komisja rządowa nie może uznać pozostałych mniej ważnych. Ponadto pozostawienie ich w Jekaterynburgu wydaje się logiczne. Skoro ma dojść do kanonizacji, dlaczego nie pochować ich w miejscu męczeństwa? Chowając ich w Sankt Petersburgu wraz z innymi carami udawalibyśmy, że nic się nie stało. Poza tym przyszłością Rosji jest wschód i miałyby to znaczenie symboliczne. Książę Mikołaj Romanow, głowa rodziny, ostro sprzeciwia się rozdzielaniu szczątków: - Dwukrotnie pisałem do patriarchy - mówi. - Rozmawiałem z ministrami w rządzie, wyraziłem to też publicznie w rosyjskiej telewizji. My, Romanowowie, chcemy, aby wszystkie ofiary tej masakry zostały pochowane razem, w tym samym miejscu, w tym samym soborze, powiedziałbym nawet: w tym samym grobowcu. Chcecie pochować cara w Soborze Pietropawłowskim? Ale w takim razie w carskim mauzoleum pochowajcie także doktora, służącą i kucharza. Od siedemdziesięciu trzech lat spoczywają we wspólnym grobie, tylko oni nigdy nie zdradzili rodziny. Zaslugują na to, aby uczcić ich pamięć w ten sam sposób, w tym samym miejscu. Jeśli Rosjanie tego nie rozumieją, to - nawet jeżeli niektórzy Romanowowie pójdą na pogrzeb - ja nie wezmę w nim udziału.

Mikołaj Niewolin, specjalista w zakresie medycyny sądowej, który od ponad czterech lat sprawuje opiekę nad szczątkami w jekaterynburgskiej kostnicy - nadal żywi nadzieję, że zostaną one pochowane w jego mieście. - Tutaj dokonano egzekucji, a nasze miasto chciałoby uczcić ich pamięć: Ale w kraju mamy dwa miasta, które przez siedemdziesiąt cztery lata sowieckiego reżymu między sobą "przeciągały linę". Teraz znowu chcą nam zabrać wszystko. Gdy Niewolin dowiedział się, że większość żyjących Romanowów pragnie, aby szczątki pochowano w Jekaterynburgu, był zdumiony. - Gdyby rzeczywiście do tego doszło, byłbym im tak wdzięczny, że nawet nie wiedziałbym, jak to wyrazić. Bo widzi pan, urodziłem się tutaj, na Uralu, jestem "lokalnym" patriotą. Borys Jelcyn także urodził się na Uralu, ale obecnie wszelkimi środkami stara się wesprzeć dość kruchą władzę prezydencką. Polityczne poparcie Anatola Sobczaka jest Jelcynowi niezbędne, a Sobczak opowiedział się za pochowaniem szczątków w Petersburgu. Dlatego też bardzo prawdopodobne jest, że Jelcyn pozostanie w

cieniu, po czym zatwierdzi decyzję podjętą przez komisję. Potem jednak znów będzie główną postacią na pogrzebie, pośród rosyjskich polityków, przedstawicieli cerkwi i rodów królewskich.

Datę pochówku wyznaczano trzykrotnie i trzykrotnie ją zmieniano. Pierwotnie ceremonia pogrzebowa miała się odbyć 18 maja 1994 roku, w dniu urodzin Mikołaja, w dziesięć miesięcy po przedstawieniu przez Gilla i Iwanowa ostatecznych wyników badań. Potem jednak, w kwietniu 1994 roku, moskiewska cerkiew zażądała dodatkowych badań oraz ekshumacji wielkiego księcia Jerzego. Datę pogrzebu przesunięto na 3 lipca 1994 roku. Gdy nadszedł ten dzień, Jerzy nadal spoczywał w grobowcu, dlatego też ustalono nowy termin, 5 marca 1995. Z punktu widzenia religii była to słuszna decyzja. Dzień ten w rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej jest dniem skruchy poprzedzającym Wielki Post. Chowając w tym dniu cara i jego rodzinę, w imieniu rosyjskiego rządu, cerkwi i narodu proszono by o przebaczenie nie tylko za zamordowanie carskiej rodziny, ale także za pozbawienie życia milionów innych ludzi. Ten rodzaj publicznej pokuty, narodowej skruchy wyrażanej przez cały naród, byłby wydarzeniem, w którym prezydent Jelcyn z pewnością chętnie by uczestniczył. W listopadzie 1994 roku datę pogrzebu odwołano, nie ustalając nowej.

Mijały lata, a Aleksander Awdonin wciąż czekał. Naukowcy spierali się ze sobą, komisje pracowały, dostojnicy kościołni żądali nowych dowodów, emigranci wymyślali coraz to nowe oskarżenia, a szczątki ostatniego imperatora Rosji, jego żony, trzech córek i czterech wiernych służących nadal spoczywały na metalowych stołach w jekaterynburskiej kostnicy. Awdonin nie może zrozumieć, dlaczego postąpiono z nimi w ten sposób: - Rodzina ta została zniesławiona za życia, a potem w bestialski sposób ją zamordowano. Jej członkowie przez wiele lat spoczywali w zasypanym dole, po którym jeździły samochody. A teraz wydobyto ich szczątki i odkrycie to ma wielkie, historyczne znaczenie. Szczątki te winny stać się źródłem jedności narodu, który podzieliła rewolucja. Ale one nadal dzielą. Powinny zjednoczyć kościoły - Rosyjską Cerkiew Prawosławną i Cerkiew na Obczyźnie - ale tak się nie stało. Mogły zjednoczyć naukowców - lecz wszystko znów zakończyło się porażką. Ludzie za granicą nam nie wierzą, a Kołtypin, Szerbatow i Magerowski - rozgłaszając nieprawdziwe informacje - zniekształcają prawdę. To nie tak powinno być. Od ekshumacji Awdonin zabiega o wzniesienie pomnika w miejscu odnalezienia szczątków. Celem jego niewielkiej fundacji "Obrietienie" jest przejęcie terenu od miejscowych władz i utworzenie na nim parku i wzniesienie pomnika. Awdonin chciałby postawić kamienny krzyż, pamiątkową płytę i o ile znalazłyby się na to



pieniądze, kaplicę. - Proszę zrozumieć - mówi wskazując na hałdy śmieci, błoto i kałuże - ich krew i ciała nadal są tutaj. Są częścią tej ziemi.

Car Aleksander III zmarł na zapalenie nerek w listopadzie 1894 roku, na Krymie, w wieku czterdziestu dziewięciu lat. Gdy kondukt pogrzebowy przemierzał kolejną Ukrainę i Rosję, chłopcy zdejmowali z głów czapki i gromadzili się wzdłuż torów kolejowych. W Charkowie, Kursku, Orelu i Tmie pociąg zatrzymywał się i odprawiano msze. W Moskwie trumnę przewieziono na Kreml. Niebo przemierzały ciemne, listopadowe chmury, a twarze mieszkańców Moskwy, którzy ustawili się wzdłuż ulic, aby zobaczyć kondukt, ochlapywało błoto. Po drodze kondukt zatrzymywał się przed kościołami, śpiewano żałobne pieśni. W Petersburgu na czerwono złotych karetach, czekających na stacji na ciało, udrapowano czarne, żałobne tkaniny. Przez cztery godziny procesja powoli kroczyła ulicami miasta w kierunku Soboru Pietropawłowskiego, gdzie chowano władców z dynastii Romanowów. W mieście słychać było jedynie stłumione werble, stukot końskich kopyt, łoskot toczących się żelaznych kół i bicie dzwonów. Do pogrążonej w żałobie rodziny dołączyli trzej królowie oraz sześćdziesięciu jeden członków rodzin królewskich. Hołd zmarłemu przyszli oddać ministrowie carskiego rządu, dowódcy armii i marynarki wojennej, gubernatorzy prowincji i czterystu sześćdziesięciu delegatów miast i miasteczek z całej Rosji. Przez siedemnaście dni ciało imperatora leżało w otwartej trumnie, oglądane przez dziesiątki tysięcy ludzi. 19 listopada 1894 roku cara pochowano. W tydzień później, szybko uporawszy się z żałobą i nie odbywając podróży poślubnej, nowy dwudziestosekstoletni car Mikołaj II poślubił swoją dwudziestodwuletnią narzeczoną z Niemiec, Aleksandrę Fiodorowną.

13. Oszuści

Tajemnicze zniknięcie carskiej rodziny w lipcu 1918 roku stało się znakomitą pretekstem do najróżniejszych spekulacji, wymysłów i oszustw. Od tamtych czasów pojawiła się już długa lista postaci, niekiedy barwnych, częściej żalonych, podających się za ocalałych Romanowów. Ich historie mają wspólny początek: pośród katów w Jekaterynburgu podobno znajdował się człowiek (lub kilku ludzi) szlachetny - rolę tę przypisywano nawet Jurowskiemu - który umożliwił ucieczkę jednemu z Romanowów, dwóm, trzem lub nawet całej rodzinie. Motywem pojawiającym się w wielu historiach była wiara w istnienie fortuny Mikołaja II, zdeponowanej w zachodnich bankach. Któż nie chciałby zostać wielkim księciem zamiast wieść życie byłego więźnia gułagów, ujeżdżacza, czy nawet słynnego szpiega? A do wielkich księżnych ludzie odnoszą się z większym szacunkiem niż do robotnic czy modystek. . . Naturalnie do takiej maskarady niezbędna jest życzliwie nastawiona publiczność. Przez wiele lat uroczy człowiek, podający się za Aleksego Mikołajewicza Romanowa, stanowił ozdobę społeczności Scottsdale w stanie Arizona. Dziennikarz z Phoenix zapytany, czy mieszkańcy tego miasta rzeczywiście wierzyli, że siedzący z nimi przy stole mężczyzna jest carewiczem, odparł: - Oni chcieli w to wierzyć, bardzo tego chcieli. Legendy powstały i rozwijały się dzięki dezinformacji rządu Lenina: Podawano, że Mikołaj i Aleksy zginęli, lecz jego żona i pozostałe dzieci były bezpieczne; Kreml nie zna miejsca pobytu kobiet - zaginęły podczas wojny domowej; minister spraw zagranicznych Rosji przypuszczał, że córki znajdują się w Ameryce. Zdaniem śledczego Sołowiowa dezinformację szerzono tak długo, aż rząd poczuł się dostatecznie pewnie, aby przyznać, że zamordowano wszystkich, także dzieci. Jednak z powodu nieustannych zmian w opowieściach radzieckiego rządu niewielu ludzi poza granicami Związku Radzieckiego dawało im wiarę. Śledztwo Sokołowa, któremu nie udało się odnaleźć ciała, zrodziło nowe wątpliwości. Niektórzy uwierzyli, że wszystkich zamordowano, a ciała doszczętnie spalono. Inni przyjęli do wiadomości wyniki jego śledztwa, lecz mieli zastrzeżenia. Jeszcze inni całkowicie odrzucali wersję Sokołowa. Pośród rosyjskiej emigracji i w zachodnich gazetach często pojawiały się plotki, że żadne morderstwo w ogóle nie miało miejsca. W 1920 roku cara widziano w Londynie, miał całkiem siwe włosy. Według innych historii przebywał w Rzymie, ukrywany w Watykanie przez papieża, natomiast carska rodzina znajdowała się na pokładzie statku pływającego po Morzu Białym, który nigdy nie przybijał do brzegu. Zamieszanie w związku ze śmiercią carskiej rodziny i sprzeczne historie pojawiające się w Związku Radzieckim i na

Zachodzie w nieunikniony sposób przyczyniały się do tego, że przez kilkadziesiąt lat dziesiątki osób podawały się za któregoś członka rodziny imperatora. Pośród nich nie pojawili się Mikołaj i Aleksandra (choć według jednej z historii uciekli do Polski), ale wszystkie dzieci pojawiły się w różnych miejscach i w różnych okolicznościach. Ich największy urodzaj dało się zaobserwować w Związku Radzieckim:

W 1920 roku na Syberii pojawiła się młoda kobieta podająca się za Anastazję; usiłowała przedostać się do Chin. W jej dokumentach figurowało nazwisko: Nadieżda Iwanowa Wasiliewa. Aresztowano ją i przesyłano pomiędzy więzieniami w Niżnym Nowogrodzie, Moskwie, Leningradzie; ostatecznie trafiła do gułagu na wyspie na Morzu Białym. W 1934 roku została umieszczona w szpitalu więziennym w Kazaniu, skąd po francusku i niemiecku pisała listy do króla Jerzego V ("wuja Jerzego") z prośbą o pomoc. Podczas pobytu w szpitalu tylko przez krótki czas opowiadała inną historię; twierdziła, że jest córką kupca z Rygi. Umarła w 1971 roku w zakładzie dla obłąkanych, ale zdaniem dyrektora kazańskiego szpitala "poza tym, iż twierdziła, że jest Anastazją, była całkowicie normalna".

Całkiem niedawno Edward Radziński "pociągiem, autobusem a nawet chłopskim wozem" odbył daleką podróż do uralskiej wioski, której mieszkańcy byli przekonani, że w 1919 roku dali schronienie dwóm najmłodszym carskim córkom, Marii i Anastazji. Wielkie księżne, jak wyjaśniono Radzińskiemu, żyły skromnie niczym zakonnice, "w wielkim ubóstwie, w strachu przed każdym kolejnym dniem"; aż do ich śmierci w 1964 roku ukrywał je miejscowy pop. Mieszkańcy wioski zaprowadzili Radzińskiego do nagrobków z napisami: "Maria Mikołajewna" i "Anastazja Mikołajewna".

Nawet Radziński dał wiarę opowieści byłego więźnia gułagów o nazwisku Filip Grigoriewicz Siemionow, podającego się za carewicza Aleksego. Siemionow, człowiek "dość wysoki, nieco otyły, przygarbiony. . . o pociągłej bladej twarzy, niebieskich czy szarych nieco wylupiastych oczach i wysokim czole" był w Armii Czerwonej kawalerzystą, studiował ekonomię w Baku, a potem pracował w Azji Środkowej. W 1949 roku trafił do szpitala psychiatrycznego, gdzie stwierdzono u niego "ostrą psychozę". Gdy odpowiadał na pytania, okazało się, że pacjent o carskich pałacach i dworskiej etykiecie wie znacznie więcej, niż badający go lekarze. Miał tylko jedno jądro, a jeden z badających go lekarzy słyszał od kogoś, że charakteryzowało to także carewicza. Hemofilia, która najwyraźniej nie przeszkadzała mu podczas wieloletniej

służby w kawalerii, jak poinformowano Radzińskiego, "powróciła na dwa miesiące przed śmiercią". Na historię Siemionowa zwrócił uwagę Włodzimierz Sołowiow i prokuratura. - Siemionow był zagadkową, podejrzaną postacią - mówi Sołowiowpodczas wojny został aresztowany. Żołnierzom wyruszającym na front dawano pieniądze, a on je ukradł, było tego sto tysięcy rubli. Skazano go na śmierć, a wówczas przypomniał sobie, że jest carewiczem. Wysłano go do szpitala psychiatrycznego i tym sposobem uniknął kary śmierci. Pod koniec życia pracował w kostnicy i to na najniższym stanowisku - przenosząc zwłoki. Radziński jest w posiadaniu fotografii Siemionowa, na której dramaturg dostrzega podobieństwo pomiędzy nim a trzynastoletnim carewiczem; jednak zdaniem innych osób żadne podobieństwo nie istnieje.

Aleksander Awdonin posiada kilka grubych teczek z fotografiami i listami od "dzieci" oraz "wnuków" Mikołaja II. Przeglądając je, mówi: - To jest Aleksy i jego córka. . . To jest Maria Mikołajewna. . . To córka Olgi Mikołajewnej, jest jedną z dwóch córek Olgi. . . Oto Anastazja. . . tu mamy córkę Anastazji. . . i wnuka Anastazji. . . A oto jeszcze jedna Anastazja. Awdonin nie kpi z tych ludzi; ponieważ listy, które do niego piszą przeważnie, są dramatyczne, do ich autorów odnosi się z sympatią. - Chciałbym, aby stać nas było na przeprowadzenie badań DNA wszystkich tych osób - zwierza się. - Aby wiedziały, kim są. I kim nie są.

W Europie pojawili się inni pretendenci. Kobieta o nazwisku Margaboodts mieszkająca w wili nad jeziorem Como we Włoszech oświadczyła, że jest najstarszą córką cara, wielką księżną Olgą. Pieniądze, z których się utrzymywała, rzekomo pochodziły od papieża i byłego cesarza Niemiec. Inna z córek, wielka księżna Tatiana, podobno została uratowana przez agentów brytyjskiego wywiadu; przewieziono ją samolotem z Syberii do Władywostoku, japońskim okrętem wojennym do Kanady, a następnie poprzez Kanadę do Anglii, gdzie przybyła w miesiąc po jekaterynburskiej egzekucji. Według innych historii Tatiana wykonywała taniec brzucha w Konstantynopolu i została prostytutką; uratował ją pewien brytyjski oficer i ożenił się z nią. Kobieta ta, o nazwisku Larisa Fiociorowna Tudor, umarła w 1927 roku i została pochowana w hrabstwie Kent. Trzecia córka, Maria, podobno uciekła do Rumunii, gdzie wyszła za mąż i urodziła córkę, Olgę Beatę. Ta z kolei miała syna, który zamieszkał w Madrycie jako książę Aleksy de'Anjou de BourbonConcie Romanow Dołgoruki. W 1994 roku książę ogłosił się "Imperatorem i Cesarską Wysokością, Dziedzicznym Wielkim Księciem i Carewiczem Rosji, Królem Ukrainy i Wielkim Księciem Kijowa". W 1971 roku rodzina Dołgorukich i Związek Potomków Rosyjskiej Arystokracji w Belgii wytoczyli proces "księciu Aleksemu" twierdząc, iż w rzeczywistości jest Belgiem i nazywa się Alex Brimeyer.

Sąd skazał Brimeyera-Dołgorukiego Romanowa na osiemnaście miesięcy więzienia. Brimeyer zmarł w 1995 roku w Hiszpanii. Po drugiej wojnie światowej w Mul pojawił się kolejny carewicz Aleksy. Człowiek ten służył w radzieckim lotnictwie wojskowym w randze majora i przez całe życie, jak twierdził, usiłował zbiec ze Związku Radzieckiego. Zamieszkawszy w Mul, przez wiele lat był pracownikiem technicznym w zakładzie przemysłowym i swoje pochodzenie wyjawiał dopiero w ostatnich latach życia. Kolejni carewiczowie pojawili się w Ameryce Północnej. Pani Sandra Romanow z Vancouveru jest głęboko przekonana, że jej mąż Aleksiej Tammet-Romanow, zmarły w 1977 roku na białaczkę, był carskim synem. Wyraża zgodę na jego ekshumację, aby przeprowadzić badania DNA. Pewien krzepki książę Aleksy Romanow ostatnie trzydzieści lat życia, aż do śmierci w 1986 roku, spędził w Scottsdale, w stanie Arizona. Przedsiębiorczy carewicz prowadził perfumerię i sklep jubilerski, a nawet wprowadził na rynek nowy gatunek wódki o nazwie "Aleksy". Napis na butelkach głosi, iż "proces destylacji jest tajemnicą księcia Aleksego Romanowa syna Mikołaja Romanowa, cara Wszechrosji". Książę Aleksy wiódł barwne życie, romansował z gwiazdami filmowymi, miał pięć żon i reputację niezłego gracza w polo. Polo jest brutalnym sportem, przyznaje książę, podczas czterdziestu lat jedenaście razy doznał złamania kości. Jego piąta i ostatnia żona zakochała się w nim ujrzawszy go na koniu. - Był najbardziej eleganckim jeźdźcem, jakiego kiedykolwiek widziałam - mówi. Był jakby zrośnięty z koniem; kiedy jeździł na łąkach w pobliżu hotelu Hilton, tak wiele osób zatrzymywało się, aby mu się przyglądać, że na drodze robił się zator. Ostatnio w Waszyngtonie pojawił się syn innego carewicza Aleksego, który twierdzi, że jego ojciec zginął w Chicago z rąk agentów KGB. Twierdzi także, że odbył potajemne spotkania z wiceprezydentem Danem Quayle'em i sekretarzem stanu Jamesem Bakerem, którzy powiedzieli mu: "Wiemy, kim jesteś. Bądź w pogotowiu".

Na początku lat sześćdziesiątych pojawiły się dwie osoby, którym udało się zwrócić na siebie uwagę dziennikarzy i wydawców. W końcu doszło do ich spotkania. Jedną z nich był Aleksy, drugą Anastazja.

1 kwietnia 1958 roku ambasador amerykański w Szwajcarii otrzymał anonim napisany po niemiecku, wysłany z Zurychu. Jego autor twierdził, że zajmuje wysokie stanowisko w wywiadzie jednego z państw bloku sowieckiego i proponował swoje USIUgi amerykańskiemu rządowi oraz prosił o przekazanie listu dyrektorowi FBI Edgarowi Hooverowi. Przez dwa lata agent ten pod kryptonimem "HeckenSchutze" (po niemiecku: snajper) przekazał CIA na mikrofilmach ponad dwa tysiące dokumentów. Nie chcąc zdradzić ani swojego nazwiska, ani

krajU pochodzenia szpieg Ujawnił liczne wtyczki KGB w zachodnich rządach i wywiadach. Agentami tymi byli między innymi Stig Wennerstrom, George Blake, Gordon Lonsdale, Israel Beer, Heinz Felfe i John Vassal. Zagadka tożsamości agenta została rozwiązana w grUdniu 1960 roku, gdy mówiący po angielsku mężczyzna zadzwonił do amerykańskiego konsulatu w Zachodnim Berlinie i przedstawił się jako "Heckenschutze". Powiedział, że jego życie jest w niebezpieczeństwie i że zamierza uciec. W Dniu Bożego Narodzenia "Heckenschutze" przekroczył granicę Zachodniego Berlina. Okazał się krzepkim, ciemnowłosym mężczyzną o niebieskich oczach, wydatnej dolnej wardze i bujnych wąsach. Uciekinier przedstawił się z imienia i nazwiska i pokazał swoje dokUmenty. Według nich był pułkownikiem Michałem Goleniowskim, oficerem wywiadU Wojska Polskiego. Później Goleniowski złożył następujące wyjaśnienia: "od 1957 do 1960 roku byłem Szefem technicznego i naukowego wydziału polskich służb specjalnych. Funkcja ta umożliwiała odbywanie zagranicznych podróży, co było niezwykle ważne do przeprowadzania tajnych operacji. Nie przynależąc do tej organizacji, Utrzymałem bliskie stosunki z wpływowymi ludźmi z KGB". PrzedStawiciel amerykańskich sŁużb Specjalnych wyjaśnia: - Goleniowski pracował w polskim wywiadzie wojskowym, ale równocześnie pracował dla RoSjan donosząc o wszystkich przedsięwzięciach polskich służb i agentach, i w Polsce, i na zachodzie. PUłkownik Goleniowski był rozczarowany spoSobem, w jaki został przyjęty, spodziewał się, że na spotkanie z nim przybędą agenci FBI. Przez wiele miesięcy pracy dla Amerykanów wierzył, że bezpośrednio kontaktUje się z dyrektorem FBI, Edgarem Hooverem. Choć zdawał sobie sprawę, że zgodnie z amerykańskim prawem CIA zajmUje się szpiegoStwem poza obszarem Stanów Zjednoczonych, pragnął uniknąć kontaktU z jej przedstawicielami, w obawie przed radzieckimi podwójnymi agentami. Przez cały czas Utwierdzano go w przekonaniu, że ma do czynienia z FBI: wszystkie wysyłane do niego wiadomości były podpisywane "Hoover". Ale w Berlinie czekali na niego agenci CIA. Pułkownik Goleniowski nigdy nie spotkał się z Hooverem, odbył jedynie "turystyczną wycieczkę" po gmachu FBI w Waszyngtonie, gdzie pokazano mu tematyczne wyStawy takie jak "Diuinęer" i "Bonnie i Dyde", wystawę sprzętu do pobierania odcisków palców i urządzeń wykorzystywanych w kryminalistyce oraz liczne portrety i fotografie Edgara Hoovera. 12 stycznia 1961 roku Goleniowskiego wojSkowym samolotem przewieziono do USA. Od amerykańskiego rządu otrzymał "stypendium" i przez niemal trzy lata odbywał spotkania z oficerami CIA, opisUjąc radzieckie techniki operacyjne, ich przebieg oraz podając nazwiska agentów komunistycznych w zachodnich państwach. 30 września 1961 roku odbył godzinne spotkanie dyrektorem CIA Allenem Dullesem. Siedziby CIA nie przeniesiono wówczas jeszcze do nowego budynkU w Lanęley w stanie Wirginia i jedynym

szczegółem zapamiętanym przez gościa była troska Dullesa o to, Czy na ścianach nowego biura zmieści się cała kolekcja fajek. Zdaniem Goleniowskiego rozmowa miała charakter czysto grzecznościowy. Ponieważ polski rząd, dowiedziawszy się o jego ucieczce, skazał go na karę śmierci, CIA umieściło go w dobrze strzeżonym mieszkaniu w Queens Aby chronić Goleniowskiego, postanowiono dać mu także amerykańskie obywatelstwo i agencja zaczęła prowadzić negocjacje z komisją Izby Reprezentantów i Senatu do spraw imigracji.

"Beneficjent, Michał Goleniowski, pochodzenia i narodowości polskiej, urodził się 16 sierpnia 1922 roku w Nieświeżu - informowała komisję CIA. - Ukończył trzyletnie studia prawnicze i w 1956 roku otrzymał magisterium na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Wstąpił do Wojska Polskiego w 1945 roku, a w dziesięć lat później został awansowany na pułkownika". 10 lipca 1963 roku ogłoszono specjalny projekt ustawy (nr 5507) głoszącej: "Beneficjentem jest czterdziestoletni Polak, któremu zezwala się na stałe zamieszkiwanie i zatrudnienie przez amerykański rząd. . . Jego zasługi dla Stanów Zjednoczonych uznajemy za nie zwykle znaczące". Projekt przyjęły Obydwie izby i Michał Goleniowski został obywatelem Stanów Zjednoczonych. To jednak nie był koniec. Podczas wielomiesięcznych kontaktów z CIA Goleniowski opowiedział oficerom nową historię. Uciekinier poinformował ich, że nazwisko "Goleniowski" było jego pseudonimem na czas pracy w polskim wywiadzie. W rzeczywistości jest on wielkim księciem Aleksym Mikołajewiczem Romanowem, rosyjskim carewiczem, o którym przez wiele lat myślano, że zginął w Jekaterynburgu. Goleniowski wyjaśnił, że Jurkowski nie tylko nie zastrzelił rodziny w piwnicy, ale pomógł jej w ucieczce. Strzegł ich, i w żebraczym przebraniu wysłał za granicę Rosji. Po wielu miesiącach podróży przez Turcję, Grecję i Austrię przybyli do Warszawy. Dlaczego do Warszawy? - Mój ojciec przemyślał to wszystko bardzo dokładnie - mówi Goleniowski. - Wybrał Polskę, ponieważ w miastach i na wsi było dużo Rosjan. Przypuszczał, że będziemy mogli się wtopić w to środowisko i nie zwracać niczyjej uwagi. Zgoliwszy brodę i wąsy zmienił się nie do rozpoznania. W 1924 roku, przeprowadziliśmy się z Warszawy do wioski w okolicach Poznania, w pobliżu niemieckiej granicy. Tego samego roku zmarła jego matka, cesarzowa Aleksandra, a car wysłał Anastazję do Ameryki, aby podjęła fundusze zgromadzone w Banku w Detroit. Anastazja nigdy już nie wróciła do Polski, a Olga i Tatiana zamieszkały w Niemczech. Mikołaj, Aleksy i jego siostra Maria w czasie wojny mieszkali pod Poznaniem; przez pewien czas car walczył w polskim podziemiu. Goleniowski Aleksy wychował się w Poznaniu. Po wojnie, w 1945 roku, przyjaciele wystarali się o przyjęcie go do wojska, gdzie rozpoczął pracę w wywiadzie. W 1952 roku, w wieku osiemdziesięciu czterech lat, zmarł Mikołaj II. Gdy Goleniowski uciekał z Polski, wszystkie

jego cztery siostry żyły i utrzymywały z nim kontakt. Nasuwały się dwa pytania: ile lat ma Goleniowski i jak przedstawia się sprawa z jego hemofilią? Goleniowski poinformował CIA i kongres, że urodził się w 1922 roku, podczas gdy carewicz urodził się w 1904. Różnicę osiemnastu lat trudno ukryć, a w 1961 roku były agent bardziej przypominał trzydziestodwuletnią niż mężczyznę pięćdziesięciosiedmioletniego. Goleniowski wyjaśnił, że jego hemofilia została potwierdzona przez doktora Alexandra Wienera z Brooklynu, współodkrywcę grup krwi.

Swój młodzieńczy wygląd przypisywał niezwykle rzadkiemu zjawisku polegającemu na wywołanym chorobą ustaniu wzrostu organizmu we wczesnym dzieciństwie. Hemofilia, jak twierdził, sprawiła, że "był po dwakroć dzieckiem". Ujawniwszy swą carską tożsamość pułkownik Goleniowski był gotów do przejścia spadku. - Po wojnie rosyjskojapońskiej w 1905 roku - wyjaśnił - ojciec zaczął deponować pieniądze w bankach na zachodzie. W Nowym Jorku były to: Chase Bank, Morgan Guaranty, J. P. Morgan & nie Co. Hanover i Manufacturer's Trust; w Londynie: the Bank of England, Barinę tstał Brothers, Bardays Bank i Uoyds Bank; w Paryżu banki: Francji i Rothschilda, a w Berlinie: Bank Mendelssohna. - Łączna suma na wszystkich kontach w samych tylko Stanach Zjednoczonych wynosi czterysta milionów dolarów - oświadczył Goleniowski. Niemal dwukrotnie większą kwotę zdeponowano w innych krajach. Nie domagam się tej sumy co do centa, ale chcę znacznej części. Jeżeli nie dostanę tych pieniędzy, oddam sprawę do sądu, gdzie wymienię wiele znanych nazwisk. Twierdzenie Goleniowskiego, jakoby był carewiczem, wprowadziło CIA w zakłopotanie. Był człowiekiem wybuchowym, żądał, aby tytułowano go wielkim księciem. Dyrektor Dulles pospiesznie umył od tej sprawy ręce. Zapytany przez dziennikarza o Goleniowskiego odparł: - Ta opowieść albo jest prawdziwa, albo nie jest. Nie zamierzam o tym dyskutować. W końcu podjęto decyzję: bez względu na wartość usług świadczonych przez Goleniowskiego CIA, agencja nie będzie popierać jego roszczeń do carskiej fortuny. Pod koniec 1964 roku przyznano mu emeryturę i zaprzestano z nim jakichkolwiek kontaktów. Pewien wysoko postawiony emerytowany funkcjonariusz CIA przypomina sobie, że dwukrotnie spotkał się z polskim agentem: - Udałem się tam, żeby sprawdzić, czy sytuacji nie dałoby się jakoś wyciszyć. Ale on już był dla nas stracony. Powiem tylko tyle: dostarczane przez niego materiały były bardzo dobre. Nie było w nich nic nonsensownego. Nie były owocem chorej wyobraźni. Czy Goleniowski był, jak kiedyś napisał "The New York Times", najbardziej "wydajnym agentem" CIA? - Nie, to wielka przesada. Ale dostarczył nam dokładnych materiałów identyfikacyjnych. Doprowadziło to do pewnej liczby poważnych aresztowań. W ostatnim roku współpracy



Goleniowskiego z CIA w historię agenta wmieszała się prasa. Przez trzy lata sprawę uciekiniera utrzymywano w tajemnicy, ale gdy na Kapitolu pojawił się projekt ustawy przyznającej mu obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, komisja kongresu zapragnęła przesłuchać Goleniowskiego: - Chcę zobaczyć tego człowieka - oświadczył jej przewodniczący. Ale CIA odmówiła, co byłego szpiega tak rozwścieczyło, że poszedł z tym do gazet. Chętnie wysłuchał go Guy Richards, reporter, "GournalAmerican". Spotkał się z Goleniowskim, który "energicznym krokiem tam i z powrotem przemierzał swoje mieszkanie" i opisał go jako "czterdziestojednoletniego, silnego, przystojnego, urodzonego w Polsce agenta; hollywoodzki wzorzec dobrze wychowanego szpiega". Tymczasem Goleniowskiego dwukrotnie wzywano do stawienia się na tajne posiedzenia senackiej komisji do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego: Do spotkań tych jednak nie doszło. Po dłuższym zwlekaniu komisja postanowiła nie powoływać go na świadka. Zamiast tego Jay Sourwine, doradca komisji, przesłuchał pracowników departamentu stanu, którzy pod przysięgą zaświadczyli o ścisłości i wadze informacji przekazywanych przez Goleniowskiego. Sourwine wyjaśnił, że rezygnacja z przesłuchania Goleniowskiego wynika z faktu, iż najpierw chciał on mówić o swoim carskim pochodzeniu. Senatorowie uznali, że byłoby to "niestosowne". Zły, że nie mógł wystąpić przed senatem, Goleniowski rozpętał kolejną burzę. 30 września 1964 roku, na kilka godzin przed przyjściem na świat swej córki Tatiany, poślubił trzydziestopięcioletnią niemiecką protestantkę Irmgard Kampf, z którą żył już od pewnego czasu. Na akcie ślubu i w innych dokumentach Goleniowski podpisał się jako Aleksy Mikołajewicz Romanow, syn Mikołaja Aleksandrowicza Romanowa i Aleksandry Fiodorownej Romanowej z domu von Hesse. Jako datę urodzin podał 12 sierpnia 1904 roku, a jako miejsce urodzenia - Peterhoff w Rosji. Dwie kobiety w średnim wieku, które przybyły z Niemiec na ślub, nazywał swoimi siostrami, Olgą i Tatianą. Ceremonia ślubna odbyła się w jego mieszkaniu, poprowadził ją arcybiskup protoprezbiterianin Synodu Biskupów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na Obczyźnie, hrabia George P. Grabbe, znany także jako ojciec Jerzy (ojciec Jerzy był bratankiem generała majora hrabiego Aleksandra Grabbe, dowódcy Gwardii Kozackiej cara Mikołaja II). Na fotografii zrobionej w dniu ślubu widać długobrodego Grabbe, siedzącego obok ciężarnej panny młodej, pana młodego oraz dwóch "sióstr", które - nawet uwzględniając upływ czasu - w niczym nie przypominają wielkich księżnych.

Burza szalała teraz już nie wokół Goleniowskiego - twierdzenie, jakoby był carewiczem, już dawno przez rosyjską emigrację zostało uznane za "absurdalne", "śmieszne", "sowieckie fałszerstwo" - ale wokół ojca Jerzego. Duchowny został brutalnie zaatakowany przez

wydawaną w Ameryce rosyjską prasę. Przełożeni zakazali mu ochrzczenia małej Tatiany, musiał też przy każdej okazji powtarzać, że nazwisko "Romanow" jest w Rosji tak częste jak "Smith" w Ameryce, że jako ksiądz nie mógł odmówić ślubu parze mającej do tego prawo, że Goleniowski nie może być tym Aleksym Mikołajewiczem Romanowem, oraz że jego obecność na ślubie nie oznacza, jakoby cerkiew popierała roszczenia pana młodego. Wyjaśnienia ojca Jerzego nie były przekonujące dla jego oskarżycieli, zwłaszcza gdy wyszło na jaw szerokie na trzy szpalty ogłoszenie w piśmie "Journal American" zapłać podobno sam pułkownik Goleniowski), że przed ceremonią ojciec Jerzy pięciokrotnie odwiedzał Goleniowskiego w jego mieszkaniu. Grabbego poproszono o rezygnację z członkostwa we wszystkich rosyjskich organizacjach emigracyjnych i przez pewien czas był bojkotowany. Trzydzieści lat później ojciec Jerzy, dziś emerytowany biskup Grzegorz, wyjaśnia motywy swego postępowania. 30 września 1964 roku o godzinie piątej rano zadzwonił do niego Goleniowski mówiąc, że jego żona zaraz będzie rodzić i że ma wszystkie dokumenty. Ojciec Jerzy udał się do ich mieszkania, gdzie czekali na niego spodziewający się dziecka państwo młodzi oraz wydawca o nazwisku Robert Speuer. Goleniowski wręczył księdzu zezwolenie na ślub wystawione na nazwisko Aleksego Mikołajewicza Romanowa oraz sądowy wyrok potwierdzający zmianę nazwiska z "Michał Goleniowski" na "Aleksy Romanow. - Mogłem wyjść - przyznaje biskup Grzegorz. - Być może nawet należało tak postąpić, ale w tamtych okolicznościach uważałem, że nie mam wyboru. Gdy dziecko na świat może przyjść z nieprawego łoża, na duchowym spoczywa wielka odpowiedzialność. Zaraz po ślubie kobieta pojechała do szpitala Manhasset i urodziła córkę. Wiele lat później dziecko to napisało do biskupa Grzegorza, prosząc o pomoc w odnalezieniu ojca. - Nie odpisałem jej - mówi biskup Grzegorz - nie chciałem mieć z nimi więcej do czynienia. Charakter Goleniowskiego i jego równowaga umysłowa znacznie się pogorszyły. Zrywał znajomość ze wszystkimi Amerykanami słowami: "Zwalniam cię!", a Guya Richardsa oskarżył o oszczerstwo. Nadal mieszkał w Queens i otrzymywał rządową emeryturę, narzekał jednak, że wynosiła ona tylko pięćset dolarów miesięcznie, tyle ile emerytura pułkownika w Polsce. W 1966 roku zaczął pisać otwarte listy: do dyrektora CIA, do prokuratora generalnego Ramseya Darka, do Amerykańskiego Związku wolności Obywatelskich i do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. "Nie jestem w stanie dłużej opłacać czynszu za mieszkanie, w wynajęciu którego pośredniczyła CIA - skarżył się. - Odebrano mi niezbędną i kosztowną pomoc lekarską, pozbawiono wszelkich możliwości wyrażania opinii w wolnej prasie". domagał się pięćdziesięciu tysięcy dolarów zaległych poborów i stu tysięcy odszkodowania za utracone w Polsce nieruchomości. W latach siedemdziesiątych pułkownik Goleniowski wydawał w domu "miesięcznik" "Dwugłowy

Orzeł", "oddany sprawie narodowej, niezawisłości i bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych i ocaleniu chrześcijańskiej cywilizacji". Tytułował się w nim "Imperatorem, Dziedzicem Tronu Wszechrosji, Carewiczem i Wielkim księciem Aleksym Mikołajewiczem Romanowem, Dostojnym Atamanem, głową rosyjskiego carskiego rodu Romanowów, itd.

Dwudziestostronicowy biuletyn, pisany na maszynie, zawierał liczne obelgi pod adresem "żydowskich bankierów z Londynu", "złodziejskich arystokratów", "malwersantów", "mafiozów" i "międzykontynentalnych oszustów" oraz "kanibalistycznych lichwiarzy".

Pułkownik Goleniowski twierdził, że Rockefellerowie byli "największymi kanciarzami, jacy kiedykolwiek istnieli" oraz że na liście radzieckich agentów, którą przekazał CIA w 1961 roku, znajdował się uniwersytecki profesor o nazwisku Henry Kissinger. W 1981 roku Cerkiew Prawosławna na Obczyźnie kanonizowała wszystkich najbliższych członków carskiej rodziny, włącznie z carewiczem Aleksym. Ceremonia ta, możliwa dzięki uznaniu ich za męczenników, rozwścieczyła pułkownika Goleniowskiego, który ogłosił, że Cerkiew na Obczyźnie - nastawiona antykomunistycznie - została całkowicie zinfiltrowana przez KGB, które knuje przeciwko niemu, aby pozbawić go prawa do spadku. Później sprawa Goleniowskiego nieco przycichła. W sierpniu 1993 były oficer polskiego wywiadu napisał w jednej z polskich gazet, że jego niegdysiejszy kolega Michał Goleniowski zmarł w Nowym Jorku 12 lipca 1993 roku. Amerykańska Centrala Wywiadowcza nie posiada informacji o losie swego byłego agenta "Heckenschutze".

18 sierpnia 1963 roku na okładce pisma "Life", jednego z najpoważniejszych i najpoczytniejszych tygodników, znalazło się zdjęcie Mikołaja II i jego pięciorga dzieci oraz nagłówek: "Sprawa nowej Anastazji - Czy kobieta z Chicago jest carską córką?". Wewnątrz na dziesięciu stronach zamieszczono fragment nowej książki zatytułowanej Anastazja, autobiografia wielkiej księżnej Rosji i przedstawiano biografię jej autorki, pani Eugenii Smith. Przez czterdzieści lat pani Smith mieszkała w Illinois, przez ostatnie siedemnaście lat w domu bogatej kobiety, pani William Emery, współwłaścicielki chicagowskiej Rawhide Company. Pani Emery wierzyła, że gości u siebie wielką księżną Anastazję; zabierała ją na wycieczki do Europy i zawsze 18 czerwca uroczyście świętowała jej urodziny (dzień urodzin Anastazji). Pani Smith mieszkała z panią Emery od 1945 roku aż do czerwca 1963 roku, kiedy to otrzymawszy spadek po swojej dobrodziejce przeprowadziła się do Nowego Jorku, aby wydać książkę. Choć pani Smith wiele lat przeżyła w Illinois, prasa i opinia publiczna niemal wcale się nią nie interesowały. Nie popierał jej także "miejscowy Romanow" (choć akurat to ostatnie było jej własną winą). Gdy w gazetach pojawiła się wiadomość o tym, iż wielka księżna Anastazja

mieszka w dzielnicy Elmhurst, okazało się że księżę Rościśław, siostrzeniec Mikołaja II, także mieszka w Chicago. Jego pierwsza żona Aleksandra rozwiodła się z nim i wyszła za mąż za bankiera Lawrence'a Armoura. Pani Armour dowiedziawszy się, iż jedna z krewnych jej byłego męża mieszkała w pobliżu, zatelefonowała do pani Smith, zaprosiła na lunch i zapowiedziała, że będzie na nim jej byłym mężem, ponieważ księciu Rościśławowi zależało na spotkaniu z kuzynką Anastazją, z którą bawił się w dzieciństwie. Pani Armour trzykrotnie ponawiała swoje zaproszenie, ale za każdym razem panią Smith bolała głowa; twierdziła, że jest zbyt przejęta, aby mogła spotkać się z kuzynem. Gdy Eugenia Smith po raz pierwszy przyniosła swój manuskrypt do nowojorskiego wydawnictwa Robert Speuer & Sons, nie twierdziła, że jest wielką księżną Anastazją; powiedziała natomiast, że jest przyjaciółką wielkiej księżnej Anastazji, która przed śmiercią w 1920 roku powierzyła jej swój dziennik. Wkrótce pani Smith udoskonaliła swoją historię i sama stała się wielką księżną. Wyjaśniła, że uciekła z Rosji do Rumunii. W październiku 1918 roku - w trzy miesiące po jekaterynburskiej masakrze - wyszła za mąż za chorwackiego katolika Mariana Smetisko. Ich córka umarła we wczesnym dzieciństwie. W 1922 roku otrzymała zgodę męża na wyjazd do Ameryki. W dokumentach imigracyjnych z tamtego okresu figuruje jako Eugenia Smetisko. Przybywszy do Nowego Jorku na krótko zatrzymała się w Detroit, a potem pojechała do Chicago. Jej małżeństwo rozpadło się po kilku latach, a ona pracowała jako sprzedawczyni, modelka i modystka. Podczas drugiej wojny światowej otrzymała amerykańskie obywatelstwo i zatrudniła się w przemyśle zbrojeniowym. Po wojnie zamieszkała z panią Emery. "Life" przedstawiło tę historię jako nie rozwiązana zagadkę i wymieniało dowody przemawiające za i przeciw. Ekspert od poligrafii wynajęty przez czasopismo przez trzydzieści godzin przepytawał panią Smith, po czym oświadczył, że jest niemal pewien, że miał do czynienia z Anastazją. Dwaj antropolodzy porównując fotografie Anastazji i pani Smith wykluczyli możliwość, aby przedstawiały one tę samą osobę. Do ich zdania przychylił się także grafolog, który zbadał próbki odręcznego pisma. Księżna Nina Czawczawdze, kuzynka, która bawiła się z Anastazją w dzieciństwie, także doszła do wniosku, że to mistyfikacja. Tatiana Botkin, córka carskiego doktora, który zginął wraz z rodziną, przeczytała książkę pani Smith i sporządziła listę błędów rzeczowych liczącą dwadzieścia stron. Wskazała także na zadziwiające podobieństwo między niektórymi fragmentami jej książki o carskiej rodzinie a książką pani Smith. Dzięki adresom w dokumentach imigracyjnych pani Smith udało się pismu "Life" odnaleźć Chorwata o nazwisku Marian Smetisko. Mężczyzna ten oświadczył jednak, że nie zna żadnej Eugenii i poza obecną żoną nigdy nie miał innej. W dwa miesiące po publikacji artykułu, w domu Eugenii Smith pojawił się pułkownik Goleniowski. Wówczas jeszcze pracował dla CIA i nikt w Ameryce

poza wywiadem i FBI o nim nie słyszał. 28 grudnia 1963 zadzwonił do wydawcy pani Smith pytając, czy nie chciałaby się z nim zobaczyć. Nie używał nazwiska Goleniowski, przedstawił się jako pan Borg. Pani Smith zgodziła się i tak 31 grudnia doszło do spotkania dwóch oszustów. Goleniowski powiedział, że od dwóch lat starał się nakłonić CIA, aby pomogła mu w odnalezieniu przebywającej w Ameryce siostry. Opowiedział jej w skrócie o swoim życiu i poinformował ją o losie rodziny: "Twoja siostra Maria jest w Warszawie. . . Matka umarła! w Warszawie. . . W 1952 roku pochowałem ojca własnymi rękami, był dobrym Rosjaninem. . . Z powodu choroby po dwakroć byłem dzieckiem". Pani Smith słuchała tego przez chwilę, po czym wykrzyknęła: - Tak, to on! To mój brat Aleksy! Mój najdroższy, mój najdroższy! Po tym wzruszającym spotkaniu doszło do trzech następnych, przy czym za każdym razem pani Smith nazywała Goleniowskiego "moim bratem Aleksym"; ale ich stosunki popsuł pewien niewygodny fakt: w swojej książce pani Smith napisała, że była jedyną osobą z rodziny Romanowów, która przeżyła jekaterynberską masakrę. Wytknął jej to wydawca, stwierdzając, że publiczne uznanie tego człowieka za brata wymagałoby od pani Smith przyznania się, że nie napisała prawdy. Pani Smith odmówiła dokonywania w swojej książce jakichkolwiek zmian, co przyczyniło się do wygaśnięcia tak dobrze zapowiadającego się związkU między "bratem" a "siostrą". Michał Goleniowski i Eugenia Smith nie spotkali się już więcej, ale Goleniowski nadal twierdził, że była jego siostrą Anastazją. Później napisał, że zginęła w Nowym Jorku w 1968 roku. Została zamordowana, jak powiedział, po wizycie "bardzo wpływowych ludzi. . . Dwóch z nich było Rockefellerami".

Tożsamość kobiet, które podawały się za wielką księżną Anastazję, podważali krewni sprawdzając ich pamięć, antropologowie mierząc twarze, grafologowie studiując odręczne pismo. Ale mężczyźni pragnący uchodzić za carewicza Aleksę mieli twardszy orzech do zgryzienia. Jedyne dziecko Mikołaja II chorowało na hemofilię. Jest to nieuleczalna choroba, którą synowie dziedziczą po matkach. Objawia się tym, że krew nie krzepnie. Stłuczenie jednego z naczyń krwionośnych pod skórą może sprawić, że do sąsiadujących z nim mięśni i tkanek zacznie przesączać się krew, tworząc krwiak niekiedy wielkości pomarańczy lub grejpfruta. W czasach carewicza nie istniały jeszcze transfuzje ani frakcje białkowe krwi, które pozwalałyby na zatrzymanie krwawienia. Z czasem, gdy skóra wypełniła się krwią, ciśnienie wywierane na przerywane naczynie spowalniało krwotok i powstawał skrzep. Potem w ciągu wielu tygodni następował proces resorpcji (wchłaniania) i skóra z jasnopurpurowej stawała się żółtozielona. Zadraśnięcie czy zadrapanie palca nie było niebezpieczne. Niewielkie rany na powierzchni skóry ciasno bandażowano, co nie dopuszczało do nadmiernego upływu krwi i pozwalało na

gojenie się skaleczenia. Wyjątek stanowiły krwotoki z ust i nosa, miejsc, których nie dało się zabandażować. Paraliż Aleksego spowodowany był wylewami dostawowymi, w efekcie których krew dostawszy się do łokcia, kolana czy kostki wywierała na nerwy ciśnienie objawiające się dotkliwym bólem. Niekiedy przyczyna urazu była znana, niekiedy nie. Aleksey budząc się rano wołał "Mamo, nie mogę dzisiaj chodzić" albo "Mamo, nie mogę zgiąć ręki w łokciu". Początkowo zginało się kończynę, przestrzeń, jaką mogła zająć krew, była znaczna, a ból niewielki. Z czasem jednak staw zaczynał coraz bardziej boleć. Gdy ból wypierał ze świadomości wszystko inne, Aleksey mógł tylko wołać "Mamo, pomóż mi, pomóż!". Wzywano doktorów, przykładano okłady z lodu, odmawiano modlitwy, ale nic nie przynosiło ulgi. A potem do Aleksego zaczęto sprowadzać Grzegorza Rasputina, syberyjskiego chłopca, o którym mówiono, że w cudowny sposób leczy ludzi. Każde kolejne krwawienie przyczyniało się do niszczenia kości, chrząstek i tkanki. Zmiany te prowadziły do unieruchomienia stawów. Nie było na to rady, można było tylko czekać, aż krew zostanie wchłonięta. Najlepszą terapią były ćwiczenia i masaże, ale groziło to kolejnym wylewem. Gdy Aleksey ukończył pięć lat, do pilnowania go wyznaczono dwóch marynarzy Carskiej Floty Wojennej. Kiedy był chory, nosili go na rękach; na wielu zdjęciach i filmach widać na pierwszym planie cara i cesarżową, a za nimi wysokiego marynarza niosącego ładnego chłopca. Gdy nastąpiła rewolucja, opieka skończyła się. Jeden z marynarzy uciekł, drugi dostał się do niewoli i zginął. Podczas pierwszych siedmiu miesięcy uwięzienia w Tobolsku stan zdrowia carewicza był dobry. Lecz w kwietniu, aby dać upust młodzieńczej energii, wniósł na piętro sanki i zjechał na nich po schodach. Przewrócił się, a krew zaczęła napływać do pachwiny. Przez ostatnie cztery miesiące życia nie mógł chodzić. Kiedy do Tobolska przybyła kawaleria, wysłana z Moskwy, aby sprowadzić carską rodzinę do stolicy, Aleksey był zbyt chory, by odbyć tak długą podróż. Dopiero w trzy tygodnie później dołączył do rodziców w Jekaterynburgu, lecz podczas pobytu w domu Ipatiewa niemal bez przerwy leżał w łóżku. 16 lipca w nocy, gdy Jurowski przyszedł po rodzinę, Mikołaj musiał syna znieść do piwnicy. To nieprawdopodobne, aby dziecko chore na hemofilię mogło przeżyć rzeź w piwnicy Ipatiewa. Pomimo to, jeżeli - jakimś cudem - Aleksey zostałby uratowany i przewieziony tysiące kilometrów w bezpieczne miejsce, jego los nadal byłby nie do pozazdroszczenia. Chorzy na hemofilię urodzeni na początku wieku większość życia spędzali w łóżku lub na wózku, cierpiąc z powodu zniekształcenia stawów. Wielu z nich nie dożyło dwudziestego roku życia; inni przeważnie umierali przed trzydziestką. Dziś chorym na hemofilię można pomóc, ale choroba ta nadal pozostaje nieuleczalna.

## 14. Pretendentka

Jedna z osób podających się za członka rodziny Romanowów była wyjątkowa. Tożsamość kobiety znanej jako Framein Unbekannt (panna nieznana), pani Aleksandra Czajkowska, Anna Anderson, Anastazja Manahan i Franciszka Szanckowska od jej pojawienia się w 1920 aż do śmierci w 1984 stanowiła jedną z wielkich zagadek dwudziestego wieku. Kobieta twierdziła, że jest księżną Anastazją, najmłodszą córką Mikołaja II. Członkowie rodziny, którym udało się przeżyć rewolucję (a niektórzy z nich dobrze znali Anastazję), prowadzili z jej powodu zaciekle spory. Ciotki, wujowie, kuzyni, wielcy książęta, wielkie księżne, były damy dworu, służące, guwernantki, oficerowie, załoga carskiego jachtu, a nawet była kochanka Mikołaja II - wszyscy wypowiadali się w tej sprawie. Składali oświadczenia pod przysięgą, udzielali wywiadów i pisali książki. W wielu krajach przeróżne osoby poświęcały się jej sprawie, czego wynikiem nierzadko były oskarżenia i procesy sądowe, które niektórych doprowadziły do bankructwa. Po jej śmierci rozwiązanie zagadki było równie dalekie jak przed sześćdziesięcioma czterema laty, gdy usłyszano o niej po raz pierwszy.

O dziewiątej wieczorem, 17 lutego 1920 roku, dziewiętnaście miesięcy po jekaterynberskiej masakrze, z berlińskiego mostu do kanału Landwehr rzuciła się młoda kobieta. Zauważył ją policjant, uratował i zawiózł do szpitala. Nie miała przy sobie torebki ani żadnych dokumentów. Gdy doszła już do siebie, odmówiła odpowiedzi na pytania, kim jest, gdzie mieszka i z czego się utrzymuje. Gdy policjanci nie dawali za wygraną, na głowę naciągnęła koc i obróciła się twarzą do ściany. Po sześciu tygodniach umieszczono ją w szpitalu psychiatrycznym w Daudorfie jako "Framein Unbekannt", w sali z czternastoma innymi kobietami. W dniu przybycia do szpitala miała sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i ważyła pięćdziesiąt kilogramów. Badanie wykazało, że jej ciało pokryte było bliznami oraz że nie była dziewicą. Uzębienie było w złym stanie i szpitalny dentysta musiał usunąć jej siedem czy osiem zepsutych zębów. W Daudorfie przebywała przez ponad dwa lata. Po kilku miesiącach milczenia zaczęła rozmawiać z niektórymi pielęgniarkami. Później jedna z nich - Niemka znająca rosyjski - twierdziła, że mówiła po rosyjsku "jak rodowita Rosjanka". Jesienią 1921 roku, przeglądając magazyn ilustrowany, w którym znajdowały się zdjęcia carskiej rodziny, pacjentka spytała jedną z pielęgniarek, czy nie dostrzega podobieństwa pomiędzy nią a najmłodszą córką cara. Gdy pielęgniarka przyznała, że istotnie zachodzi pewne podobieństwo, pacjentka oświadczyła, że jest wielką księżną Anastazją. Wiadomość ta wydostała się ze szpitala i (zniekształcona) dotarła do byłej damy dworu Aleksandry, baronowej Buxhoevden,

której powtórzono, że w szpitalu przebywa wielka księżna Tatiana. Baronowa wybrała się do szpitala, lecz pacjentka nie chciała jej widzieć i schowała się pod kocem. Baronowa zdarła go z niej i oburzona odeszła mówiąc "jest zbyt niska jak na Tatianę". Jednak pacjentka ponownie zapewniła pielęgniarce, że jest Anastazją. Pod koniec maja 1922 roku Framein Unbekannt opuściła Daudorf i zamieszkała w Berlinie z pewnym rosyjskim baronem i jego żoną, w ich niewielkim mieszkaniu. Wkrótce do barona zaczęli przybywać inni rosyjscy emigranci pragnący na własne oczy zobaczyć Anastazję i wysłuchać jej opowieści. Miła Kobieta twierdziła, że gdy z piwnicy wynoszono ciała, jeden z żołnierzy zauważył, że choć była nieprzytomna, nadal żyła. Mężczyzna ten, Polak, który przybrał nazwisko "Aleksander Czajkowski", razem z bratem Sergiuszem, zanieśli ją do swojego domu w Jekaterynburgu. Wkrótce potem Aleksander, Sergiusz, ich matka, siostra oraz półprzytomna kobieta uciekli z Jekaterynburga na chłopskim wozie. W cztery i pół miesiąca później, przemierzywszy ponad trzy tysiące kilometrów, przekroczyli rumuńską granicę i zamieszkali w Bukareszcie. Tam kobieta ku swemu przerażeniu przekonała się, że jest w ciąży. Czajkowski przyznał się do dokonania gwałtu. Gdy dziecko z nieprawego łoża (syn) przyszło na świat, matka pragnęła się go pozbyć i przekazała trzymiesięcznego chłopczyka matce i siostrze Czajkowskiego. - Moim jedynym życzeniem było, aby go ode mnie zabrano - oświadczyła. Niemowlę umieszczono w sierocińcu i ani historia, ani legendy nie mówią o jego dalszych losach. Według jednej z wersji tej opowieści matka dziecka i Aleksander Czajkowski wzięli ślub w kościele rzymskokatolickim. Wkrótce potem Czajkowski zginął w ulicznej bójce w Bukareszcie. Młoda kobieta oświadczyła, że postanowiła udać się do Berlina, aby prosić o pomoc siostrę cesarzowej Aleksandry, księżnę pruską Irenę, matkę chrzestną i ciotkę wielkiej księżnej Anastazji. Ponieważ nie miała paszportu ani pieniędzy, w podróży pomagał jej mężczyzna (być może był nim Sergiusz Czajkowski), z którym nocą, nie zauważona, przekraczała granice. Dotarwszy do Berlina udała się do pałacu księżnej Ireny. Lecz gdy stanęła przed bramą - pomyślała, że jej ciotki prawdopodobnie nie ma i że nikt jej nie rozpozna, toteż w przypiływie rozpaczyci rzuciła się z mostu do kanału.

Tak opisała swoją ucieczkę. Następnie sprawdzono nazwiska strażników domu Ipatiewa i okazało się, że nie było wśród nich żadnego Aleksandra Czajkowskiego. Co więcej, ani w Jekaterynburgu, ani w jego okolicach w 1918 roku nie mieszkała żadna rodzina Czajkowskich. W latach dwudziestych poszukiwania prowadzone w Bukareszcie wykazały, że nie mieszkał tam żaden Czajkowski, nie istnieje też odpis aktu małżeństwa, na którym figurowałoby to nazwisko, ani jakikolwiek ślad morderstwa lub śmierci człowieka o tym



nazwisku czy to na ulicy, czy gdziekolwiek indziej. To, że wielka księżna Anastazja mieszkając przez wiele miesięcy w Bukareszcie nie zwróciła się o pomoc do królowej Rumunii Marii - kuzynki zarówno jej ojca jak i matki, z którą widziała się w czerwcu 1914 roku podczas rozmów o małżeństwie pomiędzy rosyjskimi i rumuńskimi rodami panującymi, zdaniem córki Marii było "niewytłumaczalne". Pretendentka utrzymywała później, że wstydziła się pójść do królowej, ponieważ była w ciąży. Ciotka Anastazji, wielka księżna Olga, odrzuciła to wytłumaczenie twierdząc: - W 1918 czy 1919 roku królowa Maria natychmiast rozpoznałaby Anastazję. . . Maria nie byłaby niczym zbulwersowana, a o tym moja bratanica powinna była wiedzieć. . . Moja bratanica wiedziałaby także, że fakt ten z pewnością zaszokowałby księżniczkę Irenę. Toteż zdaniem Olgi nie do pomyślenia jest, aby córka cara nie zwróciła się do królowej Marii, lecz przemierzała Europę, aby spotkać się z księżniczką Ireną. Biorąc wszystko pod uwagę, "ucieczka", jest najtrudniejszym do zweryfikowania fragmentem legendy o Anastazji. W opowieść tę można albo uwierzyć - jak uczynili ci, którzy stanęli po jej stronie, albo ją odrzucić, jako zupełnie nieprawdopodobną - jak uczynili jej przeciwnicy. W końcu jednak przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. I jedni, i drudzy nie byli już ciekawi, w jaki sposób wydostała się z piwnicy. Pragnęli wiedzieć, kim była.

Anastazja Mikołajewna, czwarta i najmłodsza córka cara Mikołaja II i cesarzowej Aleksandry przysła na świat 18 czerwca 1901 roku. Władza w rodzinie należała do jej starszych sióstr, Olgi i Tatiany. Trzecia siostra, Maria, była delikatna i wesoła, toteż niskiej i pulchnej Anastazji pozostawała jedynie rola buntownika i żartownisia. Gdy armata na carskim jachcie o zmierzchu oddawała salwę, Anastazja uciekała do kąta, zatykała palcami uszy i robiąc wielkie oczy, udawała przerażenie. Była bystra i miała poczucie humoru; była także uparta, złośliwa i bezczelna. Te same zdolności, które przyczyniły się do szybkiej nauki języków obcych, pozwalały na przedrzeźnianie innych, niekiedy okrutne. Wspinała się na drzewa i nie schodziła z nich, dopóki nie nakazał jej tego sam ojciec. Rzadko płakała. Jej ciotka, wielka księżna Olga wspomina, że Anastazja pewnego razu zachowywała się tak niegrzecznie, że musiała dać jej klapsa. Dziewczynka poczerwieniała, ale zamiast rozpłakać się wybiegła z pokoju. Niekiedy w figlach Anastazja posuwała się zbyt daleko; pewnego razu oblepiła śniegiem kamień i rzuciła nim w Tatianę. Kamień trafił ją w twarz, przewrócił i ogłuszył. Dopiero wówczas Anastazja, przerażona, rozpłakała się. Carskie córki, nie mając oprócz siebie innego towarzystwa, były sobie bliższe niż większość sióstr. Olga, najstarsza, była zaledwie o sześć lat starsza od najmłodszej Anastazji. W okresie dojrzewania siostry "zwarły szeregi" i wszystkie cztery podpisywały się tak samo: OTMA (były to pierwsze litery ich imion). Jako OTMA

ofiarowywały także prezenty. Otrzymały surowe wychowanie. Spały na twardych łóżkach, bez poduszek, każdy dzień rozpoczynały od zimnej kąpieli. Pomagały pokojówkom w sianiu łóżek, i nie wydawały poleceń, lecz prosiły: Jeżeli niestanowi to dla ciebie kłopotu, matka prosi, abyś do niej przyszła. W domu nikt nie zwracał się do nich per "wasza cesarska mość"; były po prostu, zgodnie z rosyjską tradycją, Olgą Mikołajewną czy Tatianą Mikołajewną. Pomiędzy sobą i z ojcem rozmawiały po rosyjsku. Do matki, wychowanej w Anglii przez jej babkę królową Wiktorię, zwracały się po angielsku. Ci, którzy je znali wiedzieli, że różniły się między sobą. Baronowa Buxhoeveden wspomina "jasne włosy [Anastazji], piękne oczy, ciemne brwi, które niemal stykały się ze sobą. . . Była niska jeszcze w wieku siedemnastu lat i. . . dość pulchna. . . To ona płatała wszystkim figle". Tatiana Botkin, córka doktora, który wraz z carską rodziną zginął w domu Ipatiewa, wspomina "roziskrzzone oczy" Anastazji i dodaje, że była "żywa, niegrzeczna i złośliwa. . . Gdy śmiała się, nigdy nie patrzyła prosto w oczy. Łobuzersko spoglądała z ukosa". Gleb Botkin, młodszy brat Tatiany, przypomina sobie: - Była blondynką, jej włosy miały rudawy odcień, były długie, faliste i puszyste. Miała asymetryczną twarz i niewielką brodę, jej nos był dość długi, a usta szerokie. Mówi także, że była małą autokratką i nic, ale to nic, nie robiła sobie z tego, co mówili do niej inni. Księżna Ksenia, kuzynka młodsza od niej o dwa lata, wspomina ją jako towarzyszkę zabaw "o przerażającym temperamencie, szaloną i nieobliczalną, [która] oszukiwała w grach, kopała, drapała, ciągnęła za włosy".

Przez osiem lat od chwili wyłowienia z kanału pretendentka mieszkała głównie w Niemczech. Na początku 1922 roku członkowie byłej dynastii panującej Niemiec, Hohenzollernowie, zaczęli powoli dochodzić do wniosku, że jest ich rosyjską krewną. Z wizytą jako pierwsza udała się ciotka Anastazji, księżna pruska Irena, bratowa byłego cesarza Niemiec, Wilhelma II. Ciotka Irena nie widziała swojej siostrzenicy od 1913 roku, od wybuchu wojny pomiędzy Niemcami a Rosją, kiedy to Anastazja miała dwanaście lat. Od tamtego czasu minęło dziewięć lat, wystarczająco dużo, aby pamięć zaczęła słabnąć, zwłaszcza pamięć kobiety chorej, która przeszła przez fizyczne i psychiczne piekło. Ale pani Czajkowska, jak nazywała się teraz Framein Unbekannt, swojej domniemanej ciotce nie dała żadnych szans. Ciotka, przedstawivszy się pod fałszywym nazwiskiem, zaczęła tak intensywnie wpatrywać się w pacjentkę, że ta, przerażona, wybiegła z pokoju. Księżna Irena ruszyła za nią, ale pani Czajkowska ukryła twarz w dłoniach i nie chciała odezwać się ani słowem. Urażona takim zachowaniem księżna odjechała. - Natychmiast spostrzegłam, że nie jest to żadna z moich siostrzenic - napisała Irena. - Choć nie widziałam jej od dziewięciu lat, charakterystyczne cechy twarzy nie mogły zmienić się do tego stopnia, zwłaszcza oczy, uszy i tak dalej. Nieco później

księżna Irena była już mniej pewna siebie: - Nie mogłam się pomylić - twierdziła, gdy jeden z jej bratanków poparł panią Czajkowską. - Ona jest podobna, rzeczywiście jest podobna, ale co by to było, gdyby to nie była ona? Oszołomiona i zakłopotana księżna rozpląkała się. I już nigdy nie złożyła pani Czajkowskiej wizyty. W jej ślady poszli inni członkowie byłego rodu panującego. W 1925 roku pretendencję odwiedziła następczyni tronu Cecylia, synowa byłego cesarza Niemiec. Cecylię uderzyło podobieństwo do carskiej matki i samego cara, ale nie dostrzegła w niej nic, co przypominałoby carową. I znowu pani Czajkowska postąpiła tak jak poprzednio. - Nie mogłam z tą młodą kobietą nawiązać żadnego kontaktu - zauważyła Cecylia. - Nie odzywała się do mnie ani słowem, albo celowo, albo dlatego, że była zbyt zaskoczona. Później następczyni tronu Cecylia, podobnie jak księżna Irena, zmieniła zdanie: Jestem prawie całkowicie przekonana, że to ona - oświadczyła. Ale gdy Irena, ciotka Anastazji i jej wuj Ernest książę heski zmienili swoje stanowisko, Cecylia zdecydowała, że "ustalenie tożsamości [pani Czajkowskiej] nie jest moją sprawą". W roku 1952, po kolejnych trzech wizytach, następczyni tronu zmieniła zdanie. - Dziś jestem przekonana, że to najmłodsza córka cara - oświadczyła. Rozpoznaję w niej wiele cech matki. W odpowiedzi na urodzinowy podarunek Cecylia napisała do pretendenci: - "Twoja kochająca ciocia Cecylia całuje cię gorąco. Niech ci Bóg błogosławi! Księżna Cecylia powiedziała swojej synowej księżnej ruskiej Kirze, będącej żoną jej syna, księcia Ludwika Ferdynanda, wówczas pretendenta do tronu, że "[ta kobieta) z pewnością jest twoją kuzynką". Ludwik Ferdynand i Kira byli odmiennego zdania. Pod złożonym pod przysięgą oświadczeniu Cecylii, że potwierdza ona tożsamość kobiety podającej się za Anastazję, widnieje dopisek Ludwika Ferdynanda: "Kira i ja nie dostrzegamy żadnego podobieństwa". Tymczasem inny Hohenzollern, książę pruski Zygmunt, syn księżnej Ireny, ze swego domu w Kostaryce wysłał do Anny Anderson list z osiemnastoma pytaniami. Jak twierdził później, dotyczyły one ich dzieciństwa, i jedynie Anastazja potrafiłaby na nie odpowiedzieć. Choć Zygmunt nigdy nie widział pani Czajkowskiej, odpowiedzi te wystarczyły mu do stwierdzenia: "To mnie przekonało. To Anastazja, ponad wszelką wątpliwość".

Nawet były cesarz Wilhelm II, przebywający w Holandii na wygnaniu, do sanatorium, w którym przebywała Anna Anderson wysłał swoją drugą żonę, cesarzową Herminę. Nie wydano żadnego oświadczenia, ale od sierpnia zapadło milczenie, które miało oznaczać akceptację.

Charakter młodej kobiety często sprawiał kłopoty jej domniemanym krewnym. Skoro pozwałała sobie na humory i niegrzeczne uwagi w stosunku do odwiedzających ją baronowych i księżniczek, tym gorzej traktowała ludzi, którzy przyjmowali ją do siebie oferując pomoc. W

ich obecności łatwo wpadała w gniew, była despotyczna i stawiała coraz to nowe żądania. Miewała ataki szału: - Niekiedy wpadała w taką złość, że się jej bałam - wspomina jedna z opiekunek. - W jej oczach czaiła się sama wściekłość, a ona zaczynała się trząść. W takich chwilach groziła, że "czaszkami wrogów wybrukuje ulice" a "za to, że ją zdradzili, wszystkich krewnych powywiesza na latarniach". Nie posiadała ani własnego domu, ani pieniędzy, ale przeważnie to ona pierwsza kończyła wizyty, trzaskając drzwiami i wykrzykując przekleństwa. Zawsze miała dokąd pójść. Przenosiła się od rodziny do rodziny, z domu do domu, z zamku do zamku. Przez sześćdziesiąt cztery lata, od dnia kiedy uratowano ją z kanału, zawsze korzystała z czyjejś gościnności. Częściowym usprawiedliwieniem tego faktu był jej stan zdrowia, początkowo była niemal bezustannie chora, przebywała w szpitalach, przytułkach i sanatoriach. W 1925 roku cierpiała na gruźlicę kostnowastawową i otarła się o śmierć. Także jej zdrowie psychiczne ulegało poważnym wahaniom, miała skołataną nerwy i słabą pamięć. Tym właśnie jej zwolennicy tłumaczyli fakt, że zapomniawszy rosyjski i angielski mówiła wyłącznie po niemiecku. Tatiana Botkin wyjaśniała to następująco: "Ona zachowuje się jak dziecko, nie można zwracać się do niej jak do osoby dorosłej, odpowiedzialnej, ale właśnie jak do dziecka. Nie tylko zapomniała języki, jakimi władała, ale także umiejętność opowiadania, choć nie myślenia. Nawet najprostsze historie. . . opowiada nieskładnie i niedokładnie; są to słowa połączone ze sobą niebywale niegramatycznym niemieckim. . . To oczywiste, że najbardziej ucierpiała jej pamięć, ma też kłopoty ze wzrokiem. Sama przyznała, że po chorobie zapomniała, jak odczytuje się godziny na zegarze i musiała się tego znowu uczyć". Jej niezdolność - lub odmowa - mówienia po rosyjsku, była poważną przeszkodą w uznaniu jej za Anastazję. Niektórzy, na przykład pielęgniarka w Daudorf, twierdzili, że Anna Anderson mówiła po rosyjsku jak "rodowita Rosjanka. . . pełnymi zdaniami". W raporcie jednego z lekarzy z tamtego okresu napisano: "Przez sen mówi po rosyjsku, z dobrym akcentem; głównie o sprawach nieistotnych". Często odnosiło się wrażenie, że rozumie rosyjski, choć na pytania nie chciała odpowiadać w tym języku. Rosyjski chirurg, który w 1925 roku z powodu gruźlicy kostnowastawowej operował jej ramię, oświadczył: - Przed operacją mówiłem do niej po rosyjsku i - choć po niemiecku odpowiedziała na wszystkie moje pytania. Jej zwolennicy byli podzieleni: niektórzy, tacy jak Tatiana Botkin, twierdzili, że kobieta nie może mówić po rosyjsku z powodu uszkodzenia mózgu i częściowej utraty pamięci; inni byli zdania, że nie chce mówić w ojczystym języku w wyniku traumatycznych przeżyć w domu Ipatiewa. Sama Anna Anderson wyjaśniła, że w Jekaterynburgu rodzinę zmuszono do porozumiewania się po rosyjsku, aby rozmowy te mogli podsłuchiwać wartownicy. Język, jakim się posługiwali był ohydny, grubiański i często nieprzyzwoity. Ostatnie słowa, jakie usłyszała w piwnicy,

wypowiedziano po rosyjsku. Toteż rosyjski stał się dla niej językiem poniżenia, terroru i śmierci. Jej oponenci twierdzili oczywiście, że nie mówiła po rosyjsku, ponieważ nie znała tego języka. Sprawy tej nigdy nie wyjaśniono. W 1965 roku zrozpaczony niemiecki sędzia zaczął śpiewać rosyjskie piosenki, aby stwierdzić, czy Anna Anderson zna ten język. Ale ona tylko patrzyła na niego nieprzenikliwym wzrokiem.

Najważniejszymi świadkami w tej sprawie mogli być, oczywiście, członkowie rodziny, do której rzekomo należała - Romanowowie. Babka Anastazji, cesarzowawdowa Maria, przeżyła rewolucję i powróciła do swojej ojczyzny, Danii. Kobieta ta, najstarszy członek rodziny Romanowów, nie chciała słuchać wieści o śmierci syna i jego rodziny, ani o tym, jak to jedna z jej wnuczek, urodziwszy dziecko z nieprawego łoża, zamieszkała w Berlinie. Sprawą tą nie zainteresowała się także mieszkająca w Londynie w pałacu Jerzego V wielka księżna Ksenia, starsza córka cesarzowej Marii. Ale młodsza z córek Marii, wielka księżna Olga, nie mogła odmówić pomocy Annie Anderson - przecież mogła to być jej ukochana "Maleńka". W młodej ciotce Oldze Aleksandrownej cztery wielkie księżne miały oddaną przyjaciółkę. W każdą sobotę przyjeżdżała z Petersburga do Carskiego Sioła, aby cały dzień spędzić ze swoimi bratanicami, po czym, przekonawszy cesarzową Aleksandrę o potrzebie wywiezienia córek do miasta, w niedzielę rano cała piątka wsiadała do pociągu do stolicy. Najpierw zatrzymywano się na oficjalnym obiedzie u babki, cesarzowejwdowy, a potem były: herbata, zabawy i tańce w domu Olgi Aleksandrowny. "Dziewczynki znakomicie się bawiły" pisała w pięćdziesiąt lat później wielka księżna. "Zwłaszcza moja córka chrzestna [Anastazja]. Nadal słyszę jej śmiech, który rozbrzmiewał w całym pokoju. Tańce, muzyka, zabawa - wszystkiemu oddawała się całym sercem". Sama Olga Aleksandrowna nie była szczęśliwa. W wieku dziewiętnastu lat poślubiła księcia Piotra Oldenburskiego, który nie interesował się kobietami. Po piętnastu latach nieskonsumowanego małżeństwa otrzymała od brata zgodę na rozwód. W 1916 roku wyszła za mąż za mężczyznę, którego kochała, pułkownika Mikołaja Kmikowskiego. Po rewolucji Olga, jej mąż i synowie (Tichon i Gurij) zamieszkali u cesarzowejwdowy Marii w Danii. Gdy do Olgi dotarły wieści o Annie Anderson, napisała do Pierre'a Gilliarda, byłego gubernera carskich dzieci: "Proszę natychmiast udać się do Berlina i zobaczyć się z tą nieszczęsną kobietą. Może to naprawdę moja "Maleńka". . . Byłoby zbrodnią pozostawić ją tak, bez żadnej opieki. . . Jeżeli to ona, proszę natychmiast mnie o tym powiadomić, a przyjadę do Berlina".

Gilliard był odpowiednim człowiekiem do wykonania tej misji. Znał carskie dzieci lepiej niż osoby, które dotychczas widziały Annę Anderson. Przez trzynaście lat mieszkał z nimi pod jednym dachem, kilka razy w tygodniu udzielając lekcji carewiczowi i wielkim księżnym. Był całkowicie oddany rodzinie. Wraz z nią pojechał na Syberię, spędził zimę w Tobolsku nie przestając uczyć dzieci, organizując dla swoich uczniów przedstawienia po francusku i wspólnie z Mikołajem II i carewiczem rąbiąc drewno na opał. Następnie razem z rodziną pojechał do Jekaterynburga, ale nie wpuszczono go do domu, w którym uwięziono carską rodzinę. Po masakrze w domu Ipatiewa i przejściu miasta przez białych, Gilliard asystował Mikołajowi Sokołowowi w śledztwie. Przeszukując Uroczysko Czterech Braci wykrzykiwał: - Ale dzieci? Dlaczego dzieci?! Gilliard opuścił Rosję w towarzystwie pokojówki wielkich księżnych, Aleksandry Tegliewej, zwanej Szurą. Powróciwszy w 1919 roku do Szwajcarii, swojej ojczyzny, ożenił się z Szurą i objął katedrę na uniwersytecie w Lozannie. Gdy Pierre Gilliard otrzymał list od wielkiej księżnej Olgi, natychmiast udał się wraz z żoną do Berlina. Osoba, którą odnaleźli w szpitalu św. Marii, miała gorączkę, halucynacje i majaczyła. Gruźlica kostnowastowa w połączeniu z zakażeniem gronkowcem przyczyniła się do utworzenia niezwykle bolesnej otwartej rany. Chore ramię nabrzmiało i stało się "bezkształtną masą", a pacjentka była chuda jak szkielet. Gdy Gilliard usiadł przy łóżku, Szura poprosiła go, aby spojrzął na nogi pacjentki. Wielka księżna Anastazja cierpiała na "hauksy" (obrzęk zapalny kłębu dużego palucha, któremu towarzyszą bolesne odciski). - Stopy przypominają stopy wielkiej księżnej - powiedziała Szura, gdy odsłonięto koc. - U Anastazji prawa noga też była w gorszym stanie niż lewa. Z powodu ciężkiego stanu kobiety Gilliard nalegał, żeby przeniesiono ją do lepszego szpitala. - Najważniejsze jest, aby przeżyła - powiedział. - Wrócimy, gdy stan jej zdrowia poprawi się. W prywatnej klinice rosyjski chirurg usunął mięśnie i część kości lewego łokcia, wstawiając w to miejsce srebrną protezę. Przez wiele tygodni pacjentka walczyła z bólem i otrzymywała zastrzyki morfiny. Jej waga spadła do trzydziestu czterech kilogramów. W trzy miesiące później Gilliard i jego żona powrócili. Najpierw Gilliard usiadł przy jej łóżku i powiedział: - Proszę ze mną porozmawiać. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pamięta pani z przeszłości.

Kobieta spojrzała na niego, zaskoczona i zła:

- Nie umiem rozmawiać - odparła. - Myśli pan, że gdy próbowano człowieka zabić, tak jak mnie, pamięta się to, co było przedtem? Gilliard wyszedł. Tego samego dnia pacjentkę odwiedziła kobieta w fioletowym płaszczu. Podeszła do łóżka, uśmiechnęła się i podała jej rękę. Była to wielka księżna Olga. Przyszła także następnego dnia. Rozmawiały; Olga po

rosyjsku, pacjentka po niemiecku. Po południu pojawiła się Szura. Gdy pacjentka uperfumowała sobie nadgarstek, Szura przypomniała sobie, że wielka księżna Anastazja, "która uwielbiała perfumy", często czyniła tak samo. Stojąc na balkonie i przyglądając się tej scenie, Olga zwierzyła się jednej z przyjaciółek pacjentki: - Wygląda na to, że nasza "Maleńka" i Szura bardzo cieszą się z tego spotkania. Jestem rada, że tu przybyłam, choć postąpiłam wbrew woli matki, była na mnie bardzo zła. . . A siostra [wielka księżna Ksenia] depeszowała mi z Anglii, abym pod żadnym pozorem nie odwiedzała "Maleńkiej". Po powrocie Gilliard także dał się ponieść nastrojowi tej chwili i uwierzył, że doszło do zjednoczenia rodziny. - Zrobię wszystko, aby pomóc wielkiej księżnej - powiedział i zwrócił się do chirurga, który ją operował: - Jaki jest stan zdrowia Jej Wysokości? Doktor odparł, że życiu kobiety nadal zagraża niebezpieczeństwo. Następnego dnia, podczas trzeciej wizyty, Gilliard usiłował zadawać pacjentce pytania dotyczące przeszłości, zwłaszcza pobytu na Syberii. Jednak nie udało mu się to i goście postanowili wyjść. Gdy wielka księżna Olga zbierała się do odejścia, pacjentka wybuchła płaczem. Olga pocałowała ją w oba policzki mówiąc: - Nie płacz. Napiszę. Musisz wyzdrowieć, to najważniejsze. Wychodząc wielka księżna zwierzyła się eskortującemu ją duńskiemu ambasadorowi: - Mój umysł nie może tego pojąć, ale serce podpowiada mi, że "Maleńka" jest Anastazją. Szura wyszła płacząc: - Tak bardzo ją kochałam - szlochała. - Tak bardzo kochałam! Czy możecie mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo kocham tę kobietę? Gilliard w większym stopniu kontrolował swoje uczucia i wyraził się ostrożniej: - Odchodzimy stąd nie mogąc stwierdzić, że kobieta ta nie jest wielką księżną Anastazją Mikołajewną. Ciepłe uczucia, jakie jej okazywano, na kilka miesięcy poprawiły nastrój pacjentki. Wielka księżna Olga przysłała jej z Kopenhagi pięć listów, pełnych troski i czułych słów: "Ślę ci moją miłość, myślę o tobie bez przerwy. Tak przykro było odjeżdżać wiedząc, że jesteś chora i cierpisz w samotności, ale nie lękaj się, nie jesteś sama, nie zostawimy cię. Jedz dużo i pij śmietankę". Do trzeciego listu dołączony był prezent: "Mojej małej pacjentce przesyłam jedwabny szal, jest bardzo ciepły. Mam nadzieję, że otulisz nim ramiona i że pomimo zimy będzie ci w nim ciepło. Kupiłam go w Jalcie, jeszcze przed wojną". Szal był czerwony, z czystego jedwabiu, długi na metr osiemdziesiąt i szeroki na metr dwadzieścia. Ale po piątym liście Olga przestała pisać. Prawda była taka, że Olga, kobieta o dobrym sercu, szlachetna i podatna na wpływy, po powrocie do Kopenhagi, pisząc pierwsze listy do pacjentki w Berlinie, napisała także do ambasadora Zahle: "O naszej małej, biednej przyjaciółce długo rozmawiałam z matką i wujem Waldemarem. Trudno mi wyrazić, jak ciepłe uczucia do niej żywię, kimkolwiek jest. Myślę, że nie jest tą, za którą się uważa, choć nie możemy tego stwierdzić z całą pewnością, ponieważ w tej sprawie nadal pozostaje wiele niejasności". W trzydzieści lat później wielka księżna Olga

była bardziej sceptyczna: "Gdy widziałam ją po raz ostatni w 1916 roku, moja ukochana Anastazja miała piętnaście lat. W 1925 roku miałyby dwadzieścia cztery lata. Uważam, że pani Anderson wyglądała na starszą. Naturalnie, należy też wziąć pod uwagę długą chorobę. . . Jednak rysy mojej bratanicy nie mogły się aż tak bardzo zmienić. Nos, usta, oczy - wszystko wyglądało inaczej". Lecz na długo zanim wielka księżna Olga powiedziała te słowa, Anna Anderson w sposób ostateczny wypowiedziała się o ich wzajemnych stosunkach: - To ja nie zamierzam jej już przyjmować. Odrzucenie, choć nie całkowite, przez wielką księżną Olgę, krewną, która знаła Anastazję najlepiej i która wówczas jako jedyna pofatygowana się do szpitala, pogorszyło położenie Anny Anderson. Opinię ciotki co do tożsamości pacjentki większość krewnych i niemal wszyscy rosyjscy emigranci uznali za zdecydowanie negatywną. Także Pierre Gilliard opowiedział się po stronie opozycji. Wygłaszał wykłady, pisał artykuły, a wreszcie napisał książkę zatytułowaną Falszywa Anastazja. Twierdził, że od pierwszej chwili był pewien, że nie ma do czynienia z byłą uczennicą: "Pacjentka miała długi, zadarty nos, duże usta i grube wargi; natomiast wielka księżna miała nos krótki, mniejsze usta i kształtne wargi. . . Poza kolorem oczu w kobiecie tej nic nie przypominało wielkiej księżnej". Wszystko, co wiedziała o życiu carskiej rodziny, zdaniem Gilliarda, wyczytała z pamiętników lub dostrzegła na fotografiach. Na koniec nazwał panią Czajkowską "wulgarną awanturką" i "znakomitą aktorką".

Po odrzuceniu Anny Anderson przez wielką księżną Olgę, jedynie dwóch Romanowów wystąpiło w jej obronie. Jednym był wielki książę Andrzej, kuzyn Mikołaja II, który niekiedy widywał młodą Anastazję podczas obiadów. Otrzymał od cesarzowej Marii zgodę na przeprowadzenie śledztwa i w styczniu 1928 roku spędził z Anną Anderson dwa dni. Po pierwszym spotkaniu zawołał radośnie "Widziałem córkę Mikołaja! Widziałem córkę Mikołaja!" Później napisał do wielkiej księżnej Olgi: "Obserwowałem ją uważnie i z całą świadomością stwierdzam, że Anastazja Czajkowska nie jest nikim innym jak wielką księżną Anastazją Mikołajewną. Rozpoznałem ją natychmiast, a dalsze obserwacje jedynie potwierdziły pierwsze wrażenie. Nie mam żadnych wątpliwości: to jest Anastazja". Przy tej samej okazji żona wielkiego księcia Andrzeja była primabalerina Matylda Krzesińska, również widziała się z Anną Anderson. W 1967 roku, po śmierci Andrzeja, dziewięćdziesięcioletnią wdowę, która przed siedemdziesięciu pięciu laty była kochanką Mikołaja II, spytano o Annę Anderson. - Nadal jestem przekonana, że to była ona - powiedziała pani Krzesińska. - Gdy na mnie spojrzała, tymi swoimi oczami, to było to. To był imperator. . . to było spojrzenie cara. Ci, którzy widzieli oczy cara, nigdy ich nie zapomną. Drugim członkiem rodziny Romanowów,



który poparł Annę Anderson, była kuzynka Anastazji, księżna Ksenia. W wieku osiemnastu lat wyszła za spadkobiercę właścicieli kopalni cyny, Williama B. Leedsa, i zamieszkała w jego posiadłości na Long Island. Ksenia była o dwa lata młodsza od Anastazji i po raz ostatni widziała ją na Krymie w 1913 roku, gdy Anastazja miała dwanaście lat. Po czternastu latach Ksenia zaprosiła do siebie panią Czajkowską; po sześciu miesiącach wnikliwej obserwacji oświadczyła: "Jestem przekonana, że to ona". Natomiast jej starsza siostra Nina była bardziej ostrożna: "Kimkolwiek jest ta kobieta, z pewnością pochodzi z wyższych sfer".

Decydujący głos w sprawie Romanowów należał do cesarzowej-wdowy Marii; pomimo jej wyraźnej niechęci do pani Czajkowskiej, ta ostatnia nadal liczyła na to, że cesarzowa zmieni zdanie. - Moja babcia na pewno mnie rozpozna - mówiła. Dopiero Tatiana Botkin wyjawiała jej, że cesarzowa nigdy się z nią nie spotka, w ogóle nie chce mieć z nią do czynienia, toteż nie ma co liczyć na zaproszenie do Kopenhagi. - Dlaczego mnie odrzucają? Co ja takiego zrobiłam? - pytała. Wyjaśniono jej, że (między innymi) chodzi o dziecko z nieprawego łoża. - Czy wydaje się wam, że pozwoliłabym, aby byle bękart rościł sobie prawo do carskiego tronu?! - wykrzyknęła Czajkowska. Ale cesarzowa-wdowa pozostała niewzruszona, aż do śmierci Anderson w październiku 1928 roku. Położenie Czajkowskiej natychmiast uległo pogorszeniu. W niecałe dwadzieścia cztery godziny po pogrzebie opublikowano "deklarację Romanowów", podpisaną przez dwunastu członków carskiej rodziny (między innymi przez brata cesarzowej Aleksandry oraz jego dwie siostry). Stwierdza się w niej, że "jednogłośnie oświadczamy, iż kobieta mieszkająca obecnie w USA [pani Czajkowska mieszkała u księżnej Kseni na Long Island), nie jest córką cara". Dokument ten, w którym cytowano opinie wielkiej księżnej Olgi, Pierre'a Gilliarda oraz baronowej Buxhoevden, w znacznie mierze przekonał opinię publiczną, że cała rodzina Romanowów nie daje wiary Annie Anderson. Jednak z czterdziestu czterech Romanowów pod dokumentem podpisało się tylko dwunastu. Wielkiego księcia Andrzeja i księżnej Kseni, którzy uwierzyli pani Czajkowskiej, nie poproszono o złożenie podpisów. Z sygnatariuszy (swoje podpisy złożyły także dwie siostry cesarzowej Aleksandry - księżna Wiktoria Battenberg i księżna pruska Irena, oraz ich brat - wielki książę heski Ernest Ludwik) jedynie dwie osoby - wielka księżna Olga i księżna Irena - na własne oczy widziały domniemaną Anastazję.

" Deklaracji Romanowów" nie ogłoszono w Kopenhadze, gdzie zmarła cesarzowa-wdowa, lecz w Darmstadt w Hesji, ze względu na Ernesta Ludwika, wielkiego księcia heskiego. Ze wszystkich domniemanych krewnych to właśnie on był najbardziej zaciętym wrogiem pani

Czajkowskiej. Jej zwolennicy twierdzili, iż tak bardzo zależało mu na własnej reputacji, że skłonny był poświęcić nawet jedyne ocalałe dziecko rodzonej siostry. W 1925 roku Anna Anderson zwierzyła się przyjaciółce, że ucieszyłaby ją wizyta "wuja Erniego", którego po raz ostatni widziała w 1916 roku podczas jego podróży do Rosji. Tymczasem w 1916 roku pomiędzy Niemcami a Rosją trwała wojna i wyprawa Ernesta, niemieckiego generała walczącego na zachodnim froncie, do Rosji oraz odwiedziny siostry i szwagra - cara, z pewnością zostałyby uznane za zdradę. Choć misja taka prawdopodobnie rzeczywiście miała miejsce (za zgodą cesarza Niemiec, w celu zawarcia pokoju), historia ta była dla wielkiego księcia wielce zawstydzająca. Po wojnie nadal liczył na odzyskanie władzy nad Hesją, co spekulacje na temat układów z wrogiem prowadzonych w czasie wojny z pewnością mogłyby udaremnić. Prawdy na temat tej tajnej misji zapewne nie poznamy nigdy. W dziennikach wielkiego księcia Ernesta mowa jest wyłącznie o froncie zachodnim, również listy do żony były wysyłane jedynie z zachodniego frontu. Pewne jest, że w trakcie działań wojennych Niemcy i Rosja prowadziły pertraktacje w celu zakończenia wojny. Według jednego z doradców wielkiego księcia Ernesta istniał taki plan, jednak kajzer był przeciwny temu pomysłowi. Doradca nie wiedział, czy książę pojechał z własnej inicjatywy. Inny świadek, brytyjski ambasador sir George Buchanan, napisał po wojnie, że Ernest wprawdzie wysłał do Rosji kobietę w roli emisariusza z wiadomością, że kajzer skłonny jest zawrzeć pokój na korzystnych dla Rosji warunkach, lecz car nakazał ją uwięzić. W 1966 roku pasierb kajzera zeznał w sądzie pod przysięgą, że wielki książę Ernest rzeczywiście był w Rosji w 1916 roku i prowadził rozmowy o zawieszeniu broni. Również następczyni tronu Cecylia oświadczyła pod przysięgą: "Wiem z pierwszej ręki - od teścia [czyli kajzera] - że wówczas mówiło się o tym w naszych kręgach". Nie zdołamy dojść prawdy, ale bez względu na to, jaka była, oświadczenie pani Czajkowskiej było prowokacyjne. Jeżeli opis wyprawy "wuja Erniego" był prawdziwy, jej tożsamość zostałaby potwierdzona: któż inny, jak nie córka cara, znałby taki sekret? Ale nawet gdyby nie mówiła prawdy, w jaki sposób chorej, młodej kobiecie w berlińskim szpitalu przyszłyby do głowy podobna historia? Wielki książę Ernest stanowczo zaprzeczył słowom Czajkowskiej i wszelkimi możliwymi sposobami starał się podważyć jej wiarygodność; nazwał ją "oszustką", "wariatką" i "bezwstydną kreaturą", a potem groził procesem o zniesławienie. Wielki książę Andrzej otrzymał ostrzeżenie, iż kontynuowanie prowadzonego śledztwa w sprawie tożsamości Czajkowskiej może okazać się dla niego "niebezpieczne". Sojusznikiem Ernesta został Pierre Gilliard, który zaczął więcej czasu spędzać w Darmstadt niż w Lozannie. Dołączył także ~ niektórzy mówią, że sam ją finansował - do grupy osób pragnących nie tylko

dowiedzieć, że pani Czajkowska nie jest wielką księżną Anastazją, ale także kim jest w rzeczywistości.

W marcu 1927 roku jedna z berlińskich gazet doniosła, że podająca się za Anastazję pani Czajkowska w rzeczywistości jest Polką, robotnicą o chłopskim pochodzeniu, i nazywa się Franciszka Szanckowska. Wiadomość tak pochodziła od Doris Winęender, która twierdziła, że Franciszka wynajmowała pokój w domu jej matki i w 1920 roku zniknęła. Dwa lata później, latem 1922 roku, Franciszka wróciła i zwierzyła się, że mieszka teraz u kilku rodzin rosyjskich arystokratów, którzy "najwidoczniej biorą ją za kogoś innego". Franciszka spędziła z Doris trzy dni i kobiety zamieniły się ubraniami: Franciszka dostała od Doris granatową sukienkę ozdobioną czarną koronką, czerwoną tasiemką i guzikami z kości słoniowej oraz małej chabrowy kapelusz z naszytymi sześcioma żółtymi kwiatkami; Doris otrzymała natomiast fioletową sukienkę, bieliznę z monogramami oraz płaszcz z wielbłądziej wełny. A potem Franciszka znowu zniknęła. Aby sprawdzić, czy historia jest prawdziwa, gazeta wynajęła detektywa, Martina Knopfa, który zabrał ubrania pani Winęender, aby pokazać je rosyjskim arystokracjom, u których w 1922 roku mieszkała Franciszka. Baron i baronowa von Kleist od razu je rozpoznali. - Sam kupiłem płaszcz z wielbłądziej wełny - oświadczył baron. - A ja własnoręcznie wyszywałam monogramy na bieliźnie - wykrzyknęła baronowa. Toteż czytelnicy gazety mogli poczuć się usatysfakcjonowani, "tajemnica Anastazji" została rozwiązana, w czym dopomogła Doris Winęender, opisując Franciszkę jako kobietę "krepą, o grubych kościach, brudną i niechlujną, o spracowanych dłoniach i czarnych, zepsutych zębach". Wielki książę Ernest heski był zadowolony; autorowi reportażu oświadczył, że "spadł mu kamień z serca". Ale nie był to koniec historii. Po pewnym czasie wyszło na jaw, że Winęender zainicjowała tę maskaradę dzwoniąc do gazety i pytając, ile taka opowieść jest warta. Obiecano jej piętnaście tysięcy marek w zamian za opowieść i "rozpoznanie" pani Czajkowskiej. Okazało się także, że w historii tej pewną rolę odegrał książę Ernest, a informacje zbierane przez detektywa Knopfa docierały do Darmstadt szybciej niż do redakcji gazety. - Teraz wiemy już - rzekł wielki książę Andrzej - że detektyw został wynajęty przez Darmstadt, a nie przez "Nachtausgabe". Książę Jerzy, u którego przebywała wówczas pani Czajkowska, dowiedział się od jednego z redaktorów, że wielki książę heski zapłacił gazecie dwadzieścia pięć tysięcy marek za "zbadanie" sprawy Anastazji. Wydrukowanie tej hipotezy w jednej z berlińskich gazet doprowadziło do procesu o zniesławienie. Tymczasem doszło do konfrontacji Doris Winęender z panią Czajkowską, która - oskarżona o podszywanie się pod kogoś innego - nie miała wyboru.

Dziennikarz berlińskiej "Nachtausgabe", który wraz z Martinem Knopfem obecny był przy tym spotkaniu, tak opisuje to zdarzenie:

Świadek, Framein Doris Winęender wchodzi do pokoju. Franciszka Szanckowska leży na otomanie z twarzą przykrytą kocem. Gdy świadek mówi "dzieńdobry", Franciszka Szanckowska zrywa się i krzyczy: "Wyrzućcie ją stąd!". Jej wściekłość i przerażenie w głosie nie pozostawiają żadnych wątpliwości: rozpoznała świadka Winęender. Framein Winęender stoi jak skamieniała, w kobiecie leżącej na otomanie rozpoznawszy Franciszkę Szanckowską. Tę samą twarz przez wiele lat widywała codziennie. Ten sam głos, te same nerwowe ruchy oto ta sama Franciszka Szanckowska!

W kilka tygodni później, w bawarskim ogródku doszło do spotkania Szanckowskiej z jej bratem Feliksem. Gdy tylko ją zobaczył, oświadczył: "Tak, to moja siostra Franciszka", a ona podeszła i zaczęła z nim rozmawiać. Tego samego wieczora Feliksowi wręczono do podpisania oświadczenie, w którym potwierdzał, że "ponad wszelką wątpliwość rozpoznaje swoją siostrę". Lecz Feliks odmówił podpisania oświadczenia. - Nie, nie zrobię tego - powiedział. - Ona nie jest moją siostrą. W 1938 roku, w jedenaście lat później, pani Czajkowska po raz ostatni została skonfrontowana z rodziną Szanckowskich. Władze nazistowskie zamknęły ją w Berlinie, w pomieszczeniu, w którym znajdowało się rodzeństwo Szanckowskich, dwaj bracia i dwie siostry. Chodziła tam i z powrotem, a oni przyglądali jej się i szeptali między sobą. Wreszcie jeden z braci oświadczył: - Nie, ta pani wygląda zupełnie inaczej. Gdy wydawało się już, że spotkanie dobiegło końca, Gertruda Szanckowska uderzyła pięścią w stół i krzyknęła: - Jesteś moją siostrą! Jesteś moją siostrą! Jestem tego pewna! Nie poznajesz mnie?! Obecni w pomieszczeniu policjanci spojrzeli na panią Czajkowską. Ta, patrząc na nich ze spokojem, spytała: - Co mam powiedzieć? Bracia i druga siostra byli zawstydzeni i usiłowali uspokoić Gertrudę, która coraz głośniejsze krzyczała: "Przyznaj się! Przyznaj się!" Po chwili spotkanie dobiegło końca.

W latach dwudziestych obydwie strony były już zmęczone wzajemnymi oskarżeniami. Waldemar, książę Danii, brat cesarzowej-wdowy Marii, wbrew woli siostry opłacający sanatorium i szpitale, w których przebywała pani Czajkowska, został zmuszony przez rodzinę do wycofania udzielanego jej poparcia. Herlauf Zahle, ambasador Danii w Niemczech popierający panią Czajkowską, otrzymał od rządu oficjalny zakaz występowania w jej obronie. - Ułczyłem wszystko, aby [duńska] dynastia panująca pozostała bez skazy - oświadczył z

goryczą Zahle. - Ale skoro rodzina imperatora Rosji życzy sobie, aby jeden z jej członków umarł w nędzy, nic więcej nie mogę w tej sprawie zrobić. Gdy zabrakło Zahlego, pomocy pani Czajkowskiej udzielił książę Leuchtenbergu Jerzy, daleki krewny Romanowów i właściciel zamku Seeon w Górnej Bawarii. Książę reprezentował stanowisko pośrednie: - Nie wiem, czy to rzeczywiście carska córka. Ale dopóki żywię przekonanie, że osoba należąca do bliskich mi kręgów jest w biedzie, muszę jej pomóc. Żona księcia Jerzego, księżna Olga, była innego zdania. Przez jedenaście miesięcy pomiędzy nią a gościem toczyły się kłótnie o wszystko: o jedzenie, służących, pościel, serwis do kawy i sposób ułożenia kwiatów w wazonach. - Za kogo ona się uważa? - wykrzykiwała księżna. Jestem córką cara - brzmiała dumna odpowiedź. W rodzinie doszło do podziału: najstarsza córka Natalia w niezwykle ostrych słowach podawała w wątpliwość prawdziwość "Anastazji"; syn Dymitr i jego żona, Katarzyna, także odnosili się do niej wrogo. Natomiast guwernantka, panna Faith Lavinton, widziała "chorą damę" każdego dnia, podziwiała jej "wspaniały, angielski akcent" i miała w tej sprawie własne zdanie: Jestem przekonana, że to ona. Gdy księżna Ksenia zaproponowała pani Czajkowskiej wypoczynek w swojej posiadłości na Long Island, "Anastazja" przyjęła propozycję. W sześć miesięcy później doszło między nimi do takiej kłótni, że pani Czajkowska wyprowadziła się do apartamentu w hotelu w Garden City na Long Island; przeprowadzką zajął się pianista Sergiusz Rachmaninow. Aby schronić się przed dziennikarzami zamieszkała jako pani Anderson; później dodała, że na imię ma "Anna", i o pani Czajkowskiej zaginał wszelki ślad. Na początku 1929 roku zamieszkała przy Park Avenii z Annie B. Jenninęs, bogatą starą panną, która chętnie gościła pod swoim dachem córkę cara Rosji. Framein Unbekannt stała się ozdobą nowojorskich przyjęć, kolacji, opery. Potem znów dał znać o sobie nieznośny charakter "Anastazji". Narzekała na jedzenie, na pokój, w którym mieszkała, wpadała we wściekłość, urządzała awantury. Biła służących, biegała nago po dachu, wyrzucała przez okna różne przedmioty, w jednym ze sklepów głośno wykrzykiwała oskarżenia pod adresem panny Jenninęs. W końcu sędzia Peter Schmuck z nowojorskiego sądu wydał odpowiedni nakaz i dwóch mężczyzn wyłamało zaryglowane przez "Anastazję" drzwi i zawiozło ją do szpitala psychiatrycznego. W sanatorium Four Winds w Katonah, w stanie Nowy Jork, pozostawała przez ponad rok. Podczas pobytu Anny Anderson w Ameryce pojawiła się możliwość podjęcia carskiej fortuny zdeponowanej rzekomo w Bank of England. Pomysł wyjazdu do Ameryki podsunął "Anastazji" Gleb Botkin, młodszy syn lekarza, zamordowanego wraz z carską rodziną. Gleb pracował na Long Island dla jednej z gazet. Poproszono go o napisanie kilku artykułów o najmłodszej córce cara, z którą bawił się w dzieciństwie. Księżna Ksenia przeczytała je i kobietę, która być może była jej krewną, zaprosiła do siebie, na Long Island. Gleb często składał wizyty podczas jej

pobytu u Ksenii; zarówno on jak i jego starsza siostra Tatiana, która widziała panią Anderson w Europie, byli przekonani, że mają do czynienia z Anastazją. Gleb już w dzieciństwie był utalentowanym rysownikiem; rysowane przez niego karykatury przedstawiające zwierzęta (przeważnie prosięta) w dworskich strojach bardzo podobały się Anastazji. Kiedy po raz pierwszy odwiedził "Anastazję" w zamku Seeon, ta spytała natychmiast, czy przyniósł ze sobą "zabawne rysunki zwierząt". Okazało się, że przyniósł, a "Anastazja" patrzyła na nie i uśmiechała się nostalgicznie. Gleb, uwierzywszy, że ma do czynienia z carską córką, namówił ją, aby nie przejmując się wrogością rodziny w Europie odbyła podróż przez Atlantyk. Gdy znalazła się w Ameryce, całkowicie poświęcił się jej sprawie. Po ogłoszeniu "deklaracji Romanowów", do wielkiej księżnej Ksenii, starszej z ciotek Anastazji, wystosował gorzki list:

Wasza Carska Wysokość! Od śmierci Waszej matki nie upłynął dzień, a Wy. . . już podejmujecie kolejne kroki w spisku, aby pognać Waszą bratanicę. . . Wobec czynu tego błędnie nawet śmierć z rąk bolszewickich oprawców imperatora, jego rodziny i mojego ojca. Łatwiej zrozumieć zbrodnię popełnioną przez zgrają opętanych, pijanych barbarzyńców niż spokojne i systematyczne wyniszczanie członka bliskiej rodziny. . . wielkiej księżnej Anastazji Mikołajewnej, której jedyną winą jest to, że będąc prawowitą następczynią tronu staje na drodze krewnym, chciwym i pozbawionym wszelkich skrupułów.

List Gleba ostatecznie przyczynił się do zrażenia niemal wszystkich Romanowów. Wielki książę Andrzej był przerażony: "Czyż on nie zdaje sobie sprawy z tego, co uczynił? - pisał do Tatiany, siostry Gleba. - Wszystko zaprzepaścił!" "Wielki książę Andrzej także zaczyna podejrzewać, że w historii tej chodzi wyłącznie o carską fortunę - napisała Tatiana Botkin. - Zniesmaczyło to księcia, który nie chce, aby jego nazwisko łączone było z tą sprawą". Tymczasem Glebowi Botkinowi rzeczywiście zależało na pieniądzach rzekomo należących się "Anastazji"; wynajął więc adwokata, aby pomóc w ich odzyskaniu - plotki mówiły o milionach carskich złotych rubli zdeponowanych na kontach Bank of England. W lipcu 1928 roku, gdy "Anastazja" jako gość przebywała na Long Island, Botkin zwrócił się do amerykańskiego prawnika, Edwarda Fauowsa, z prośbą o zajęcie się tą sprawą. Fauows przystał na tę propozycję i otrzymał od "Anastazji" upoważnienie do występowania w jej imieniu; prowadzone przez niego prace i badania w tej sprawie trwały dwanaście lat, aż do jego śmierci. Rozpoczął od uzyskania od "Anastazji" oświadczenia, że w Jekaterynburgu, niemal tuż przed egzekucją, car Mikołaj II powiedział córkom o pięciu milionach rubli w złocie zdeponowanych dla każdej z nich w Bank of England. Następnie, aby uzyskać fundusze na swoje

wynagrodzenie i pokrycie kosztów, założył fundację pod nazwą "Grandanor" (co stanowiło skrót od "Grand Duchess Anastasia micholaevna of Russia"). Bogatych przyjaciół panny Jenninę poproszono o finansowe wsparcie; i tak to właśnie Fauows wyruszył do Londynu na podbój Bank of England. Lecz bank odpowiedzi udzielił niemal natychmiast: niedopuszczalne jest udzielanie jakichkolwiek informacji na temat prywatnych kont, także informacji na temat ich istnienia bądź nieistnienia. Najpierw - stwierdził bank - pan Fauows winien udać się do sądu cywilnego w Londynie, aby uzyskać potwierdzenie tożsamości reprezentowanej przez niego osoby, a zatem stwierdzić, że rzeczywiście jest to Anastazja. I tak rozpoczęły się niezliczone podróże Fauowsa pomiędzy Europą a Ameryką, finansowane z pieniędzy panny Jenninę i fundacji "Grandanor". Gdy zabrakło funduszy, Fauows sprzedał swoje akcje i obligacje, potem dom; wraz z rodziną przeprowadził się do wynajętego mieszkania. W końcu, jak powiedziała jedna z jego córek, jego wysiłki "zabiły go". Kontrowersje dotyczące fortuny Romanowów zdeponowanej w angielskich bankach istniały także po śmierci Fauowsa, która nastąpiła w 1940 roku. W 1955 roku madame Lili Dchn, jedna z najbliższych przyjaciółek cesarzowej Aleksandry, złożyła pod przysięgą następujące oświadczenie: carska rodzina, po uwięzieniu jej w Carskim Siole, spodziewała się, że zostanie wywieziona do Anglii. Wówczas cesarz zwrócił się do madame Dchn ze słowami: "Przynajmniej nie będziemy musieli żebrnąć, na kontach w Bank of England zgromadziłem fortunę". Fortuny tej nigdy nie udało się odnaleźć. Istnieją dowody świadczące o tym, że podczas pierwszej wojny światowej Mikołaj II sprowadził do Rosji niemal wszystkie pieniądze zdeponowane w angielskich bankach i opłacał nimi pobyt w szpitalach i podróże pociągami sanitarnymi. Idąc za przykładem cara wiele bogatych rodzin, wywodzących się z arystokracji, również sprowadziło z zagranicy swoje oszczędności. Po rewolucji matka Mikołaja II i jej siostry utrzymywały się z pieniędzy uzyskiwanych ze sprzedaży biżuterii oraz dzięki wsparciu duńskich i angielskich krewnych. Zwolennicy Anny Anderson twierdzili, że pieniądze pozostawione przez Mikołaja dla córek - które być może stanowiły ich posag - nie zostały przekazane do Rosji i rozdzielono je między ciotki i babkę. Nadzieje, że pieniądze córek nadal są przechowywane w banku, zostały rozwiane

' Fauows podczas pobytu w Europie szukał pieniędzy także w innych bankach; starał się również zgromadzić dowody potwierdzające ucieczkę najmłodszej córki cara. Siódmego października 1935 roku w sprawie Anastazji napisał nawet do Adolfa Hitlera, kanclerza Niemiec: "[Anastazja] cudem uniknęła śmierci z ręki Jurowskiego i innych Żydów, którzy zamordowali carską rodzinę". W liście pytał, czy w ministerstwie spraw wewnętrznych "nie

zachowały się zeznania Żyda Jurowskiego, który przywodził żydowskim zbrodniarzom". Hitler, którego Fauows tytułował "szanownym" i "wielkim", nie odpowiedział na list.

w 1960 roku, kiedy to sir Edward Peacock, w latach 1920-1946 dyrektor Bank of England, oświadczył: "Jestem przekonany, że fortuna carskiej rodziny nie była przechowywana w naszym banku, ani w jakimkolwiek innym banku na terenie Wielkiej Brytanii. Oczywiście, trudno mi w tym kontekście użyć słowa "nigdy", ale z pewnością nie miało to miejsca po pierwszej wojnie światowej, kiedy zostałem dyrektorem banku". Nawet dziś niektórzy nie dają w tej sprawie wiary angielskim bankierom. John Orbeu, archiwista z Barinę Brothers, prywatnego londyńskiego banku, w którym po rewolucji przechowywano pieniądze carskiej rodziny, jest już nieco znudzony powtarzaniem wciąż tych samych odpowiedzi.

- Ludzie nieUstannie mnie o to pytają - mówi - ale nie przyjmują do wiadomości moich odpowiedzi. To naprawdę męczące. Przecież gdybyśmy mieli jakieś pieniądze należące do [carskiej] rodziny, już dawno byłoby o tym wiadomo. Istniałby jakiś dokument, wyciąg z konta czy coś podobnego. Jakiś urzędnik znalazłby go, poszedł do gazet i zarobiłby na tym fortunę. Ale do dziś nic takiego nie znaleźliśmy.

W sierpniu 1932 roku Anna Anderson, w towarzystwie osobistej pielęgniarki, powróciła do Niemiec w prywatnej kajucie na liniowcu "Deutschland". Podróż opłaciła jej protektorka z Park Avenue, Annie B. Jenninę; pokryła także koszt rocznego pobytu w sanatorium Four Winds (dwadzieścia pięć tysięcy dolarów), a w przyszłości miała zapłacić za sześciomiesięczną kurację w szpitalu psychiatrycznym w pobliżu Hanoweru. Po kuracji pani Anderson wędrowała po świecie jeszcze przez siedem lat. Kilka lat mieszkała w Hanowerze, w Berlinie spędziła rok, a potem przeprowadziła się do Bawarii, na Pomorze, do Westfalii, Saksonii, Turyngii, a nawet Hesji. Drugą wojnę światową przeżyła w Hanowerze, pomimo bombardowań przeprowadzanych przez aliantów. Ponieważ miasto zostało niemal doszczętnie zniszczone, uciekła na tereny okupowane przez wojska radzieckie i - z pomocą jednego z niemieckich książąt i czerwonego krzyża - przedostała się na terytorium, które wkrótce stało się Niemcami Zachodnimi. W 1949 roku Fryderyk, książę Saksonii, ze swoich skromnych środków przeznaczył pewną kwotę na pomoc dla pani Anderson, która postanowiła zamieszkać w wiosce Unterleggenhardt na skraju Schwarzwald. W tej skromnej posiadłości, ogrodzonej żywopłotami, obrośniętej dzikim winem i jeżynami, strzeżona przez cztery psy (owczarki niemieckie i bernardyny), Anna Anderson spędziła kolejne dziewiętnaście lat, a jej zachcianki



spełniała grupa oddanych Niemek. Zwracała się do nich po angielsku, ponieważ pod koniec życia właśnie ten język sobie upodobała. Fakt ten, oraz odmowę wypowiedzianą po rosyjsku, wykorzystano przeciwko niej: - Ona nie włada angielskim jak ktoś, kto stykał się z tym językiem od dziecka - oświadczył brytyjski pisarz Michael Thornton w 1960 roku, po pobycie w Unterlenenhardt. - Mówiła z niemieckim akcentem, używając niemieckiej składni, że nie wspomnę już o gramatyce. Znałem wielką księżną Ksenię, ciotkę Anastazji mieszkającą w Londynie. Mówiła stosunkowo prostymi zdaniami, lecz znakomicie, tak jak pozostali Romanowowie. Podczas lat spędzonych w Unterlenenhardt pojawiło się jeszcze dwóch świadków: Lili Dehn, przyjaciółka cesarzowej oraz Anglik Sidney Gibbes, guwerner carskich dzieci. Ich oświadczenia były sprzeczne: - Rozpoznałam ją, fizycznie i intuicyjnie, pomimo znaków, które mogły mnie zwieść - powiedziała Madame Dehn. Tymczasem Gibbes był odmiennego zdania: - Jeżeli to ma być wielka księżna Anastazja, to jestem Chińczykiem. Zwierzył się przyjacielowi. W oświadczeniu złożonym pod przysięgą wyraził się już bardziej urzędowo: "Osoba ta w najmniejszym stopniu nie przypomina prawdziwej wielkiej księżnej Anastazji, którą znałem. . . Jestem całkowicie przekonany, że jest oszustką. . .

W owym czasie w kinach rozpoczęto wyświetlanie filmu zatytułowanego "Anastazja", co spowodowało ponowne zainteresowanie opinii publicznej sprawą Anny Anderson. Gdy autorzy filmu dowiedzieli się, że pani Anderson żyje, wypłacili jej trzydzieści tysięcy dolarów z honorarium (w wysokości czterystu tysięcy dolarów), jakie otrzymali od wytwórni Twentieth CenturyFox. Za pieniądze te pani Anderson wybudowała na ruinach wojskowych baraków nie wielki domek wypoczynkowy. Potem, gdy ukazały się jej zdjęcia, publiczność skarżyła się, że Anna Anderson w niczym nie przypomina Ingrid Bergman. Jej ówczesny wygląd został barwnie opisany przez Madame Dominique Auderes dziennikarkę paryskiego "Le Figaro", która w 1960 roku złożyła pani Anderson wizytę i została jej zwolenniczką:

Nagle otworzyły się drzwi i ujrzałam najdziwniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziałam. Była niczym Madame Butterfly w tyrolskim przebraniu. Miała na sobie japońskie kimono, na nim tyrolski płaszcz i czarną nieprzemakalną pelerynę. Na kaptur włożyła zielony tyrolski kapelusik. Ciemne, miejscami siwe włosy były krótko przycięte; na rękach miała czarne skórzane rękawiczki. Poruszała się dziwnym, płynnym chodem, który nie pasował do tego przebrania i tworzył jakąś dziwną atmosferę. Zauważyłam nieco zakrzywiony nos (widziałam ją tylko z profilu) i oko, bardziej szare niż niebieskie. W dłoni trzymała niewielki wachlarz, który ani razu się nie poruszył.

Zanim odeszła, madame Auderes udało się dostrzec usta: "nieco asymetryczne; górna szczęka nieco wykrzywiała się w prawo". Wywiad został przeprowadzony po angielsku, choć w pewnej chwili dziennikarka zapomniała się i przeszła na francuski, a "Anastazja" udzieliła odpowiedzi po francusku. akcent zdaniem madame Auderes był znakomity.

Sprawa Anny Anderson należy do najdłuższych procesów w historii niemieckiego sądownictwa w dwudziestym wieku. Wszystko zaczęło się w 1938 roku, kiedy to zaskarżyła podział niewielkiego majątku pomiędzy niemieckich krewnych cesarzowej Aleksandry; proces zawieszono na czas drugiej wojny światowej, lecz wznowiono go w Hamburgu w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a ostateczny werdykt zapadł dopiero w 1970 roku, kiedy to sąd najwyższy odrzucił jej żądania. Przeciwników pani Anderson w tej sprawie do starczała głównie Hesja, ponieważ nadal uważano, że wszelkimi środkami należy skompromitować "Anastazję". Nie żył już wówczas wielki książę Ernest, lecz sprawę tę przejął po nim jego syn książę Ludwik wraz ze swoją siostrzenicą Barbarą, księżną Meklemburgii. Finansowe wsparcie pochodziło z domu heskiego od lorda Ludwika Mountbattena, brytyjskiego bohatera wojennego, byłego wicekróla Indii i szefa departamentu obrony, wuja męża królowej Elżbiety II księcia Filipa. Lord Mountbatten wywodził się z rodziny książąt heskich, a jego matka, księżna Wiktoria Battenberg, była siostrą cesarzowej Aleksandry; księżna pruska Irena była jego ciotką; wielki książę Ernest był jego wujem. Gdyby Annie Anderson udało się udowodnić, że rzeczywiście jest wielką księżną Anastazją, Mountbatten musiałby uznać ją za kuzynkę pierwszego stopnia. Nie chciał do tego dopuścić i wydawał na prawników dziesiątki tysięcy funtów odziedziczonych po żonie. Jeden z dowodów, początkowo lekceważony, znalazł się w sądzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Było to złożone pod przysięgą oświadczenie medyczno-naukowe, które w pewnym stopniu popierało Annę Anderson. W pierwszych latach po pojawieniu się "Anastazji" lekarze - w większości psychologowie - skłonni byli jej wierzyć. W 1925 roku doktor Lothar Nobel, dyrektor berlińskiej Mommsen Klinik, wyraził pogląd, iż "[osoba ta] nie cierpi na żadną psychiczną chorobę. . . Wydaje się niemożliwe, aby ze szczegółami opisywanego przez nią życia zaznajomiła się inaczej niż poprzez własne doświadczenia. Ponadto jest nieprawdopodobne, aby osoba podająca się za kogoś innego zachowywała się tak, jak pacjentka obecnie". Pogląd, że pacjentka nie jest w stanie odgrywać roli kogoś innego, został ponownie wyrażony w roku 1927. Gdy "Anastazja" spędziła osiem miesięcy w bawarskim sanatorium w Alpach, jego dyrektor, doktor Saathof, oświadczył: - Moim zdaniem nie do pomyślenia jest, aby pani Czajkowska podawała się za kogoś innego.

Nawet w chwilach dramatycznych zachowywała się inaczej, niż uczyniłaby to osoba starająca się wprowadzić swoje otoczenie w błąd. Podobną opinię wyraziła księżniczka Ksenia, gdy pani Anderson mieszkała z nią na Long Island: Jednym z najbardziej przekonujących cech jej osobowości jest podświadome przeświadczenie o swojej tożsamości; nigdy nie odniosłam wrażenia, aby była to grana przez nią rola. Podczas procesów hamburskich sąd postanowił dojść prawdy opierając się na dowodach naukowych powołał dwóch biegłych: doktora Ottona Reche, antropologa i kryminologa o międzynarodowej sławie, założyciela Niemieckiego Stowarzyszenia Antropologów, oraz doktor Minnę Becker, grafologa, członka zespołu ustalającego autentyczność dziennika Anny Frank. Lekarze i eksperci nie szukali zaszczytów i sławy, pragnęli jedynie dotrzeć do prawdy. Reche zebrał ponad tysiąc zdjęć wielkiej księżnej Anastazji i sfotografował Annę Anderson w takim samym oświetleniu i pod takim samym kątem. Porównał obydwie twarze milimetr po milimetrze i oświadczył, że "tak znaczne podobieństwo między twarzami zachodzić może jedynie gdy mamy do czynienia z bliźniętami lub tą samą osobą. Pani Anderson z pewnością jest wielką księżną Anastazją!" Natomiast Minna Becker po porównaniu ponad stu próbek pisma Anastazji z pismem Anny Anderson stwierdziła: "Nie istnieją próbki pisma dwóch różnych ludzi, które byłyby do siebie aż tak podobne. Nie może być mowy o pomyłce. Po trzydziestu czterech latach pracy w niemieckim sądownictwie mogę oświadczyć pod przysięgą: pani Anderson i wielka księżna Anastazja to jedna i ta sama osoba". Pomimo werdyktu biegłych sąd był ogłosił decyzję "non liquet" - sprawa nie została rozstrzygnięta. Za życia Anny Anderson pojawił się jeszcze jeden wynik badań, który ją ucieszył; badania przeprowadził naukowiec, doktor Moritz Furtmayr, niemiecki ekspert sądowy. Furtmayr był autorem metody polegającej na odtwarzaniu wizerunku ludzkiej czaszki na płaszczyźnie, przy czym wizerunki nawet podobnych do siebie ludzi różniły się od siebie. Posługując się tą "metodą P. I. K", uznawaną przez niemieckie sądy za wiarygodną, Furtmayr dowiódł, że sposób ukształtowania tkanki przy prawym uchu Anny Anderson odpowiadał prawemu uchu Anastazji w siedemnastu punktach, czyli przekraczał liczbę dwanaście, wymaganą przez niemieckie sądy do ustalenia tożsamości. Raport Furtmayra był dla lorda Mountbattena przykrą niespodzianką. Pomimo zaangażowania w tę sprawę znacznych środków finansowych, Mountbatten nigdy nie spotkał się z Anną Anderson. W 1977 roku ulichael Thornton zaznajomił go z kopią wyników Furtmayra, którą przywiózł do posiadłości lorda. - Siedział naprzeciwko mnie i przeczytał raport dwukrotnie, najpierw po niemiecku, potem angielskie tłumaczenie - wspomina Thornton. W trakcie czytania na jego twarzy malowały się wszystkie myśli, włącznie z tą najstraszniejszą: że ta szalona, ekscentryczna kobieta, która w grubiański sposób traktowała gości, rzeczywiście mogła być jego kuzynką,

wielką księżną Anastazją. Sprawa nie została ostatecznie rozstrzygnięta. Sąd nie orzekł, że Anna Anderson nie jest wielką księżną Anastazją; ogłoszono jedynie, że nie udało jej się tego udowodnić. Osiem tysięcy stron zeznań, łącznie czterdzieści dziewięć tomów akt, odłożono do archiwum i zapomniano o nich. Przebywająca w Unterlengenhardt Anna Anderson oświadczyła, że już jej na tym nie zależy. - Dobrze wiem, kim jestem - powiedziała. I nie muszę udowadniać tego w sądzie. Tymczasem warunki, w jakich mieszkała, stale się pogarszały. Uciekła od świata, zamykała drzwi nawet przed przyjaciółmi, żyła samotnie wraz z sześćdziesięcioma kotami. Gdy zdechł trzeci z jej wielkich psów obronnych, pochowała go sama. Grób okazał się jednak zbyt płytki; przykra woń rozchodziła się po okolicy i musiały interweniować miejscowe władze. Urażona, niespodziewanie postanowiła przyjąć zaproszenie przyjaciela, Gleba Botkina. Gleb, który mieszkał wówczas w Charlottesville, w stanie Wirginia, przyjaźnił się z zamożnym genealogiem doktorem Johnem Manahanem. Idąc za radą Gleba doktor Manahan, kawaler, zaprosił do siebie panią Anderson informując ją jednocześnie, że może u niego mieszkać jak długo zechce. Trzynastego czerwca 1968 roku "Anastazja", nie mówiąc nikomu ani słowa, na koszt Manahana odbyła podróż do Ameryki i pojawiła się na lotnisku Dullesa, skąd Gleb zawiózł ją do Charlottesville. W grudniu 1968 roku jej europejscy znajomi przeżyli kolejny szok, ponieważ wyszła za mąż za pucułowatego, ostrzyżonego na jeża Manahana, który był od niej młodszy o co najmniej osiemnaście lat. Oboje twierdzili, że to małżeństwo z rozsądku - dobiegał termin ważności jej amerykańskiej wizy. Sam Manahan był zadowolony z takiego obrotu spraw. - Ciekawe, co pomyślałby car Mikołaj, gdyby zobaczył swego zięcia? - pytał swojego družbę. - Myślę, że byłby mu wdzięczny - odparł Gleb Botkin.

" Anastazja" i John Manahan mieszkali razem przez ponad piętnaście lat: Mieli osobne sypialnie w niezwykle eleganckim domu przy jednej z cichych uliczek w Charlottesville, w pobliżu słynnej biblioteki Thomasa Jeffersona: Anastazja" z nie wyjaśnionych powodów zwracała się do swojego męża per Hans". On nazywał ją Anastazją. Niemal codziennie odbywali przejażdżkę po jego ogromnej farmie; obiady jadali najczęściej w klubie Farminęton. To właśnie w tym klubie "Anastazja", drobna kobieta o włosach ufarbowanych na kolor kasztanowy, w bluzce i czerwonych, o kilka numerów za dużych spodniach, zbierała z talerzy wszystkich gości resztki jedzenia, pakowała je w folię i karmiła nimi nowe, stale powiększające się stado kotów. Już wkrótce ogród otaczający dom zaczął upodabniać się do sąsiedztwa jej domku w Unterlengenhardt. Przed domem rosły wysokie krzaki, pnącza i chwasty, skutecznie strzegące dostępu do frontowych drzwi. Wewnątrz na podłodze piętrzyły się sterty książek oraz gazety, którymi przykryte były dowody świadczące o obecności licznych kotów. Gdy jeden z

kotów zdechł, "Anastazja" dokonała jego kremacji w kominku. Manahan najwidoczniej nie sprzeciwiał się temu. - Anastazja chce, aby tak było - wyjaśnił. Jednak sąsiedzi nie byli tym zachwyceni i w 1978 roku wytoczyli im proces o przykrą woń, jaka rozchodziła się wokół ich domu. - Myślę, że można by ją nazwać smrodem - przyznał jeden z przyjaciół opuszczając ich domostwo. Manahanowi odpowiadało małżeństwo z "Anastazją", czasami mówił o sobie, że jest "wielkim księciem" i należy do "świty". Jego żona nie wydawała się tym zainteresowana. - To było tak dawno temu. . . - mówiła. - To już przeszłość. Nawet Rosja nie istnieje.

Ekscentryczność stopniowo przerodziła się w obłąd. Pewnego razu Manahan oświadczył, że jego żona jest potomkiem Dżyngis chana; potem do jej drzewa genealogicznego dodał także Ferdynanda i Izabelę. W 1974 roku wysłał kilkustronicową bożonarodzeniową kartkę zatytułowaną "Pieniądze Anastazji i bogactwo cara", w której oskarżył Roosevelta o wspieranie marksistowskich wywrotowców i opisał pewien epizod z końca drugiej wojny światowej o "przybyciu do Europy amerykańskich Murzynów trzymających wszystkich na muszce". Twierdził ponadto, że wraz z żoną byli nieustannie śledzeni przez CIA, KGB oraz wywiad brytyjski. "Anastazja" jednemu z gości opowiedziała o tym, jak to przed zgładzeniem wszyscy członkowie carskiej rodziny w domu Ipatiewa - z wyjątkiem carewicza - zostali wielokrotnie zgwałceni, czemu inni musieli się przyglądać. W listopadzie 1983 roku zamknięto ją w szpitalu psychiatrycznym. Po kilku dniach została porwana przez męża; przez trzy dni błakali się samochodem po bocznych drogach w stanie Wirginia, zatrzymując się jedynie po to, aby coś zjeść. Alarm policyjny ogłoszony w trzynastu stanach doprowadził w końcu do ich aresztowania i powrotu "Anastazji" do szpitala. i? - W trzy miesiące później, dwunastego lutego 1984 roku, Anastazja Manahan zmarła na zapalenie płuc. Tego samego wieczora jej ciało poddano kremacji, a wiosną prochy pochowano na dziedzińcu kościelnym zamku Seeon. Manahan zmarł sześć lat później. W dniu śmierci tożsamość Anny Anderson nadal stanowiła zagadkę. Jednak - nieświadomie - Anna Anderson pozostawiła po sobie coś, dzięki czemu świat mógł dowiedzieć się, kim była naprawdę.

## 15. Honor rodziny

Na cztery i pół roku przed śmiercią Anastazja Manahan ciężko zachorowała. Przez kilka dni wymiotowała niemal bez przerwy i 20 sierpnia 1979 roku, wbrew jej woli, zawieziono ją do szpitala im. Marthy Jefferson w Charlottesville. Doktor Richard Shrum zdecydował, że operację należy przeprowadzić natychmiast. Rak jajników spowodował uszkodzenie jelita cienkiego, co wymagało wycięcia dość długiego odcinka jelita. Pani Manahan była uciążliwą pacjentką. Po operacji bezustannie odłączała kroplówkę; dopiero z czasem nieco się uspokoiła. - Była zamknięta w sobie, z nikim nie rozmawiała, rzadko się uśmiechała wspomina doktor Shrum. - Niemal bez przerwy przykładła do nosa chustkę, jakby obawiała się zarazków. Niemal natychmiast po operacji Shrum wysłał próbkę tkanki do laboratorium patologicznego, gdzie wycięty odcinek jelita podzielono na pięć części i po kąpieli w formalinie zalano parafiną i umieszczono w niewielkich niebieskobiałych pudełkach pośród wielu podobnych próbek. Takie przechowywanie tkanek jest sprawą rutynową; w przypadku nawrotu choroby pozwala stwierdzić, czy nastąpiły przerzuty. W 1979 roku laboratorium szpitala w Charlottesville było zupełnie nowe, otwarto je w poprzednim roku. - Mamy tu próbki wszystkich tkanek pobranych od naszych pacjentów od dnia otwarcia szpitala - mówi jeden z jego pracowników. Próbki przechowywane w szpitalu stają się jego własnością, a szpital, mając na uwadze dobro pacjenta i jego rodziny, strzeże ich jak oka w głowie. Wydanie ich komuś, kto nie jest pacjentem, członkiem rodziny lub spadkobiercą, wymaga decyzji sądu.

Gdy w lipcu 1992 roku doktor William Maples ogłosił światu, że w grobie nie znaleziono wielkiej księżnej Anastazji, nie było nic dziwnego w tym, iż zwrócono się do szpitala w Charlottesville z pytaniem, czy posiada on krew lub próbkę tkanki Anastazji Manahan. 22 września Syd Mandelbaum, ekspert w zakresie analizy krwi z Long Island, współpracujący z wieloma znanymi laboratoriami, napisał do szpitala, że pracuje nad książką o wykorzystaniu DNA w medycynie sądowej i chciałby zamieścić w niej rozdział o Annie Anderson. "Zależy nam na uzyskaniu próbki, z której udałoby się pozyskać materiał genetyczny: próbki krwi, tkanki lub włosów". Badania miały zostać przeprowadzone w laboratorium w Cold Spring Harbor lub w harwardzkiej Medical School. Wicedyrektor szpitala w Charlottesville, D. D. Sandridge, odpisał Mandelbaumowi, że "szpital nie posiada niczego, co mogłoby go zainteresować". Później tłumaczono, że była to pomyłka jednego z urzędników: "o szukanie próbek poproszono niewłaściwą osobę". "Właściwą osobą" okazała się Penny Jenkins, dyrektor archiwum, i to ona kontaktowała się z osobami pragnącymi uzyskać próbki tkanek. Pierwszą z

nich była Mary DeWitt, która zwróciła się do szpitala w listopadzie 1992 roku, pisząc, że "studiuje na stanowym uniwersytecie w Teksasie na wydziale patologii" i tkanka potrzebna jest jej dlatego, że "pisze na ten temat pracę". Jenkins przypuszczając, że DeWitt jest świeżo upieczoną studentką, a pisana przez nią praca "przypomina wypracowania mojej córki ze szkoły średniej", odmówiła pomocy. Jednak Mary DeWitt nie dała za wygraną, o pomoc zwracając się do Jamesa Blaira Loveua, autora najnowszej biografii Anastazji. Powiedziała mu, że wie, w którym szpitalu przechowywana jest tkanka, ale do uzyskania próbki, na podstawie nakazu sądowego, niezbędna jest zgoda rodziny Manahana. Loveu przystał na tę propozycję i od Freda Manahana, kuzyna Johna Manahana, uzyskał list, w którym zezwala się na pobranie tkanki. Tymczasem DeWitt zaangażowała prawnika z Charlottesville. Jednak wiosną 1993 roku zwróciła się pisemnie do Penny Jenkins twierdząc, że odtąd tylko ona zajmować się będzie sprawą tkanki, a rola Jamesa Loveua zostanie ograniczona do "kronikarskiego opisywania faktów". Loveu był tym bardzo oburzony i zwierzył się Jenkins: "Chcą się mnie pozbyć!", wobec czego Jenkins musiała dokonać wyboru. - Ponieważ życiorys Jimmy'ego Loveua nie był dla mnie zagadką, postanowiłam, że nie będziemy więcej komunikować się z panią Mary DeWitt. DeWitt nigdy już nie dała o sobie znać, ale znacznie później Jenkins dowiedziała się, że była kobietą ponad czterdziestoletnią, żoną prywatnego detektywa. W dwa dni po otrzymaniu pierwszego listu od Mary DeWitt do Jenkins zadzwonił doktor Willi Korte, który przedstawił się jako niemiecki prawnik i historyk związany z Instytutem Medycyny Sądowej uniwersytetu monachijskiego, członek międzynarodowego zespołu zajmującego się identyfikacją jekaterynburskich szczątków i rozwiązaniem zagadki zniknięcia Anastazji. - Był bardzo grzeczny i szarmancki - wspomina Jenkins. - Wymienił mnóstwo nazwisk: doktora Maplesa z Florydy, doktora Badena z Nowego Jorku i wiele innych. Powiedział, że jego praca polega na podróżowaniu po świecie i szukaniu próbek tkanek, które nadawałyby się do badań porównawczych. Spytał, czy mamy takie tkanki. Odpowiedziałam, że tak. Niedługo potem zwrócił się do nas w tej samej sprawie Thomas Kline, prawnik z Waszyngtonu z firmy Andrews & Kurth. Oświadczył iż Korte, dla którego pracował, wyjechał z kraju. Ponownie upewniłam go, że mamy próbki tkanki. Właśnie wtedy odezwali się po raz ostatni. Następnym razem spotkaliśmy się w sądzie i nie chcieli już ze mną rozmawiać.. W styczniu 1993 roku Thomas Kline skontaktował się z Fredem Manahanem, który - jak przypuszczał Kline - miał prawo dysponować próbkami tkanek. Manahan skierował go do Jamesa Lovela. 16 kwietnia, po wielu rozmowach telefonicznych, Kline napisał trzystronicowy list do Loveua, oficjalnie zwracając się do niego z prośbą o pomoc w uzyskaniu próbki tkanki Anastazji Manahan, w celu przeprowadzenia badania DNA w monachijskim Instytucie Medycyny Sądowej. Oświadczył

ponadto, że instytut jest już w posiadaniu próbek krwi wielu żyjących członków rodziny Romanowów. Cytował także dwa artykuły na ten temat, które ukazały się w prasie naukowej (jednym z nich były prace brytyjskiego zespołu FSS pod kierownictwem doktora Petera Gilla). 18 czerwca Kline napisał kolejny list do Loveua, aby wyjaśnić rolę doktora Kortego w śledztwie. Kline odpisał, iż Korte jest doświadczonym badaczem, lecz nie jest lekarzem i dodał, że monachijski instytut często współpracuje z kryminologami i specjalistami z zakresu medycyny sądowej ze Stanów Zjednoczonych, "na przykład z doktor MaryDaire Kinę". Jamesa Loveua bardzo zaniepokoiły rozmowy z Thomasem Klinem. Nie będąc pewnym swojej sytuacji prawnej, zwrócił się o poradę do prawnika ze stanu Wirginia, Richarda Schweitzera, który podobnie jak Loveu był przekonany o tym, iż pani Manahan była córką cara. W rozmowie o Klinie Loveu zwierzył się Schweitzerowi: - On mnie zamęczy! Wciąż powtarza: "Musimy poznać prawdę! Nie możemy tego tak zostawić! Musimy działać! Musi pan się zdeklarować!" Schweitzer udzielił mu następującej rady: - Nie musi pan nic robić. I wcale nie musi pan z nim rozmawiać przez telefon. - Tak więc - wspomina Schweitzer - następnym razem, gdy ten człowiek zatelefonował do Loveua, ten postąpił tak, jak mu poradziłem. Gdy znów usłyszał "musi pan odpowiedzieć natychmiast: tak lub nie!" powiedział "nie" i odłożył słuchawkę. Potem spytał mnie: "Czy postąpiłem słusznie?" A ja odparłem: "Tak, oni nic nie mogą panu zrobić. Nie mogą panu wytoczyć sprawy w sądzie, bo nie reprezentują żadnej ze stron, a tego wymaga prawodawstwo stanu Wirginia. Jediną osobą, która mogłaby wytoczyć taki proces, jest Marina".

Marina BotkinSchweitzer, córka Gleba Botkina, mieszkająca w stanie Wirginia, jest osobą spokojną i zrównoważoną. Choć mówi z południowym akcentem, rosyjskie korzenie mają dla niej ogromne znaczenie. Jej pradziadek, doktor Sergiusz Botkin, był prekursorem rosyjskiej medycyny klinicznej i osobistym lekarzem cara Aleksandra II; jej dziadek, doktor Eugeniusz Botkin, pełnił tę samą funkcję u boku cara Mikołaja II; był tak lojalny wobec cara, że zginął wraz z nim wJekaterynburgu. Marina Botkin mówi płynnie po rosyjsku i niemiecku, korzystając z telewizji kablowej często ogląda rosyjskie wiadomości. Z czworga dzieci Botkina jest jedyną córką; urodziła się w Brooklynie, wychowała na Long Island i ukończyła Smith Couege. Swego przyszłego męża, prawnika Richarda Schweitzera, poznała pracując w Charlottesviue w kancelarii adwokackiej. W jej imieniu Schweitzer miał w pojedynkę stoczyć bitwę w sądzie z firmą prawniczą zatrudniającą dwustu pięćdziesięciu prawników. Schweitzer pochodzi z jednego ze szwajcarskich kantonów, jego przodkowie na początku dziewiętnastego wieku przybyli do Ameryki z Bazylei. Byli misjonarzami, zamierzali nawracać Indian w



Wisconsin. Schweitzer ukończył uniwersytet w Wirginii i podczas drugiej wojny światowej przez cztery lata służył w marynarce Stanów Zjednoczonych na północnym Atlantyku, na niszczycielu polującym na nieprzyjacielskie łodzie podwodne. Przez pewien czas należał także do tajnej organizacji podlegającej marynarce, której celem było wysadzanie w powietrze schronów niemieckich łodzi podwodnych. W pracy zawodowej zajmował się międzynarodowymi ubezpieczeniami i zabezpieczaniem transakcji finansowych, w 1990 roku przeszedł na emeryturę. Ma siedemdziesiąt trzy lata, jest stanowczy i kiedy trzeba, potrafi być nieugięty. Trzyma się prosto, ma siwe włosy i ostro zarysowane rysy twarzy; nosi okulary. Mówi językiem prawników, lecz ma poczucie humoru. Przed procesem jego przeciwnicy widzieli w nim jedynie prawnika z prowincjonalnego miasteczka - z czasem okazało się, że popełnili błąd. Kobieta zwana Anną Anderson towarzyszyła Marinie Schweitzer od piątego roku życia, kiedy to jej ojciec odwiedził panią Anderson w zamku Seeon. Blżej, choć przelotnie, Marina poznała ją w Ameryce, pod koniec lat dwudziestych. W latach pięćdziesiątych Schweitzer wspominał: - Kiedy pozbawiona środków do życia mieszkała w Schwarzwaldzie, wkładaliśmy do kopert pieniądze i posyłaliśmy jej w listach poleconych. Wreszcie ktoś napisał do Gleba: "Proszę przekazać panu Schweitzerowi, aby nie przysyłał pieniędzy, bo ona nie kupuje dla siebie jedzenia, lecz mięso dla psów". Ale my dalej je wysyłaliśmy. Więc ona zdawała sobie sprawę, że są tacy, którzy chcą jej pomóc. W roku 1968 Anna Anderson powróciła do Ameryki i zmieniła nazwisko na "Anastazja Manahan". Marina Schweitzer opowiada: - Widywaliśmy ją dwa czy trzy razy w roku. Ale właściwie przyjaźniła się z ojcem, nie z nami. Marina w kontaktach z Anastazją Manahan zawsze zachowywała ostrożność. - Często rozmawiała z nami przez telefon. . . Zwłaszcza gdy pokłóciła się z Jackiem. Celowo nie chciałam się z nią zanadto spoufalać, ponieważ wiedziałam, że kłóciła się ze wszystkimi bliskimi sobie osobami. I prawdę mówiąc nigdy nie doszło między nami do sprzeczki. Mówiła do mnie "Marina", a Dicka nazywała "panem Schweitzerem". Bywaliśmy u niej rzadko także dlatego, że nie znosiłam sposobu, w jaki traktował ją Jack - jak cenny przedmiot, którym można pochwalić się przed znajomymi. Myślę, że zaszkodził jej bardziej niż wszyscy jej wrogowie razem wzięci. Podburzał ją, podbijał bębenek. Szczególnie złościło mnie to, że zanim się z nią ożenił, zaciągnął ją i mojego ojca do swojego banku i kazał jej przysiąc, że jest Anastazją, a potem kazał mojemu ojcu złożyć oświadczenie pod przysięgą, że to prawda. Bez względu na to, co robiła - a Schweitzerowie przyznają, że w ostatnich latach życia była osobą trudną we współżyciu - ani Marina, ani Richard nigdy nie wątpili, że kobieta ta jest córką cara. Jej zachowania nie uznawali za dziwne w świetle tego, co przeżyła. - Dowiedzenie, że rzeczywiście jest wielką księżną Anastazją, było nie tylko jej wielkim pragnieniem, ale sprawą

honoru naszej rodziny - twierdzi Richard Schweitzer. Ani rodzina Manahanów, ani James Blair. Na początku 1993 roku nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że zgodnie z prawem obowiązującym w stanie Wirginia nie mają żadnych podstaw do uzyskania próbek tkanki Anastazji Manahan. W przypadku braku testamentu, gdy nie żyje współmałżonek lub dzieci, spadek przysługuje krewnym, lecz tylko w przypadku "związków krwi". Kuzyni Manahana byli najbliższymi krewnymi, ale w ich przypadku nie było mowy o "związkach krwi", o czym pracownicy szpitala im. Marthy Jefferson poinformowali Manahanów. Skoro Manahanowie nie mogli rozporządzać tkanką, tym bardziej nie mogli udzielić takiego pełnomocnictwa Jamesowi Loveuowi, który z kolei nie mógł go udzielić Mary DeWitt, Thomasowi Kline'owi czy komukolwiek innemu. Perry Jenkins zdawała sobie z tego sprawę i zaczęła się niepokoić. Odbyła już rozmowę z Richardem Schweitzerem, kiedy to DeWitt wynajęła prawnika w Charlottesville, który usiłował uzyskać próbki tkanek. Wówczas Schweitzer powiedział jej : - Skoro ci ludzie wciąż przychodzą do szpitala, a nie chce im pani przekazać próbek, proszę mnie o tym natychmiast powiadomić. Przyjadę do Charlottesville i w imieniu żony złożę w sądzie oświadczenie, że Marina nie życzy sobie wydawania czegokolwiek, jeśli w szpitalu nie pozostanie choć część próbek. Ponieważ Marina była mieszkanką stanu Wirginia i potomkiem jednej z ofiar masakry w domu Ipatiewa, Schweitzer był przekonany, że jego interwencja okaże się skuteczna. Po zniknięciu Mary DeWitt, Schweitzer i Jenkins nadal prowadzili rozmowy. Jenkins zdała sobie sprawę, że szpital czeka narastająca fala żądań o wydanie tkanki. Schweitzer ponownie zaoferował swoją pomoc. Razem z prawnikami pracującymi na rzecz szpitala napisał prośbę do sądu, co umożliwiłoby przekazanie tkanek odpowiedniemu laboratorium. Prace nad nią posuwały się powoli. - Ci prawnicy to ludzie, którzy trzęsą portkami przed radą nadzorczą, innymi prawnikami, firmami prawniczymi, boją się procesów, są powolni i tak dalej. Nie mogliśmy się dogadać; wciąż zmieniali zdanie, a ja wciąż zmieniałem treść prośby, aby dostosować ją do coraz to nowych wymagań. Wreszcie sprawę przejął bystry adwokat Matthew Murray i sprawa ruszyła z miejsca. Trwało to od maja do września, ale gdyby Matt od początku się tym zajął, skończylibyśmy w czerwcu. We wrześniu Schweitzer przekazał sądowi dokument, który władzom szpitala wydawał się odpowiedni. Pracując w szpitalu Schweitzer zaczął się rozglądać za laboratorium, w którym w przyszłości można byłoby przeprowadzić badania próbek. Skontaktował się z Instytutem Patologii Sił Zbrojnych w stanie Maryland, ale nie udało mu się ustalić dość szczegółów. Poza tym instytut nie posiadał próbek tkanek i krwi innych Romanowów, co wykluczało badania porównawcze. Dlatego też Schweitzer zwrócił się do doktora Petera Gilla z FSS, który rzecz jasna posiadał nie tylko wyniki badań DNA szczątków znalezionych w Jekaterynburgu, ale także próbki krwi

księcia Filipa, dzięki którym udało się zidentyfikować szczątki cesarzowej Aleksandry. Latem rozpoczął rozmowy z radcami prawnymi przy brytyjskim ministerstwie spraw wewnętrznych w celu utworzenia specjalnej komisji. Ostatecznie podpisano odpowiednie porozumienie.

Schweitzer przekazał zaliczkę w wysokości pięciu tysięcy funtów, wpłacając do angielskiego banku jako zabezpieczenie. 30 września 1993 roku Richard Schweitzer zwrócił się w imieniu żony do sądu z prośbą o wydanie tkanki, co motywował następująco: Marina Schweitzer jest mieszkanką stanu Wirginia, wnuczką doktora Eugeniusza Botkina, oraz jedyną mieszkanką stanu, która przez długi czas utrzymywała bliskie kontakty z Anastazją Manahan. Podstawą prawną, zdaniem Schweitzera, było prawo wnuczki Botkina do "poznania prawdy o swoim dziadku; ustalenie tożsamości osoby, która prawdopodobnie przeżyła masakrę, co przyczyniłoby się do poznania prawdy o wszystkich ofiarach, także o dziadku pani Schweitzer".

Schweitzer nie prosił o wydanie tkanek swojej żonie; prosił tylko, aby doktor Peter Gill mógł pobrać ich próbkę w celach badawczych. Marina Schweitzer wyrażała ponadto gotowość pokrycia wszystkich kosztów związanych z badaniami DNA.

Szpital nie zajął w tej sprawie żadnego stanowiska, wydał jedynie oświadczenie, że postąpi zgodnie z zaleceniami sądu. Nieoficjalnie Matthew Murray powiedział: - Jeżeli powódka udowodni, że ma prawo dysponować tkanką, nie będzie żadnych problemów. Schweitzer liczył na to, że wszystko pójdzie po jego myśli: - Napisałem już nawet prośbę do sędziego o wydanie tkanki - wspomina. - Sędzia ustalił datę rozprawy na pierwszego listopada. Byłem pewien, że nam się uda.

Pierwszego listopada 1993 sędzia okręgowy Jay T. Swett, młody jasno włosy mężczyzna, zajął swoje miejsce w sali rozpraw, aby zbadać sprawę przechowywanej w szpitalu im. Marthy Jefferson tkanki Anastazji Manahan. W sali znajdowali się trzech prawnicy: Richard Schweitzer, występujący w imieniu żony Mariny, która pragnęła, aby próbki tkanki zostały przekazane do Anglii w celu przeprowadzenia badań DNA; Matthew Murray, radca prawny szpitala, który nie miał nic przeciwko badaniom, o ile sąd wyrazi na nie zgodę; oraz prawnik z "Richmond Times", który chciał się przekonać, czy rozprawa będzie jawna. Ta ostatnia sprawa została szybko rozstrzygnięta; Schweitzer zwrócił się do sądu z prośbą o nieujawnianie rozprawy i udostępnienie wszystkich dokumentów prasie. Wydawało się, że nic złego już nie może się stać; sędzia Swett poprosił Schweitzera i Murraya o sporządzenie stosownego oświadczenia.

Sprawa najwyraźniej była zakończona, tkanka wkrótce miała zostać przekazana doktorowi Gillowi. - Czy ktoś chciałby zabrać głos w tej sprawie, zanim podpiszę oświadczenie? - spytał sędzia. - Tak, wysoki sędzie; na sali obecne są osoby, które chciałyby wypowiedzieć się w tej sprawie - odparł Matthew Murray. Wstała młoda kobieta, siedząca w jednym z tylnych rzędów. Powiedziała, że nazywa się Lindsey Crawford i pracuje w Waszyngtonie w firmie prawniczej Andrews & Kurth, w której zatrudniony jest także Thomas Kline. - Zwrócił się do nas klient, który pragnie być w tej sprawie wysłuchany - oświadczyła. - Otrzymałam wiadomość od księcia Mikołaja Romanowa, przewodniczącego Stowarzyszenia Rodziny Romanowów, którego większość Romanowów uważa za prawowitego następcę tronu. Dziś rano księżę zwrócił się do mnie z prośbą o wyjaśnienie, co się tutaj dzieje i jakie konsekwencje sprawa ta będzie mieć dla jego rodziny. Pani Crawford zwróciła się do sędziego z prośbą o zawieszenie rozprawy, "aby ochronić w ten sposób interes rodziny Romanowów". Wyjaśniła także, iż jej firma zamierza wystąpić w imieniu innego klienta, który także zainteresowany jest sprawą tkanek Anastazji Manahan; jest nim nowojorski Związek Rosyjskiej Arystokracji. - Czy chce pani zwrócić się do sądu z oficjalną prośbą w tej sprawie? spytał sędzia. - Nie, wysoki sędzie; nasz klient skontaktował się z nami dopiero dziś rano. Richard Schweitzer, usłyszawszy o firmie Andrews & Kurth, wniósł sprzeciw: - Rzeczywistym klientem tej firmy nie jest którykolwiek z Żyjących Romanowów - rzekł - lecz pan Korte. Schweitzer przedstawił sędziemu kopię listu napisanego w czerwcu do Jamesa Loveua, w którym Thomas Kline opisywał pracę Kortego. - Firma Andrews & Kurth już od kilku miesięcy występuje w imieniu pana Kortego - mówił Schweitzer - który pragnie przejąć próbki tkanki, aby uniemożliwić innym osobom przeprowadzenie na nich badań. Sędzia Swett namyślał się przez kilka minut. Wreszcie oświadczył, że odracza sprawę na trzy dni, aby pani Crawford miała dość czasu na spisanie w imieniu swojego klienta odpowiedniego oświadczenia. Obecna na sali Penny Jenkins wspomina, że pani Crawford mruknęła z niedowierzaniem: - Tego nie da się zrobić w ciągu trzech dni! Jenkins zauważyła także, iż obok Crawford siedział wysoki czterdziestoletni mężczyzna o kręconych włosach i orlim nosie. Był bez krawata, na nogach miał sandały, przyszedł na salę z plecakiem. - Nie wiem, jak się tego domyśliłam - wspomina Jenkins - ale od razu wiedziałam, że to Willi Korte. Przed zakończeniem rozprawy Korte wstał i szybko opuścił salę. Z perspektywy czasu, jaki upłynął od rozstrzygnięcia sprawy, Richard Schweitzer domyśla się, co wówczas zaszło: - Firma Andrews & Kurth nie chciała dopuścić do tego, aby Marina mogła dysponować tkanką; jej prawnicy chcieli, żeby wyłączne prawo otrzymał ich klient. Przypuszczam, że był nim Willi Korte. Próbował przejąć tkankę od wielu miesięcy, a ponieważ zabiegi u Jimmy'ego Loveua nie przyniosły rezultatu, nie wiedział, jak postąpić. Sam

nie mógł występować w sądzie jako strona, bo nie miał do tego żadnych podstaw prawnych. Potrzebny był klient, który mógłby przerwać naszą rozprawę. Więc jego przyjaciele zaczęli szukać w Europie odpowiedniej osoby lub osób. I tak dotarli do księcia Mikołaja Romanowa i Związku Rosyjskiej Arystokracji. Jeden z europejskich współpracowników Kortego, Maurice Philip Remy, usiłował wciągnąć w tę sprawę Romanowów, żeby nie zapadł wyrok korzystny dla Schweitzerów. Mieszkający wówczas w Rzymie książę Mikołaj zatelefonował do Londynu, do swego kuzyna księcia Rościsława, zwierając mu się, że wywierane są na niego naciski, aby wziął udział w procesie toczącym się w stanie Wirginia. Rościsław zadzwonił do Nowego Jorku, by zapytać księcia Aleksiego Szerbatowa (którego osobiście nie znał), o co tak naprawdę chodzi. Rościsław odbył z Szerbatowem półgodzinną rozmowę, a potem zadzwonił do swego londyńskiego przyjaciela Michaela Thorntona. - Gdy Rosti zakończył rozmowę z Szerbatowem - wspomina Thornton - zadzwonił do mnie i powiedział: "Rany boskie! Co mu się stało?", a potem powtórzył mi wszystko, co mówił Szerbatow: Schweitzer jest podejrzanym typem, miał podejrzaną przeszłość. . . Gdybyśmy tylko wiedzieli, co robił w przeszłości, włosy stanęłyby nam na głowie. . . Widział w tym jakiś mroczny spisek, którego celem było uznanie pani Manahan za księżną Anastazję. Szerbatow powiedział Rościsławowi także, że tkanki Anny Anderson nie powinno się przekazywać do Anglii: Jedyne miejsce, w którym badania zostaną przeprowadzone właściwie, jest laboratorium doktor MaryDaire Kinę. Thornton powiedział Rościsławowi, że jego zdaniem to wszystko bzdura i prosił go o przekazanie Mikołajowi faksem wiadomości, aby nie angażował się w proces w Charlottesviue, ponieważ doprowadzi to do całkowitego chaosu. Następnie osobiście napisał list do Rościsława, który ten przesłał faksem Mikołajowi. Napisał w nim, że angażowanie się Romanowów w tę sprawę byłoby bardzo źle przyjęte. - Napisałem w nim, że zostaną poddani ostrej krytyce, ponieważ przez całe życie Anny Anderson nie dawali wiary jej słowom, jakoby była księżniczką Anastazją, a po jej śmierci z niewiadomych powodów usiłują przejąć jej szczątki - wspomina Thornton. - Mass media by ich ukrzyżowały. Ponadto oznaczałoby to zmianę stanowiska Romanowów, którzy od wielu lat twierdzili, że Anna Anderson jest oszustką. Jeżeli teraz zaczną domagać się praw do dysponowania jej szczątkami, wszyscy pomyślą, że popełnili błąd. Dlatego najlepiej będzie nie angażować się w tę sprawę. List Michaela Thorntona okazał się skuteczny. Książę Mikołaj Romanow natychmiast przestał być klientem firmy Andrews & Kurth i w dokumentach sądowych jego nazwisko już się nie pojawiało.

W czwartek, 4 listopada, Lindsey Crawford zgodnie z poleceniem sędziego Swetta złożyła w sądzie prośbę, w której wymieniony był tylko jeden klient, Związek Rosyjskiej Arystokracji.

Pod dokumentem podpisała się Crawford, Thomas Kline oraz Williams, wynajęty prawnik z Charlottesville. W dokumencie związek przedstawiał się jako "historyczna organizacja zrzeszająca filantropów, której celem jest ochrona potomków carskiej rodziny i pamięci wydarzeń sprzed rewolucji 1917 roku". Związek podważał prawo Mariny Schweitzer do dysponowania tkanką twierdząc, iż nie występują "związki krwi" ani pomiędzy nią a Anastazją Romanow [córką cara], ani Anastazją Anderson. Stwierdzał ponadto, że zbadanie próbek tkanki przechowywanych w szpitalu im. Marthy Jefferson nie ma żadnego związku z identyfikacją szczątków doktora Botkina. W dokumencie przyznawano, iż przeprowadzenie testu DNA mitochondrialnego może posłużyć do ustalenia tożsamości Anastazji Manahan, ale "podobne badania muszą być przeprowadzone w niezwykle nowoczesnym laboratorium, a nie tak jak proponuje Schweitzer" (czyli w laboratorium doktora Petera Gilla). Do petycji dołączono także memorandum podpisane przez Związek Rosyjskiej Arystokracji, szkalujące doktora Gilla: jego laboratorium nazywano "drugorzędnym", a o próbkach pisano, że były "prawdopodobnie zanieczyszczone". Wreszcie związek twierdził (co, jak okazało się później, było nieprawdą), iż "z naukowego punktu widzenia nie jest możliwy taki podział tkanek, aby mogły one zostać zbadane równocześnie w dwóch laboratoriach". Zdaniem związku, gdyby sąd przekazał tkankę doktorowi Gillowi, raz na zawsze uniemożliwiłoby to wiarygodne ustalenie tożsamości Anastazji Manahan i jedynym rozwiązaniem było przekazanie tkanki "najwybitniejszemu genetykowi w Stanach Zjednoczonych", doktor MaryDaire Kinę. Do prośby dołączone były także złożone pod przysięgą oświadczenia prezydenta związku, księcia Aleksego Szerbatowa, oraz doktora Williama Maplesa. Tekst podpisany przez Szerbatowa w znacznej mierze pokrywał się z oświadczeniem związku. Co ciekawe, wszystkie oświadczenia dotyczące spraw naukowych (i w Związku Rosyjskiej Arystokracji, i w memorandum, i w złożonym pod przysięgą oświadczeniu księcia Szerbatowa) opierały się na oświadczeniu doktora Maplesa, w którym wychwalał doktor Kinę i oczerniał doktora Gilla. Pisał w nim między innymi, że twierdzenie jakoby Gill zidentyfikował jekaterynburskie szczątki jako szczątki Romanowów z prawdopodobieństwem 98,5 procent "z naukowego punktu widzenia" jest bez znaczenia. Pisał także, iż heteroplazmia, którą Gill odkrył w DNA cara Mikołaja II, "najprawdopodobniej wynika z zanieczyszczenia próbek". Straszyl też sąd: "Jeżeli krew lub próbki tkanek Anastazji Manahan zostaną przekazane do badań DNA, zostaną całkowicie zniszczone, co uniemożliwi zbadanie ich przez inne laboratoria".

Członkami Związku Rosyjskiej Arystokracji są potomkowie ludzi, którzy kiedyś współrządzili carską Rosją. W latach dziewięćdziesiątych do związku należało około stu osób regularnie

opłacających składki, byli to potomkowie emigrantów, którzy po rewolucji opuścili Rosję. Gdyby ludzie ci nadal mieszkali w carskiej Rosji, tytułowano by ich książętami i księżniczkami, hrabiami i hrabinami. W Ameryce tytułami tymi posługują się na balach dobroczynnych mając nadzieję, iż w ten sposób przyciągną Amerykanów, na których tytuły takie robią duże wrażenie. Organizacja jest w kiepskiej sytuacji finansowej, głównym źródłem jej dochodów jest odbywający się w maju doroczny bal, z którego zysk wynosi od dwunastu do osiemnastu tysięcy dolarów. Z pieniędzy tych opłacany jest czynsz za apartament przy Pierwszej Alei, gdzie mieści się biblioteka związku. To, co zostaje, przekazywane jest dzieciom, osobom starszym i chorym. Nikt na świecie nie ma większej wprawy w dochodzeniu stopnia i rodzaju pokrewieństwa zachodzącego pomiędzy członkami rosyjskiej arystokracji niż przewodniczący Związku, osiemdziesięcioletni Aleksy Szerbatow. Prawie całe życie spędził na emigracji, jego rodzina w wyniku rewolucji straciła swój majątek. Po ucieczce Szerbatow mieszkał w Bułgarii, potem we Włoszech, ukończył uniwersytet w Brukseli, w 1938 roku przybył do Stanów Zjednoczonych, podczas drugiej - wojny światowej służył w amerykańskiej armii w randze sierżanta. Po wojnie uczył o historii w college'u Dickinsona w New Jersey i na potrzeby historyków tłumaczył dokumenty z rosyjskiego i litewskiego. Jego poglądy polityczne są typowe dla przedstawicieli tego pokolenia: nienawidzi komunizmu, do postkomunistycznej Rosji odnosi się nieufnie, nienawidzi Anglii ("Anglia to jedna wielka banda kłamców"). Nigdy nie wierzył, że Anna Anderson to Anastazja. Twierdzi, że to niemożliwe, bo pamięta wielką księżnę - osobiście widział ją w 1916 roku, gdy miał pięć lat.

Richard Schweitzer odpowiedział na zarzuty Związku Rosyjskiej Arystokracji w sposób następujący: "Sprawa nie dotyczy metody, jaką przeprowadzone zostaną badania naukowe, ani też wyboru laboratorium, które je przeprowadzi. Chodzi o to, czy Związek Rosyjskiej Arystokracji ma prawo występować w tej sprawie jako strona i czy ma prawo wybrać ośrodek naukowy, w którym przeprowadzi się badania. Sądowi nie przedstawiono na to żadnych dowodów". Zwrócił także uwagę na fakt, że związek nie przekazał sądowi żadnych oficjalnych dokumentów podpisanych przez odpowiednią komisję (czy radę nadzorczą), w której podporządkowuje się ustawodawstwu stanu Wirginia. Prywatnie, Schweitzer przypuszczał, że ani władze związku, ani jego członkowie nie mieli pojęcia o całej sprawie. Uważał także, iż wszelkie koszty pokrywał ktoś inny.

Schweitzer wydał mnóstwo oświadczeń. Stwierdził, iż nigdy nie domagał się wyłączności na pobranie próbek tkanki. Wątpił także, czy w wyniku badania tkanki rzeczywiście zostaną

zniszczone. Przeprowadził rozmowy z naukowcami i dowiedział się, że każda z próbek winna mieć zaledwie 1/10000 centymetra; tymczasem każda z przechowywanych próbek miała ponad pół centymetra długości. 16 listopada oświadczył przed sądem, iż nie sprzeciwia się badaniom, które w Berkeley zamierza przeprowadzić doktor Ma Daire Kinę. Sprzeciwia się natomiast prawu wyłączności doktor Kinę na przeprowadzenie badań. Dodał także, iż związek nie powinien być stroną w sprawie, ponieważ Anastazja Manahan nigdy nie twierdziła, że należy do rosyjskiej arystokracji; twierdziła tylko, że jest członkiem carskiej rodziny. Prywatnie, Schweitzerowie byli oburzeni faktem, iż Szerbatow w oświadczeniu złożonym pod przysięgą tytułował się księciem. - gdy występował o amerykańskie obywatelstwo, złożył oświadczenie, że zrzeka się wszelkich tytułów - mówi Schweitzer. - Uważam, że trudno dać wiarę komuś, kto najpierw pod przysięgą mówi jedno, a potem robi drugie. Schweitzer wyraża się pogardliwie także o Williamie Maplesie: - Oświadczenie Maplesa nie może być podstawą prawną w sprawie [wyboru laboratorium] - powiedział przed sądem. - Maples oświadczył w telewizji, iż wielka księżna Anastazja nie mogła przeżyć morderstwa w domu Ipatiewa. Nie może występować jako niezależny ekspert, skoro jest także stroną. Poza tym jest antropologiem, a nie genetykiem. Nie posiada odpowiednich kwalifikacji, aby oceniać pracę genetyków.

Nie tylko Richard Schweitzer odnosił się krytycznie do oświadczenia Maplesa. Równie krytycznie wypowiedziała się o nim MaryDaire Kinę. 19 listopada zatelefonowała do Anglii, do Petera Gilla, aby zdystansować się od stwierdzeń zawartych w oświadczeniu na temat rzekomego braku kompetencji Gilla; dodała także, że w sprawie tkanki Anastazji Manahan chętnie podejmie z nim współpracę. Jeszcze tego samego dnia odbyła rozmowę z Mariną i Richardem Schweitzerami, a Schweitzer wysłał do niej faks, w którym informował ją o stanowisku żony: chodzi wyłącznie o przekazanie próbek tkanki Gillowi, bez praw wyłączności; wyniki badań zostaną niezwłocznie przekazane sądowi, szpitalowi i Schweitzerom. "Nie jest naszym zamiarem wykluczenie pani z tej sprawy - pisał do doktor Kinę. - Chodzi nam jedynie o przeprowadzenie naukowych badań i uzyskanie jednoznacznych wyników". Zaproponował nawet, że w swojej petycji poprosi także o przekazanie próbek tkanki do dyspozycji doktor Kinę. "Niestety - pisał - pani nazwisko wymienił w sądzie pewien nowojorski związek, który sprzeciwia się wydaniu tkanki doktorowi Gillowi. Jednak naszym zdaniem w rzeczywistości za całą sprawą, która toczy się już od marca czy kwietnia 1993 roku, stoi nieznany nam z nazwiska klient firmy Andrews & Kurth". Podczas telefonicznej rozmowy Kinę poprosiła go o zwrócenie się z pytaniem do Lindsey Crawford, czy możliwa jest współpraca pomiędzy nią a doktorem Gillem, lub choćby równoległe prowadzenie badań.



Następnego dnia Schweitzer przekazał tę wiadomość pani Crawford, proponując, aby doktor Kinę przyłączyła się do prośby jego żony i aby firma Andrews & Kurth wycofała się z tej sprawy. Schweitzer czekał na odpowiedź przez dwa tygodnie; 4 grudnia dowiedział się, że firma Andrews & Kurth nie zamierza się wycofać, a 6 grudnia przekazano mu, że Thomas Kline skarży się, iż Schweitzer bezprawnie kontaktuje się z "jego" ekspertem. Schweitzer natychmiast zadzwonił do Kline'a, który wycofał się z tych zarzutów; przyznał, że doktor Kinę "nie jest jego własnością", a w rozmowie Schweitzera z nią nie było nic niewłaściwego. Jednak wkrótce Crawford napisała do Schweitzera nakazując mu przesłanie kopii "wszystkich sześciu faksów przesłanych do doktor Kinę". W tydzień później znów do niego napisała, żądając niezwłocznego przesłania kopii: "Istnieje potrzeba zgromadzenia przeze mnie całej korespondencji związanej z tą sprawą". Schweitzer przekazał odpowiednie kopie sędziemu Swettowi, lecz nie Lindsey Crawford.

Tymczasem MaryDaire Kinę postanowiła wypowiedzieć się w tej sprawie na piśmie. 7 grudnia 1993 roku złożyła w sądzie pod przysięgą oświadczenie, które w dużej mierze było sprzeczne z oświadczeniem doktora Maplesa co do kompetencji doktora Gilla. Choć oświadczenie to zostało spisane na prośbę firmy Andrews & Kurth, a jego celem najwyraźniej było poparcie żądań Związku Rosyjskiej Arystokracji, Kinę napisała: "Od siedmiu miesięcy pracuję nad zidentyfikowaniem szczątków dziewięciu osób, pośród których przypuszczalnie znajduje się car Mikołaj II jak i członkowie jego rodziny. Otrzymałam także krew i próbki tkanki potomków cara Mikołaja i jego żony Aleksandry. Obecnie przygotowuję raport, w którym opisuję wyniki badań. Prace dotyczące jekaterynburskich szczątków, prowadzone przez doktora Gilla, są mi znane. O ile istnieje odpowiednia ilość tkanki, idealne byłoby przeprowadzenie badań DNA mitochondrialnego w dwóch laboratoriach, a następnie porównanie uzyskanych wyników. Rozmawiałam już w tej sprawie z doktorem Gillem i chciałabym współpracować z nim przy analizie próbek". Ponieważ oświadczenie doktor Kinę obalało argumenty firmy Andrews & Kurth, firma nie przekazała go sądowi; prawnicy drugiej strony o istnieniu oświadczenia dowiedzieli się dopiero trzy miesiące później. Tymczasem liczba stron pragnących wziąć udział w procesie Richarda Schweitzera stale rosła. 10 listopada do sądu zgłosiła się pięćdziesięciosześcioletnia kobieta z Muuan, w stanie Idaho, Margarete Therese Adam Kailing, urodzona 23 października 1937 roku w Niemczech i posiadająca nadal niemieckie obywatelstwo. Oświadczyła, iż jest "cudem odnalezioną córką" wielkiej księżnej Anastazji i księcia Henryka; w styczniu 1993, zaledwie przed dziesięcioma miesiącami, zmieniła nazwisko na "Anastazja Romanow". Kobieta wyjaśniła, iż "gdy tylko zostanie udowodnione, że pani

Manahan była wielką księżną Anastazją Romanow, wówczas ja, Anastazja Romanow, jako jej córka, stanę się członkiem carskiej rodziny". Oświadczyła sądowi, że tylko ona ma prawo dysponować tkanką matki i to do niej należy decyzja, gdzie i przez kogo (o ile w ogóle) zostanie ona zbadana. Pani Kailing- Romanow tłumaczyła, że jej matka, która później zmieniła nazwisko na Manahan, nie wychowywała jej, ponieważ krewni uznali, że wielka - księżna nie nadaje się do tego po traumatycznym przeżyciu, jakim było zamordowanie jej rodziny. Dodała też, że została uratowana z obozu koncentracyjnego i zamieszkała u niemieckiej rodziny: "O tym, że jestem księżniczką, dowiedziałam się dopiero w 1964 roku". Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych w 1968 roku wyszła za mąż za Amerykanina i urodziła dzieci. "Kim jestem, dowiedziałam się dopiero 10 czerwca 1990 roku, gdy matka Aleksandra z prawosławnego klasztoru Przemienienia Pańskiego w Euwood City w stanie Pensylwania wyjawiała mi, iż jestem córką Anastazji Romanow. Gdy ujrzałam zdjęcia w książce Petera Kurtha, od razu wiedziałam, że opisuje on moją historię. . . Właściwie o wszystkim dowiedziałam się z książki Loveua. . . I wszystko ułożyło się w jedną całość. . . Ostatnie informacje uzyskałam z książki Edwarda Radzińskiego". Aby uwiarygodnić swoje żądania, pani Kailing-Romanow zwróciła się do firmy Locators Inc. z siedzibą w Charlottesville (jej reklamy obiecują: "Błyskawiczne odnajdywanie osób zaginionych - działamy szybko - mamy wspaniałe wyniki!"). W umowie podpisanej z firmą stwierdza się, iż w wypadku ustalenia, że klientce przysługuje część majątku po Mikołaju Romanowie, Aleksandrze Romanow i Anastazji Romanow, firma Locators Inc. otrzyma wynagrodzenie w wysokości 33 procent od wartości majątku. Natomiast "gdyby udało się stwierdzić, że klientka jest następczynią tronu po Mikołaju II, czego wynikiem będzie przejęcie przez nią rządów nad Rosją, firma otrzyma dodatkowe wynagrodzenie w postaci obligacji wyemitowanych przez rząd rosyjski w 1916 roku oraz narosłe odsetki; klientka oświadcza, iż wypłacenie wyżej wymienionego wynagrodzenia będzie pierwszym działaniem podjętym przez jej rząd". Jednak pani Kailing-Romanow doszła do wniosku, że nie ufa firmie Locators Inc. i nie podpisała z nią umowy. Następnie pani Kailing-Romanow złożyła w sądzie kolejne oświadczenia: "Właśnie dochodzę do zdrowia po zatruciu arsenikiem, moje dochody znajdują się poniżej minimum socjalnego". Poprosiła także sąd o ustalenie dat rozpraw z dużym wyprzedzeniem, ponieważ "nie podróżuję samolotem, lecz pociągiem lub samochodem. Mieszkam w Idaho, odległym o ponad trzy tysiące kilometrów, skąd podróż pociągiem do Charlottesville trwa przeszło trzy dni. Władza zostaje nadana carowi przez Boga; ja, Anastazja Romanow, urodziłam syna, który będzie moim następcą". Richard Schweitzer odnosił wrażenie, że Związek Rosyjskiej Arystokracji i pani Kailing-Romanow "z procesu jego żony uczynili cyrk". Przed sądem powiedział, że twierdzenia pani Kailing-

Romanow są "zbyt fantastyczne i nieskładne, aby zasługiwały na odpowiedź". Proponował też osądzenie, czy jest ona poczytalna, i prosił o oddalenie jej wniosku. Tymczasem szpital im. Marthy Jefferson zajął odmienne stanowisko i poprosił sąd o wysłuchanie pani Kailing-romanow. 7 grudnia, ku przerażeniu Schweitzera, sędzia Swett ogłosił, iż podstawy prawne do zajęcia stanowiska w tej sprawie ma zarówno Związek Rosyjskiej Arystokracji, jak i pani Kailing-romanow.

## 16. Bez podstaw prawnych

Sędzia Swett swoją decyzję o dopuszczeniu pani Kailing-romanow i Związku Rosyjskiej Arystokracji do procesu Schweitzerów przedstawił w liście do wszystkich stron prosząc, aby między sobą rozstrzygnęły kwestię, kto i gdzie przeprowadzi badania tkanek. Jeśli ilość próbek tkanki jest wystarczająca, proponował, aby badania przeprowadzili doktor Gill i doktor Kinę. Ponadto strony miały dojść do porozumienia w sprawie pokrycia kosztów badań i sposobu, w jaki zostaną ogłoszone ich wyniki. Gdy wszystko będzie gotowe, należało sędziemu przedłożyć do podpisu odpowiedni dokument. Richard Schweitzer i Lindsey Crawford od samego początku byli odmiennego zdania. Schweitzer chciał rozpocząć od rozmów i negocjacji; natomiast Crawford sporządziła własną wersję dokumentu dla sędziego. Schweitzer wielokrotnie pisał do niej, prosząc o spotkanie: "Jestem gotów umówić się w pani biurze w ustalonym przez panią terminie; zależy mi, aby do spotkania doszło jak najszybciej, o ile to możliwe jeszcze w tym tygodniu, przed Bożym Narodzeniem" - pisał 20 grudnia. Crawford odpowiedziała mu następującym listem: "Obecnie jesteśmy zajęci redagowaniem dokumentu, który zadowoli wszystkie strony. Będzie on gotowy w najbliższych dniach. Po przekazaniu stronom dokumentu chętnie umówię się z panem na spotkanie". Gdy dokument dotarł do Schweitzera okazało się, że w stanowisku Crawford nastąpiła poważna zmiana. Poprzednio firma Andrews & Kurt, opierając się na opinii Maplesa, oskarżała doktora Gilla i jego laboratorium o zanieczyszczenie próbek i nazywała jego osiągnięcia naukowe "drugorzędnymi". Teraz w dokumencie proponowano, aby tkankę udostępnić zarówno doktorowi Gillowi, jak i doktor Kinę. Schweitzer był tym wszystkim poirytowany. Nie podobał mu się szczegółowy opis procedur badawczych zamieszczony przez Crawford; nie odpowiadało mu, że Gill i Kinę mieliby pracować bez wynagrodzenia (wiedział, że FSS bez zapłaty nie podejmie się tego zadania); poza tym nalegał, aby wyniki badań zostały opublikowane, gdy tylko będą gotowe. Schweitzer zwrócił się do radcy prawnego szpitala: "Dokumenty, które otrzymałem, utwierdziły mnie w przekonaniu, iż najpierw powinniśmy się spotkać i uzgodnić wspólne stanowisko, a nie pozwalać Crawford sterować nami poprzez jakieś "szkice i propozycje dokumentów". Po Bożym Narodzeniu, tracąc cierpliwość, wysłał do szpitala faks: "Crawford odrzuciła naszą prośbę o spotkanie i postanowiła osobiście sporządzić Ostateczną wersję dokumentu, który nazywa "nakazem". Dodał, że chciałby z radcami prawnymi szpitala odbyć spotkanie, "na którym Crawford może, ale nie musi, być obecna". To zwróciło Uwagę Crawford; umówiła się ze wszystkimi prawnikami w celu Ustalenia odpowiedzi sędziemu Swettowi. Było to 10 stycznia 1994 roku w siedzibie prawnika z Charlottesviue, którego

zaangażowała do tej sprawy firma Andrews & Kurth. Schweitzerowie, wiedząc, że zła pogoda mogłaby im przeszkodzić w dotarciu do celu, wyruszyli w drogę dzień wcześniej. Dziesiątego po południu rozpoczęło się spotkanie, w którym uczestniczyli Schweitzerowie, Williams oraz Matthew Murray reprezentujący szpital. Natomiast nie pojawiła się Lindsey Crawford, która zainicjowała to spotkanie. Pogoda była brzydka i - jak wyjaśnił Williams - podróż samochodem mogłaby być niebezpieczna. Tymczasem, pomimo złej pogody, na spotkanie przybyła inna osoba, której zła pogoda nie przeszkodziła w jeździe z Waszyngtonu do Charlottesville. Gdy prawnicy rozdzielali pomiędzy sobą kopie dokumentów, do biura wkroczył doktor Willi Korte. Schweitzer spytał go, dlaczego jest obecny na tym spotkaniu. W odpowiedzi Williams wyjaśnił, iż "Korte występuje w imieniu Związku Rosyjskiej Arystokracji". Schweitzer domagał się odpowiednich dowodów, a wówczas Korte wyjął z teczki dokument podpisany tego samego dnia przez Aleksieja Szerbatowa: "Niniejszym Upoważniam Więgo Korte do reprezentowania ZRA oraz prawników występujących w imieniu Związku. Doktor Willi Korte ma prawo uczestniczyć w spotkaniach roboczych na terenie Stanów Zjednoczonych, przeglądać dokumenty, udzielać rad i czynić wszystko, czego będzie wymagał interes związków".

Richard Schweitzer odnosił wrażenie, że sprawa nie posuwa się do przodu, a liczba przeciwników stale wzrasta. Od wielu miesięcy wiedział o istnieniu Kortego, lecz swego antagonistę ujrzał dopiero 10 stycznia. I nawet wówczas nic o nim nie wiedział. Jmian Nott, brytyjski filmowiec pracujący nad telewizyjnym filmem dokumentalnym o Anastazji, wiedział więcej. - Korte celowo zachowuje się tajemniczo - w kilka tygodni później powiedział Schweitzerowi Nott. - Nie lubi mówić ani o sobie ani o tych, którzy mu płacą. Jest Niemcem, ale mieszka w pobliżu Waszyngtonu. Jego praca polega na odszukiwaniu skradzionych dzieł sztuki. Przed kilkoma laty pomógł odnaleźć skarb quediński, wyceniony na ponad dwieście milionów dolarów (przez niektórych uważany za bezcenny); tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej ukraść go pewien sierżant armii amerykańskiej i ukrył w Teksasie. Kortego spotkałem w Bostonie, na zjeździe antropologów i specjalistów w zakresie medycyny sądowej, gdzie Awdonin przedstawiał wyniki swoich badań, i także na uniwersytecie Harvarda, gdzie czytał archiwum Sokołowa, oraz w Londynie. - Niektóre rodziny udało mu się przekonać, zwłaszcza książęcy i książęcy heskich - twierdzi Nott. Zastraszył ich mówiąc: "Czyż nie zdajecie sobie sprawy, że Richard Schweitzer, zięć Gleba Botkina, i James Loveu zamierzają was oszukać? A ja jestem gotów wam pomóc". Uważam, że za całą tą sprawą stoi Korte. Jest zdecydowany, nie pójdzie na żadne kompromisy. Chce dostać wszystko; nie chce, aby

Schweitzer miał z tą sprawą cokolwiek wspólnego i stara się ją jak najbardziej zagmatwać. Okazało się jednak, że Nott się mylił; za sprawą oprócz Kortego stał jeszcze ktoś. W styczniu oprócz niego pojawiła się inna postać. Był to Maurice Philip Remy, monachijski producent filmowy, który podobnie jak Jmian Nottt chciał o Anastazji nakręcić film. W kilka tygodni później Nott udał się do Monachium, aby spotkać swego konkurenta: - To bogaty człowiek z arystokratycznej rodziny, a stacja telewizyjna, dla której pracuje, odniosła już pewne sukcesy - oświadczył po powrocie z Niemiec. On chce za pomocą jednego programu telewizyjnego rozwickłać zagadkę, nie rozwiązana od siedemdziesięciu sześciu lat. Niestety, ma więcej pieniędzy niż przyzwoitości. Pod żadnym pozorem nie zamierza odstąpić od swego zamiaru. Przyznał, że Korte nie występuje w jego imieniu, przy czym mówił o nim tak, jakby Korte był jego służącym: "Wysłałem go tu, wysłałem go tam, kazałem mu zrobić to a to". Gdy mówił o Związku Rosyjskiej Arystokracji, był bardziej ostrożny, choć zwierzył mi się, że "ma tam wielkie wpływy". Remy odnosił się do Anny Anderson z jednoznaczną wrogością. - On nie zamierza być obiektywny - twierdzi Nott. Postanowił udowodnić, że kobieta ta była oszustką. Jest sojusznikiem książąt heskich, którym wciąż powtarza, jak bardzo pogardza Anną Anderson. Znalazł sojusznika także w doktorze von Berenbergu-Gosslerze, byłym adwokacie Mountbattena i książąt heskich, który, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, nadal nazywa Annę Anderson "oszustką i komediantką". z czasem dla Notta stało się jasne, że celem Remy'ego jest uzyskanie całkowitej kontroli nad sprawą Anny Anderson. Zamierzał pozbyć się Richarda i Mariny Schweitzerów, uzyskać wyłączność na dysponowanie tkanką, przekazać ją do laboratorium i kontrolować wszelkie informacje na temat wyników badań. Jego agenci zaczęli krążyć po Europie nie tylko po to, aby przeczesywać archiwa, ale także by kupować zdjęcia, listy, filmy, nagrania i wywiady. - Żadna zwykła stacja telewizyjna nie postąpiłaby w ten sposób - mówi Nott. To zbyt drogie. Ale za tym wszystkim stoi Remy, który nie chce dopuścić do sprawy Schweitzerów i Gilla, a przynajmniej zależy mu na tym, aby rów wszystko zostało ogłoszone równocześnie. Twierdzi, że ponieważ sprawa ostatecznie zostanie rozstrzygnięta przez naukowców, wszelkie informacje powinny być dostępne dla wszystkich. Tak naprawdę jednak chodzi mu o wagę na rynku mediów; chce wyłączności na prawa do filmu o Annie i badaniach DNA. Gdy zgłoszą się do niego stacje telewizyjne, jestem właścicielem Anny Anderson.

W styczniu 1994 roku pojawiła się jeszcze jedna postać. Baron Mrich von Gienanth, osiemdziesięciosześcioletni były dyplomata niemiecki, który po wojnie zaprzyjaźnił się z Anną Anderson i gdy mieszkała w Unterlenenhardt, sprawował opiekę nad jej (skromnymi)

finansami. W latach 1949-1957 Anna Anderson sporządziła pięć testamentów i jako jednego z czterech wykonawców testamentu wymieniała von Gienantha. (W 1994 roku pozostali wykonawcy już nie żyli; byli to: Fryderyk, książę Saksonii, oraz hamburscy prawnicy: Kurth Vermehren i Pam Leverkuchn. ) 21 stycznia 1994 roku baron von Gienanth w swojej siedzibie w Bad Liebenzeu w pobliżu Stuttgartu podpisał oświadczenie, że - jako jedyny żyjący z czterech wymienionych przez Annę Anderson - przyjmuje na siebie obowiązek wykonawcy testamentu. Gdyby oświadczenie von Gienantha zostało uznane przez sąd, jeszcze bardziej skomplikowałyby sprawę. Prośba Mariny Schweitzer opierała się na przeświadczeniu o nieistnieniu krewnych i wykonawców woli zmarłej Anny Anderson. To oczywiste, że głos von Gienantha byłby znacznie ważniejszy niż Schweitzerów, Związku Rosyjskiej Arystokracji czy Anastazji Kailing-romanow. Pomimo to Schweitzer widział wyjście z tej sytuacji i nie zamierzał się poddać. Dowiedziawszy się, że von Gienanth przystaje na jednoczesne badanie tkanki przez doktora Gilla i doktor Kinę, Schweitzer zwrócił się do sądu z prośbą o włączenie barona do sprawy jako przedstawiciela Anny Anderson w stanie Wirginia. Wiedział, że gdyby sąd przystał na jego propozycję, prośba o wydanie tkanki straciłaby podstawę prawną; jednocześnie jednak ze sprawy musiałaby wycofać się także Anastazja Kailing-romanow oraz firma Andrews & Kurth. Aby temu zapobiec, Andrews & Kurt starali się nie dopuścić do przedstawienia w sądzie prośby von Gienantha. Jednak przeciwnicy Schweitzera albo nie docenili go, albo nie rozumieli celu, jaki mu przyświecał. 22 lutego Schweitzer, Matthew Murray, Lindsey Crawford oraz Williams pojawili się u sędziego Swetta, aby ustalić datę rozprawy. Nadal nie udało się ustalić spraw wymienionych w liście z siódmego grudnia: w jaki sposób strony zamierzają dojść do porozumienia co do przeprowadzenia badań, gdzie się je przeprowadzi i kto ogłosi ich wyniki. Sędzia spojrzął na nich i powiedział: - Czy doszliście państwo do porozumienia? - Nie - odparł Schweitzer. Sędzia spojrzął na stojących przed nim prawników. - Pierwsza rozprawa powinna dotyczyć pewnego człowieka [von Gienantha], który także ma podstawę prawną, aby występować w tej sprawie - rzekł Murray. - Jeżeli od tego nie zaczniemy, żadne uzgodnienia nie będą wiążące. Człowiek ten twierdzi, że jest wykonawcą testamentu Anny Anderson vel Anastazji Manahan. - Czy osoba ta zwróciła się pisemnie do sądu w tej sprawie? - spytał sędzia. - Nie - odparł Murray. - Czy występuje jako strona? - Nie - rzekł Murray. - Ale jeżeli człowiek ten jest tym, za kogo się podaje, szpital powinien wystąpić o oddalenie sprawy i rozmawiać bezpośrednio z nim. - No cóż, panie Murray - rzekł sędzia. - Uważam, że szpital powinien wystosować prośbę o oddalenie sprawy i załączyć do niej odpowiednie dokumenty. Na razie sąd nie podejmie żadnych kroków, ponieważ nie ma żadnych nowych dowodów w tej sprawie. - Wysoki sędzie - odezwał się Schweitzer. - Jest

prośba o oddalenie sprawy. Złożyłem ją w odpowiedzi na ostatnie oświadczenie Związku Rosyjskiej Arystokracji. Sędzia wyglądał na zaskoczonego. - Czy zdaje pan sobie sprawę, że jeżeli oddalę prośbę szpitala, odrzucę jednocześnie pańskie powództwo? - Tak - odparł Schweitzer. - Czy mam oddalić sprawę?

- Tak - odparł Schweitzer.

- Zwracam się do przedstawiciela szpitala: Czy mam oddalić sprawę? - Tak. - Powództwo zostaje oddalone - oświadczył sędzia Swett. Druga strona była zaskoczona. - Wysoki sędzie, sprzeciwiamy się oddaleniu sprawy - zaprotestowała Lindsey Crawford - ponieważ uważamy, że mamy prawo rozporządzać tkanką. - Skoro twierdzicie, że macie do tego prawo, powinniście zwrócić się do sądu z odrębnym wnioskiem - sędzia Swett zawahał się - oczywiście jeżeli macie do tego podstawę prawną. Wiadomość ta uszczęśliwiła Richarda Schweitzera, który od miesięcy usiłował udowodnić, że Związek Rosyjskiej Arystokracji nie ma podstawy prawnej. Po oddaleniu sprawy 1 marca baron von Gienanth, przynajmniej przez pewien czas, miał prawo dysponować tkanką. Natychmiast napisał do szpitala im. Marthy Jefferson, prosząc o udostępnienie tkanki doktorowi Gillowi. Napisał także do Lindsey Crawford, aby umówić się co do warunków, na jakich tkanka zostanie przekazana doktor Kinę. W świetle tego faktu następne kroki podjęte przez firmę Andrews & Kurth wydawały się dziwne. Nawet gdy baron proponował zrobienie dokładnie tego, co Lindsey Crawford pisała w skierowanej do sądu prośbie, ona starała się podważyć jego prawo do występowania w tej sprawie. Firma Andrews & Kurth uzyskała w Niemczech informacje, że ostatnia wola Anny Anderson nie została uwierzytelniona, gdyż pani Anderson w dniu śmierci nie przebywała na terytorium Niemiec i nie posiadała tam żadnych nieruchomości. Ponadto w testamencie mowa jest o "dowolnych dwóch wykonawcach" testamentu, a - jak Crawford wyjaśniła Williamsowi - ponieważ obecnie przy życiu pozostał tylko jeden, ostatnia wola "nie może zostać uwierzytelniona zgodnie z prawem niemieckim. . . [i] prawdopodobnie nie może być uwierzytelniona w Wirginii". Następnie Williams poinformował Murraya, że aby baron von Gienanth mógł zostać wykonawcą testamentu, "musi osobiście stanąć przed sądem. . . żeby poświadczyć jego autentyczność". Tym czasem von Gienanth, będąc w podeszłym wieku, nie zamierzał odbyć długiej podróży do Ameryki. Próbując rozwiązać problem, przed jakim stanęli Andrews & Kurth w związku z niespodziewanym oddaleniem sprawy, firma zwróciła się do sędziego Swetta z prośbą o wyjaśnienia i "drobne zmiany w trybie oddalenia sprawy"; to właśnie na tej rozprawie, która odbyła się 4 marca, odczytano złożone pod przysięgą oświadczenie MaryDaire Kinę sporządzone 7 grudnia. Sędzia odrzucił prośbę firmy Andrews & Kurth, a jej przedstawicielom wyjaśnił, że sprawa została oddalona, wobec czego zgłaszanie sprzeciwu jest



bezcelowe. Skoro Marina Schweitzer pragnie zakończenia tej sprawy i jednocześnie wykluczenia z niej firmy prawniczej, ma do tego pełne prawo. Lindsey Crawford i jej klienci mogli teraz zwrócić się do sądu o zakaz przekazania przez szpital im. Marthy Jefferson tkanki baronowi von Gienanth, który zamierzał udostępnić ją doktorowi Gillowi. - Wysoki sędzie - spytała Crawford - czy przed wystąpieniem na drogę sądową przeciwko szpitalowi możemy żądać zakazu wykonywania przez szpital pewnych kroków? - Skoro chcecie zakazu, powinniście wystąpić o zakaz. Związek Rosyjskiej Arystokracji, który za wszelką cenę pragnął zapobiec udostępnieniu tkanki, zaskoczony nagłym zakończeniem sprawy Schweitzerów, zaczął bombardować listami Matthewa Murraya z instrukcjami, co szpital powinien, a czego nie powinien robić. 18 marca, niemal w trzy tygodnie po zakończeniu procesu Schweitzera, związek wytoczył szpitalowi proces, żądając zakazu wydawania tkanki Anastazji Manahan, do chwili ustalenia przez sąd statusu prawnego von Gienantha. W poprzedniej prośbie powtarzały się słowa o tym, że "badania muszą być przeprowadzone w niezwykle nowoczesnym laboratorium", natomiast obecnie związek domagał się przeprowadzenia badań tkanki "w dwóch odpowiednio wyposażonych laboratoriach" (choć w piśmie wymieniano tylko jedno, kalifornijskie laboratorium doktor Kinę). Udostępnienie tkanek w chwili obecnej "byłoby wielką i niepowetowaną stratą", ponieważ "na razie nie istnieje możliwość zapewnienia dostatecznie dobrych warunków przeprowadzania badań DNA mitochondrialnego. . . i przyszłe pokolenia nigdy nie poznają, kim w rzeczywistości była Anna Manahan". Jednak w tym dokumencie (podpisanym przez Lindsey Crawford) Związek Rosyjskiej Arystokracji popełnił fatalny błąd. Błąd, który okazał się w tej sprawie rozstrzygający, polegał na stwierdzeniu, iż "nie istnieją osoby mające prawo występować w imieniu Anny Manahan".

I znów Richard Schweitzer wyprzedził swoich przeciwników. 8 marca wykorzystał zapomniane prawo obowiązujące w stanie Wirginia dotyczące porzuconej własności. - W zasadzie dotyczy to głównie ziemi - mówi Schweitzer. - Gdy zmarł lub zniknął jakiś farmer pozostawiając po sobie farmę, wygłodniałe bydło itd. wówczas każdy - i wcale nie musiał być to jego krewny - mógł udać się do sądu z prośbą, aby szeryf sprawował nad nią nadzór, dopóki nie znajdzie się osoba, która z prawnego punktu widzenia jest za nią odpowiedzialna. Później prawo to zostało zmienione - z czego przedtem nie zdawałem sobie sprawy, ponieważ szeryfowie byli przytłoczeni nadmiarem takich spraw, musieli z budżetu swoich urzędów opłacać wszystkie ubezpieczenia i tak dalej. Wedle nowego prawa każdy może zgłosić się do sądu i na administratora porzuconego majątku wyznaczyć dowolnego mieszkańca hrabstwa czy miasteczka. - Przeprowadziłem rozmowę z moim kolegą Edem Deetsem, z którym studiowałem

prawo. Zgodził się, abym go wyznaczył, a ja powiedziałem mu: "Będę występował jako twój prawnik, a żebyś nie ponosił żadnych kosztów, pokryję wszystkie wydatki". Wydatki wynosiły około siedemdziesięciu pięciu dolarów, ponieważ nie istniały żadne nieruchomości. Tak więc 16 marca za zgodą sędziego Swetta mój kolega i były współpracownik Ed Deets został zaprzysiężony jako administrator dóbr, jakie pozostawiła po sobie Anastazja Manahan. Matt Murray wiedział o podjętych przeze mnie działaniach. Sprawy tej miał już powyżej uszu, zwłaszcza biorąc pod uwagę koszty poniesione przez szpital, więc powiedział: "A niech tam! Zrób to!". Miałem też zgodę barona von Gienantha, który wiedział, że jego prawo do występowania w tej sprawie zostałoby podane w wątpliwość. Zgodnie z prawem administrator ma prawo rozporządzać wszystkim, także próbkami tkanki. Ed natychmiast złożył w sądzie prośbę o zgodę na wysłanie próbek doktorowi Gillowi. Spotkanie z Edem Deetsem pozwoliło Murrayowi odeprzeć atak Lindsey Crawford. 24 marca, pod nieobecność przedstawicieli Związku Rosyjskiej Arystokracji, przedstawił sądowi dwa dokumenty. Stwierdził, że reprezentanci związku nigdy nie przedstawili sądowi uwierzytelnionych kopii swoich pełnomocnictw. Nowojorski związek, "stowarzyszenie genealogiczne", nie ma nic wspólnego z "osobą Anny Manahan". Dodał także, iż związkowi nie udało się przedstawić żadnych faktów, które potwierdziłyby, że przeprowadzenie badań "byłoby wielką i niepowetowaną stratą". Wreszcie Murray zadał ostateczny cios: 16 marca, na dwa dni przed złożeniem przez związek prośby o zakaz wydania tkanek, Ed Deets objął funkcję administratora nieruchomości Anastazji Manahan. Dzięki temu to on, a nie szpital, miał prawo dysponować tkanką. jeżeli zależy państwu na zakazie - rzekł Murray - proszę pozwać Deetsa do sądu". Murray miał nadzieję, że sprawa dobiega końca. Jeżeli sędzia wyda dla nas korzystny werdykt, nigdy nie dojdzie do zakazu - mówił wówczas. Już niedługo raz na zawsze pozbedziemy się Związku Rosyjskiej Arystokracji. Ed Deets sporządzi odpowiednie pismo, w którym stwierdzi: "Wysoki sędzie, ci ludzie nie mają żadnych podstaw prawnych, aby mieszać się w tę sprawę". I sędzia będzie musiał go usłuchać. Związek może złożyć apelację, ale wątpię, by do tego doszło. Musieliby tymczasem postarać się o tymczasowy zakaz, musieliby udać się z tym do sądu najwyższego stanu Wirginia, a korzystny dla nich wyrok byłby mało prawdopodobny. Najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: kim oni są i co robią w Wirginii. 30 marca 1994 roku po południu na sali sądowej sędziego Swetta znów zrobiło się tłoczno. Matthew Murray występujący w imieniu szpitala siedział przy jednym stole, Lindsey Crawford i Williams w imieniu Związku Rosyjskiej Arystokracji przy drugim. Aleksy Szerbatow ze związku siedział za swoimi prawnikami. W tylnych rzędach miejsca zajęli Marina i Richard Schweitzer, Ed Deets, PennyJenkins, brytyjski filmowiec-dokumentalista, Jmian Nott, Ron Hansen z lokalnej gazety i

autor niniejszej książki. Po drugiej stronie siedział doktor Willi Korte i doktor Adrian Ivinson, wydawca naukowego pisma "Nature Genetics". Przedmiotem rozprawy miał być wniosek związku o zakaz wydania tkanki, lecz Murray natychmiast zwrócił sądowi uwagę, iż związek nie ma podstaw prawnych, aby występować w tej sprawie. Sędzia Swett postanowił jednak, że nowa rola Eda Deetsa oraz fakt, iż nie przedstawił on sądowi swojego stanowiska, dopuszcza odłożenie na później kwestii zasadności pozwu. Oświadczył, że zamierza wysłuchać racji obydwu stron. Znaczącym wydarzeniem była zmiana stanowiska przedstawicieli firmy Andrews & Kurth co do doktora Gilla i zgoda na przeprowadzenie badań w dwóch laboratoriach. Waszyńscy prawnicy nie mieli wyboru; oświadczenie MaryDaire Kinę prostujące oszczerstwa Maplesa co do kompetencji Gilla, nie ujawnione przy poprzednich rozprawach, było już sądowi znane i trafiło do akt. Teraz, ponieważ tkanką rozporządzał Deets, firma Andrews & Kurth musiała pogodzić się z faktem, że część próbek tkanki Anastazji Manahan trafi do laboratorium Gilla. Jedynym celem Crawford mogła być teraz próba jednoczesnego przekazania tkanek Gillowi i MaryDaire Kinę. Toteż Crawford, która poprzednio sprzeciwiała się przeprowadzeniu badań jednocześnie w dwóch laboratoriach, stała się gorącą zwolenniczką tego pomysłu. Jako ekspert Związku Rosyjskiej Arystokracji wystąpił Adrian Ivinson, młody Anglik, doktor z medycyny klinicznej i genetyki molekularnej. Ivinson oświadczył, iż przekazanie próbek tkanki dwóm laboratoriom z naukowego punktu widzenia byłoby niezmiernie pożądane. Sędzia Swett chciał wysłuchać opinii Ivinsona o dwóch słynnych naukowcach zajmujących się badaniem DNA. - O ile dobrze rozumiem, uważa pan doktor MaryDaire Kinę za największy autorytet na świecie w dziedzinie badań DNA. - Tak - odparł Ivinson. Następnie sędzia spytał, czy i laboratorium FSS doktora Gilla jest tej samej klasy. - Tak - rzekł Ivinson. Tego dnia sędzia Swett nie wydał czasowego zakazu przekazywania tkanek, czego domagał się Związek Rosyjskiej Arystokracji, ponieważ Matthew Murray zgodził się na ich przetrzymywanie "przez następnych kilka dni lub tygodni" - aż do rozstrzygnięcia sprawy. Tymczasem sędzia wyjaśnił związkowi, że powinien w tej sprawie zwrócić się do Eda Deetsa, administratora dóbr Anastazji Manahan. Deets natychmiast zajął się tym, co łączyło Związek Arystokratów z MaryDaire Kinę. Spytał Williamsa, czy związek podpisał z doktor Kinę umowę, a jeżeli tak, to jaką. Poprosił także o kopię raportu doktor Kinę na temat jej pracy nad szczątkami znalezionymi w Jekaterynburgu. Williams odpisał, że Związek Rosyjskiej Arystokracji nie podpisał z doktor Kinę żadnej umowy. Następnie Deets usiłował porozumieć się telefonicznie z doktor Kinę. Początkowo nikt nie chciał z nim rozmawiać. W końcu odbyli rozmowę, z której żadna ze stron nie była zadowolona. Deets powiedział, że jeżeli ma przekazać tkankę do badania, pragnie z góry ustalić harmonogram

badań. Kinę, najwyraźniej urażona tą propozycją, przerwała połączenie. Ostateczna rozprawa sądowa w sprawie tkanki Anastazji Manahan odbyła się 11 maja 1994 roku. Wówczas zarówno szpital im. Marthy Jefferson (Matthew Murray), jak i administrator dóbr Anastazji Manahan (Ed Deets), złożyli w sądzie wnioski o oddalenie oskarżenia Związku Rosyjskiej Arystokracji, ponieważ związek nie miał podstaw prawnych do wytoczenia procesu. W odpowiedzi Lindsey Crawford z firmy Andrews & Kurth jeszcze raz powtórzyła, że celem związku jest "ochrona historii carskiej Rosji", co automatycznie daje podstawę prawną.

Pomimo prośby Crawford, sędzia Swett zgodził się z argumentacją szpitala i Deetsa i oddalił sprawę. Wyrok zapadł 19 maja 1994 roku. Teraz Związek Rosyjskiej Arystokracji i Andrews & Kurth mieli trzydzieści dni na apelację. Gdyby jej nie złożono, sprawa byłaby zamknięta. Richard Schweitzer czekał aż upłynie czas, w którym związek mógłby złożyć apelację. Potem, 19 czerwca, do Charlottesville przybył Peter Gill, aby pobrać próbkę tkanki Anastazji Manahan. Jego przyjazd utrzymano w tajemnicy; Schweitzer nadal obawiał się, że Willi Korte lub pracownicy firmy Andrews & Kurth mogliby próbować w tym przeszkodzić. "Mogą wytoczyć Gillowi proces, aby uniemożliwić mu jakiegokolwiek działania - napisał Schweitzer do Matta Murraya sprzeciwiając się propozycji szpitala, który z wizyty Gilla pragnął uczynić wielkie wydarzenie. Mogą także wykorzystać jakieś przepisy dotyczące wywozu organów ze Stanów Zjednoczonych i uniemożliwić mu wywiezienie próbek. Ponieważ ktoś mógłby go zgoła zaatakować, przydzieliłem mu specjalną eskortę". Tego dnia Gill zjadł lunch w towarzystwie Schweitzerów, a następnie udał się do szpitala, aby pobrać próbki. Czekali tam Deets, Mat Murray, Penny Jenkins i doktor Hunt Macmiuan, dyrektor laboratorium patologii. Prawnicy przypatrywali się wszystkiemu z daleka, a ekipa filmowa zaczęła kręcić Film dokumentalny. W sali pojawili się Macmiuan, Gill i laborantka Betty Eppard, której zadanie polegało na przecięciu tkanki; wszyscy mieli na twarzach maski, ubrani byli w białe fartuchy i sterylne rękawice. Wyjęto pięć parafinowych bloków zawierających tkankę Anastazji Manahan i pięciokrotnie powtórzono tę samą procedurę: Macmiuan wręczał Gillowi parafinową kostkę i sprawdzał jej numer identyfikacyjny. Gill sterylizował ją i przekazywał Eppard. Eppard umieszczała ją w urządzeniu przypominającym miniaturową krajalnicę do wędlin i zreczenie odcinała od trzech do sześciu ciemnobrązowych plastrów, z których każdy miał grubość dwóch ludzkich włosów. Następnie Gill pincetą delikatnie wkładał plastry do wysterylizowanych probówek. Potem Macmiuan umieścił probówki w przezroczystych plastikowych torebkach i każdą z nich zafoliował. Po każdej parafinowej kostce urządzenie przemywano etanolem i zmieniano ostrze. Następnie na zwołanej w pośpiechu konferencji prasowej Gill oświadczył: -

W chwili obecnej nie jestem pewien, czy z tych próbek uda nam się pozyskać DNA. Dodał, że nie wie, jaki efekt na DNA ma "wiek tkanki" i przechowywanie jej w formalinie. Gdyby pozyskanie DNA szło sprawnie, miał nadzieję na porównanie DNA Anastazji Manahan z DNA członków carskiej rodziny, pobranym z jekaterynburskich kości, w ciągu trzech do sześciu miesięcy. 29czerwca, w dziesięć dni po pobraniu przez Petera Gilla próbek tkanki, z Maurice Remy napisał do Richarda Schweitzera list, w którym zawarł niezwykle wyznanie. W liście, w późniejszych publikacjach prasowych oraz w licznych dokumentach, które przesłał Schweitzerowi, Remy ujawnił wszystko, co wydarzyło się w "jego obozie" przed i podczas długiej walki w sądzie. Jego przedsięwzięcie rozpoczęło się w 1987roku, gdy spotkał w Moskwie Gelija Riabowa i postanowił nakręcić film dokumentalny o zamordowaniu cara i jego rodziny. W lipcu 1992 roku przybył do Jekaterynburga na konferencję prasową, której tematem były szczątki carskiej rodziny. Spotkał tam doktora Maplesa i członków jego zespołu, od których dowiedział się, że nie odnaleziono szkieletów Aleksego i Anastazji. Wówczas postanowił swoje wysiłki skoncentrować na odnalezieniu wielkiej księżnej i poszerzyć spektrum poszukiwań na badanie DNA Anastazji Manahan. Dowiedziawszy się, że po śmierci Anastazji dokonano kremacji jej zwłok Remy rozpoczął poszukiwania próbek krwi lub tkanki, które mogły po niej pozostać. Poprosił Wiuego Korte o sprawdzenie, czy takie próbki nie znajdują się przypadkiem w szpitalu im. MarthyJefferson w Charlottesviue. Dowiedziawszy się o istnieniu próbek, poprosił Thomasa Kline z firmy Andrews & Kurth o skontaktowanie się z rodziną Manahanów i Jamesem Loveuem, aby uzyskać zgodę na przeprowadzenie badań, lecz nie przyniosło to żadnego rezultatu. Tymczasem w imieniu Remy'ego Korte pojechał do Grecji i Niemiec, żeby pozyskać próbki krwi i tkanek od księżnej hanowerskiej Zofii oraz Ksenii Sfiris. Mniej więcej w tym samym czasie Remy'emu udało się odnaleźć krewną Franciszki Szanekowskiej i przekonać ją, aby dała mu próbkę swojej krwi. Remy wyjaśnił także przyczyny ataku Williama Maplesa na Petera Gilla. W czerwcu 1993 roku Korte, występując w imieniu Remy'ego, podpisał kontrakt z Maplesem i Loweuem Levine. Maples i Levine obiecali przeprowadzić badania w laboratorium doktor Kine; próbki tkanek miał dostarczyć Korte. Obiecali także utrzymać sprawę "w ścisłej tajemnicy". W zamian Korte zapewniał jedynie zwrot kosztów podróży, ale z następującym zastrzeżeniem: "wszystkie podróże muszą być najpierw zatwierdzone przez doktora Kortego". Tak to właśnie Maples został członkiem zespołu Remy'ego. Gdy w listopadzie 1993 roku w sądzie potrzebna była opinia eksperta popierająca żądania Związku Rosyjskiej Arystokracji, Maples złożył swoje kłamliwe oświadczenie. Dowiedziawszy się, że Richard i Marina Schweitzer zamierzają wystąpić do sądu o wydanie tkanki, aby zbadał ją doktor Gill, Remy zaangażował do sprawy Szerbatowa i

Związek Rosyjskiej Arystokracji. We wszystkich sądowych dokumentach obydwu procesów prowadzonych przez prawników firmy Andrews & Kurth jako strona wymieniany jest związek, choć Remy przyznawał, że księżę Szerbatow nie wiedział dokładnie, o co w tej sprawie chodziło. Całą sprawą kierował Remy, on także przekazywał Kortemu pieniądze, z których pokrywano bieżące wydatki. Remy opisał Schweitzerowi kontakty z doktor Kinę; latem 1993 roku monachijski Instytut Medycyny Sądowej wycofał się ze sprawy, wobec czego Maples zaproponował, aby przejęła ją doktor Kinę. Doszło do ustnej umowy z Kinę, którą później na piśmie Korte zawarł z Maplesem; następnie Korte zawiózł do Kalifornii próbki krwi pobrane od księżnej Zofii i Ksenii Sfiris. Ale ponieważ tkanka Anastazji Manahan wciąż była niedostępna z powodu toczącego się procesu, Remy nie posiadał materiału do badań porównawczych od osoby, która najbardziej go interesowała. W swoim wyznaniu Remy starał się zatrzeć złe wrażenie, jakie pozostawiły po sobie procesy. Wszystko - wyjaśnił Schweitzerowi - wynikało z nieporozumienia, złych doradców i braku odpowiedniej organizacji. Korte niedokładnie zdawał relację z tego, co działo się w Ameryce; Remy oskarżył także sam siebie twierdząc, iż w niedostateczny sposób sprawował kontrolę nad posunięciami swojego pełnomocnika; Remy i Korte nie utrzymują już żadnych stosunków.

Przewiezienie próbek do Anglii zakończyło osiemnastomiesięczną batalię toczoną w sądzie w Charlottesville. W zasadzie tylko jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi: jaka w całej tej sprawie była rola doktor MaryDaire Kinę? Początkowo doktor Kinę, światowej sławy specjalista od raka piersi, za namową doktora Maplesa i Levine zgodziła się zbadać odnalezione w Jekaterynburgu zęby i kości, aby ustalić, czy szczątki te należą do członków carskiej rodziny. Raport ten, pomimo coraz częstszych telefonów Maplesa, nigdy nie został opublikowany. Pomimo to Kinę przyjęła na siebie obowiązki wynikające z kolejnego badania w sprawie Romanowów; ustnie wyraziła zgodę na przeprowadzenie badania tkanki Anastazji Manahan i porównanie jej z DNA żyjących krewnych. W trakcie wielomiesięcznego procesu doktor Kinę, przypuszczalnie nieco nim zdegustowana, nie złożyła ani jednego pisemnego oświadczenia dotyczącego sposobu, w jaki zamierza przeprowadzić badania oraz jak, kiedy i gdzie zostaną opublikowane ich wyniki. Toteż nasuwa się pytanie: dlaczego - pomimo obowiązków wynikających z badania przyczyn choroby zagrażającej milionom kobiet - Kinę zgodziła się sobie i swoje laboratorium zaangażować w sprawę identyfikacji szczątków Romanowów? Z pewnością nie uczyniła tego dla pieniędzy, ponieważ w takich przypadkach doktor Kinę odmawia przyjęcia wynagrodzenia. Jeżeli uczyniła to, aby stać się jeszcze sławniejszą albo by zaspokoić ciekawość naukowca, dlaczego sprawy tej nie przeprowadziła do końca? Prawda

wygląda tak, że gdyby w sprawie nie pojawiło się nazwisko tak znanego naukowca jak doktor Kinę, która na dodatek zgodziła się przeprowadzić badania, Związkowi Rosyjskiej Arystokracji i prawnikom z firmy Andrews & Kurth nigdy nie udałoby się storpedować porozumienia zawartego pomiędzy Richardem Schweitzerem, Peterem Gillem i szpitalem im. Marthy Jefferson. Przecież wielu ludzi przez wiele miesięcy czekało, wydając tysiące dolarów, na wyniki badań, których doktor Kin nigdy nie dostarczyła.

## 17. Metoda tak dobra jak ludzie, którzy się nią posługują

Latem 1994 roku, kiedy Peter Gill i jego współpracownicy w FSS pracowali nad pozyskaniem DNA z próbek tkanki Anastazji Manahan przywiezionych z Charlottesville, Maurice Philip Remy nadal usiłował znaleźć "źródło" DNA Anastazji Manahan. Oddalenie sprawy wytoczonej przez Związek Rosyjskiej Arystokracji szpitalowi im. Marthy Jefferson nie uniemożliwiło Remy'emu uzyskania ze szpitala takiej samej próbki, jaką otrzymał Gill. Remy mógł zwrócić się do Eda Deetsa, administratora majątku Anastazji Manahan, z prośbą o zgodę na przekazanie próbek tkanki do kalifornijskiego laboratorium MaryDaire Kinę. Ponieważ jednak Remy zaczął powątpiewać w wiarygodność doktor Kinę, z pytaniem, co zrobić, zupełnie niespodziewanie zwrócił się do swojego niedawnego adwersarza Richarda Schweitzera. Schweitzer starał się mu pomóc: - MaryDaire Kinę nie przeprowadza tych badań osobiście - powiedział. Przeprowadzał je człowiek o nazwisku Charles Ginther. W laboratoriach doktor Kinę został uznany za persona non grata, ale swoje badania kontynuuje w innym laboratorium. Mogę podać panu jego numer telefonu. Remy natychmiast zadzwonił do Ginthera i wkrótce znalazł się w jeszcze większych tarapatach. Charles Ginther, młody naukowiec pracujący w laboratorium doktor Kinę, zajmujący się badaniem DNA, pozyskał DNA mitochondrialne ze szczątków przewiezionych z Jekaterynburga przez Williama Maplesa oraz z próbek krwi księżnej Zofii i Kseni Sfiris dostarczonych przez Remy'ego. - Ginther - jak wyjaśniła Schweitzerowi doktor Kinę - napisał raport, przekazał mi go, lecz nie mogę go opublikować. Jest dobrym naukowcem, ale nie umie pisać raportów. Zwróciłam mu go, aby dokonał w nim niezbędnych poprawek i mam nadzieję, że opublikujemy go wraz z innymi wynikami badań prowadzonych w naszym laboratorium. Być może była to prawda, ale istniał także inny czynnik, który mógłby zaważyć na decyzji o nieujawnianiu wyników badań: to, iż badania jekaterynburbskich szczątków w laboratorium doktor Kinę przyniosły takie same lub gorsze wyniki niż te ogłoszone już przez doktora Gilla. Gdyby tak było - na co zwrócił mi uwagę pewien naukowiec zajmujący się badaniami DNA - Kinę nie chciałaby powiedzieć: "oto nasze wyniki; niestety są one gorsze od wyników Gilla". Prawdopodobnie doszłaby do wniosku, że w takim wypadku lepiej zachować milczenie. Bez względu na to, jak wyglądała prawda, zakończył się proces w Charlottesville, Kinę i Ginther się pokłócili, a Ginther przeniósł się do laboratorium znajdującego się po drugiej stronie korytarza, którego szefem był doktor George Sensabaugh. - Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby naukowiec tak źle wyrażał się o swoim współpracowniku - mówi Schweitzer. - Kinę powiedziała, że wyrzuciła Ginthera ze swojego laboratorium. To bardzo dziwne, żeby naukowiec mówił coś takiego osobie postronnej. Ginther, zajmujący na tym samym uniwersytecie niższe stanowisko



niż Kinę, o ich współpracy wyraża się niezwykle ostrożnie: - MaryDaire Kinę jest światowej sławy naukowcem. Jest właściwą osobą na właściwym miejscu i zajmuje się właściwą chorobą [rakiem piersi]. Jest kobietą, zajmuje się chorobą, która dotyczy kobiet, a swoje badania prowadzi na bardzo zdc znanym uniwersytecie. Wielu ludzi życzy jej sukcesów. Niestety, trudno z nią współpracować. Tak właśnie wyglądała sytuacja, gdy Remy zwrócił się do Schweitzera z prośbą o pomoc. - Remy nie wiedział, jak napisać list do laboratorium z prośbą o przeprowadzenie badań - wspomina Schweitzer. - Nie wiedział też, jak odebrać znalezione w Jekaterynburgu szczątki od doktor Kinę i przekazać je pracującemu po drugiej stronie korytarza Gintherowi. Więc pomogłem mu, sporządziłem wszystkie potrzebne dokumenty. Dlaczego Schweitzer, który właśnie zakończył siedmiomiesięczną bitwę w sądzie z Remym, postanowił pomóc byłemu przeciwnikowi? - Zrobiłem to, bo chciałem, aby przeprowadzono więcej badań - mówi Schweitzer. - Wiedziałem, że Charles Ginther jest świetnym naukowcem i technikiem laboratoryjnym. Nie miałem żadnych obiekcji, aby pomóc Remy'emu. Cały problem z nim i jego kompanami polegał na tym, że po trupach dążyli do celu. Nie rozumieli, że to, co chcieli osiągnąć, było w zasięgu ręki i nie wymagało aż tak drastycznych środków. Powiedziałem o tym Remy'emu; a uważam, że to był jego największy błąd. W czerwcu Remy - z pomocą Schweitzera - zwrócił się do Ginthera z prośbą o podjęcie badań DNA; pierwszym krokiem miało być zwrócenie się do Eda Deetsa o próbki tkanek Anastazji Manahan. Oprócz nich Ginther miał już wszystko; w laboratorium Kinę zbadał próbki krwi Romanowów oraz księżnych i książąt heskich. Miał także wyniki badań Petera Gilla, które tymczasem ukazały się w "Nature Genetics". Gdyby otrzymał z Charlottesviue tkankę, mógłby od razu przystąpić do pracy.

Ale Ginther (który badania wykonywał bez wynagrodzenia) postawił dwa warunki: po pierwsze żądał, aby MaryDaire Kinę złożyła pisemne oświadczenie, że nie chce przyjąć na siebie zlecenia Remy'ego i nie ma nic przeciwko temu, żeby Ginther wykonał badania. Po drugie, prosił Remy'ego o porozumienie z doktor Kinę w sprawie przekazania materiałów porównawczych dotyczących książąt heskich i Romanowów, znajdujących się w jej laboratorium. Aby to zrobić, Remy zatelefonował do doktor Kinę. Najpierw była nieosiągalna, potem nie udało mu się jej przekonać. Wtedy Remy zwrócił się do firmy prawniczej w Los Angeles. Prawnicy z Firmy O'Melveny and Myers wkrótce zadzwonili do niego z wiadomością, że doktor Kinę chętnie przekazałaby tkanki do badań, o ile tylko udałoby się je znaleźć (bo w laboratorium przeprowadza się wiele prac równolegle). Poskarżyła się także, że w rozmowie telefonicznej Remy na nią krzyczał i mówił jej, co ma robić (toteż Kinę nie chciała tracić czasu

na podobne rozmowy). - Nie wiem, o czym ona mówi - rzekł, dowiedziawszy się o tym Remy. W końcu Kinę zwróciła próbki Gintherowi. Potem jednak Remy skarżył się Schweitzerowi, że Ginther otrzymał bardzo niewielką ilość tkanki. - Ona większość próbek po prostu wyrzuciła - mówił. - Wyrzuciła to, co zdobyliśmy z takim trudem. Nikt nie wie, czy Kinę pragnęła zachować próbki krwi do innych celów, czy rzeczywiście się ich pozbyła. Remy uważa, że Kinę postąpiła tak, aby się zemścić. Jednak Schweitzer jest innego zdania: - Nie wydaje mi się, żeby ją to w ogóle obchodziło. Pracowała nad czymś innym i nie troszczyła się o próbki. Ginther, podobnie jak Remy, przypuszczał, że MaryDaire Kinę celowo nie przekazała mu dostatecznej ilości materiału do badań. Ginther zwierzył się Schweitzerowi, że otrzymał mniej niż jeden gram tkanki, podczas gdy Gill otrzymał więcej. Pomimo to Ginther przystąpił do pracy. Miał już wprawdzie większość wyników, ale postanowił przeprowadzić badania jeszcze raz, aby uniknąć oskarżenia o wykorzystywanie wyników doktor Kinę. Ponownie pozyskał DNA mitochondrialne z próbek krwi Romanowów i książąt heskich. Potem postąpił tak samo z próbką krwi Margaret Euerick. (Pani Euerick była siostrzenicą Franciszki Szanckowskiej, Polki, która zniknęła w Berlinie mniej więcej w tym czasie, gdy z kanału wyłowiono Framein Unbekannt. ) Jednak jeszcze w lipcu 1994 roku Ginther nadal nie posiadał żadnego źródła DNA ani tkanki ani krwi, ani włosów, ani kości - Anastazji Manahan, kobiety, którą na polecenie Remy'ego miał zidentyfikować.

Remy, przygnębiony z powodu nieotrzymania wyników od doktor Kinę i ilością czasu potrzebną do wypełnienia warunków stawianych przez Ginthera, zajął się czymś innym. Zdał sobie sprawę, że pomimo wszystkich słów wypowiedzianych na sali sądowej wychwalających równoległe prowadzenie badań, ostateczne wyniki i tak będą pokrywać się z badaniami przeprowadzonymi już przez Petera Gilla. A przecież zajęcie drugiego miejsca w tym biegu nie było celem Remy'ego. - Myślę, że wówczas postanowił podejść Gilla poprzez znalezienie próbki gdzie indziej - twierdzi Ginther. Remy i jego ludzie rozpoczęli poszukiwania w niemieckich szpitalach, sanatoriach, w prywatnych gabinetach lekarskich. Chcieli odnaleźć próbki krwi Anny Anderson, które mogły się tam znaleźć w wyniku rutynowych badań, jakie Anna Anderson przechodziła podczas czterdziesto czy pięćdziesięcioletniego pobytu w Niemczech. Udało się znaleźć ślady krwi w próbówce, która trafiła tam podczas badania pod koniec lat pięćdziesiątych i która zachowała się u pewnego lekarza. Niestety, nic użytecznego nie udało się z niej wydobyć. W lipcu Remy odnalazł profesora Stefana Sandkuhlera, byłego hematologa z uniwersytetu w Heidelbergu, który badał Annę Anderson 6 czerwca 1951 roku. Poddawała się u niego badaniom na hemofilię, prawdopodobnie po to, aby

uwiarygodnić twierdzenie, jakoby była córką cesarzowej Aleksandry. Po pobraniu próbki krwi Sandkuhler umieścił kroplę krwi na szklanej płytce; krew zaschła i tym sposobem została zachowana. Profesor odnalazł ją i przekazał Remy'emu. Na płytce widniało imię pacjenta, Remy twierdzi, że odczytał słowo "Anastazja". Wynik badania na hemofilię z 1951 nie był jednoznaczny. Remy podzielił płytkę otrzymaną od Sandkuhlera na dwie części. Jedną połowę wysłał do profesora Bernda Herrmanna, specjalisty od STR i DNA jądrowego, w Instytucie Antropologii uniwersytetu w Getyndze, natomiast drugą połowę przekazał doktorowi Gintherowi w Berkeley. Jediną wskazówką co do tożsamości pacjentki było imię "Anna Anderson" (a nie "Anastazja", jak twierdził Remy) widniejące na szkle. Pomimo wysiłków, Gintherowi nie udało się pozyskać z zaschniętej krwi DNA. Tymczasem Herrmann ze swojej połówki uzyskał DNA i wysłał je Gintherowi. Ginther przekonał się, że nie zachodzi zbieżność z DNA książąt heskich (czyli że dawca krwi nie jest krewnym cesarzowej Aleksandry) ani z DNA Szanckowskiej pochodzącym od Margaret Euerick. Ponieważ DNA z krwi na płytce do niczego nie pasowało, Ginther zaczął się zastanawiać nad pochodzeniem płytki: - być może próbka została zanieczyszczona, nie była przecież zamknięta hermetycznie. Albo ktoś po prostu rozsmarował na szkiełku czyjaś krew.

Latem 1994 roku w angielskich i niemieckich zamkach z niecierpliwością oczekiwano wyników badań Petera Gilla. Wiadomość o nieodnalezieniu szczątków Anastazji w jekaterynburskim grobie wzbudziła u krewnych wiele emocji. Niemal wszyscy członkowie rodziny Romanowów, czy to w Niemczech, czy w Anglii, stanowczo sprzeciwiali się podawaniu się Anny Anderson za córkę cara. Rodzina w Anglii, pod przewodnictwem wuja księcia Filipa, lorda Mountbattena, panią Manahan zawsze nazywała "fałszywą Anastazją", a hescy kuzyni księcia Filipa wypowiadali się nawet bardziej dosadnie. Ale teraz, gdy Gill miał opublikować wyniki swych badań, przed rodzinami otworzyła się straszliwa perspektywa: co będzie, jeżeli okaże się, iż wobec bezbronnego członka rodziny popełnili niewybaczalną zbrodnię? Przez wiele lat Maurice Remy robił wszystko, aby książąt heskich, czyli potomków księżnej Aleksandry i jej brata, wielkiego księcia Ernesta Ludwika, zaangażować w proces przeciwko Schweitzerom. Starsza siostra księcia Filipa, księżna hanowerska Zofia, obecnie kobieta osiemdziesięcioletnia, dała Remy'emu próbkę krwi, którą w celu badań porównawczych wysłano do laboratorium MaryDaire Kinę. Remy zwrócił się także do osiemdziesięciodwuletniej księżnej Małgorzaty, wdowy po księciu Ludwiku heskim, której ojciec, wielki książę Ernest, był w latach dwudziestych zagorzałym przeciwnikiem Anny Anderson. Księżna Małgorzata odziedziczyła Wolfsgarten, zamek w Nadrenii, w którym

cesarzowa Aleksandra spędziła dzieciństwo. Także do niej należały rodzinne archiwa książąt heskich, które na pewien czas zostały udostępnione ludziom Remy'ego. Trzecią zaniepokojoną osobą był książę heski Moritz, który po śmierci księżnej Margaret miał odziedziczyć po niej zamek. Wysiłki Remy'ego zostały pokrzyżowane przez księcia Filipa i jego sekretarza, sir Brinana McGratha. Książę nie sprzeciwiał się pobraniu od siostry próbki krwi (sam dał swoją krew Peterowi Gillowi w celu zidentyfikowaniu szczątków w Jekaterynburgu), ale gdy Remy zapragnął także próbek krwi Zofii, Małgorzaty i Moritza (do wykorzystania w sprawie sądowej w Charlottesville), McGrath w imieniu księcia Filipa "stanowczo doradził" niemieckim krewnym, aby trzymali się od tej sprawy z daleka. Nie oznaczało to wprawdzie, aby krewni Romanowów obawiali się, że Anna Anderson okaże się Anastazją - byli przekonani, że nią nie była. Obawiali się jednak, że kontrowersje związane z tożsamością Anastazji Manahan i proces w Charlottesville mógłby w jakiś sposób zaszkodzić planowanej wizycie królowej Elżbiety II w Rosji. Nikt nie pragnął, aby wydarzenie dyplomatyczne tej rangi zostało przerwane oświadczeniem - i to podczas pobytu brytyjskiej królowej w Rosji - że Anna Anderson była córką cara. Dlatego też doradcy królowej uważali, że należy ustalić tożsamość Anastazji Manahan przed wizytą królowej, zaplanowaną na 17 października.

Na początku września Peter Gill poinformował Richarda Schweitzera, że już wkrótce badania zostaną zakończone. Schweitzer i FSS wspólnie ustalili datę, 5 października, kiedy to Gill w Londynie, na konferencji prasowej, miał ogłosić wyniki. Równocześnie Ed Deets przekazałby wyniki sądowi i zorganizował drugą konferencję prasową w Charlottesville. FSS oświadczyło Schweitzerowi, że ponieważ było to zlecenie prywatne, na niego spada odpowiedzialność prowadzenia konferencji. Ani Gill, ani Schweitzer nie domagali się wyłączności na przeprowadzanie badań. Wręcz przeciwnie; Schweitzer mówił, że "Gill, od przybycia do Charlottesville w celu pobrania tkanki, wielokrotnie nalegał, aby próbki przekazać także do Instytutu Patologii Sił Zbrojnych AFIP, w celu potwierdzenia jego wyników. Miał nawet nadzieję na zorganizowanie wspólnej konferencji prasowej". W tym czasie Schweitzer - za namową Gilla - rozpoczął przygotowania do trzeciego badania tkanki Anastazji Manahan, które miał przeprowadzić doktor Mark Stoneking z uniwersytetu w Pensylwanii, specjalista od DNA mitochondrialnego. 21 września, na dwa tygodnie przed londyńską konferencją prasową, doszło do podpisania porozumienia z AFIP. Susan Barritt, naukowiczka z instytutu, pojechała do Charlottesville i pobrała dwa zestawy próbek tkanki Anastazji Manahan: jedno dla AFIP, drugie dla doktora Stonekinga. Następnie doktor Gill zrobił wszystko, aby przyspieszyć badania w AFIP. Oprócz opublikowanych już wyników swoich prac przekazał amerykańskim naukowcom

także wszystkie swoje notatki. Te same informacje trafiły także do doktora Stonekinga. Schweitzer był niezwykle zadowolony ze współpracy naukowców i bardzo spodobał mu się pomysł Gilla polegający na wspólnym ogłoszeniu wyników. Maurice Remy nadal pragnął odegrać kluczową rolę w rozwiązaniu zagadki tożsamości Anastazji. Po tym, jak w czerwcu Schweitzer pomógł mu sporządzić umowę z Gintherem, przestali ze sobą korespondować. Pomimo to do Schweitzera i Gilla docierały plotki o tym, jakoby Remy zlecił dalsze badania próbki krwi z 1951 roku. Dowiedziawszy się o planowanej na piątego października konferencji prasowej Remy zaczął wywierać na Schweitzera presję, aby i on mógł na niej wystąpić i przedstawić nowe wyniki badań uzyskane przez doktora Herrmanna z próbki krwi pobranej w 1951 roku. Schweitzer w zasadzie wyraził zgodę na jego uczestnictwo w konferencji prasowej; decyzja ta należała wyłącznie do Schweitzera, ponieważ to on zlecił (i opłacił) badania Gilla. - Powiedziałem mu, że nie mam nic przeciwko jego obecności - mówi Schweitzer. - Dodałem także, że zamierzamy ogłosić, iż to on odkrył tkanę Anastazji Manahan w szpitalu w Charlottesviue i mamy zamiar przedstawić w skrócie jego osiągnięcia. Obiecałem, że będzie mógł zabrać głos po konferencji; tymczasem on chciał wziąć w niej czynny udział. Remy'emu nie zależało na odegraniu roli drugoplanowej. Gdyby jego żądanie nie zostało spełnione, groził, że opublikuje wyniki swoich badań jeszcze przed piątym października. Wspominał o publikacji w "Sunday Timesie" (gazecie, która za interesujące wiadomości z prawem wyłączności zwykle płaci tysiące funtów - podobno była zainteresowana tą sprawą). Schweitzer i Gill odmówili zgody na warunki stawiane przez Remy'ego. W niedzielę, z października, na pierwszej stronie "Sunday Timesa" wielkimi literami napisano: "Anna Anderson - największa oszustka dwudziestego wieku". "Testy genetyczne ponad wszelką wątpliwość udowodniły, że Anna Anderson. . . była jedną z największych oszustek znanych historii. . . Wiadomość ta jest wynikiem wyścigu naukowców na całym świecie o to, komu pierwszemu uda się zakończyć badania. . . Wczorajsze ogłoszenie wyników było porażką dla zespołu brytyjskich uczonych pod kierownictwem doktora Petera Gilla, który wyniki swoich badań zamierzał ogłosić we środę. . . Próbkę krwi Anny Anderson została odnaleziona przez Maurice'a Philipa Remy'ego, niemieckiego producenta telewizyjnego, który na ustalenie tożsamości Anny Anderson za pomocą badań genetycznych wydał ponad pięćset tysięcy funtów". "Sunday Times" twierdził, że badania zostały przeprowadzone przez doktora Berndta Herrmanna z Instytutu Antropologii uniwersytetu w Getyndze. Poza tym nie podano żadnych faktów ani szczegółów dotyczących wyników. Niemal identyczny tekst pojawił się w podczas tego samego weekendu w niemieckim tygodniku "Der Spiegel".

Londyńscy dziennikarze w znacznej większości zignorowali rewelacje "Sunday Timesa" i tłumnie przybyli na konferencję prasową doktora Gilla. Richard i Marina Schweitzer siedzieli na podium wraz z doktorem Gillem i jego współpracownikiem, doktorem Kevinem Suuivanem. W pierwszym rzędzie zasiadł książę Rościsław Romanow, syn siostrzeńca Mikołaja II, jego przyjaciel Michael Thornton, który w przeszłości występował jako pełnomocnik Anny Anderson w Wielkiej Brytanii, i Ian Lilburne, zwolennik Anny Anderson, który obecny był na wszystkich procesach toczących się w Hamburgu w latach sześćdziesiątych. Dalej siedział wysoki mężczyzna w okularach, o bladej cerze i jasnych włosach. Był to Maurice Philip Remy. Schweitzer przedstawił siebie i swoją żonę, następnie wyjaśnił, że to Remy odnalazł tkankę w szpitalu im. Marthy Jefferson. Peter Gill, posługując się slajdami i wykresami ukazującymi się na ekranie, wyjaśnił, w jaki sposób przeprowadził badania: posłużył się zarówno DNA mitochondrialnym, jak i jądrowym, pozyskanym z tkanki z Charlottesviue (o której ostrożnie mówił, iż "przypuszczalnie była tkanką Anny Anderson"). Porównał wyniki badań tkanki z Charlottesviue z wynikami uzyskanymi z jekaterynburskich szczątków, uznawanych za należące do cara i cesarzowej, z próbką krwi przekazaną przez księcia Filipa, oraz z próbką krwi niemieckiego farmera Karla Mauchera, który był ciotecznym wnukiem Franciszki Szanckowskiej. Posługując się metodą STR w przypadku DNA jądrowego Gill uzyskał następujący wynik: Jeżeli przyjmujemy, że próbki tkanki pochodzą od Anny Anderson, wówczas Anna Anderson w żaden sposób nie była spokrewniona z carem i cesarżową. Następnie Gill porównał uzyskane z tkanki DNA mitochondrialne z DNA księcia Filipa; gdyby Anna Anderson była krewną księcia, sekwencje DNA byłyby identyczne. Tymczasem w pewnym miejscu aż sześć par zasad było różnych. To wystarczyło, aby Gill mógł stwierdzić: - Próbkę przypuszczam pochodzące od Anny Anderson nie mogą należeć do krewnego cesarzowej ze strony matki lub księcia Filipa. Stwierdzam to ponad wszelką wątpliwość. Na końcu Gill porównał DNA mitochondrialne (pozyskane z tkanki z Charlottesviue) z DNA Karla Mauchera, ciotecznego wnuka Franciszki Szanckowskiej. W tym wypadku Gill uzyskał "stuprocentową zbieżność, wyniki były identyczne". Znow wyrażając się bardzo ostrożnie Gill stwierdził: - To sugeruje, że Karl Maucher prawdopodobnie jest krewnym Anny Anderson. Podczas konferencji prasowej Peter Gill nigdy nie oświadczył wprost, że Anna Anderson była Franciszką Szanckowską a nie wielką księżną Anastazją. Wyjaśnił, że w badaniach posłużył się własną bazą danych, w której znajdują się sekwencje DNA ponad trzystu osób, oraz dodatkowa sekwencja DNA dostarczona przez AFIP i Marka Stonekinga. Oświadczył, że ponieważ profile DNA Mauchera i Anderson były identyczne, a nie znalazł żadnego podobieństwa z profilami

DNA w jego bazie danych, prawdopodobieństwo, że Anna Anderson nie należała do rodziny Szanckowskich, wyraża się stosunkiem jak 1 do 300 lub jest jeszcze mniejsze.

Dziennikarze zaczęli zadawać pytania. Między innymi o to, do jakiego stopnia Gill może mieć pewność, że zbadana przez niego tkanka pochodziła od Anny Anderson. Gill udzielił ostrożnej odpowiedzi: - Nie czuję się kompetentny, aby wypowiadać się w imieniu szpitala im. Marthy Jefferson, ale kiedy tam byłem widziałem, że dokumentacja jest prowadzona bardzo sumiennie, długie ciągi cyfr na parafinowych kostkach odpowiadały liczbom w dokumentacji. Następnie spytano Gilla, czy stosowana przez niego metoda badań jest nieomylna. - Metoda może być jedynie tak dobra jak ludzie, którzy się nią posługują - odparł. - Ale gdy wyniki odczyta się i zinterpretuje właściwie, wówczas powinna być nieomylna. Następnie poproszono Gilla o porównanie wyników jego badań z badaniami przeprowadzonymi w Niemczech. - Gdy porównałem nasze wyniki z ich wynikami, były one - Gill zrobił pauzę - różne. Wyciągam z tego wniosek, że próbki analizowane przez nich i przeze mnie z pewnością pochodziły od różnych osób. Była to zaskakująca wiadomość. Michael Thornton wstał i spojrział na Maurice'a Remy'ego siedzącego na drugim końcu sali. Thornton przyjaźnił się z Richardem Schweitzerem i nie spodobały mu się próby Remy'ego zmierzające do obniżenia rangi konferencji prasowej doktora Gilla. Rewelacja Gilla, że DNA pozyskane z próbki krwi Remy'ego nie pokrywało się z próbką tkanki z Charlottesviue, uprawniało Thorntona do stwierdzenia: - Oznacza to, że próbka krwi, o której pisały "Der Spiegel" i "Sunday Times", była zła, nie pochodziła od Anny Anderson. Remy, czerwony na twarzy wstał, aby bronić swoich badań. Podobno jeszcze przed przybyciem do Londynu wiedział, że wyniki uzyskane przez niemieckich naukowców i Gilla różniły się. - Nie zamierzam państwa zanudzać tym, czy próbka jest właściwa, czy nie - rzekł zwracając się do publiczności. - Naszą pracę wykonaliśmy sumiennie i myślę, że wszelkie niejasności powinny zostać wyjaśnione przez naukowców. Gdy wczoraj wyjeżdżałem z Niemiec, moi naukowcy powiedzieli mi, że istnieje co najmniej dziesięć przyczyn takich różnic. Jedną z nich może być pochodzenie [sposób przechowywania) próbki, a dziewięć innych wiąże się ze sposobem prowadzenia badań. Jestem pośrednikiem między naukowcami i z pewnością rozwiążemy ten problem. Jednak moim zdaniem nie ma żadnych wątpliwości co do pochodzenia wykorzystanej przez nas próbki krwi. - W takim razie dlaczego uzyskał pan inny wynik? - Thornton nie dawał za wygraną. - Nie jestem naukowcem, i nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - odparł Remy. - Ale jestem pewien, że jakoś to rozwiążemy. Poza tym wyniki są takie same. - Nie. - Thornton był nieugięty. - Nie są takie same. DNA jest inne. - DNA nie różni się aż tak bardzo. Poza tym nie chcę zanudzać państwa szczegółami

technicznymi. - DNA jest inne - powtórzył Thornton i zwrócił się do doktora Gilla: Doktorze Gill, czy może pan potwierdzić, że DNA jest zupełnie inne? - Owszem - przyznał Gill. - DNA różni się. Remy spróbował jeszcze raz: - Jak już powiedziałem, rozstrzygną to naukowcy; poza tym nie chcę rozpoczynać wojny pomiędzy próbką krwi a jelitem. - Nie ma żadnej wojny - rzekł Thornton. - Chodzi wyłącznie o ustalenie prawdy. Wzburzony Remy chciał, aby Thornton zostawił go w spokoju: - W końcu i tak dojdziemy prawdy - rzekł pospiesznie. - Przekażemy sprawę naukowcom, nie mamy nic do ukrycia. Opublikujemy wyniki naszych badań, i wtedy wszystko się wyjaśni. - Oczekujemy tego - rzekł Thornton chłodno i usiadł. Po konferencji prasowej wielu dziennikarzy pozostało na sali, aby zadawać pytania zleceniodawcom badań. Schweitzer oświadczył, że wprawdzie akceptuje metody, jakimi doktor Gill posłużył się w swoich badaniach, ale "wyniki są sprzeczne z doświadczeniami wszystkich, którzy znali, rozmawiali i przebywali z Anną Anderson; trudno uwierzyć, że była polską chłopką". Remy przeniósł się do sąsiedniej sali i rozdawał tam dziennikarzom pięciostronicowy raport, w którym on i jego niemieccy naukowcy opisywali "przełomowe odkrycie. . . uzyskane niemal ze stuprocentową pewnością. Żadna z czterech cząstek DNA wydobytych z jądra komórki. . . nie pokrywała się z DNA cara lub jego żony". Na drugim końcu sali Thornton krytykował Remy'ego: - Usiłował podważyć wyniki badań Gilla podając sensacyjną wiadomość, która jednak nie wytrzymała krytyki. Za wyraz braku dobrych manier uważam przychodzenie na cudzą konferencję prasową i rozdawanie oświadczeń wychwalających własne osiągnięcia, a zawierających mnóstwo błędów merytorycznych.



## 18. Najbystrzejsze z dzieci

No, to Annę Anderson mamy już z głowy! Oto pokonaliśmy wszystkich jej zwolenników! - triumfował sir Brian McGrath, który towarzyszył księciu Filipowi w Sandrinęham, gdy rozeszła się wiadomość o wynikach badań. - Wreszcie się to skończyło - oświadczył przebywający w Londynie książę Rościsław Romanow. - Był już najwyższy czas - powiedział książę Mikołaj Romanow mieszkający w Szwajcarii. Ale nikt nie był szczęśliwszy niż książę Aleksy Szerbatow: - Moje wysiłki zostały nagrodzone - cieszył się. - Od początku wiedziałem, że to oszustka. Tymczasem zwolennicy Anny Anderson i przyjaciele Manahanów byli zaskoczeni i skonsternowani, a wyniki badań przyjmowali z niedowierzaniem. - Znałem ją przez dwanaście lat - mówi Peter Kurth, autor książki Anastazja - Zagadka Anny Anderson. A jej historią zajmowałem się przez ponad trzydzieści lat. Nie mogę - tylko dlatego, że ktoś przeprowadził jakieś tam badania - powiedzieć: "Ach, tak, widocznie się pomyliłem". To nie takie proste. Myślę, że to wstyd, aby wspaniała legenda, cudowna przygoda, zadziwiająca historia, która zachwyciła i zainspirowała tak wielu ludzi, nagle miała zostać zredukowana do małego szkiełka pod mikroskopem. Brien Horan, prawnik z Connecticut, który po raz pierwszy ujrzał Anastazję Manahan w 1970 roku, a następnie stworzył (nigdy nie publikowane) dossier dowodów "za" i "przeciw", oświadczył, iż jest zdumiony rewelacjami na temat tożsamości Anny Anderson. - Proszę mi wybaczyć - powiedział - ale o wynikach badań dowodzących, że jest Szanckowską, dowiedziałem się niedawno, a sprawą zajmuję się od tak wielu lat, że jakoś nie mogę przyjąć tego do wiadomości. Wydaje mi się niemożliwe, aby osoba, która w latach dwudziestych była polską wieśniaczką, na tyle lat przed powstaniem telewizji, która wiele uczy nas o świecie, mogła z czasem stać się tą kobietą. Byłoby mi łatwiej w to uwierzyć, gdyby ogłoszono tylko, że nie była Anastazją. Ale trudno jest mi pogodzić się z tym, że była to polska wieśniaczka. Richard i Marina Schweitzer, podobnie jak Brien Horan, nie przyjęli do wiadomości, że "Anastazja" to Szanckowska. - Jednego jestem pewien - rzekł Schweitzer po zakończeniu londyńskiej konferencji prasowej - że Anastazja nie jest polską chłopką. Schweitzer nie podważał rezultatów badań Petera Gilla, z których wynikało, że tkanka z Charlottesviue nie była tkanką krewnej cesarzowej Aleksandry, lecz prawdopodobnie należała do członka rodziny Szanckowskich; podważył natomiast wiarygodność próbek badanych przez Gilla. - Gdy mówię, że Gill się nie myli, a Anna Anderson nie jest Szanckowską, oznacza to, że zbadana tkanka nie należała do Anny Anderson - tłumaczył Schweitzer jeszcze przed powrotem do USA. Jesteśmy pewni, że mamy do czynienia albo z manipulacją, albo z zamianą: ktoś w jakiś sposób dostał się do szpitala im. Marthy Jefferson i zamienił próbki. Zacznę od tego, że udam się do szpitala i

skontroluję dokumentację dotyczącą szpitalnych procedur: w jaki sposób przechowywane są archiwa, jak dobry jest system zabezpieczeń, jaka jest pewność, że ktoś się tam nie przedostał. Następnie muszę sprawdzić kilka potencjalnych scenariuszy. Jakie dokumenty leżały na biurku Penny Jenkins, gdy Willi Korte spotkał się z nią w listopadzie 1992 roku? Czy były tam dokumenty, na których widać było liczby? Czy można je było odczytać? A może archiwa w jej biurze przechowuje się tak, że ktoś mógłby się tam zakraść i odszukać właściwy dokument z numerem próbki? Penny powiedziała mi, że lekarze początkowo nie mogli znaleźć próbki i zrobili to dopiero z jej pomocą. Dopiero później szpital zatroszczył się o bezpieczeństwo próbek. Ale jaki cel mógł przyświecać takiemu spiskowi? Schweitzer widzi dwa wytłumaczenia: - Gdy zrozumieli, że nie zdobędą tkanki drogą legalną, mogli zabrać prawdziwą próbkę i podłożyć na jej miejsce coś innego ["czymś innym" byłaby w tym wypadku tkanka Szanckowskiej]. A potem, po zbadaniu prawdziwej tkanki, ogłosiliby wyniki badań i to im przypadłaby sława za rozwiązanie zagadki. Natomiast gdyby ich celem było uznanie Anastazji Manahan za Szanckowską, tym łatwiej można byłoby to uzyskać drogą zamiany. Kim mogli być "oni"? Wielu ludzi z wielu powodów - względy rodzinne, kwestia dziedziczenia majątku - nie życzyło sobie uznania Anny Anderson za księżniczkę Anastazję. A tacy ludzie nie muszą liczyć się z kosztami. Schweitzer zamierzał zadawać też dalsze pytania: - Jaki był wiek i płeć osoby, do której należała tkanka? [Niedługo później Gill przekazał Schweitzerowi informację, że tkanka pochodziła od kobiety. ) Czy istnieje sposób na ustalenie "wieku próbki" i czy próbka miała około piętnastu lat, ponieważ właśnie tyle czasu upłynęło od operacji? Czy próbka pochodziła z jelita, czy z innej części ciała? Czy sposób jej przechowywania nie różnił się od metod stosowanych przez szpital w owym czasie? Czy dane w archiwach rzeczywiście wskazują na fakt, że była zgorzelinowa?

Przyjaciele Richarda Schweitzera, nawet ci, którzy podzielali jego zdanie, uważali, że ma on niewielkie szanse. Brien Horan, lojalny zwolennik Anny Anderson, oświadczył: - Teorii spiskowej nikt nie potraktuje poważnie. Trudno wyobrazić sobie, aby ktoś dopuścił się celowej zamiany. Ale Schweitzer nie zamierzał się wycofać. Spytny, czy przeciwny jest nazywaniu go "wyznawcą teorii spiskowej", rzekł: - Mam siedemdziesiąt lat, nie obchodzi mnie, co myślą o mnie inni. Nie mam żadnej teorii. Mam tylko pewne przypuszczenia i staram się dojść prawdy.

Penny Jenkins, która w szpitalu im. Marthy Jefferson odpowiada za archiwa oraz za próbki krwi, i tkanek, mówi o Schweitzerze z szacunkiem (Schweitzer o niej także wyraża się jak najlepiej). Dowiedziawszy się, że dopuszcza on możliwość zamiany tkanki na terenie szpitala,

zadzwoiła do niego i oświadczyła, że to niemożliwe. - Prowadzimy podwójne archiwum, wszystkie dane są zdublowane. W 1979 roku, gdy doktor Shrum przeprowadził operację pani Manahan i gdy pobraliśmy próbki tkanki, od parafinowej kostki odcięliśmy kilka plastrów. Jest to rutynowa procedura w takich wypadkach; plastry wycina się, aby stwierdzić, czy był to nowotwór, zakażenie, i tak dalej. Następnie przechowujemy je w jednym miejscu, a próbki zalane parafiną - w innym. Gdy w 1993 roku przenosiliśmy próbki tkanek z magazynu do szpitala, patolog Thomas Dudley wyciął z jednego z bloków kilka plastrów. Następnie porównaliśmy je z tymi, które zostały odcięte w 1979 roku; okazało się, że są identyczne. Gdyby w ciągu ostatnich kilku lat ktoś je zamienił, różniłyby się od siebie. A niemożliwe jest, aby ktoś dotarł do obydwu miejsc i zamienił plastry bez dostępu do numerów próbek. Wątpię, aby Dick chciał to ode mnie usłyszeć, ale mu to powiedziałam.

Podczas pobytu w Londynie Richard Schweitzer poznał wyniki dwóch innych badań DNA, tkanki i włosów, które przypuszczalnie pochodziły od Anastazji Manahan. Żadne z nich nie pozostawiało nadziei, że pani Manahan była wielką księżną Anastazją. Wyniki badań tkanki pochodziły z laboratorium Instytutu Patologii Sił Zbrojnych. Naukowcy pozyskali DNA mitochondrialne z tkanki przywiezionej przez Susan Barritt z Charlottesviue do Bethesda. Wyniki badań porównano z wynikami uzyskanymi przez Petera Gilla z próbek krwi księcia Filipa - nie było żadnego podobieństwa. Oznaczało to, iż tkanka z Charlottesviue badana przez AFIP, podobnie jak badana przez Gilla, nie należała do krewnego ani księcia Filipa, ani cesarzowej Aleksandry. Instytut nie dokonał porównania z profilem DNA cioteczynego wnuka Szanckowskiej Karła Mauchera, toteż można było jedynie orzec, kim Anastazja Manahan nie była, a nie kim była. Kolejne potwierdzenie wyników Gilla nadeszło zupełnie niespodziewanie. Susan Burkhardt z Durham w Karolinie Północnej interesowała się zagadką Anastazji od dwunastego roku życia. Dowiedziawszy się w 1992 roku o sprzedaży obszernej biblioteki Manahanów udała się do antykwariatu, któremu ją sprzedano, i zaczęła przeglądać pudła z setkami książek. Pewnego dnia właściciel sklepu nazwiskiem Bary Jones w jednym z pudeł odkrył kopertę, na której Manahan napisał "włosy Anastazji". W środku rzeczywiście znajdowały się włosy, najwyraźniej ze szczotki. Były szarosiwe, nieco kasztanowe i - co ważne - znajdowały się przy nich mieszki. Burkhardt, której mąż zajmował się badaniami DNA, zdawała sobie sprawę, jak ważne są mieszki, i za dwadzieścia dolarów kupiła kopertę wraz z zawartością. Ostatecznie Peter Kurth skontaktował Burkhardt z Sydem Mandelbaumem, który z kolei do zbadania włosa zaangażował doktora Marka Stonekinga z uniwersytetu w Pensylwanii. 7 września 1994 roku Susan Burkhardt wysłała Stonekingowi sześć kosmyków włosów. Po

przeprowadzeniu badań Stoneking uzyskał taki sam wynik jak Peter Gill. Następnie porównał swoje rezultaty z wynikami (również uzyskanymi przez Gilla) badania krwi księcia Edynburga. Stoneking nie dopatrywał się żadnego podobieństwa, co oznaczało, że osoba, do której należał włos, nie mogła być krewną księcia Filipa, a zatem nie mogła być krewną cesarzowej Aleksandry. Stoneking orzekł iż "jeżeli próbki włosów pochodzą od Anny Anderson, to analiza wskazuje, że nie mogła być ona wielką księżną Anastazją". Wyniki Stonekinga potwierdziły wyniki Petera Gilla. Laboratoria AFIP, korzystające z tego samego źródła, uzyskały te same rezultaty, a Stoneking który korzystał z innego źródła, także uzyskał ten sam wynik. Jednak wynik Stonekinga zaszkodził teorii Richarda Schweitzera o zamianie próbek tkanki: czy to możliwe, aby oszuści nie tylko podmienili tkankę Anny Anderson na tkankę Franciszki Szanckowskiej w szpitalu im. Marthy Jefferson, ale także umieścili garść włosów Szanckowskiej w kopercie podpisanej przez Johna Manahana, aby w wiele lat później została ona odnaleziona w antykwariacie w Karolinie Północnej?

Ponieważ Schweitzer walczył nadal, krytykowano go za nieprzyjmowanie do wiadomości faktów naukowych. Londyńska gazeta "Evening Standard" opisała go jako "człowieka o niewyczerpanych pokładach energii i zapału; należy on do tego gatunku ludzi, dzięki którym "Stowarzyszenie Płaskiej Ziemi" nadal znakomicie prosperuje". "Dlaczego Schweitzer i jego zwolennicy nie chcą przyjąć do wiadomości faktów udowodnionych naukowo? Cóż środowisko naukowe powinno uczynić, aby przekonać społeczeństwo o prawdziwości wyników?" - zastanawiał się publicysta "Nature Genetics". Jednak dziennikarz renomowanego pisma, doktor Adrian Ivinson, który zeznawał w sądzie na rzecz Związku Rosyjskiej Aristokracji w Charlottesville, w swoim artykule popełnił liczne błędy. Oprócz uprzedzenia do Schweitzerów (Richarda Schweitzera opisał jako "męża kobiety podającej się za wnuczkę doktora Botkina") w artykule znajdowało się mnóstwo błędów dotyczących osób, miejsc, zdarzeń, odkryć poszczególnych naukowców, a nawet samej genetyki. W końcu pismo musiało wystosować oficjalne przeprosiny.

Wiosną 1995 roku Maurice Philip Remy nadal próbował rozwikłać zagadkę Anny Anderson. Niestety, pomimo dwuletnich starań, Zdziałł bardzo niewiele. Nie udało mu się wejść w posiadanie tkanki przechowywanej w Charlottesville; nie Zdobyl włosów Anastazji. Jego jedynym znaleziskiem było szkiełko z odrobiną zaschniętej krwi, która rzekomo należała do Anastazji. Jednak doktorowi Charlsowi Gintherowi Z Berkeley nie udało się pozyskać z niej DNA. Powiodło się to dopiero naukowcowi zatrudnionemu w tym celu przez Remy'ego,

doktorowi Berndowi Herrmannowi z uniwersytetu w Getyndze, który stwierdził, że osoba, od której pobrano próbkę krwi, nie była spokrewniona z carską rodziną. Ciosem dla Remy'ego był ogłoszony 5 października na konferencji prasowej wynik badań doktora Gilla, który ogłosił, iż Remy badając krew uzyskał zupełnie odmienny wynik, niż Gill badając tkankę. Ponadto, prywatnie, Gill wyraził wątpliwości co do sposobu, w jaki doktor Herrmann przeprowadził badania. Próba pozyskania DNA z próbki, która jest zanieczyszczona, w zasadzie nie może się powieść. Większe jest prawdopodobieństwo zbadania DNA z własnego oddechu lub drobinek śliny. W końcu Gill oświadczył, że zanim "Sunday Times" opublikował artykuł, w którym Remy triumfalnie donosił o swoich odkryciach, nigdy przedtem nie słyszał o doktorze Herrmannie. Pomimo to 5 maja 1995 roku Remy nadal usiłował nakłonić naukowców do ponownego pozyskania DNA z płytki z krwią i wysłał ją Gintherowi do porównania z wynikami badań książąt heskich. Gdyby Ginther dopatrył się podobieństwa (co wskazywałoby na to, że osoba, od której pochodziła krew, była krewną cesarowej Aleksandry), stałoby się to wielkim wydarzeniem i podważyłoby wyniki wszystkich dotychczasowych badań. Taki obrót sprawy najbardziej ucieszyłby Schweitzerów, jego niedawnych przeciwników (a zmartwił sojuszników księcia Szerbatowa i książąt heskich). Nowe wyniki nie zainteresowałyby jedynie Willega Korte, który nie pracował już dla Remy'ego i powrócił do swojego głównego zajęcia, odzyskiwania skradzionych dzieł sztuki. Nie utrzymywali ze sobą stosunków. Korte nie był zadowolony z tego, że Remy przypisywał sobie autorstwo wszystkich pomysłów. (Willi Korte w wywiadzie udzielonym "Abendzeitung" powiedział, że to on wpadł na pomysł - czemu temu zaprzeczać - ustalenia tożsamości Anny Anderson za pomocą próbek krwi lub tkanki. Pomysł przyszedł mu do głowy podczas pobytu w Moskwie: - To ja wszystko zorganizowałem. Nie uważam jednak, aby była to jedna z moich najlepszych spraw - mówi Korte. - Nie udało się. Zbyt wielu amatorów brało w tym udział. W końcu niektórych poniosły nerwy i uciekli, aby ratować swoją skórę.

Kim była Franciszka Szanckowska, która przez ponad sześćdziesiąt lat podawała się za wielką księżną Anastazję? Urodziła się w 1896 roku w zaborze pruskim w okolicach Poznania, tuż przy granicy z Królestwem Polskim, które wówczas wchodziło w skład rosyjskiego imperium. Przed dwustu laty jej przodkowie przynależeli do szlachty szaraczkowej, ale w wieku XIX jej rodzina pracowała na roli. Ojciec Franciszki, nałogowy alkoholik, zmarł, gdy dzieci były jeszcze małe. W rodzinnej wiosce mała Franciszka zawsze chodziła własnymi drogami. Z nikim się nie przyjaźniła, trzymała się z dala od sióstr, zachowując się - ich zdaniem jak osoba z wyższych sfer. W czasie żniw, gdy cała wioska wychodziła w pola, kładła się na którymś z

wozów i czytała książki historyczne. - Moja ciocia Franciszka była najmądrzejsza z całej czwórki - mówi Waltraud Szanckowska, mieszkanka Hamburga. - Nie chciała zostać pochowana w małym miasteczku. Chciała, aby znano ją w świecie, pragnęła zostać aktorką, kimś wyjątkowym. W 1914 roku, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, osiemnastoletnia Franciszka opuściła polską wieś i wyjechała do Berlina. Pracując jako kelnerka poznała pewnego młodego człowieka i zaręczyła się z nim. Jednak przed ślubem jej narzeczonego powołano do wojska. Franciszka podjęła pracę w fabryce amunicji. W 1916 roku jej naręczony zginął na zachodnim froncie. Wkrótce potem upuściła na taśmę fabryczną odbezpieczony granat. Odłamki raniły ją w głowę i zmasakrowały brygadzystę, który umarł na jej oczach. Wysłano ją do sanatorium, gdzie zagoiły się jej rany, lecz uraz psychiczny pozostał. Uznano, że nie została wyleczona, ale "nie jest niebezpieczna" i zwolniono ją. Z litości przyjęła ją Frau Wingender i dała jej osobny pokój. Franciszka nie była w stanie długo pracować, wciąż przebywała w sanatoriach. Pomiędzy tymi pobytami leżała w łóżku w mieszkaniu Wingenderów skarżąc się na bóle głowy, zażywając lekarstwa i czytając historyczne książki z miejskiej biblioteki. W lutym 1920 roku jej ukochany brat Feliks po raz ostatni otrzymał od niej wiadomość. 17 lutego 1920 roku Franciszka zniknęła.

Zgodnie z tym, co mówi Peter Gill, ustalanie tożsamości za pomocą DNA jest metodą nieomylną. Oznacza to, że Framein Unbekannt, Anna Czajkowska, Anna Anderson i Anastazja Manahan wszystkie były Franciszką Szanckowską. Jej polski rodowód tłumaczy zarzut, którego nigdy nie umiała odeprzeć: fakt, że rozumiała rosyjski, ale nie władała nim płynnie. Pomimo to był to zadziwiający i wspaniały występ. Jest niemal pewne, że nie zaczęła jako oszustka. Przez dwa lata przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Daudorf. Była rzeczywiście dość podobna do jednej z carskich córek, a ludzie chcieli wierzyć w opowiadaną przez nią historię. Potem zaczęła obracać się w środowisku emigrantów. Było to dla niej nowe i ciekawe życie. Ludzie zwracali na nią uwagę, niektórzy kłaniali się jej nisko i tytułowali ją "waszą cesarską wysokością". Z czasem jej umysł przyjął tę drugą tożsamość i dokonała się w niej przemiana. Po konferencji prasowej Petera Gilla niektórzy zwolennicy Anny Anderson mówili, że być może rzeczywiście nie była córką cara, ale nie mogła być polską chłopką. A przecież wiele znanych aktorek, równie nisko urodzonych, przekonująco odgrywa role wielkich dam. Wielka dama nie musi być kobietą wysoko urodzoną, nie musi kończyć drogich prywatnych szkół; może być kimś, kto przez długi czas przebywał w pewnym środowisku i ma świadomość zajmowania w nim wysokiej pozycji. Anna Anderson miała sześćdziesiąt trzy lata, aby stworzyć tę postać. Dzięki silnej osobowości, pewnie czuła się w roli, którą sobie wybrała.

Nawet doktor Gunther von Berenberg-Gossler, jej zdeklarowany przeciwnik, który przez wiele lat procesował się z nią w sądach niemieckich, przyznaje, że była "wyjątkowa". - Przygotuj się - mówił młodemu człowiekowi, który miał spotkać się z nią po raz pierwszy. - W przeciwnym razie pokona cię i zostaniesz jej zwolennikiem; ma niebywałą siłę sugestii. Tymczasem w pierwszych latach ona sama nigdy nie przekonywała ludzi do swojej nowej tożsamości. To oni stawali po jej stronie, występowali w jej imieniu w sądach i od świata domagali się uznania jej za Anastazję. Teraz, w ponad dziesięć lat po śmierci, zagadka jej tożsamości została rozwiązana. Kobieta wyłowiona z berlińskiego kanału nie była wielką księżną Anastazją; była oszustką, zadziwiająco podobną do kobiety, którą zamordowano w Jekaterynburgu w 1918 roku. Pomimo to jej życie było wyjątkowe. Z polskiej chłopki i robotnicy fabrycznej stała się - w świadomości swojej i zwolenników - księżniczką. Jej występ, tak wspaniały, że w niektórych nadal wzbudza żywe emocje, ubarwił dwudziesty wiek. Wielu prawdziwych księżąt i księżniczek w czasie rewolucji ocalało i swoje życie przeżyło w zapomnieniu. Na ich tle pamiętana będzie tylko jedna kobieta, Anna Anderson.

## CZĘŚĆ TRZECIA: Ocaleni

### 19. Romanowowie na emigracji

Mordowanie Romanowów nie zaczęło i nie skończyło się na zabójstwie cara i jego rodziny. Pierwszym członkiem rodziny, który zginął po przejęciu władzy przez Lenina, był wielki książę Mikołaj Konstantynowicz, który, skazany przez cara Aleksandra II na banicję, większą część życia spędził w Taszkencie. W lutym 1918 roku w niewyjaśnionych okolicznościach zginął z rąk bolszewików. Drugim zamordowanym Romanowem był młodszy brat Mikołaja II, czterdziestoletni wielki książę Michał. Aresztowano go w Gieczynie w pobliżu Piotrogradu razem z osobistym sekretarzem, Anglikiem Brianem Johnsonem, i uwięziono w hotelu w Permie, na Uralu. Przez sześć miesięcy obchodzono się z nim przyzwoicie, przysługiwały mu "prawa obywatela republiki", mógł spacerować po mieście i chodzić do kościoła. W nocy z 13 na 14 lipca 1918 roku, na trzy dni przed zamordowaniem cara, zupełnie niespodziewanie do jego pokoju wpadli trzej mężczyźni. Pozwali go wraz z sekretarzem, kazali im wsiąść do jednego z dwóch powozów i wywieźli za miasto. Skręcili w las, zatrzymali się i spytali, czy wielki książę ma ochotę na papierosa. Gdy palił, jeden z mężczyzn wyjął pistolet i strzelił Johnsonowi w skroń. Michał z rozwartymi ramionami rzucił się ku niemu, jakby chciał go zasłonić własnym ciałem. Oddano do niego trzy strzały. Ciało ukryto pod stertą gałęzi; później miały zostać pochowane. Następnie Andrzej Markow, przywódca morderców, udał się do Moskwy, gdzie na polecenie Jakowa Swierdłowa zaprowadzono go do Lenina, aby złożył mu ustny raport. W niecałe dwadzieścia cztery godziny po zamordowaniu cara i jego rodziny w oddalonym od Jekaterynburga o sto dziewięćdziesiąt dwa kilometry Alpaiewsku zginęło kolejnych sześciu Romanowów: pięćdziesięcioletnia siostra cesarzowej Aleksandry wielka księżna Elżbieta; czterdziestodwuletni wielki książę Konstanty i jego trzech synów: trzydziestodwuletni książę Iwan, dwudziestosiedmioletni książę Konstantyn, dwudziestoczteroletni książę Igor; dwudziestojednoletni książę Włodzimierz Palej, syn z morganatycznego małżeństwa wielkiego księcia Pawła, wuja Mikołaja II. Wielka księżna Elżbieta, podobnie jak jej siostra, urodziła się w Niemczech, w Darmstadt w Hesji. W 1905 roku, po zamordowaniu jej męża, wielkiego księcia Sergiusza Aleksandrowicza (stryja Mikołaja II), wstąpiła do klasztoru. Po abdykacji cara i przejęciu władzy przez bolszewików odrzuciła wszystkie propozycje ucieczki. W marcu 1917 roku Rząd Tymczasowy nakazał jej opuścić klasztor i schronić się na Kremlu. Elżbieta odmówiła. Na początku 1918 roku cesarz Wilhelm II, który kochał się w niej w młodości, dyplomatycznymi kanałami wielokrotnie



podejmował próby wywiezienia jej do Niemiec. Elżbieta ponownie odmówiła. Bolszewicy przenieśli ją do leżącego po wschodniej stronie Uralu Ałpajewska; zimę 1917 roku spędziła w budynku dawnej podmiejskiej szkoły. W dzień po zamordowaniu jej siostry, Elżbietę i innych Romanowów internowanych wraz z nią, wywieziono chłopskimi wozami w kierunku opuszczonej sztolni. Opisy ich śmierci różnią się. Aż do niedawna za prawdziwą przyjmowano wersję Mikołaja Sokołowa: ofiarom zawiązano oczy i kazano przejść po drewnianym balu przerzuconym nad sztolnią głęboką na osiemnaście metrów. Usłuchali wszyscy z wyjątkiem wielkiego księcia Sergiusza, byłego artylerzysty, który opierał się i został zastrzelony na miejscu. Pozostali, tracąc równowagę, wpadali do sztolni. Potem wrzucono do niej granaty i ciężkie drewniane bale. Jednak nie wszyscy zginęli od razu. Pewien chłop, który przyczołgał się na skraj sztolni, gdy mordercy już odjechali, twierdził, że słyszał dochodzące z dołu pieśni religijne. Gdy biali odnaleźli ciała - tak twierdzi Sokołow - rana na głowie jednego z młodych ludzi opatrzona była chusteczką wielkiej księżnej. Według relacji Sokołowa autopsje wykazały, że w ustach i żołądkach niektórych ofiar znajdowała się ziemia, co wskazywałoby na to, że umarli z pragnienia i głodu. Jednak wersji tej przeczą dowody zgromadzone przez śledczego Włodzimierza Sołowiowa. Jego zdaniem wielką księżną, wielkiego księcia i czterech młodych ludzi ustawiono na skraju szybu, zabito strzałami w głowę i zepchnięto w dół. Sześć miesięcy później, 28 stycznia 1919 roku w Piotrogradzie, na dziedzińcu twierdzy Pietropawłowskiej dokonano egzekucji kolejnych czterech wielkich książąt, pomiędzy którymi znajdował się Paweł, wuj cara (ojciec księcia Paleja zamordowanego w Ałpajewsku. Ciała wrzucono do masowego grobu znajdującego się w jednym z bastionów twierdzy. (Dokonywano wówczas tak wielu egzekucji, i przemieszało się z sobą tak wiele kości, że do dziś nikt nie podjął się próby ich rozdzielania. )Jednym z zamordowanych wielkich książąt był Mikołaj Michałowicz, wybitny historyk. Maksym Gorki próbował wstawić się za nim u Lenina, ale ten odmówił: - Rewolucja nie potrzebuje historyków - powiedział. Oprócz cara Mikołaja II i cesarzowej Aleksandry bolszewicy zamordowali siedemnastu innych Romanowów; ośmiu z szesnastu wielkich książąt, pięć z siedemnastu wielkich księżnych i czterech młodych książąt. Po tej rzezi pozostała tylko cesarzowa-wdowa, ośmiu wielkich książąt i dwanaście wielkich księżnych, z których cztery były cudzoziemkami i swój tytuł otrzymały wychodząc za mąż za rosyjskich wielkich książąt.

W 1919 roku największa grupa Romanowów przebywała na Krymie, gdzie skupisko letnich pałaców służyło za miejsce schronienia. Matka cara, cesarzowa-wdowa Maria, przebywała w pałacu "Liwadia" z widokiem na Morze Czarne i Jałtę. Mieszkała z nią jej córka wielka księżna

Olga, jej mąż pułkownik tor i Mikołaj Kmicowski oraz ich syn Tichon. W pobliżu mieszkała także starsza córka Marii wielka księżna Ksenia, wraz z Mężem wielkim księciem Aleksandrem i sześciorgiem z ich siedmiorga dzieci. W innym pałacu mieszkał także wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który tuż po wybuchu wojny dowodził armią rosyjską. Przebywał tam także jego brat wielki książę Piotr oraz ich żony, księżniczki czarnogórskie, wielkie księżne Anastazja i Milica. Wielki książę Mikołaj nie miał - dzieci, ale mieszkał z nimi dwudziestojednoletni syn wielkiego księcia Piotra - Roman. Przez pierwszych osiemnaście miesięcy wojny domowej w komfortowych, lecz nie dających bezpieczeństwa warunkach rodzina czekała na ratunek. Wyczekiwanie zakończyło się w kwietniu 1919 roku, gdy do Jałty przyplłynął brytyjski okręt wojenny "Marlborough, aby zabrać cesarzową-wdowę. Maria zgodziła się pod warunkiem, że Anglicy pozwolą wejść na pokład wszystkim Romanowom, ich służącym i innym osobom, które także chciały uciec. Gdy wielki statek wojenny wypłynął w stronę Malty, było na nim mnóstwo Rosjan, z których żaden nigdy nie wruci do swojej ojczyzny. Uciekinierzy ze statku "Marlborough" rozjechali się po świecie. Cesarzowa-wdowa powróciła do ojczyzny - Danii, gdzie królem był jej bratanek, Chrystian X. Po pewnym czasie wielka księżna Ksenia porzuciła męża i przeprowadziła się do Londynu, gdzie zamieszkała w niewielkim pałacyku należącym do Korony Brytyjskiej, który nazwała "Wilderj news House". Wielka księżna Olga i jej mąż pozostali w Danii do końca drugiej wojny światowej, a potem wyjechali do Kanady. Po śmierci męża Olga zamieszkała wraz z rosyjską rodziną w mieszkaniu nad salonem fryzjijskim w Toronto. Umarła w listopadzie 1960 roku, siedem miesięcy po śmierci swej siostry Kseni. Inni członkowie rodziny Romanowów ocalili, ponieważ w chwili wybuchu rewolucji przebywali w letniej rezydencji w Kisłowodzku na Zakaukaziu. Była tam urodzona w Niemczech wielka księżna Maria Pawłowna, wdowa po najstarszym wuju Mikołaja II wielkim księciu Włodzimierzu, oraz jej dwaj młodsi synowie, wielki książę Borys i wielki książę Andrzej. Każdemu z nich towarzyszyła kochanka: Borysowi - Zinajda Raczevska, a Andrzejowi Matylda Krzesińska, była primabalerina, która przed małżeństwem i wstąpieniem na tron Mikołaja II była jego pierwszą i jedyną kochanką. Po wyjeździe z Rosji obydwaj wielcy książęta ożenili się ze swoimi towarzyszkami i zamieszkali w Paryżu. Ich starszy brat, wielki książę Cyryl, jego urodzona w Anglii żona wielka księżna Wiktoria i dwie córki byli jedynymi Romanowami, którzy uciekając z Rosji wybrali drogę prowadzącą na północ. Nie było to trudne o tyle, że opuścili Rosję w czerwcu 1917 roku, gdy władzę sprawował Rząd Tymczasowy. Rodzina otrzymała zgodę Aleksandra Kiereńskiego (wówczas ministra, stosowne dokumenty, wsiadła do pociągu do Piotrogradu i wyjechała do Fimandu. Tego samego lata, jeszcze w Fimandu, przyszedł na świat ich syn Włodzimierz. Natomiast wielki książę Dymitr,

dwudziestosześcioletni morderca Rasputina i kuzyn pierwszego stopnia Mikołaja II i wielkiego księcia Cyryla, opuścił Rosję kierując się na południe. Z powodu roli, jaką odegrał w zabójstwie, więziono go na Kaukazie; wkrótce po abdykacji cara uciekł przez góry do Persji. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu pięciu lat członkowie rodziny Romanowów, którzy przeżyli rewolucję, podzielili się na: Michajłowiczów, Władymirowiczów, Pawłowiczów, Konstantynowiczów i Mikołajewiczów. Michajłowicze, potomkowie Michała, syna cara Mikołaja stanowią najliczniejszą grupę i są najbliższymi spokrewnieni z carem Mikołajem II. Są to dzieci i wnuki siostry Mikołaja, wielkiej księżnej Kseni i jej męża wielkiego księcia Aleksandra, syna wspomnianego Michała. Na przełomie wieków Ksenia urodziła siedmioro dzieci. Najstarszym była Irena, która wyszła za mąż za jednego z zabójców Rasputina, księcia Jusupowa. Jusupowowie osiedli w Paryżu i mieszkali tam przez pięćdziesiąt lat, aż do śmierci. Mieli córkę, której wmużka Ksenia Sfiris dostarczyła Peterowi Gillowi próbkę krwi, co pozwoliło zidentyfikować kość Udową Mikołaja II. Oprócz córki wielka księżna Ksenia miała także sześciu synów, którzy wychowali się już na zachodzie. Początkowo mieszkali wraz z matką w Londynie, potem rozjechali się po świecie i zamieszkali w różnych miastach: w Paryżu, Biarriu, Cannes, Chicago i San Francisco. Po pierwszej wojnie światowej Niemcy, dotychczasowe "źródło żon" Romanowów, najwyraźniej wyschło, więc książęta ożenili się z kobietami z najznakomitszych rodzin rosyjskiej arystokracji, takich jak Kutuzowowie, Galicynowie, Szeremietiewowie, Woroncow-Daszkowowie. Wszyscy synowie Kseni byli bardzo dobrze wychowani, wyrażali się wytwornie, otrzymali znakomite wykształcenie, ale nie odznaczali się ani szczególnymi ambicjami, ani energią. - Władali sześcioma językami - Rościsław Romanow, którego ojciec (również Rościsław) był jednym z sześciu braci. - Ale przeważnie się nie odzywali i mówiło się o nich, że milczą w sześciu językach. Pamiętam, jak wraz z Ojcem poszliśmy odwiedzić jego brata Nikitę. Powiedzieli sobie "Dzień dobry" i na tym skończyła się ich rozmowa. Innym razem jeden z synów Nikity zaproponował: "Może pojechalibyśmy do wuja Rościsława", na co Nikita odparł: "A po co? Przecież już go znam". Najmłodszy syn wielkiej księżnej Kseni książę Wasyl, który urodził się w 1907 roku i opuścił Rosję w wieku dwunastu lat, większość życia spędził w Woodside w stanie Kalifornia, w pobliżu San Francisco. Hodował pomidory, za które otrzymał wiele nagród, i podejmował się różnych prac, między innymi sprzedawał szampana i wino. Jego ulubionym żartem było dostarczanie zamówionego wina swoim przyjaciołom przed kuchenne drzwi, aby potem przebrać się w smoking, zadzwonić do frontowych drzwi, podać swoją wizytówkę (z napisem "książę Wasyl") i zapytać, czy zastał panią domu. Książę Wasyl zmarł w 1987 roku, a wmużowie Kseni są teraz sześćdziesięciu i siedemdziesięciolatkami. Książęta oddali się

różnym karierom. Książę Andrzej, który podczas drugiej wojny światowej służył w królewskiej marynarce i brał udział w konwojach na Arktyce, jest teraz malarzem i mieszka w Inverness, w stanie Kalifornia. Książę Michał, którego obaj dziadkowie byli wielkimi książętami, większą część życia spędził jako francuski reżyser i mieszka w Paryżu i Biarritz. Książę Nikita jest historykiem, doktorat otrzymał na uniwersytecie Stanford; obecnie mieszka w Nowym Jorku, podobnie jak jego brat Aleksander. Najmłodszy i najbardziej aktywny ze wszystkich książąt jest Rościsław. Mówi po angielsku z amerykańskim akcentem, ponieważ urodził się i wychował w Chicago, a potem ukończył uniwersytet Yale. W New Haven żaden z jego uniwersyteckich kolegów nie zwracał uwagi na to, że Rościsław jest Romanowem, a on sam bardziej interesował się losem drużyny sportowej. Dziś jest bankierem w Londynie i codziennie dojeżdża do pracy z Sussex. Choć mieszka w Anglii od czternastu lat, brytyjska rodzina królewska - podobnie jak jego koledzy z Yale - zupełnie się nim nie interesuje. Rościsław, zadeklarowany anglofil, nie ma nic przeciwko temu i nie chce powrotu do Rosji (z wyjątkiem wycieczek). - Odpowiada mi życie w Anglii - mówi.

Oprócz sióstr Mikołaja II, siostrzeńców i siostrzenic, najbliższymi krewnymi cara, którym udało się przeżyć, byli Władymirowicze: czterej kuzyni pierwszego stopnia wielcy książęta Cyryl, Borys i Andrzej oraz ich siostra wielka księżna Helena, czyli dzieci najstarszego wuja Mikołaja II - wielkiego księcia Włodzimierza. W normalnych czasach niemal równoczesna śmierć cara, jego syna i jego brata, jak miało to miejsce w 1918 roku, automatycznie uczyniłaby następcą tronu najstarszego z kuzynów, Cyryla, który miał wówczas czterdzieści dwa lata. Jednak w 1918 roku nie było ani imperium, ani tronu, wobec czego nic nie działo się automatycznie. Sukcesję tronu reguluje kodeks praw salickich, który wyklucza (o ile to możliwe) dziedziczenie tronu przez kobiety. Gdy imperator umierał i na tronie nie mógł zasiąść ani jego syn, ani brat, następcą zostawał najstarszy mężczyzna, będący najbliższym krewnym zmarłego władcy. W tym wypadku mężczyzną tym był Cyryl, potem jego dwaj bracia Borys i Andrzej, a następnie ich kuzyn pierwszego stopnia (jedyne ocalałe mężczyzny z linii Pawłowiczów) wielki książę Dymitr, syn najmłodszego wuja Mikołaja II, wielkiego księcia Pawła. Blizszymi krewnymi Mikołaja II było jego sześciu siostrzeńców, synów carskiej siostry Kseni, lecz takie pokrewieństwo nie było zgodne z kodeksem praw salickich. Cyryl, mieszkający we Francji, starał się nie występować jako następcą tronu i odmówił udziału w mszy za duszę cara i jego rodziny, ponieważ cesarzowa-wdowa Maria nie wierzyła w ich śmierć. Gdyby ogłosił się następcą tronu, Maria byłaby tym głęboko urażona. Poza tym istniał już jeden pretendent; wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, były dowódca armii rosyjskiej.

Należał wprawdzie do linii Mikołajewiczów, dalszej gałęzi drzewa genealogicznego rodziny Romanowów, lecz wśród Rosjan cieszył się większą popularnością i poważaniem niż Cyryl. Mikołaj Mikołajewicz był najsłynniejszym rosyjskim żołnierzem, a Cyryl tylko kapitanem marynarki (który po zatonięciu swego statku odmówił dalszej Służby na morzu). Pomimo to gdy rosyjscy emigranci zwrócili się do wielkiego księcia Mikołaja z prośbą o wstąpienie na tron, książę odmówił, tłumacząc, że nie chce rozwiać nadziei cesarzowej-wdowy. Poza tym Mikołaj zgadzał się z Marią, że gdyby Mikołaj II, jego syn oraz brat rzeczywiście zginęli, Rosjanie powinni wybrać nowego cara nie tylko spośród Romanowów, ale i innych Rosjan. W 1922 roku, na sześć lat przed śmiercią Marii, na siedem lat przed śmiercią Mikołaja Mikołajewicza, Cyryl miał już dość czekania. Ogłosił się następcą tronu, a w 1924 roku carem Wszechrusi, choć oznajmił jednocześnie, że nadal należy go tytułować jedynie wielkim księciem. W niewielkiej willi w miasteczku SaintBriac w Bretanii miał swój dwór, wydawał manifesty i nadawał tytuły. Choć jego córki były księżniczkami a syn księciem, korzystając ze swoich przywilejów "car" Cyryl nadał im tytuły "wielkich księżnych", a synowi "wielkiego księcia". Gdy poparcia udzielił mu kuzyn, wielki książę Dymitr, Cyryl nadał jego żonie (Amerykance Audrey Emey) tytuł księżnej RomanowIlińskiej; w 1929 roku Dymitr i Audrey tytuł księżęcy przekazali swemu nowo narodzonemu synowi Pawłowi. W październiku 1938 roku, przed śmiercią w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, Cyryl przebywający wówczas w amerykańskim szpitalu w Paryżu przekazał prawo do tronu swemu dwudziestoletniemu synowi Włodzimierzowi. Młody człowiek, kształcony w domu przez guwernera, a następnie w rosyjskim liceum w Paryżu, niemal przez całe wakacje majstrował przy motocyklach, a potem szalał na nich po wąskich drózkach Bretanii. Przez sześć miesięcy pracował w anglii w warsztacie, "aby poznać życie ludzi pracy". W 1946 roku przeprowadził się do Madrytu, a w dwa lata później, w wieku trzydziestu jeden lat, ożenił z gruzińską księżniczką Leonidą BagrationMuchrańską. Leonida była już wcześniej żoną pewnego starszego bogatego Amerykanina, Sumnera Moora Kirby, z którym miała córkę Helenę. W 1937 roku dwudziestotrzyletnia Leonida rozwiodła się z Kirbym. Podczas drugiej wojny światowej Kirby przebywał we Francji, został schwyty przez gestapo i zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym. Przez czterdzieści pięć lat Włodzimierz i Leonida żyli bez rozgłosu. Zimy spędzali w willi w Madrycie, latem mieszkali w SaintBriac, mieli też mieszkanie w Paryżu. Od czasu do czasu odbywali podróże do Nowego Jorku, gdzie zaprzyjaźnieni monarchiści wypożyczali dla nich limuzyny, wydawali przyjęcia i z uwagą słuchali przemówień Włodzimierza po angielsku, rosyjsku, francusku i hiszpańsku. Włodzimierz często bywał na takich przyjęciach. Był przystojnym, sympatycznym mężczyzną o łagodnym głosie i - jak

większość arystokratów - nie mówił niczego, co można by uznać za niezwykle. Jego prawdziwą pasją były maszyny: budowa i działanie samochodów, motocykli i helikopterów. Nie był ani uczonym, ani historykiem; gdy jego przyjaciel z dzieciństwa Alistair Forbes namawiał go do zajęcia się zagadką tożsamości Anny Anderson, Włodzimierz rzekł uprzejmie: - Ach, tak, Ali, zapewne wszystko co mówisz, jest prawdą, ale ponieważ i tak nie pokażę ci dokumentów związanych z tą sprawą, porozmawiajmy o czymś innym. Poza "byciem następcą tronu" Włodzimierz nie miał innego zajęcia i większość ludzi przypuszczała, że para otrzymuje finansowe wsparcie od Helen Kirby, która odziedziczyła fortunę po ojcu (Amerykaninie) i mieszkała wraz z matką i ojczymem.

Wielki książę Włodzimierz i Leonida mieli tylko jedno dziecko, Marię, która przyszła na świat w 1953 roku, gdy jej matka miała trzydzieści dziewięć lat. W 1969 roku, gdy stało się oczywiste, że nie doczeka się syna, Włodzimierz postanowił zapewnić swojej córce prawo do tronu. Wydał manifest, który ku zmartwieniu większości Romanowów, w przypadku jego śmierci kuratorem tronu czynił jego córkę. Marię wychowano tak, aby mogła odegrać znaczącą rolę w dynastii. Kształcono ją w Madrycie i Paryżu, potem wiele semestrów spędziła studiując rosyjską literaturę i historię w Oksfordzie. W 1978 roku wyszła za mąż za Hohenzollerna, pruskiego księcia Franciszka Wilhelma, prawnuka cesarza Wilhelma II. Przed ślubem Franciszek Wilhelm przeszedł na prawosławie, przyjął imię Michał Pawłowicz i otrzymał od teścia tytuł wielkiego księcia. W 1981 roku Maria i jej mąż spłodzili jedyne dziecko, syna Jerzego, a dziadek także i jemu nadał tytuł wielkiego księcia. Włodzimierz nie spodziewał się powrotu do Rosji jako car, choć często powtarzał, że jest na to przygotowany. Gdy nastąpiła "głęboka i pierestrojka", miał siedemdziesiąt lat, a gdy Jelcyn został wybrany na prezydenta, skończył siedemdziesiąt cztery. Nagle tempo wydarzeń wzrosło. W kilka dni po zaprzysiężeniu Jelcyna w lipcu 1991 roku doszło do wymiany listów pomiędzy prezydentem i pretendentem do tronu. Na jesieni mieszkańcy Leningradu w głosowaniu opowiedzieli się za przywróceniem miastu dawnej nazwy Sankt Petersburg, a burmistrz Anatolij Sobczak zaprosił na tę uroczystość pretendenta. Włodzimierz i Leonida odbyli podróż do dawnej stolicy imperium i z balkonu Pałacu Zimowego, w którym obecnie znajduje się muzeum Ermitaż, spojrzeli na zgromadzoną na placu Pałacowym sześćdziesięcioletnią tłum. Potem, gdy Włodzimierz wszedł do sali, gdzie miała się odbyć konferencja prasowa, trzystu rosyjskich i zagranicznych dziennikarzy powstało z miejsc. W pięć miesięcy później Włodzimierz udał się do Miami, gdzie do tysiąca pięciuset zgromadzonych biznesmenów i finansistów wygłosił przemówienie. Odpowiadając na pytania zasłabł i wkrótce potem zmarł. W dwa dni później Jelcyn podpisał dekret zezwalający

na odprawienie mszy za duszę Romanowa, pierwszej takiej mszy od siedemdziesięciu pięciu lat. 29 maja 1992 roku Włodzimierza pochowano w grobowcu przy Soborze Pietropawłowskim w Sankt Petersburgu.

Najwidoczniej prawo Włodzimierza do tronu zostało uznane przez Sobczaka, a może nawet i samego Jelcyna, ale podważała je większość Romanowów. Jednak podział w rodzinie - który prześladował Włodzimierza za życia i z którym dziś boryka się jego córka - nastąpił znacznie wcześniej. Wszystko zaczęło się od pierwszego pretendenta, ojca Włodzimierza, wielkiego księcia Cyryla. Rosyjskie prawo sukcesji ustanowione przez cara Pawła w 1797 roku stawiało pięć warunków: po pierwsze, monarcha musi być wyznawcą prawosławia. Po drugie, musi być mężczyzną (o ile w carskiej rodzinie znajdują się odpowiedni kandydaci). Po trzecie, matka i żona monarchy lub następcy tronu przed zawarciem małżeństwa muszą przejść na prawosławie. Po czwarte, monarcha lub następca tronu musi poślubić kobietę z innej dynastii panującej; małżeństwo z kobietą niższego stanu, nawet gdyby należała ona do najznakomitszej arystokracji, uniemożliwia takiej parze i jej potomkom wstąpienie na tron. Po piąte, przyszły monarcha może ożenić się tylko za zgodą panującego cara (w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, w Rosji rozwód kobiety nie stanowił przeszkody w poślubieniu dowolnego członka carskiej rodziny, nawet samego cara). Wielki książę Cyryl nie spełniał dwóch warunków: ani jego matka, ani żona nie przeszły na prawosławie, a małżeństwo Cyryla zostało zawarte bez zgody, a nawet przy sprzeciwie cara Mikołaja II. Matka Cyryla, wielka księżna Maria Pawłowna, niemiecka księżniczka MecklenburgSchwerin, wychodząc za mąż za ojca Cyryla wielkiego księcia Włodzimierza była luteranką, i pozostała nią przez trzydzieści cztery lata małżeństwa. W 1908 roku zdała sobie sprawę, że z powodu choroby małego carewicza Aleksego jej mąż i syn Cyryl mogliby odziedziczyć prawo do tronu, toteż aby zwiększyć ich szanse, przeszła na prawosławie. Wówczas jednak sprawy Cyryla nieznacznie się skomplikowały. W młodości obiektem jego zainteresowań była jego kuzynka Wiktoria Melita, wniczka królowej Wiktorii, ale królowa, bezustannie aranżująca małżeństwa swych licznych potomków, zdecydowała, że Wiktoria Melita winna poślubić innego jej wnuka, Ernesta, wielkiego księcia heskiego. Wiktoria Melita, choć kochała Cyryla, postąpiła zgodnie z wolą babki. Jej małżeństwo nie było udane; Ernest nie interesował się kobietami, toteż Wiktoria Melita zaczęła spędzać całe tygodnie z Cyrylem w Rosji i w Niemczech. Trudno powiedzieć, co w nim widziała Wiktoria Melita; jej siostra, późniejsza Duńska królowa Maria twierdziła, że "był jak z kamienia, niezwykle zimny i samolubny. . . rozmawiając z nim odnosiło się wrażenie, że wszystkimi pogardza". Pomimo to już w kilka miesięcy po śmierci królowej

Wiktorii w 1901 roku Wiktoria Melita rozwiodła się z Ernestem i zamierzała poślubić Cyryla. Przy próbie zawarcia małżeństwa pojawiły się trudności. Z punktu widzenia dynastii w zasadzie wszystko było jak trzeba: należała do panującej w Anglii dynastii sasko-cesarskiej, i choć rosyjski kościół prawosławny nie zezwalał na zawarcie małżeństwa pomiędzy kuzynami pierwszego stopnia, jak miało to miejsce w tym przypadku - Wiktoria Melita przeszła na prawosławie dopiero trzy lata po ślubie. Uchroniło ją to wprawdzie przed jedną pułapką, lecz nie uchroniło przed inną: złamana została zasada stanowiąca, że kandydaci na następcę tronu mogą żenić się tylko z kobietami, które przed ślubem przeszły na prawosławie. Co ważniejsze jednak, małżeństwo zostało zawarte bez zgody panującego cara. Problem polegał na tym, że były mąż Wiktorii Melity, hesski książę Ernest, był bratem żony Mikołaja II. Purytańska cesarzowa Aleksandra była zła na Wiktorię Melitę za odrzucenie jej brata i jawny romans z Cyrylem. Starła się wpłynąć na cara i uniemożliwić zawarcie małżeństwa. Można tylko współczuć Mikołajowi II, którego przytłaczały nie tylko polityczne problemy związane z zarządzaniem imperium, ale także liczne podobne intrygi w wielkiej carskiej rodzinie. Małżeństwa zawierane z miłości, jak miało to miejsce w przypadku cara, były bardzo rzadkie. Niektórzy Romanowowie żenili się z pozbawionymi temperamentu księżniczkami niemieckimi, co skazywało ich na życie pełne nudy; innym, takim jak Borysowi, Andrzejowi i Sergiuszowi Michajłowiczom, niemal przez całe życie towarzyszyły kochanki; jeszcze inni, tacy jak brat cara wielki książę Michał i jego wuj wielki książę Paweł ożenili się z niżej urodzonymi rozwódkami. Przed poślubieniem morganatycznej kochanki Michał spłodził już jednego syna; Paweł ze swą morganatyczną żoną miał dwoje dzieci. Mikołaj II, starając się postępować zgodnie z prawem, swojego brata i wuja skazał na banicję. Zdaniem cara, Cyryl i Wiktoria Melita również złamali prawo pobierając się w tajemnicy w Niemczech w 1905 roku. Gdy Cyryl powrócił do Rosji, licząc na pobłażliwość cara, został zdegradowany, odebrano mu dowództwo nad marynarką i pozbawiono sum regularnie wypłacanych członkom carskiej rodziny. Nakazano mu także opuścić Rosję w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jego żonie odmówiono tytułu wielkiej księżnej. Para mieszkała w niewielkim mieszkaniu przy rue Henri-Martin w Paryżu aż do śmierci ojca Cyryla w 1909 roku, kiedy to zniesiono banicję. Pomimo oficjalnego pojednania niechęć pomiędzy rodzinami pozostała. Podczas pierwszej wojny światowej Cyryl awansowany został na kontradmirała (czego jedynym powodem była przynależność do rodu Romanowów), przebywał w Sankt Petersburgu dowodząc Garde Equipage, elitarną jednostką marynarzy, którzy w czasach pokoju stanowili załogi carskich jachtów. Gdy w lutym 1917 roku nastąpił kryzys, Mikołaj II przebywał w głównym sztabie armii, oddalonym od stolicy o osiemset kilometrów. Cesarzowa Aleksandra i jej pięcioro dzieci



(z wyjątkiem Marii), przykute do łóżek z powodu odry, przebywały w Carskim Siole, położonym dwadzieścia cztery kilometry za miastem. Tłum zbuntowanych, pijanych i grabiących sklepy marynarzy z Petersburga wykrzykiwał w miasteczku coś o "pojmaniu Niemki i jej syna". Najbardziej oddaną jednostką strzegącą pałacu był batalion Garde Equipage. Ogniska, przy których ogrzewali się żołnierze i kuchnia polowa, znajdowały się na pałacowym dziedzińcu. W nocy 13 marca Aleksandra otuliwszy się szalem, w towarzystwie córki Marii, wyszła do marynarzy. "To była niezapomniana scena - napisała baronowa Buxhoevden, która obserwowała wszystko z okna. - Było ciemno, niki światło odbite od śniegu lśniło na lufach. Żołnierze stali w szeregu. . . Cesarzowa i jej córka przechodziły pomiędzy rzędami żołnierzy, w tle majaczył olbrzymi pałac". Podchodząc do każdego z żołnierzy Aleksandra powtarzała, że ma do nich zaufanie oraz że życie następcy tronu jest w ich rękach. Powróciła do pałacu uspokojona. - Oni są naszymi przyjaciółmi - powiedziała, po czym wszyskich zapraszała do pałacu na gorącą herbatę. W trzydzieści sześć godzin później, gdy rano piętnastego marca cesarzowa wyjrzała przez okno, dziedziniec był pusty. Wielki książę Cyryl wydał żołnierzom rozkaz powrotu do Sankt Petersburga, carską żonę i dzieci pozostawiając bez jakiegokolwiek ochrony. Poprzedniego dnia Cyryl - wedle słów francuskiego ambasadora Maurice'a Paleologue - "otwarciem opowiedział się za rewolucją". Przyczepiwszy do munduru czerwoną kokardę, na czele swych żołnierzy ruszył przez Newski Prospekt w kierunku Dumy, aby oddać się do dyspozycji jej przewodniczącego Michała Rodzianko. Było to jeszcze przed abdykacją Mikołaja II i Rodzianko zabiegał o utrzymanie jakiejś formy monarchii. Oburzony na Cyryla za złamanie przysięgi powiedział wielkiemu księciu: "Odejdź, nie tutaj twoje miejsce". W tydzień później Cyryl ponownie dopuścił się zdrady, w wywiadzie dla piotrogrodzkiej gazety mówiąc: - Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, czy była cesarzowa stała po stronie cesarza Wilhelma, ale za każdym razem odrzucałem tę myśl. Mniej więcej w tym samym czasie ambasador Paleologue idąc ulicą Glinki zauważył, że "nad pałacem [wielkiego księcia Cyryla] coś powiewało na wietrze: czerwona flaga". Do końca życia Cyryla wielu rosyjskich monarchistów (nawet ci, którzy pomimo matki luteranki przyznawali mu prawo do tronu) uważało pozostawienie cesarzowej i jej dzieci bez ochrony, złamanie danej carowi przysięgi oraz czerwoną kokardę i flagę za wystarczający powód do wykluczenia go jako kandydata do tronu.

Na życiu wielkiego księcia Włodzimierza, w przeciwieństwie do jego ojca, nie ciążyły wstyd i hańba, lecz wypełniały je liczne spory. Małżeństwo Włodzimierza, podobnie jak Cyryla, pogwałciło prawa, którym podlegali członkowie panującej rodziny. Leonida BagrationMuchrańska bezsprzecznie była wyznawczynią prawosławia, miała też "zgode cara"

na małżeństwo, jako że "carem" był sam Włodzimierz. Poprzednio była już wprawdzie zamężna, ale kościół nie sprzeciwiał się rozwodom i nie o to oskarżano Cyryla. Jednak, czy żona Włodzimierza Leonida pochodziła z "panującego domu"? Argumentacja jest tutaj dość wątpliwa i znaczna część rodziny stanowczo się jej sprzeciwia. Leonida Bagration-Muchrańska jest potomkiem rodu panującego w Gruzji przez trzysta lat. W 1800 roku cesarz Paweł przyłączył Gruzję do rosyjskiego imperium i, zdaniem Burke, e Royal Families of the LYrorId, "gruzińskie królestwo przestało istnieć. . . Książęta, w których żyłach płynęła królewska krew, zostali deportowani do Rosji, a ich potomkowie należeli do rosyjskiej arystokracji".

Bagrationowie w niedługim czasie stali się jednym z najważniejszych rodów rosyjskiej arystokracji, a marszałek Piotr Bagration został bohaterem wojny z Napoleonem i zginął w bitwie pod Borodino. Przez ponad sto lat - podobnie jak Galicynowie, Szeremietiewowie i inni - służyli carom w armii rosyjskiej i na carskim dworze. Tymczasem Włodzimierz i Leonida twierdzili, że Bagrationowie przez cały czas pozostawali "dynastią panującą", co Leonidzie pozwalało wyjść za mąż za pretendenta do tronu i tytułować się wielką księżną Rosji, co z jej dzieci i wnuków mogłoby uczynić przyszłych władców. Włodzimierz i Leonida, zdając sobie sprawę ze słabości swoich argumentów, bardzo gwałtownie reagowali na wszelkie pytania dotyczące dynastii panujących i małżeństw z kobietami niższego stanu. Ich zdaniem od czasu rewolucji żaden Romanow (z wyjątkiem Włodzimierza) nie poślubił kobiety równej sobie stanem. Małżeństwo z kobietą niższego stanu nie tylko wykluczało pozostałych Romanowów i ich dzieci jako pretendentów do tronu, ale także z przynależności do panującej rodziny; nie mogli oni używać tytułu "książę" ani nawet posługiwać się nazwiskiem Romanow. Zdaniem Włodzimierza, ten właśnie fakt dał mu prawo uczynienia z szesnastoletniej córki następczyni tronu. Proklamacja z 1969 roku wzburzyła opinię tych, którzy nagle dowiedzieli się, że nie są ani książętami, ani Romanowami. Przywódcy trzech pozostałych linii - książę Wsiewołod Konstantynowicz, książę Roman Mikołajewicz i książę Andrzej Michajłowicz, którzy w przeciwieństwie do Włodzimierza wszyscy urodzili się w Rosji przed rewolucją - ogłosili wspólny protest. W liście tym nie tytułowali Włodzimierza wielkim księciem, lecz księciem, czyli tytułem, który przysługiwałby mu przed rewolucją. Oświadczyli, iż Leonida jako niżej urodzona, równa jest innym żonom Romanowów i w związku z tym nie ma prawa do tytułu wielkiej księżnej. Oświadczyli ponadto, że nie uznają Marii jako wielkiej księżnej, a nazywanie jej "kuratorem tronu" jest bezzasadne. Rodzinna wojna trwała dalej, ponieważ w 1976 roku Maria wyszła za mąż za pruskiego księcia Franciszka Wilhelma, a Włodzimierz nadał swemu zięciowi tytuł wielkiego księcia. Sytuacja uległa pogorszeniu w 1981 roku, gdy przyszedł na świat syn Marii, Jerzy, któremu Włodzimierz także nadał tytuł wielkiego księcia. Książę Wasyl,

siostrzeniec Mikołaja II, wydał oświadczenie, w którym napisał, iż "Stowarzyszenie Rodziny Romanowów nie jest zainteresowane radosnym wydarzeniem w pruskim domu panującym, ponieważ nowo narodzony książę nie jest ani członkiem rosyjskiego domu panującego, ani rodziny Romanowów. Wszystkie dynastyczne kwestie powinny być rozstrzygane przez lud rosyjski na rosyjskiej ziemi". Aby ochronić młodego Jerzego przed zgubnym (w Rosji) oskarżeniem, iż chłopiec jest Hohenzollernem, Włodzimierz dokonał prawnej zmiany nazwiska swego wnuka na Romanow i u władz francuskich zarejestrował go jako "Jerzego wielkiego księcia Rosji". To z kolei rozwścieczyło ojca Jerzego, księcia Franciszka Wilhelma, który wówczas rozstał się już z Marią ("pewnego dnia wrócił do domu i znalazł swoje rzeczy na korytarzu" - wyjaśnia przyjaciel). W marcu 1994 roku Franciszek Wilhelm, który pozbył się swego rosyjskiego imienia i tytułu wielkiego księcia, mówił o swoim synu: - Jego niemiecki paszport mam tutaj - wskazuje na kieszeń na piersiach. Zawsze noszę go przy sobie. Napisano w nim, że mój syn Jerzy jest księciem pruskim.

Rodzinnej kłótni na temat kto ma, a kto nie ma prawa do nie istniejącego tronu, kto jest lub nie jest wielkim księciem lub Romanowem, winne są obydwie strony, ale bardziej agresywni okazali się Cyryl, Leonida, Włodzimierz i Maria. Po rewolucji pretendenci do tronu pochodzili jedynie z tej linii, ale to im nie wystarczało. W swoich żądaniach domagali się wsparcia od innych członków rodziny, a gdy go nie otrzymali, postanowili się zemścić. W 1992 roku w związku z pochówkiem jekaterynburskich szczątków wielka księżna Maria napisała do prezydenta Jelcyna. Wypowiadając się o kuzynach bliżej od niej spokrewnionych z carem Mikołajem II, wielka księżna poinformowała Jelcyna, iż "członkowie rodziny Romanowów, potomkowie morgantycznych małżeństw, nie posiadający żadnych związków z domem panującym, nie mają prawa, aby wypowiadać się w tej kwestii. Mogą jedynie, jak wszyscy Rosjanie, udać się na grób i pomodlić". Tamtego lata siedmiu najstarszych książąt Romanowów z linii Michajłowiczów i Mikołajewiczów spotkało się w Paryżu, by utworzyć charytatywną organizację, "Fundację Romanowów", która miała między innymi dostarczać do Rosji pomoc medyczną. Na konferencję inaugurującą działalność fundacji przedostali się emisariusze Marii i rozdawali podpisane przez nią oświadczenie stwierdzające, iż "żyjący członkowie domu Romanowów stracili prawo do sukcesji z powodu morgantycznych małżeństw swoich rodziców". W 1994 roku do Petersburga na wystawę poświęconą Mikołajowi i Aleksandrze zaproszono czterech książąt Romanowów oraz Marię. Maria odmówiła przyjazdu, a następnie z sekretariatu Leonidy przyszła wiadomość, że jej cesarska wysokość Leonida wielka księżna Rosji jest głęboko wstrząśnięta nieprawidłowym tytułowaniem książąt na zaproszeniach.

Wcześniej, podczas konferencji prasowej w Jekaterynburgu, na której obecni byli Maria, Leonida i Jerzy, mistrz ceremonii oznajmił: - Na świecie jest tylko trzech Romanowów i wszyscy znajdują się na tej sali. Wielka księżna Maria, czterdziestodwuletnia kuratorka tronu, mieszka wraz z synem w położonej w cieniu drzew willi, na lesistych wzgórzach okalających Madryt. W domu tym mieszka także sześćdziesięcioletnia siostra Marii, Helen Kirby. (Maria i matka Heleny, Leonida, większość czasu spędzają w Paryżu. )

" Oczywiście, istnieje znacznie więcej niż trzech Romanowów. Jednym z nich, którego istnienie sprawia, że inni czują się nieco niepewnie, jest Pam R. Ilyinsky, obywatel amerykański, były pułkownik amerykańskiej marynarki, obecnie burmistrz w Palm Beach na Florydzie. Sześćdziesięciosiedmioletni Ilyinsky jest synem wielkiego księcia Dymitra i Audrey Emery. Urodził się w Anglii i gdy był jeszcze dzieckiem, kużyn jego ojca, Cyryl, pretendent do tronu, nadał mu książęcy tytuł (chłopiec nazywał się odtąd Yawel Romanowiliński). Z powodu rozwodu rodziców (miał wówczas dziewięć lat) i po śmierci ojca miał czternaście) młodość Yawła upłynęła u boku matki. Ukończył średnią szkołę w Wirginii i rozpoczął studia na uniwersytecie stanowym. Następnie rozpoczął samodzielne życie jako Yam II. Ilyinsky. Wstąpił do marynarki (dzięki czemu otrzymał obywatelstwo amerykańskie), co z kolei wymagało zrzeczenia się tytułu, i został awansowany na oficera, służył w KDTĆ1 1 Ć1d. Szczęśliwie do rezerwy w randze pułkownika. Ożenił się, ma czworo dzieci i liczne wnuki, przez pewien czas pracował w pośrednictwie nieruchomości jako fotograf. Zaczynając od kolekcji pozostawionej mu przez ojca stworzył olbrzymią armię ołowianych żołnierzy, a w skrzydle domu w Palm Beach znajduje się jedna z najwspanialszych kolekcji kolejek elektrycznych. Pam Ilyinsky przyjaźnie odnosi się do swojego kuzyna Włodzimierza, który w przeszłości odwiedził go w Palm Beach, odnosi się też z sympatią do innych książąt z rodziny Romanowów. Jednakże, bez względu na to, jakie przyjąłby nazwisko, jest Romanowem, i interpretując starorusyjskie prawo sukcesji na własną korzyść - jak czynią wszyscy współcześni Romanowowie - mógłby zostać jeszcze jednym pretendentem. Jako mężczyzna z pewnością miałby pierwszeństwo przed Marią - córką Włodzimierza. Ilyinsky jest prawnukiem cara (Aleksandra II), podczas gdy książę Mikołaj Romanow jest praprawnukiem cara (Mikołaja I). Przed rewolucją ojciec Ilyinskiego był wielkim księciem, czym nie może się poszczycić żaden ze współcześnie żyjących Romanowów. Błąd w tym rozumowaniu polega na tym, że jest owocem morganatycznego małżeństwa, lecz przecież dotyczy to wszystkich współcześnie żyjących Romanowów. Zastanawiając się nad tym Pam R. Ilyinsky mówi z uśmiechem: -

Jestem Amerykaninem i piastuję już peWien urząd publiczny, na który Zostałem wybrany.  
Jestem burmistrZem.

W holu madryckiej willi wisi portret prapradziada, cara Aleksandra II, pod którym wielka księżna lubi pozować do zdjęć z gośćmi. W salonie nad kominkiem znajduje się wielki portret panny Kirby. Najważniejszą osobą w domu jest Maria. Jest krępa, jej owalną twarz otaczają czarne loki spięte w kok. Mówi po angielsku z oksfordzkim akcentem, równie płynnie włada rosyjskim. W wywiadach, udzielanych w Rosji i na zachodzie, odpowiedzi udziela ostrożnie, lecz są one wyćwiczone. Czasami odrzuca wyszukany język i wyraża się bardziej otwarcie. Wielu emigrantów rosyjskich nie uznających prawa Włodzimierza do tronu darzyło go sympatią; to samo można powiedzieć o jego córce. Na pytanie, czy rosyjski rząd i lud przywrócą monarchię odpowiada, że nie wie. - Trudno powiedzieć - mówi. - Przypuszczam, że mówią tak: "Ona albo wróci, albo nie wróci. Więc utrzymujmy z nią stosunki i bądźmy dla niej mili, bo nie wiadomo, co będzie". Gdy jeździmy do Rosji, zawsze odnoszą się do nas uprzejmie i z wielkim szacunkiem. Latem 1993 roku popłynęliśmy Wołgą na dwumiesięczną wycieczkę, odwiedzając trzydzieści miast. W portach i na nadbrzeżach oczekiwało nas mnóstwo ludzi, a wielu z nich pytało: "Czy do nas wrócisz? Czy nam przebaczysz?". Myślę, że wielu z nich opowiada się za monarchią. Ale nie jestem prorokiem. Być może wrócimy już za kilka miesięcy, w przyszłym roku, a może dopiero za dziesięć lat. Więc jeździmy tam, aby jak najlepiej poznać nasz kraj i zobaczyć, czy możemy pomóc, nie chcąc - w każdym razie nie od razu - zasiąść na tronie. Maria nie zamierza rozpamiętywać przeszłości: - Należy przebaczyć, ale nie wolno zapomnieć - oświadcza. Na temat jekaterynburskich szczątków mówi: - Wiążące będą dla mnie wyniki śledztwa rosyjskiej komisji rządowej i decyzje rosyjskiego rządu. Mam nadzieję, że patriarcha wkrótce kanonizuje rodzinę oraz wszystkich męczenników rewolucji. Maria jest w dobrych stosunkach z Aleksym II, patriarchą rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. - Za każdym razem, gdy jedziemy do Rosji, przyjmuje nas niezwykle uprzejmie - mówi. - Myślę, że wierzy, że będziemy mogli dobrze współpracować. Maria nie przejmuje się oskarżeniami kierowanymi pod adresem cerkwi przez Cerkiew na Obczyźnie, iż jest zdominowana przez byłych agentów KGB. - W tamtym okresie ktoś musiał podtrzymać cerkiew przy życiu, i to, że w Rosji nadal istnieje kościół, zawdzięczamy właśnie tym duchownym, którzy pozostali w Rosji. Uważam, że absurdem jest, aby niewielka grupka duchownych z zagranicy mówiła im: "Idźcie sobie, a my zajmiemy wasze miejsce". Uważam, że kiedyś Cerkiew na Obczyźnie miała rację bytu, ale teraz sytuacja się zmieniła. Gdy tematem rozmowy staje się podział w rodzinie Romanowów, Maria wydaje się rozdrażniona. Jeżeli będą się stosować do naszych praw, nikt

nie zaprzeczy, że są Romanowami - mówi o swoich kuzynach. - Natomiast inną sprawą jest kwestia tytułu. Jeżeli chcą być Romanowami i godnie reprezentować rodzinę, to dobrze, ale niepotrzebne im są do tego tytuły. Nazwisko zupełnie wystarczy. Rozumiem, że ponieważ ich rodzice postąpili w sposób niewłaściwy, znajdują się w trudnym położeniu. Ich rodzice ożenili się z kobietami niższego stanu, a żony i dzieci przyjęły nazwisko Romanow. I to wszystko. Nie mogę zmienić naszych praw. Przypuszczam, że widząc, że w Rosji dzieje się coś ważnego, pomyśleli sobie: "Aha! Możemy coś z tego mieć". Podczas naszej rozmowy towarzyszyli nam panna Kirby i Wielki książę Jerzy. Jerzy wypił herbatę, zjadł kawałek tortu i przeprosił nas wyszedł, aby pojeździć w ogrodzie na rowerze. Spytałem jego matkę, jak wyobraża sobie jego przyszłość. - On wie, że jest carewiczem. Często o tym rozmawiamy. Uczęszcza do angielskiej szkoły w Madrycie. Jego kolegami są dzieci dyplomatów i biznesmenów. Prosiłam, aby zwracano się do niego jakby był zwykłym chłopcem, toteż mówią do niego, "Jerzy". Mam nadzieję, że w przyszłości służyć wojskową Odbędzie w Rosji. W pewnej chwili Maria mówi jednak, że Jerzy, aby zasiąść na tronie, będzie musiał poczekać na swoją kolej: Jak pan wie, jestem głową rodziny. Powinniśmy najpierw dowiedzieć się, czego pragnie nasz kraj. Obecnie to ja powinienam zasiąść na tronie. Więc zanim przyjdzie kolej na Jerzego, moja ojczyzna musiałaby powiedzieć "nie chcemy na tronie kobiety".

Książę Mikołaj Romanow (z wyjątkiem Marii i Leonidy) przez wszystkich członków rodziny uznawany jest za najważniejszą w niej osobę. Spotykam go na stacji w Gstaad w Szwajcarii. Jest ciepły, wiosenny dzień. Wysoki, krzepki i uśmiechnięty książę wyciąga do mnie rękę na powitanie. - Aby dojechać do mego domu, potrzebowalibyśmy taksówki - mówi. A oto i ona: taksówka Romanowów. Wsiadamy do starego poobijanego samochodu, tak małego, że Mikołaj nie mieści się w fotelu kierowcy. Zajeżdżamy przed niewielki budynek, w którym książę wraz z żoną zamieszkał po przeprowadzce z Włoch. Gdy już się przeprowadził okazało się, że mieszkanie jest zbyt małe, aby pomieścić jego bibliotekę, co zmusiło go do kupienia garsoniery piętro niżej. Obecnie znajdują się tam sterty książek, z którymi większość dotyczy historii Rosji. Jeżeli wielka księżna Maria nie ma prawa do rosyjskiego tronu, z pewnością przysługuje ono siedemdziesięcioletniemu Mikołajowi Romanowowi. Małżeństwo jego rodziców było morganatyczne, podobnie jak - jego zdaniem - małżeństwo rodziców Marii. Toteż prawo do tronu przysługuje Mikołajowi, ponieważ jest mężczyzną. Tymczasem Mikołaj nie zamierza być pretendentem i nie wierzy, aby monarchia mogła rozwiązać problemy współczesnej Rosji. Pewien dziennikarz z Sankt Petersburga spytał go niedawno, jakim byłby carem. - Drogi panie - odparł Mikołaj - to pan nic nie wie? Jestem

republikaninem. Mikołaj Urodził się w 1922 roku na południu Francji, w pobliżu miejsca, w którym mieszkał jego stryjeczny dziadek, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. Wielki książę nie miał dzieci, toteż Mikołaj i jego o cztery lata młodszy brat Dymitr są jedynymi mężczyznami w tym pokoleniu Mikołajewiczów. W 1936 roku jego rodzina przeprowadziła się do Rzymu, gdzie królową Włoch była siostra jego babki. Choć w 1940 roku Mikołaj miał osiemnaście lat, gdy wybuchła wojna, nie został powołany do Wojska, ponieważ nie posiadał obywatelstwa, a tylko "dokument podróży". W 1944 roku po wkroczeniu do Rzymu aliantów Mikołaj przyłączył się do brytyjsko-amerykańskiej jednostki prowadzącej wojnę psychologiczną. - Romanow, proszę nauczyć się angielskiego - oświadczył mu jego angielski pułkownik. Mikołaj, który władał już rosyjskim, francuskim i włoskim, starał się jak mógł. W 1946 roku, tuż przed referendum, które przekształciło Włochy z królestwa w republikę, Mikołaj, jego rodzice i brat wyjechali do Egiptu. Tam Mikołaj zakochał się we władającej angielskim Egipcjance. - Mój angielski poprawił się w mgnieniu oka - wspomina. w Rosji. W 1950 roku, w drodze do Genewy, gdzie zamierzał szukać pracy w jednym z nowych biur ONZ, zatrzymał się w Rzymie i poznał hrabinę Swewę Ghenniśmy. Oświadczył jej się po niespełna miesiącu. Swewa przyjęła jego oświadczenia, ale jej ojciec postawił warunek: "Najpierw znajdź pracę". Chciałaby Mikołaj zaczął w Rzymie od sprzedawania samochodów marki Austin. W trzy lata później niemal jednocześnie umarli jego teść i brat matki, pozostawiając toskańskie winnice bez opieki. - Nie były szczególnie duże, ale gatunek wina był dobry - mówi Mikołaj. Więc zacząłem się nimi opiekować i to właśnie robiłem przez większą część życia. Oprócz zajmowania się winnicami Mikołaj poświęcił się czytaniu historycznych książek i z czasem nabrał wiele sympatii do swego imiennika Mikołaja II. A oto i - Był czarującym niezwykle wrażliwym, nieszczęśliwym człowiekiem - mówi tak książę Mikołaj. Mówiono o nim, że jest niezdecydowany, że często zmienia zdanie, że nigdy nie dotrzymuje słowa. Częściowo było to spowodowane charakterem, ale winę ponosił też system. Przypuśćmy, że jest pan ministrem edukacji, przychodzi pan do cara i mówi: "Wasza cesarska mość, musimy zbudować dwanaście rosyjskojęzycznych szkół w Tadżykistanie, w przeciwnym razie młodzi chłopcy słuchać będą tylko mułłów". Na co Mikołaj powiedziałby: "To świetny pomysł, zrobmy to". Na następną audiencję przychodzi minister finansów i Mikołaj mówi: "A, właśnie! Nakazałem wybudować w Tadżykistanie dwanaście nowych szkół". Na co minister odpowiada: "To dobry pomysł. Ale skąd weźmiemy fundusze?" "Ach - mówi car - jakoś sobie z tym poradzimy". "To nie takie proste, wasza wysokość - mówi minister. Musimy spłacić Francuzom pożyczkę, nogliśmy też lepiej wyposażyć artylerię. Szczerze mówiąc, nie mamy pieniędzy". Car jest strapiiony: "Więc nie możemy tego zrobić?" "Nie teraz - mówi minister finansów. Może później. To przecież

znakomity pomysł". Więc przy następnym spotkaniu z ministrem edukacji car mówi: "Pański pomysł dotyczący szkół był świetny, ale na razie nie możemy go wcielić w życie". A minister edukacji pisze w swoim dzienniku, a potem w pamiętnikach, że car po raz kolejny złamał słowo. - Winny był system - ciągnie Mikołaj Romanow lat dziewięćdziesiątych. Gdyby Mikołaj II przewodniczył posiedzeniom rady ministrów, na tym samym posiedzeniu dowiedziałby się o potrzebie budowy szkół i braku pieniędzy. Prawdopodobnie powiedziałby wtedy: "Więc zacznijmy chociaż od budowy trzech szkół, a następnie zbudujemy potem". Ale Mikołaj, jako władca autokratyczny, powinien był wszystko wiedzieć i sam podejmować każdą decyzję. I choć autokracja była w Rosji czymś zrozumiałym za rządów Piotra Wielkiego, to w czasach Mikołaja II okazała się nieskuteczna. To prowadzi Mikołaja Romanowa do pytania o monarchię w dzisiejszych czasach: Rzecz, której jestem pewien, to to, że ci którzy mówią o monarchii w dzisiejszej Rosji, nie wiedzą, o czym mówią. To po prostu nie do pomyślenia, niezgodne z duchem czasu. Mówi się, że taki symbol rzekomo zjednoczy wszystkich Rosjan - to nonsens. Może zjednoczyć Rosjan na jakiś czas, na chwilę, ale wszystko runie, gdy pojawią się pierwsze problemy. Ludzie za wszystko winić będą głowę państwa, a osoby tej nie będzie można się pozbyć. I właśnie dlatego uważam, że Rosja powinna być republiką i mieć prezydenta. Ponieważ od czasu do czasu musimy mieć możliwość zmiany człowieka na szczycie. Tak jak się to stało z Gorbaczowem. Z Jelcynem będzie podobnie. Dla kraju najważniejsze jest, aby zmiany następowały bez rozlewu krwi. A co Mikołaj myśli o monarchii konstytucyjnej? - Nie wydaje mi się, aby monarcha konstytucyjny, będący jedynie symbolem jedności narodu, był potrzebny, ponieważ w Rosji nie ma tradycji konstytucyjnych. Najpierw zatroszczyliśmy się o to my, Romanowowie, a potem nasi następcy - komuniści. Tradycja konstytucyjna rodzi się dopiero teraz. Są wybory, w parlamencie różne partie dochodzą do kompromisów. Tak, czasami wybierani są niewłaściwi ludzie, ale to jest właśnie demokracja. Teraz wszyscy są przerażeni, ponieważ jakiś szaleniec o nazwisku Żyrynowski zdobył dwadzieścia pięć procent głosów i wydaje zatrważające oświadczenia. Czy ktokolwiek na zachodzie rozumie, dlaczego ludzie na niego głosowali? Weźmy Rosjanina w moim wieku, który ma dziś siedemdziesiąt trzy lata. Jako żołnierz w wieku dwudziestu dwóch czy dwudziestu trzech lat pokonał największą armię świata, niemiecki Wehrmacht. Przeszedł szlakiem bojowym z Moskwy do Berlina, na szczycie Reichstagu zatknął czerwony sztandar. Przez całe życie był z tego dumny. A dziś, w pięćdziesiąt lat później, co robi ten żołnierz? Żyje z emerytury, której wystarczy na przeżycie zaledwie dwóch czy trzech dni. Czy spodziewa się pan, że będzie szczęśliwy mając świadomość, jak Rosja zebrze o marki niemieckie i widząc cudzoziemców i rosyjskich kryminalistów mknących po ulicach mercedesami i BMW? - Moim



największym pragnieniem jest - ciągnie Mikołaj Romanow - aby kraj przestał roztrząsać swoją przeszłość. Jestem gotów powiedzieć, że nie obchodzi mnie, czy rozkaz zamordowania rodziny wydał Lenin, Swierdłow, pan Smith czy pan Jones. Ktoś to zrobił. Ludzie tamtej epoki zostali napiętnowani. Ale, na miłość boską, po siedemdziesięciu pięciu latach żyjemy w nowej Rosji. Stoją przed nami ogromne problemy. Więc zapomnijmy o politycznych sporach z przeszłości, zostawmy je historykom. To, czy Lenin był za to odpowiedzialny, czy nie, jest bardzo ciekawe, zgadzam się z tym, ale nie czynię z tego sprawy ważniejszej niż to, co stanie się dziś lub jutro. Co Mikołaj sądzi o pochowaniu jekaterynburskich szczątków? - Myślę, że to rzeczywiście te szczątki, ale ważniejsze jest, abyśmy dzisiaj wszyscy Rosjanie - choćby symbolicznie odpokutowali za tę zbrodnię, czemu dalibyśmy wyraz nad grobem oFiar. A gdy ktoś powie: "Przecież to nie te szczątki i nie ten grób" - czyż pokuta stanie się przez to mniej ważna? Liczy się skrucha a nie grób, gdy zaś tego dokonamy, Rosja będzie mogła pójść na przód. Gdy wspominam o podziale w rodzinie, Mikołaj potrząsa głową: - Włodzimierz ożenił się z kobietą z ludu - mówi. - Leonida pochodzi z jednej z najsłynniejszych kaukaskich rodzin rosyjskiej arystokracji, ale nie przynależy do rodu królewskiego. I cóż z tego? Nasi ojcowie poślubili kobiety z ludu - i cóż z tego? My też ożeniliśmy się z kobietami z ludu, no to co? Ponieważ nikt nie mógł nakazać nam wyrzeczenia się naszych praw, wstępowaliśmy w związki małżeńskie nie wyrzekając się ich. Nasze dzieci nadal mają prawo do rosyjskiego tronu. Takie jest nasze stanowisko. Ani Cyryl, ani Włodzimierz, ani Maria nie chcą się do tego przyznać. Ale nas to nie obchodzi, ponieważ wcale nie zamierzamy rządzić Rosją. Twierdzimy jednak, że Maria, roszcząc sobie prawo do tronu, nie może odebrać nam tego, kim jesteśmy ani tego, kim byliśmy. Nie może siebie stawiać przed nami. Gdy dojdzie do pochówku szczątków carskiej rodziny, a Maria nadal nalegać będzie, aby traktowano ją inaczej niż nas, uważam, że pozostali członkowie rodziny nie powinni brać udziału w pogrzebie. Wówczas bowiem msza, która powinna być pokutą i pojednaniem, stanie się wydarzeniem politycznym. Dziwne jest to nasze rosyjskie prawo zawierania małżeństw. Nasza rodzina na wygnaniu jest pod tym względem bardziej konserwatywna niż współcześnie panujące rodziny królewskie. Gdy w Anglii, Szwecji, Belgii, Holandii lub Danii monarcha lub jego potomek poślubia kogoś z ludu, większość obywateli uważa taki postępek za "politycznie zdrowy". Mikołaj zgadza się z poglądami cesarzowej-wdowy Marii i wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, że ostateczna decyzja należy do rosyjskiego ludu. - To obywatele powinni zdecydować, czy chcą monarchy i kto powinien nim zostać - mówi. - Jeżeli chcą Romanowa, powinni wybrać tego, który im odpowiada. Jeżeli chcą kogoś z innej rodziny, powinni wybrać tamtą osobę. To nie zależy od nas. Książę Mikołaj Romanow jest głową rodziny, prezydentem Fundacji Romanowów,

historykiem i emerytowanym farmerem. Być może jest także kimś więcej, co w niedawnej przeszłości sugerował pewien ekspert od królewskiej genealogii i protokołu. Zgodnie z tradycją królowa Anglii wstaje tylko wtedy, gdy przyjmuje monarchów lub głowy państwa. W niedawnej przeszłości w Londynie, na wystawie biżuterii Faberge, Mikołaj Romanow zbliżył się do Elżbiety II, aby go przedstawić. Na jego widok królowa wstała.

W Rosji 1995 roku znów zaczęła się pojawiać carska symbolika. Rosyjska flaga jest flagą Piotra Wielkiego. Dwugłowy orzeł Romanowów pojawia się na wizach wydawanych przez rosyjski rząd oraz na czapkach rosyjskiej generalicji. Rosyjski ambasador w Kopenhadze, były radziecki dyplomata, na widok księcia Romanowa uniósł do góry ręce i wykrzyknął: - Coś podobnego! Zabili nie tylko cara, ale także cesarzową i dzieci! Zamordowano wszystkich! Jakże to straszne! Podczas uroczystej kolacji w Chicago Anatolij Sobczak, burmistrz Sankt Petersburga, oświadczył, że popiera wielką księżną Marię i jedynie kwestią czasu pozostaje ustanowienie konstytucyjnej monarchii z wielkim księciem Jerzym na tronie. Pomimo odrodzenia symboliki i zainteresowania Romanowami, wydarzenia, o których mówi Sobczak, nie nastąpią w najbliższej przyszłości, ponieważ większość Rosjan nie chce powrotu Romanowów. - Romanowowie nikogo tutaj nie obchodzą - mówi Gelij Riabow, reżyser, który pomógł odnaleźć grób carskiej rodziny. - Dlaczego? Bo ludzie są zmęczeni. Zmęczeni! Chcą żyć spokojnie, jeść, pić, odpoczywać i spać nie troszcząc się o to, że jutro być może znów ktoś będzie strzelał do gmachów rządowych. Podobnego zdania jest Paweł Iwanow, specjalista od badań DNA, który w Anglii pomagał w identyfikacji szczątków Romanowów: - Rosjanie mają inne kłopoty, inne problemy. Życie w Moskwie jest niebezpieczne, a najlepszym interesem w mieście jest sprzedaż stalowych drzwi. W Rosji życie warte jest teraz pięć tysięcy dolarów; tyle kosztuje zabójstwo wytypowanej osoby. W tym kontekście mówienie o rodzinach królewskich i tronach jest niedorzeczne. Irina Pazardiejewa, profesor historii religii na moskiewskim uniwersytecie, tę samą opinię wyraziła bardziej filozoficznie: - Proszę mi wierzyć, dziś w Rosji idea monarchii nie istnieje, dzisiejsi ludzie nie pamiętają "cara baGillszki". Wyrosły trzy a nawet cztery pokolenia, które nie znają takiego wizerunku cara. Pozostał on jedynie w bajkach, należy do historii. być może przetrwał w niektórych kołach inteligentnych, ale to o wiele za mało. Powrót Romanowów? Nie, to jak próba odwrócenia biegu rzeki. Przywrócenie w Rosji monarchii wymagałoby, aby prezydent i parlament - instytucje, które rzadko są tego samego zdania - połączyły swe wysiłki w celu utworzenia trzeciej instytucji, monarchii, która znalazłaby się nad (już dziś słabym) rządem. Mógłby tego dokonać dyktator, jakiś rosyjski Franco, ale Franco sprawował władzę absolutną w Hiszpanii przez czterdzieści lat i o zamiarze

przywrócenia monarchii mówił na wiele lat wcześniej zanim do tego doszło. Rosja nie ma swojego Franco i wcale go nie potrzebuje. Jej eksperyment z demokracją jeszcze się nie zakończył. Demokracja dała Rosji słaby i skłócony rząd, którego równowaga jest tak chwiejna, że nikt nie waży się jej zakłócać. Ciała i szczątki ofiar pozostają nie pochowane z obawy, że akt ten mógłby wywołać polityczne spory: ciało Lenina pływające w środkach konserwujących leży nie tknięte w mauzoleum na Placu Czerwonym, z obawy, że mogłoby to rozjuszyc komunistów; szczątki carskiej rodziny leżą na stołach w jekaterynburskiej kostnicy, aby nie zaszkodzić Cerkwi Prawosławnej. Rząd tak bezsilny, że nie jest w stanie pochować pozostałości po monarchii, nie może - i nie należy tego od niego oczekiwać - znaleźć się, aby ją wskrzesić.

## CZEŚĆ CZWARTA: Dom Ipatiewa

### 20. Siedemdziesiąt osiem dni

Przez siedemdziesiąt osiem dni cara, jego rodzinę i służbę więziono na piętrze domu Ipatiewa. Sypialnia Mikołaja i Aleksandry, wyklejona blado-żółtą tapetą, znajdowała się od frontu; stały w niej dwa łóżka, kanapa, dwa stoły, lampa, biblioteczka oraz bielizniarka, w której trzymano wszystkie ubrania. Cztery córki i trzynastoletni syn mieszkali w pokoju wyklejonym różową tapetą w zielone kwiatki (później łóżko Aleksego przeniesiono do pokoju rodziców). pokój służącej, Anny Demidowej, znajdował się w tylnej części domu. Doktor Botkin sypiał w salonie, a Trupp i Charitonow na korytarzu. Na piętrze zawsze znajdowało się dwóch lub trzech uzbrojonych wartowników, których więźniowie mijali w drodze do łazienki. Od ulicy dom odgradzała drewniana, czterometrowa palisada. Ze swoich pokoi więźniowie widzieli jedynie wierzchołki drzew. Życie toczyło się monotonnie. Wstawali o dziewiątej, o dziesiątej jedli czarny chleb popijając go herbatą. Rano i wieczorem odmawiali modlitwy i wspólnie czytali ewangelię. Drugie śniadanie jedli o pierwszej, obiad pomiędzy czwartą a piątą, podwieczorek o siódmej, a kolację o dziewiątej. Zazwyczaj po podwieczorku Mikołaj czytał swojej rodzinie. W pierwszych dniach po przybyciu do Jekaterynburga była to księga Hioba. Ci, którzy chcieli, mieli prawo do dwóch półgodzinnych spacerów, rano i wieczorem.

Na Syberii nadal była wczesna wiosna. Gdy Mikołaj, Aleksandra i Maria przybyli z Tobolska, Aleksandra cieszyła się, że długa zima dobiega końca: "Pogoda cudowna, było ciepło i słonecznie", zapisała 30 kwietnia, w dniu przybycia do domu Ipatiewa. Następne dni przeważnie również były przyjemne: "Jest pięknie, ciepło i słonecznie, ale wietrznie. . . Cudowne jasne słońce. . . Słońce i płynące chmury. . . Wspaniały ciepły poranek. . . Siedziałam w ogrodzie w podmuchach ciepłego wiatru. . . Wspaniały świetlisty poranek". Jednak 25 maja zapisała, że "padał gęsty śnieg", a następnego dnia "wszystko było pokryte śniegiem. Po 15 maja, gdy przebywali w domu, niełatwo było im obserwować słońce, chmury i śnieg. Jakiś starzec wszystkie okna pomalował od zewnątrz na biało - zapisała tego dnia Aleksandra w swoim dzienniku. - Więc tylko tuż pod górną krawędzią okna widać skrawek nieba i coś, co przypomina gęstą mgłę". Następnego dnia inny mężczyzna zamalował z zewnątrz termometr. W cztery dni później dowódca strażników "zeskrobał farbę z termometru i znowu widać na nim stopnie" - zanotowała cesarzowa.

23 maja Olga, Tatiana, Anastazja, Aleksy i marynarz Nagorny (który przez pięć lat nosił carewicza, gdy ten nie mógł chodzić) przyjechali z Tobolska. "To taka radość być znowu razem" - pisała Aleksandra. Tamtego dnia, ponieważ zabrakło łóżek, cztery wielkie księżne spały na rozłożonych na podłodze płaszcach i poduszkach. Radość, że wszyscy znowu są razem, została przytępiona przez chorobę carewicza. "Dziecko budziło się co godzinę z powodu bólu; idąc do łóżka poślizgnęło się i stłukło kolano - zapisała cesarzowa. - Wciąż nie może chodzić, trzeba go nosić. Stracił już siedem kilogramów". Od tamtego dnia aż do końca myśli matki zdominowane były chorobą Aleksego.

24 maja. Razem z dzieckiem jadamy posiłki w naszej sypialni; ból to przybiera na sile, to słabnie. . . Włodzimierz Mikołajewicz [lekarz carewicza doktor Dereweńko, któremu pozwolono zamieszkać w mieście i od czasu do czasu odwiedzać pacjenta] przyszedł, aby zmienić kompresy. . . Dziecko spało w pokoju z Nagornym. . . Znowu miało złą noc. . .

25 maja. Wylew nieco zmalał, ale bóle są nadal silne.

27 maja. Dziecko znowu miało złą noc. Eugeniusz Sergiejewicz [doktor Botkin] czuwał przy nim w nocy, aby Nagorny mógł się wyspać. Czuje się lepiej, choć bóle nie ustępują. O pół do siódmej zabrano Sedniewa [kuchcika] i Nagornego; nie wiem dlaczego. . . [doktor Botkin] przez całą noc czuwał przy dziecku.

28 maja. Dziecko spało spokojnie, choć budziło się co godzinę - bóle są słabsze. Pytałam, kiedy Nagorny zostanie do nas dopuszczony. . . Nie wiem, jak sobie bez niego poradzimy. . . Przez pewien czas dziecko bardzo cierpiało. Po kolacji zanieśliśmy je do pokoju. bóle stały się silniejsze.

30 maja. Dziecko spało dobrze, spędziło noc w naszym pokoju. Bóle bardzo rzadkie. [Doktor Dereweńko] zauważył, że wylew w kolanie zmniejszył się o centymetr. Przed obiadem bóle przybrały na sile, zanieśliśmy dziecko do pokoju.

2 czerwca. Dziecko trochę spało, grałam z nim w karty. . . Po kolacji Trupp i Charitonów zanieśli je do pokoju.

4 czerwca. Wylew znacznie mniejszy, być może jutro będzie można dziecko wynieść na dwór.

5 czerwca. Wspaniały poranek. Dziecko nie spało dobrze, bolała je noga, ponieważ. . . [doktor Dereweńko) wyjął ją wczoraj z gipsu, który usztywniał kolano. . . [Doktor Botkin] wyniósł dziecko na zewnątrz i posadził na wózku, razem z Tatianą siedziałyśmy z nim na słońcu. Potem poszło do łóżka, noga bolała je z powodu ubierania i noszenia. O szóstej wieczorem [doktor Dereweńko] ponownie założył gips, ponieważ kolano jest bardziej nabrzmiałe i znowu boli.

Gdy krwawienie ustało i krew w kolanie Aleksego została wchłonięta, bóle częściowo ustąpiły i chłopiec mógł wyprostować nogę. Przy dobrej pogodzie wynoszono go przed dom na słońce. "Siedziałam dziś z dzieckiem, Olgą i Anastazją przed domem - zapisała Aleksandra. - Wysłałam na dwór z dzieckiem, Tatianą i Marią. . . Zawiozłyśmy dziecko do ogrodu i siedzieliśmy tam przez godzinę. Było bardzo ciepło; wokół nas kwitł bez i nieduże kapryfolium".

Aleksandra, podobnie jak Aleksy, była unieruchomiona. Nie mogła chodzić z powodu ischiasu, toteż leżała w łóżku lub siedziała w swoim pokoju na wózku. Nie mogąc oglądać świata przez zamalowane na biało okna haftowała, rysowała, czytała Biblię i modlitewniki lub Żywot świętego Serafina z Sarowa. 28 maja zapisała: "Po raz pierwszy przycięłam Mikołajowi włosy", a 20 czerwca "znowu przycięłam włosy M.". Aleksandrą opiekowały się jej córki: "Maria czytała mi po podwieczorku. . . Maria umyła mi włosy. . . Tatiana mi czytała. . . Anastazja mi czytała. . . Gdy inni wyszli, pozostała ze mną Olga". Cesarzowa cierpiała na częste migreny: "Pozostałam dziś w łóżku, ponieważ miałam zawroty głowy i bolały mnie oczy. . . Leżałam z zamkniętymi oczami, lecz głowa nadal bolała. . . Przez cały dzień leżałam z zamkniętymi oczami, wieczorem ból głowy przybrał na sile". Mikołaj czuł się jak zwierzę uwięzione w klatce. Nie mogąc wyjść na zewnątrz, przechadzał się po pokoju, tam i z powrotem. W pewien ciepły czerwcowy wieczór zapisał w dzienniku: "To nie do zniesienia przebywać w zamknięciu i nie móc wyjść do ogrodu, gdy chciałoby się tam spędzić wieczór". Był zmęczony, miał coraz bardziej podkrążone oczy. "Ta nuda - napisał - jest nie do wytrzymania". Z powodu hemoroidów przez trzy dni leżał w łóżku "gdyż tak wygodniej jest stosować kompresy". Aleksandra i Aleksy siedzieli przy jego łóżku podczas drugiego śniadania, podwieczorku i kolacji. Po dwóch dniach wstał i wyszedł na dwór. "Trawa jest bujna i soczysta", zapisał.

Z powodu izolacji od świata zewnętrznego - nie wiedzieli nawet o takich wydarzeniach jak śmierć Nagornego - rytm życia więźniów wyznaczały poprawa lub pogorszenie się ich stanu

zdrowia i kaprysy pogody. Nie zwracano uwagi na urodziny, choć w czasie pobytu w domu Ipatiewa wypadły cztery rocznice: 19 maja Mikołaj ukończył pięćdziesiąt lat; 6 czerwca Aleksandra skończyła czterdzieści sześć lat; 13 czerwca Mikołaj zapisał: "Droga Anastazja ukończyła siedemnaście lat"; a 27 czerwca zanotował: "Nasza droga Maria ma już dziewiętnaście lat". Monotonie życia od czasu do czasu przerywały błahe wydarzenia, na przykład na początku maja otrzymali paczkę. "Dostaliśmy czekoladę i kawę od Elli [siostry Aleksandry, wielkiej księżnej Elżbiety]" zanotowała cesarzowa. "Elli wywieziono z Moskwy, teraz przebywa w Permie". Następnego ranka cesarzowa napisała: "Filiżanka kawy to wspaniała rzecz". Czasami wyłączano prąd. "Kolacja, trzy świece w szklankach; karty przy jednej świecy". 4 czerwca zapisała, że nowy władca Rosji posiada władzę nawet nad zegarem: "Lenin wydał rozkaz, że zegary mają zostać przestawione o dwie godziny naprzód (oszczędność elektryczności), więc o dziesiątej powiedziano nam, że jest dwunasta". Mijały dni, a więźniowie od cara po kucharza coraz bardziej stawali się jedną rodziną. Botkin, który był bardziej starym przyjacielem niż służącym, po kolacji często siadywał z Mikołajem i jego żoną przy stole, aby porozmawiać i pograć w karty. Za dnia, gdy Aleksandra i Aleksy nie mogli opuścić domu, dotrzymywał im towarzystwa. Po zniknięciu Nagornego niekiedy sypiał w pokoju carewicza i wraz z Mikołajem, Truppem i Charitonowem wynosił go na dwór. 23 czerwca Botkin dostał ataku kolki, co wymagało natychmiastowego zastrzyku morFiny. Chorował przez pięć dni; gdy mógł już siedzieć na krześle, towarzystwa dotrzymywała mu Aleksandra. Gdy zachorował Sedniew, kuchcik, Aleksandra doglądała go i mierzyła mu gorączkę. Cztery wielkie księżne robiły, co mogły. Tatiana i Maria czytały matce i grały z nią w brydża. Tatiana grała w karty z Aleksym i w czasie jego choroby sypiała w jego pokoju. Olga, najbliższa Mikołajowi, spacerowała z ojcem dwa razy dziennie. Wszystkie cztery pomagały Demidowej w cerowaniu skarpetek i bielizny. Pod koniec czerwca Charitonow zaproponował, aby wszystkie dzieci pomogły mu w pieczeniu chleba. "Dziewczęta miesiły ciasto na chleb - zanotowała Aleksandra. - Dzieci pomagały przy formowaniu chleba, który teraz się piecze. . . Wspaniały chleb. . . Codziennie pomagają w kuchni. . . "

Nastały czerwcowe upały, gwałtowne burze z błyskawicami, ulewne deszcze, a potem zza chmur wychodziło słońce i robiło się jeszcze goręcej. 6 czerwca Aleksandra zapisała: "Jest bardzo gorąco, w pokojach panuje nieznośny zaduch". Ciepło dochodzące z kuchni pogarszało tę sytuację: "Charitonow musi teraz gotować - zapisała 18 czerwca. Jest bardzo gorąco i duszno, bo żadne okna się nie otwierają i kuchenne zapachy przedostają się wszędzie". 21 czerwca napisała: "Siedziałam w ogrodzie, w cieniu, było gorąco. Pozwolono nam o pół

godziny dłużej pozostać na dworze. W pokojach jest bardzo gorąco i duszno". Aby więźniowie nie mogli uciec ani porozumiewać się ze światem zewnętrznym, z rozkazu Uralskiej Rady Robotniczej wszystkie na biało zamalowane okna były zamknięte. Mikołaj usiłował cofnąć ten nakaz: "W porze podwieczorku przyszło sześciu mężczyzn, prawdopodobnie z Rady Robotniczej, aby zdecydować, które okna można otworzyć - zapisał w swym dzienniku 22 czerwca. - Rozwiązanie tej sprawy trwało niemal dwa tygodnie! Różni mężczyźni pojawiali się tutaj i w milczeniu w naszej obecności przyglądali się oknom". Car cieszył się z odniesionego sukcesu. "Dwóch żołnierzy wyjęło jedno z okien w naszym pokoju - napisała Aleksandra 23 czerwca. - To taka radość; powietrze wspaniałe, a na dodatek okno nie jest zamalowane na biało". "Zapachy z miejskich ogrodów są cudowne" - zapisał Mikołaj. Aleksy siedział w słońcu, podczas gdy car i jego córki spacerowali spokojnie pod czujnym okiem strażników. Ich sposób myślenia o rodzinie z czasem zmienił się. "Ich obraz na zawsze pozostanie w mojej duszy" - mówił później Anatol Jakimow, jeden ze strażników, który został schwytany przez białych.

Car nie był już młody, miał siwiejącą brodę. . . Ubrany w żołnierską koszulę, przepasany oficerskim pasem. Koszula szarozielona, podobnie jak spodnie. Zniszczone buty. W jego oczach była dobroć. . . i odniosłem wrażenie, że to poczciwy, dobry, szczerzy i rozmowny człowiek. Niekiedy wydawało mi się, że zamierzał się do mnie odezwać, wyglądało to tak, jakby chciał z nami porozmawiać.

Natomiast caryca była zupełnie inna. Patrzyła na wszystkich groźnie i zachowywała się wyniośle i dostojnie. Rozmawialiśmy o niej czasami i zgodziliśmy się, że różniła się od niego i wyglądała zupełnie jak prawdziwa caryca. Wydawała się starsza od męża. Miała na skroniach siwe włosy, a twarz nie była już twarzą młodej kobiety. . . Wszystkie złe myśli o carze z czasem zniknęły. Ponieważ widywałem ich tak często, zacząłem myśleć o nich zupełnie inaczej, zacząłem im współczuć. Współczułem im jako ludziom. Taka jest prawda. Możecie mi wierzyć lub nie, ale powtarzałem sobie: Pozwól im uciec. . . Zrób coś, aby mogli uciec.

4 lipca ("piękny poranek, rześkie powietrze, niezbyt gorąco") władzę nad domem Ipatiewa przejął człowiek, nazwany przez Mikołaja "mrocznym". Mężczyzną tym, o ciemnych oczach, ciemnych włosach i czarnej brodzie, w czarnej skórzanej kurtce, był dowódca czekistów Jakow Jarowski. Tego samego dnia Aleksandra zapisała, że Aleksy czuje się lepiej: "Dziecku dopisuje apetyt i noszenie go staje się coraz trudniejsze. coraz łatwiej porusza nogą. To okrutne, że nie



chęć nam oddać Nagornego". Pojawienie się Jurowskiego nieco poprawiło sytuację więźniów. Sprowadzeni przez niego nowi wartownicy byli bardziej zdyscyplinowani, skończyło się zaczepianie wielkich księżnych udających się do toalety. Notatka Aleksandry z 13 lipca kończyła się optymistycznie: "Piękny poranek. Przez cały dzień, podobnie jak wczoraj, leżałam w łóżku, bo przy każdym ruchu bolał mnie krzyż. Pozostali dwukrotnie wyszli na dwór. Po południu była ze mną Anastazja. Podobno Nagornego. . . zamiast przesłać do nas odesłano gdzieś indziej. O pół do siódmej rano po raz pierwszy od przyjazdu z Tobolska dziecko zostało wykąpane. Sam wszedł i wyszedł z wanny, potrafi też położyć się i wstać z łóżka, choć na razie może stać tylko na jednej nodze". W niedzielę 14 lipca opisała "radosne nieszpory" i drugie odwiedziny popa. Ojciec Storożew po raz pierwszy odwiedził więźniów w maju i Jurowski zgodził się na jego ponowną wizytę. Jego przyjścia oczekiwała cała rodzina: Aleksy siedział na wózku matki; obok, w liliowej sukni, siedziała Aleksandra; Mikołaj w polowym mundurze stał obok córek ubranych w białe bluzki i ciemne spódnice. Gdy zaczęło się nabożeństwo, upadł na kolana.

Przyjaciółka Aleksandry przysłała z Tobolska wiersz dedykowany Aleksandrze i Oldze. Podczas pobytu w domu Ipatiewa Olga przepisała go i włożyła do jednej z książek. Tam właśnie odnaleźli go biali:

Panie, daj nam, dzieciom Twoim, siłę Abyśmy w dniach złych i burzliwych Przetrwali prześladowania naszego ludu. Sprawiedliwy Boże, pragniemy godnie nieść krzyż; Pomóż nam przebaczyć oprawcom I dostąpić Twojej łaski. Znieważani i poniewierani zwracamy się ku Tobie O pomoc, Zbawicielu, Bo czeka nas ciężka próba. Panie Świata, Panie Stworzenia, W tej ciężkiej godzinie pobłogosław nas, Przynieś spokój naszym sercom. Stojąc na progu grobu prosimy: Tchnij boską moc w glinę, z której powstaliśmy, Abyśmy mieli dość sił modlić się Za dusze nieprzyjaciół.

We wtorek, 16 lipca, po szarym ranku nastął piękny dzień. Rodzina modliła się, potem wypito herbatę. Jurowski pojawił się, żeby wszystko sprawdzić i wyjątkowo przyniósł świeże jaja i mleko. Aleksy był nieco zaziębiony. Mikołaj, Olga, Maria i Anastazja wyszły rano na półgodzinny spacer, a Tatiana pozostała z matką, aby czytać jej Księgi Proroctwa Amosa i Abdiasza. O czwartej po południu Mikołaj i jego cztery córki znów spacerowali w ogrodzie. O ósmej rodzina zjadła kolację i zmówiła pacierze; Olga, Tatiana, Maria i Anastazja poszły do swego pokoju, Aleksy położył się do łóżka w pokoju rodziców. Aleksandra grała jeszcze z

Mikołajem w bezika. O półdo jedenastej zapisała w dzienniku, że było chłodno ("15 stopni").  
Potem wyłączyła światło, położyła się obok męża i zasnęła.

## Podziękowania i bibliografia

Źródła informacji o Mikołaju II zamieszczone są w bibliografii mojej wcześniejszej książki zatytułowanej Mikołaj i Aleksandra. Przy pracy nad tą nową książką z wielką Uwagą jeszcze raz przeczytałem pracę Mikołaja Sokołowa Enqzcee, jzcdiciaire sur i Assassinat de la Famille Imperiale Rzcsse oraz Ostatnie dni cara Pawła Bykowa. Gdy pracowałem nad pierwszą książką, nie odnaleziono jeszCZe notatki JUrowskiego, i podobnie jak inni, zbytnio ufałem wnioskowi Sokołowa na temat zniszczenia ciał. Relacja Jurowskiego po raz pierwszy została ujawniona w 1989 roku przez Edwarda Radzińskiego i włączona do jego książki Ostatni car opisano w niej rzeczywisty przebieg wydarzeń oraz pomoc, jakiej Radziński udzielił Awdoninowi i Riabowowi przy posZUkiwaniu szCZątkÓw. W zasadZie wszystkie informacje zgromadzone w tej książce pochodzą z ponad stu wywiadów przeprowadzonych w JekaterynburgU, Moskwie, Londynie, Birmingham, Paryżu, Kopenhadze, Madrycie, Gstaad, Nowym JorkU, Albany, Hartford, Bostonie, Waszyngtonie, Harlottesviue, DUruam, Gainesviue, Paun Beadl, AUstin, Puoenix, Berkeley iJordanviue w stanie NowyJork. Przy pierwszej części tej książki wielką pomoc, za którą jestem bardzo wdzięczny, okazali mi następujący Rosjanie: doktor SergiUsz Abramow, Aleksander i Halina Awdoninowie, doktor Paweł Iwanow, Mikołaj Niewolin, Gelij Riabow, Włodzimierz Sołowiow, Sergiusz Mironienko, książę Aleksy Szerbatów, metropolita Witalij, arcybiskup Ławrientij, biskup Hilary, biskup Bazyl Rodzianko i ojciec Włodzimierz Szyszkw. Chciałbym także wyrazić wdzięczność także innym osobom, do których przede wszystkim należą: doktor Peter Gill, Karen Pearson, książę Rościsław Romanow, Michael Torton, Jmian Nott, Nigel McCreery i Barbara Wuittal w Anglii; James A. Baker III, Margaret Tutwiler, doktor Michael Baden, doktor Loweu Levine, doktor William Hamilton, William Goza, Caturyn Oakes, doktor Charles Gintuer, doktor Alka Mansukhani, doktor Walter Rowe, doktor Ridlard Froede, doktor Biu Rodriquez, Matt Dark, Mark Stolorów, Marylin Swezey i Robert Atchinson w Stanach Zjednoczonych. Na temat oszustów podających się za Romanowów ciekawe historie opowiedzieli mi Aleksander Awdonin, Edward Radziński, książę Mikołaj Romanow, Ricardo Mateos Sainz de Medrano, Paweł Iwanow, biskup Bazyl Rodzianko, Marilyn Swezey i Viktor Dricks. W książce The Romanow Conspiracies Michael Ocdeshaw opisuje ucieczkę i późniejsze życie Larisy Fiodorowny Tudor. W przypadku Michała Goleniowskiego i Eugenii Smith swoją pomocą służyli mi hrabina Dagmar de Brantes, Brien Horan, biskup Grzegorz (dawniej ojciec Jerzy Grabbe), ojciec Włodzimierz Szyszkw, doktor Richard Rosenfield, David Martin, David Gries, Leroy A. Dysick i Denis B. Gredlein. Ciekawe informacje na temat Michała Goleniowskiego znalazłem też w książce Davida

Martina Wilderness of Mirrors i Guy Richardsa The Hz. intfor T. he Tsar Na temat Anny Anderson napisano wiele książek i prawdopodobnie będzie ich coraz więcej. Jest między nimi rzekoma autobiografia zatytułowana I am Anastasia (wydana w Anglii pod tytułem I Anastasia), o której istnieniu Anna Anderson nie miała pojęcia, dopóki nie ofiarowano jej egzemplarza. Korzystałem także z następujących książek: Anastasia Harriet Rathlef Keilman, La Fausse Anastasie Pierra Gilla i Constantina Sawitcha, The Romanovs. Gleba Botkina, The Last Grand Ducbess (Olga, siostra Mikołaja II) Iana Uorresa, Anastasia. Qui etesvoz. cs! Dominique Auderes, Tbcouse of Special Purpose J. C. Trevina (powstała z dokumentów Charlesa Sidneya Gibbesa, Anglika, guwernera carskich dzieci). Istnieją też dwie stosunkowo nowe biografie Anny Anderson: Anastasia: The Riddle of Anna Andc, rson Petera Kurtha i Anastasia: The Iost Princess Jamesa Blaira Loveua, z których książka Kurtha pod względem stylu i ilości materiałów jest zdecydowanie lepsza. Brien Horan był na tyle uprzejmy, aby przekazać mi kopię swojego rękopisu zawierającego dowody za i przeciwko Annie Anderson. Jestem także wdzięczny doktorowi Guntherowi von Berenberg-Gossler za udostępnienie mi rozdziału jego nie opublikowanej pracy o Franciszce Szanckowskiej. Michaelowi Thorntonowi jestem wdzięczny nie tylko za udostępnienie bogatej kolekcji pamiątek po Annie Anderson, ale także za poświęcony mi czas. W opisywaniu jej historii i historii podziału w rodzinie Romanowów wielką pomoc okazał mi Brien Horan. John Orbeu z Barinę Brothers, William Darke, autor The Lost Treast. cres oft. he T, ar i H. Leslie Cousins z Price, Waterhouse, pomogli mi zebrać materiały na temat rzekomej fortuny Romanowów zgromadzonej w angielskich bankach. Relacja z procesów z Charlottesviue pochodzi wyłącznie z ustnych relacji. Tutaj nieocenioną pomoc okazali mi Richard i Marina Schweitzerowie, i to pomimo iż o Annie Anderson miałem inne zdanie niż oni. Pomogły mi także następujące osoby: Susan Burkhart, Mały DeWitt, Mildred Eweu, baron Edward von FalzFein, doktor Peter Gill, doktor Charles Ginther, Włodzimierz Galicyn, Ron Hansen, Penny Jenkins, doktor Willi Korte, Peter Kurth, Syd Mandelbaum, Matthew Murray, Ann Nickels, Jmian Nott, Maurice Philip Remy, Dean Robinson, Rhonda Roby, książę Aleksy Szerbatow i Michael Thornton. Materiały do rozdziału o ocalonych Romanowach oraz możliwości przywrócenia monarchii dostarczyli mi: Marina Beadleston, książę Dymitr i księżna Dorrit Romanowowie, wielki książę Jerzy, wielka księżna Leonida, wielka księżna Maria, książę Michał Romanow, książę Mikołaj i księżna Swewa Romanow, książę Rościsław Romanow, Pam R. i angelica Ilyinski, Ksenia Sfiris, książę pruski Franciszek, książę Giovanni di Bourbon Sicilies, książę Jerzy Wasylczyków, profesor Irina Pazdiewa, doktor Paweł Iwanow, Gelij Riabow, Jose Luis Lampredo Escolar, Ricardo Mateos Sainz de Medrano i Albert Bartridge. Nieocenioną pomoc okazał mi szef działu słowiańskiego

nowojorskiej biblioteki publicznej Edward Kasiniec oraz jego zastępca Sergiusz Glebow. Deborah Baker jako pierwsza naprowadziła mnie na związek pomiędzy "odciskami palców" DNA a szczątkami Romanowów. Edmund i Sylvia Morris zajęli się mną w Waszyngtonie i udzielili mi wielu rad. Hanna Pakuła pożyczyła mi cenną książkę ze swojej biblioteki, Ian Lilburne pozwolił wykorzystać swoje zdjęcia, a Howard Ross poświęcił wiele czasu, aby pomóc mi odnaleźć inne fotografie. Annick Mesko, Jacques Ferrand, Jmia Kort, Victoria Lewis i Petra Henttonen wyrazili swoje opinie na temat książki i zajęli się przekładami. Ken Burrows, Jeremy Nussbaum i Nancy Feltsen pomogli mi w kłopotach. Wiele zawdzięczam Dolores Karl, która wysłuchała kilkudziesięciu godzin wywiadów nagranych na taśmy i spisała z nich tekst o długości kilku tysięcy stron. Poza tym pomogła mi przy pierwszych doświadczeniach z programem do edycji tekstów. Przed przystąpieniem do pracy nad książką nie znałem ani Maszy TołstojSarandinaki, ani Piotra Sarandinaki. Razem z Piotrem pojechałem do Jekaterynburga, gdzie zamieszkaliśmy u Aleksandra i Haliny Awdoninów. Spacerowaliśmy po wspaniałych brzozowych i sosnowych lasach, miejscach, gdzie dokonano straszliwych zbrodni, i patrzyliśmy na szczątki nie pochowanej rodziny. Po powrocie do Stanów Masza przetłumaczyła taśmę rosyjskiego na angielski, przekazywała mi swoje uwagi i wielokrotnie telefonowała do Rosji, aby trzymać rękę na pulsie. Jej i Oldze Tołstoj chciałbym szczególnie gorąco podziękować. Jestem wdzięczny Harry'emu Evansowi z wydawnictwa Random House, któremu spodobała się ta historia, oraz Robertowi Loomisowi, który cierpliwością i doświadczeniem służy autorom od ponad czterdziestu lat. Deborah Aiges, Susan M. S. Brown, Sharon DeLano, Benjamin Dreyer, Emily Eakin, Barbe Hammer, Ivan Held, J. K. Lambert, Tom Perry, Kathy Rosenbloom i Walter Weintz pomogli mi przekształcić rękopis w gotową książkę. Dan Franklin, Caroline Michel, Arnmf Conradi i Elisabeth Ruge od początku wierzyli, że to przedsięwzięcie się uda. Wielu przyjaciół zachęcało mnie do napisania tej książki, a zwłaszcza: Kim i Lorna Massie, Art Spiegelman i Francoise Momy, Harold Brodkey i Ellen Schwamm, Melanie Jackson i Thomas Pynchon, Fred Karl, Sheldon i Helen Atlas, Elsa Jobity, Janet Byrne i Ivan Solataroff, Jeff Seroy i Doug Stumpf, Peg Determan, Lance Balk, Jan i Carl Ramirez, Christina Haus i Paolo Alimonti, Steve i Ann Hauiweu oraz Giovanni i cornelia Bagarotti. Pamiętam także pewien listopadowy wieczór w 1993 roku, kiedy to moi przyjaciele w Nashville wysłuchali moich argumentów za i przeciw napisaniu tej książki. Wszyscy (z jednym wyjątkiem) powiedzieli - zrób to. Za radę tę jestem szczególnie wdzięczny: Jackowi i Lynn May, Herbowi i May Shayne, Gilowi i Robin Merritt, George'owi i Opheli Payne oraz Henry'emu Walkerowi. Moja żona, Deborah Karl, która jest także moim agentem literackim, również przyczyniła się do powstania tej książki. Zachęcała mnie do jej napisania, pomogła

wynegocjować umowę i czytała uważnie wszystkie rozdziały. Ponieważ spóźniłem się z oddaniem tekstu, "wymusiła" na wydawnictwie wyrozumiałość. Oczywiście, nie wszystko w życiu można przewidzieć. Gdy zbliżałem się do końca, cios zadał nam jeden z kolegów po fachu. Po wielu dniach oburzenia, kiedy głowę moją zaprzętały myśli o zemście, żona dodała mi otuchy, abym mógł zakończyć pracę.

WYDAWNICTWO AMDER Sp. z o.o.

ul. Zielna 39,  
00-108 Warszawa,  
tel. 620-40-13,  
lub 620-81-62

Warszawa 1997. Wydanie I

KONIEC